

SIR ARTHUR CONAN DOYLE

SHERLOCK HOLMES I

WAMPIR Z SUSSEX

PRZEŁOŻYŁ LECH NIEDZIELSKI

OPOWIADANIA ZAWARTE W TYM TOMIE POCHODZĄ ZE ZBIORU:
SHERLOCK HOLMES. THE COMPLETE ILLUSTRATED SHORT STORIES.

PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY (THE FIVE ORANGE PIPS)

Kiedy przeglądam swoje notatki i zapiski dotyczące spraw Sherlocka Holmesa z lat 1882–1890, natrafiam wśród nich na tak wiele niezwykłych i ciekawych historii, że podjęcie decyzji, którą z nich wybrać, a którą odrzucić, jest rzeczą doprawdy niełatwą. Poza tym część z nich zyskała już rozgłos dzięki artykułom w gazetach, inne zaś nie uwydatniają dostatecznie owych szczególnych zalet, jakimi tak szczerze obdarzony jest mój przyjaciel, a których przedstawienie stanowi cel moich opowieści. Część spraw nie doczekała się rozwiązania mimo analitycznej biegłości Sherlocka Holmesa, wskutek czego opowiadania o nich byłyby pozbawione zakończeń, a inne zostały wyjaśnione tylko częściowo, i to raczej dzięki domniemaniom i przypuszczeniom niż tak drogiemu sercu Holmesa czystemu logicznemu rozumowaniu. Wśród tych ostatnich spraw jest wszakże jedna, tak w swych szczegółach znamienna i o tak wstrząsającym finale, że odczuwam pokusę podjęcia próby, by o niej jakoś opowiedzieć, choć pewne jej aspekty nie zostały i prawdopodobnie nigdy nie zostaną całkowicie wyjaśnione.

Rok 1887 obfitował w sprawy różnej wagi, które zachowuję w swojej kronice. Wśród przypadków z okresu tych dwunastu miesięcy znajduję na przykład śledztwa związane z „Paradol Chamber”, czyli Towarzystwem Miłośników Żebractwa, które prowadziło luksusowy klub w podziemiach składu mebli; ze sprawą zaginięcia brytyjskiej barki „Sophy Anderson”; dziwnych przygód Grice Patersons na wyspie Uffa i wreszcie z tajemnicą otrucia Camberwella. W tym ostatnim przypadku, jak może jeszcze publiczność pamięta, Sherlock Holmes, nakręcając zegarek zmarłego człowieka, zdołał udowodnić, że chronometr ów został nastawiony dwie godziny wcześniej, co wskazywało, że zmarły położył się do łóżka w tym właśnie czasie — a dedukcja ta miała decydujące znaczenie dla wyjaśnienia całej zagadki. Wszystkie te śledztwa są naprawdę ciekawe i być może opiszę je kiedyś w przyszłości, jednak w żadnym z nich nie występuje — jak we wspomnianym wcześniej — tak wyjątkowo dziwny splot wydarzeń, które sprawiły, że właśnie wziąłem pióro do ręki, by je opisać.

Było to w ostatnich dniach września, kiedy towarzyszące zrównaniu dnia z nocą wichury zaczęły dać ze szczególną siłą. Przez cały dzień zawodził wiatr, a deszcz tłukł o szyby, tak że nawet tu, w samym sercu wspaniałego, wzniesionego ręką człowieka Londynu, czuliśmy się zmuszeni odbiec na chwilę myślami od naszych codziennych spraw i uświadomić sobie istnienie potężnych żywiołów, które niczym dzikie bestie uwięzione w klatce ryczą na ludzkość poprzez stworzone przez nią bariery cywilizacji. Z nadejściem wieczoru nawałnica stawała się z każdą chwilą głośniejsza, a wiatr w kominie zanosił się od płaczu jak dziecko. Sherlock Holmes siedział w ponurym nastroju po jednej stronie kominka, opatrując przypisami swoją kronikę kryminalną, podczas gdy ja, po drugiej stronie, do tego stopnia zagłębiłem się w lekturze jednego ze świetnych opowiadań morskich Clarka Russella, że ryk nawałnicy z zewnątrz zdawał mi się zlewać z jego tekstem, a plusk deszczu — przechodzić w przeciągły szum rozbijających się o skały morskich fal. Ponieważ moja małżonka pojechała z kilkudniową wizytą do swej ciotki, raz jeszcze stałem się współlokatorem Holmesa w mieszkaniu przy Baker Street.

— A to co? — powiedziałem, zerkając na mego towarzysza. — Z pewnością słyszałem dzwonek. Któż to się dzisiaj mógł do ciebie wybrać? Jakiś twój przyjaciel?

— Jedynym moim przyjacielem jesteś ty — odparł. — Poza tym nie mam w zwyczaju nikogo zapraszać.

— A zatem klient?

— Jeśli tak, to w sprawie wielkiej wagi. Nic innego nie wyciągnęłoby człowieka na dwór w taki dzień i o takiej godzinie. Już bardziej prawdopodobne, że to jakaś kumoszka naszej gospodyni.

Sherlock Holmes pomylił się jednak w swych domysłach, ponieważ z korytarza dobiegł nas odgłos kroków, a następnie rozległo się pukanie do drzwi. Mój przyjaciel wyciągnął swe długie ramię, żeby odwrócić od siebie lampę i skierować ją na puste krzesło, które będzie musiał zająć przybysz.

— Proszę! — rzekł.

Do pokoju wszedł młody, z wyglądu dwudziestodwuletni człowiek. Ubrany był z pedantyczną dbałością, a sposobem bycia zdradzał pewną dystynkcję i wrażliwość. Trzymany przezeń w ręce ociekający parasol oraz długi lśniący od wody płaszcz nieprzemakalny świadczyły o gwałtowności ulewy, której musiał stawić czoło. Kiedy w blasku lampy rozglądał się z niepokojem, dostrzegłem, że jego twarz jest blada, a wzrok chmurny jak u człowieka przytłoczonego ciężarem jakiejś wielkiej troski.

— Jestem panu winien przeproszenie — powiedział, podnosząc do oczu złote pince-nez. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Obawiam się, że do pańskiego zacisza wniosłem ze sobą ślady nawałnicy.

— Proszę mi podać swój płaszcz i parasol — rzekł Holmes. — Niech sobie spoczną na wieszaku, a niebawem będą suche. Jak widzę, przybył pan z południowego zachodu.

— Tak, z Horsham.

— Ta mieszanka gliny i kredy, którą widzę na osłonach nosków pańskich butów, jest bardzo charakterystyczna.

— Przyszedłem po radę.

— O radę nietrudno.

— I po pomoc.

— Z tym bywa gorzej.

— Słyszałem o panu, panie Holmes. Major Prendergast opowiedział mi, jak go pan uratował w związku ze skandalem w klubie Tankerville.

— Ach, rzeczywiście. Został on niesłusznie posądzony o karciane oszustwo.

— Powiedział, że pan rozwiąże każdą sprawę.

— Przesadził.

— Że pan nigdy nie przegrywa.

— Zostałem pokonany czterokrotnie. Trzy razy przez mężczyzn, raz przez kobietę.

— Cóż to jednak znaczy w porównaniu z liczbą pańskich sukcesów?

— To prawda; na ogół mi się udaje.

— A zatem podobnie będzie w moim przypadku.

— Niechże pan przysunie krzesło do kominka i zaszczyć mnie jakimiś szczegółami związanymi z pańskim przypadkiem.

— To nie jest zwykła sprawa.

— Do mnie nie trafiają inne sprawy. Jestem sądem ostatecznej instancji.

— A jednak wątpię, sir, czy w całej pańskiej praktyce zetknął się pan kiedykolwiek z bardziej tajemniczym i niewytłumaczalnym następstwem zdarzeń niż te, które dotknęły moją rodzinę.

— Rozbudził pan we mnie ciekawość. Błagam, niechże nam pan przedstawi główne fakty od samego początku, abym następnie mógł zadać pytania związane z tymi szczegółami, które wydadzą mi się najważniejsze.

— Nazywam się — zaczął — John Openshaw, choć moje własne sprawy, na tyle, na ile się w tym orientuję, mają niewiele wspólnego z tą okropną historią. Dotyczy ona kwestii spadkowych, a więc żeby dać panu wyobrażenie o faktach, muszę wrócić do jej początku.

Powinien pan wiedzieć, że mój dziadek miał dwóch synów — mego stryja Eliasa i mego ojca Josepha. Ojciec posiadał małą fabrykę w Coventry, którą rozbudował w czasie, kiedy wynaleziono rower. Był posiadaczem patentu na niezniszczalną oponę Openshawa, a jego przedsiębiorstwo odniosło taki sukces, że mógł je sprzedać i na bardzo dobrych warunkach przejść na emeryturę.

Stryj wyemigrował do Ameryki jako młody człowiek i został plantatorem na Florydzie, gdzie, jak dochodziły słuchy, powodziło mu się bardzo dobrze. W czasie wojny domowej walczył w armii Jacksona, a następnie pod dowództwem Hooda, awansując do rangi pułkownika. Kiedy Lee złożył broń, stryj powrócił na swoją plantację i pozostał tam jeszcze przez trzy lub cztery lata. W roku 1869 lub 1870 wrócił do Europy, gdzie znalazł sobie małą posiadłość w hrabstwie Sussex w pobliżu Horsham. W Ameryce zbił całkiem pokaźny majątek, a wyjechał stamtąd powodowany wstrętem do Murzynów oraz niechęcią do polityki republikańskiej rozszerzającej przywileje czarnoskórych. Był dziwnym człowiekiem, zawziętym i krewkim, nieprzebiegającym w słowach w chwilach gniewu, całkowicie zamkniętym w sobie. Wątpię, czy przez wszystkie te lata, kiedy mieszkał w Horsham, kiedykolwiek pojawił się w mieście. Wokół domu miał ogród i kawał łąki, gdzie zażywał ruchu, ale bardzo często przez całe tygodnie nie opuszczał swego pokoju. Wypijał ogromne ilości brandy, obficie palił, ale z nikim się nie spotykał ani też nie potrzebował żadnych przyjaciół, nawet w osobie własnego brata.

Na mnie nie zwracał większej uwagi, ale właściwie to cieszyłem się pewną sympatią z jego strony, ponieważ kiedy zobaczył mnie po raz pierwszy, byłem mniej więcej dwunastoletnim młodzikim. Stało się to w roku 1878, już po ośmiu czy dziewięciu latach jego pobytu w Anglii. Ublagał mego ojca, aby mi pozwolił z nim zamieszkać, i na swój sposób był mi bardzo życzliwy. W chwilach trzeźwości z zamiłowaniem grywał ze mną w tryk-traka i bierki i uczynił mnie swym przedstawicielem zarówno wobec własnej służby, jak dostawców, tak że kiedy ukończyłem szesnaście lat, stałem się właściwie panem domu. Miałem pieczę nad wszystkimi kluczami; mogłem chodzić, gdzie mi się podobało, i robić to, na co miałem ochotę, pod warunkiem że nie naruszam jego prywatności. Był wszakże pewien szczególny wyjątek. Stryj miał pokój — stale zamkniętą rupieciarnię, do której nie pozwalał wchodzić ani mnie, ani komukolwiek innemu. Kierowany chłopcą ciekawością, zaglądałem tam przez dziurkę od klucza, ale nie udawało mi się dostrzec nic poza stłoczonymi kuframi i tobołkami, czego się zresztą po takim pomieszczeniu można było spodziewać.

Pewnego dnia — a było to w marcu 1883 roku — na stole przed talerzem pułkownika pojawił się list z zagranicznym znaczkiem. Otrzymywanie korespondencji nie było dla niego zjawiskiem powszednim; wszystkie rachunki opłacał bowiem gotówką, a żadnych przyjaciół nie posiadał.

— Z Indii! — powiedział, podnosząc kopertę. — Stempel pocztowy z Pondicherry! Cóż to może być? — otworzył list pospiesznie, a z wnętrza wypadło pięć drobnych, zasuszonych pestek pomarańczy, stukając po jego talerzu. Zacząłem się śmiać, ale śmiech zamarł mi na ustach na widok twarzy stryja. Szczeka mu opadła, oczy wyszły z orbit, skóra nabrała barwy popiołu, on zaś wlepił nienawistne spojrzenie w kopertę, którą wciąż jeszcze trzymał w drżącej dłoni.

— K... K... K... — jęknął. — O Boże, o Boże, dopadły mnie moje grzechy!

— Co to takiego, stryju? — zapytałem.

— Śmierć — powiedział i podniósł się z krzesła, by zniknąć w swoim pokoju, a ja zostałem, dygocząc z przerażenia. Podjąłem ze stołu kopertę i na wewnętrznej stronie skrzydełka, tuż nad brzegiem powleczonym klejem, ujrzałem nabazgraną czerwonym atramentem, po trzykroć powtórną literę „K”. Poza pięcioma zasuszonymi pestkami nie było tam nic więcej. Co mogło wywołać ten obezwładniający strach? Wyszedłem z jadalni i

kiedy wchodziłem po schodach, minąłem się ze stryjem, który trzymał w jednej ręce zardzewiały klucz, prawdopodobnie do drzwi stryżku, a w drugiej małą mosiężną kasetkę.

— Mogą sobie wyłazić ze skóry, a ja ich i tak przechytrzę — powiedział z zawziętością w głosie. — Powiedz Mary, żeby w moim pokoju rozpałała ogień w kominku, i poślij po adwokata Fordhama z Horsham.

Wykonałem jego polecenia, a kiedy prawnik przyjechał, zostałem poproszony do pokoju na górze. Ogień palił się jasnym płomieniem, a ruszt kominka pokryty był obficie czarnym popiołem jakby po spalonych papierach, obok zaś stała mosiężna kasetka — była otwarta i pusta. Zerknąwszy na nią, drgnąłem na widok wybitego na jej wieku potrójnego „K”, jakie rankiem odczytałem na kopercie.

— Chciałbym, Johnie — rzekł stryj — abyś był świadkiem sporządzania mojej ostatniej woli. Swoje mienie z wszystkimi jego pożytkami i kłopotami pozostawiam mojemu bratu, czyli twojemu ojcu, po czym oczywiście przypadnie ono tobie. Jeśli zdołasz się tym cieszyć w spokoju ducha, to bardzo dobrze. Ale jeśli stwierdzisz, że to niemożliwe, to posłuchaj, chłopcze, mojej rady i zostaw to swemu śmiertelnemu wrogowi. Przykro mi, że przekazuję ci coś tak niepewnego, nie mogę jednak przewidzieć, jaki obrót przyjmą sprawy. Bądź uprzejmy podpisać dokument w miejscu wskazanym ci przez pana Fordhama.

Złożyłem podpis zgodnie ze wskazówką prawnika, który następnie zabrał dokument ze sobą. Domyśla się pan zapewne, że ten szczególny incydent wywarł na mnie niezwykle wrażenie, rozważałem go więc w swym umyśle na wszystkie możliwe sposoby, nie będąc jednak w stanie wysnuć jakichkolwiek wniosków. Stryj pił więcej niż kiedykolwiek przedtem i jeszcze bardziej stronił od wszelkiego towarzystwa. Większość czasu spędzał w swoim pokoju, za drzwiami zamkniętymi od wewnątrz na klucz, choć czasem pojawiał się ogarnięty jakimś pijackim szałem, wypadał jak burza z domu i miotał się po ogrodzie z rewolwerem w dłoni, wykrzykując, że nie boi się nikogo i że żaden człowiek ani diabeł nie zmusi go, aby tkwił zamknięty w kojcu jak owca. Kiedy jednak te gwałtowne ataki przemijały, rzucał się wzburzony w kierunku domu, zamykał za sobą drzwi i ryglował je, jak człowiek, który jednak kapituluje przed strachem tkwiącym korzeniami w jego duszy. W takich chwilach widziałem, że nawet w zimne dni twarz stryja lśniła od potu, jakby ją właśnie podniósł znad miednicy z wodą.

Poprowadźmy więc rzecz do końca, panie Holmes, nie nadużywając pańskiej cierpliwości. Nadeszła noc, kiedy stryj znów wyruszył na swą pijacką eskapadę, ale tym razem już z niej nie powrócił. Podjęliśmy poszukiwania, by go wreszcie znaleźć leżącego twarzą w dół w małej, porośniętej rzęsą sadzawce, w głębi ogrodu. Nie było żadnych śladów walki, a woda w tym bajorze miała głębokość zaledwie dwóch stóp, tak że ława przysięgłych, wzięwszy pod uwagę jego znaną ekscentryczność, zawyrokowała o samobójstwie. Ja wszakże, wiedząc, jak bardzo stryj drżał na samą myśl o śmierci, nie mogłem uwierzyć, że się odważył sam ją sobie zadać. Tak czy inaczej mój ojciec stał się właścicielem tej posiadłości oraz około czterestu tysięcy funtów, ulokowanych na koncie w banku.

— Chwileczkę — wtrącił Holmes. — Podejrzewam, że pańska relacja jest jedną z najbardziej niezwykłych, jakie kiedykolwiek słyszałem. Niech mi pan poda daty otrzymania listu przez pańskiego stryja oraz jego domniemanego samobójstwa.

— List nadszedł dziesiątego marca 1883 roku, a śmierć stryja nastąpiła siedem tygodni później, czyli drugiego maja w nocy.

— Dziękuję. Proszę kontynuować.

— Kiedy ojciec przejął posiadłość pod Horsham, na moją prośbę dokładnie przeszukał strych, który zawsze był zamknięty na klucz. Znaleźliśmy tam mosiężną kasetkę, ale jej zawartość została zniszczona. Na wewnętrznej stronie wieka znajdowała się papierowa nalepka z trzykrotnie powtórzonymi inicjałami K.K.K, pod którymi widniał napis: LISTY, PISMA URZĘDOWE, POKWITOWANIA. Wskazywało to, jak przypuszczaliśmy, na

charakter dokumentów zniszczonych przez pułkownika Openshawa. Poza tym na strychu nie było niczego szczególnie interesującego, nie licząc wielkiej ilości papierów i notatników związanych z amerykańskim okresem życia mego stryja. Niektóre z nich pochodziły z czasów wojny i świadczyły o tym, że był wzorowym i słynącym z odwagi żołnierzem. Inne pochodziły z czasów odbudowy południowych stanów i w większości dotyczyły polityki, ponieważ stryj niewątpliwie był poważnie zaangażowany w działalność opozycyjną, skierowaną przeciwko nasyłanym z Północy, nieznanym nikomu politykom.

A zatem, kiedy ojciec przybył do Horsham, aby tam zamieszkać, był początek roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego i wszystko układało się jak najlepiej aż do stycznia następnego roku. Czwartego dnia po Nowym Roku, wkrótce po tym, jak zasiedliśmy do śniadania, usłyszałem okrzyk zdziwienia ojca. W jednej dłoni trzymał otwartą właśnie kopertę, a na drugiej leżało pięć zasuszonych pestek pomarańczy. Ojciec zawsze reagował śmiechem na duby smalone, jak nazywał moją opowieść o tym, co spotkało pułkownika, a jednak teraz, kiedy się znalazł w takiej samej sytuacji, wyglądał na bardzo zaintrygowanego i przestraszonego.

— Cóż to ma, u licha, znaczyć, Johnie? — wyjąkał.

Serce mi skamieniało.

— To KKK — odparłem. Zajrzał do środka.

— Rzeczywiście! — krzyknął. — Są tu te właśnie litery. Ale co jest napisane pod nimi?

— *Położ dokumenty na zegarze słonecznym* — odczytałem, zaglądając mu przez ramię.

— Jakie dokumenty? Jaki zegar słoneczny? — zapytał.

— Zegar słoneczny jest w ogrodzie. Nie ma tu innego — powiedziałem — dokumenty to chyba te, które zostały zniszczone.

— Też mi coś — powiedział, wciąż nie tracąc mężnie ducha. — Żyjemy w cywilizowanym kraju i nie bawimy się w podobne błazeństwa. Gdzie to nadano?

— W Dundee — odparłem, spojrzawszy na stempel pocztowy.

— To jakiś niedorzeczny figiel — stwierdził. — Co ja mam wspólnego z zegarami słonecznymi i dokumentami? Ani myślę zaprzętać sobie głowy podobną bzdurą.

— Powinienem z pewnością porozmawiać z policją — powiedziałem.

— I z mojego powodu wystawić się na pośmiewisko. Absolutnie wykluczone.

— Ale pozwól mi to zrobić.

— Nie, zabraniam ci. Nie chcę podnosić wrzawy wokół takich bredni.

Próżno byłoby się spierać z tym niezwykle upartym człowiekiem. Chodziłem wszakże z sercem przepełnionym złymi przeczuciami.

Trzeciego dnia po nadejściu listu ojciec wyjechał z domu, aby odwiedzić starego przyjaciela, majora Freebody'ego, który jest dowódcą jednego z fortów na wzgórzu Portsdown. Ucieszyło mnie to, ponieważ sądziłem, że oddalając się od domu, oddala się również od grożącego mu niebezpieczeństwa. Tu się jednak myliłem. Na drugi dzień jego nieobecności otrzymałem telegram od majora z błaganem, abym natychmiast tam przybył. Ojciec wpadł do jednego z licznych w tej okolicy głębokich wykopów w kredowych kamieniołomach i leżał teraz bez czucia z pogruchotaną czaszką. Pospieszyłem do niego, ale on zmarł, nie odzyskując nawet przytomności. Jak się okazało, ojciec wracał o zmroku z Fareham, a ponieważ nie znał okolicy, dół zaś nie był ogrodzony, ława przysięgłych bez wahania wydała orzeczenie: „Śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku”. Choć starannie zbadałem wszystkie okoliczności związane z jego śmiercią, w żaden sposób nie mogłem doszukać się czegokolwiek, co nasuwałoby myśl o morderstwie. Nie było żadnych oznak walki, żadnych śladów stóp, żadnego rabunku, nie widziano żadnych obcych ludzi na drogach. A jednak nie muszę panu mówić, jak daleko mi było do spokoju ducha i że miałem nieomal pewność istnienia jakiejś odrażającej intrygi, której ofiarą padł mój ojciec.

W ten oto złowrogi sposób wszedłem w posiadanie mego dziedzictwa. Zapyta pan, dlaczego się go nie pozbyłem? Otóż dlatego, że byłem święcie przekonany, iż nasze kłopoty wiązały się z jakimś tajemniczym wydarzeniem w życiu stryja i że równie poważne niebezpieczeństwo zagraża mi zarówno w tym, jak i w innym domu.

Mój biedny ojciec zakończył swój żywot w styczniu 1885 roku i od tamtych zdarzeń upłynęły dwa lata i osiem miesięcy. Przez ten czas żyłem szczęśliwie w Horsham i zaczynałem mieć nadzieję, że wraz z odejściem poprzedniego pokolenia przekleństwo przestało już ciążyć na naszej rodzinie. Na pocieszenie się było jednak za wcześnie; wczoraj rano stało się dokładnie to samo, co w przypadku mego ojca.

Młodzieniec wyjął z kieszonki kamizelki pogniecioną kopertę i odwracając się do stołu, wytrząsnął z niej pięć zasuszonych drobnych pestek pomarańczy.

— Oto koperta — ciągnął. — Stempel pocztowy ze wschodniej części Londynu. Wewnątrz znajdują się dokładnie te same słowa co w ostatniej przesyłce skierowanej do ojca — KKK, a następnie: *Położ dokumenty na zegarze słonecznym.*

— Co pan uczynił?

— Nic.

— Nic?

— Prawdę mówiąc — ukrył twarz w swych szczupłych, białych dłoniach — poczułem się bezradny. Jak ten nieszczęsny królik, do którego podpełza preżący się wąż. Miałem wrażenie, że jestem w uścisku jakiegoś nieodpartego, nieubłaganego zła, przed którym nie może mnie uchronić ani przezorność, ani jakiegokolwiek środki ostrożności.

— Zaraz, zaraz — krzyknął Sherlock Holmes. — Trzeba działać, człowieku, bo w przeciwnym razie grozi panu zguba. Tylko energiczne działanie może pana uratować. Nie czas na rozpacz.

— Byłem na policji.

— Ach tak?

— Ale oni wysłuchali mojej historii z rozbawieniem. Jestem przekonany, że według inspektora owe listy są tylko czyimiś figlami, a zgony moich krewnych to prawdziwe wypadki, tak jak to orzekł sąd przysięgłych, i nie miały żadnego związku z tymi ostrzeżeniami.

Holmes potrząsnął zaciśniętymi pięściami.

— Niewiarygodna głupota! — zakrzyknął.

— Przydzielili mi jednak policjanta, żeby pilnował mego domu.

— Czy przyszedł tu dziś z panem?

— Nie. Ma rozkaz nie ruszać się stamtąd na krok.

Holmes znów zamachał pięściami.

— Dlaczego pan do mnie przyszedł? — zapytał. — A przede wszystkim, dlaczego nie przyszedł pan od razu?

— Nie wiedziałem o panu. Dopiero dziś rozmawiałem z majorem Prendergastem o moim zmartwieniu, a on poradził mi, abym poszedł do pana.

— Upłynęły więc już dwa dni od czasu nadejścia tego listu. Powinniśmy byli zacząć działać wcześniej. Przypuszczam, że nie ma pan innych dowodów poza już przedstawionymi, żadnych istotnych szczegółów, które mogłyby nam pomóc.

— Jest coś jeszcze — powiedział John Openshaw. Pogrzebał w kieszeni surduta i wyciągnąwszy z niej kawałek wyblakłego papieru o niebieskim zabarwieniu, położył go na stole.

— Przypominam sobie — rzekł — że tamtego dnia, kiedy mój stryj palił dokumenty, zauważyłem w popiele wąskie, niedopalone brzegi papierów tego właśnie koloru. Tę pojedynczą kartkę znalazłem na podłodze w jego pokoju i tknęła mnie myśl, że mogła się ona odłączyć od pozostałych dokumentów i sfrunąć niezauważona, unikając w ten sposób

zniszczenia. Poza wzmianką o pestkach nie sędzę, aby mogła nam wiele pomóc. Myślę, że strona ta pochodzi z prywatnego dziennika stryja. Nie ulega wątpliwości, że to jego charakter pisma.

Holmes przysunął lampę i obaj pochyliłiśmy się nad spłachetkiem papieru, którego wystrzępiony brzeg świadczył, że został wyrwany z jakiegoś zeszytu. Był opatrzony nagłówkiem *Marzec 1869*, pod którym następowały zagadkowe notatki:

4. *Przyszedeł Hudson. Wciąż to samo politykowanie.*

7. *Postraszono pestkami McCauleya, Paramore'a i Swaina z St. Augustine.*

9. *McCauley zniknął.*

10. *John Swain zniknął.*

12. *Odwiedziłem Paramore'a. Wszystko w porządku.*

— Dziękuję! — powiedział Holmes, składając papier i zwracając go naszemu gościowi. — A teraz pod żadnym pozorem nie wolno nam już stracić ani chwili. Nie mamy nawet czasu na omówienie tego, co mi pan powiedział. Powinien pan natychmiast jechać do domu i działać.

— Co mam zrobić?

— Tylko jedno. I to natychmiast. Ten papier trzeba włożyć do opisanej przez pana mosiężnej kasetki. Należy też do niego dołączyć kartkę z informacją, że wszystkie dokumenty, z wyjątkiem tego jednego, zostały przez pańskiego stryja spalone. Zapewnienie to musi brzmieć przekonująco. Co uczyniwszy, położy pan niezwłocznie kasetkę na zegarze słonecznym, tak jak brzmiało polecenie. Czy to jest zrozumiałe?

— Całkowicie.

— Proszę na razie nie myśleć o zemście ani o niczym w tym rodzaju. Uważam, że dojdziemy do tego zgodnie z prawem. My jednak naszą pajączykę musimy dopiero uprząść, podczas gdy ich sieć jest już gotowa. Teraz najważniejszą sprawą jest usunięcie tego nieustannego zagrożenia, jakie wisi nad panem. Później przyjdzie kolej na wyświetlenie tajemnicy i doprowadzenie do ukarania winnych.

— Dziękuję — rzekł młodzieniec, wstając i wkładając płaszcz. — Tchnął pan we mnie nowe życie i nadzieję. Oczywiście postąpię zgodnie z pańską radą.

— Proszę nie tracić ani chwili. A nade wszystko niech pan zachowa ostrożność, ponieważ uważam, że nie ma wątpliwości co do tego, iż niebezpieczeństwo, jakie panu zagraża, jest bardzo realne i bliskie. W jaki sposób pan wraca do domu?

— Pociągiem z Dworca Waterloo.

— Nie ma jeszcze dziewiątej. Na ulicach będzie tłoczno, więc mam nadzieję, że nic panu nie zgrozi. Ale ostrożności nigdy za dużo.

— Jestem uzbrojony.

— To dobrze. Jutro zabiorę się do pracy nad tą sprawą.

— A zatem zobaczymy się jutro w Horsham?

— Nie, pańska zagadka kryje się w Londynie. To tu zamierzam ją tropić.

— Więc za dzień lub dwa odwiedzę pana z wiadomościami na temat kasetki i dokumentów. Zastosuję się do pańskiej rady w najdrobniejszych szczegółach — uścisnął nam dłonie i się oddalił. Na dworze wiatr wciąż zawodził, a deszcz z dudnieniem zalewał szyby. Wydawało się, że ta dziwna historia przybyła do nas z samego wnętrza rozszalałych żywiołów — wtargnęła w porywie nawałnicy niczym kurtyna z morskich wodorostów — a teraz została ponownie przez te moce wchłonięta.

Sherlock Holmes siedział jakiś czas w milczeniu z głową podaną do przodu, ze wzrokiem wlepionym w czerwony blask ognia na kominku. Następnie zapalił fajkę, odchylił się w fotelu i obserwował, jak kolejne niebieskie kółka dymu ścigają się w drodze ku sufitowi.

— Myślę, Watsonie — zauważył w końcu — że pośród wszystkich naszych spraw nie mieliśmy jeszcze tak niesamowitej jak ta.

— Może z wyjątkiem „Znaku czterech”.

— A, tak. Może z wyjątkiem tej. A jednak wydaje mi się, że ten John Openshaw stąpa wśród większych nawet niebezpieczeństw niż Sholtos.

— Ale czy masz już jakiś zdecydowany pogląd co do charakteru tych zagrożeń? — zapytałem.

— Ich istota jest dla mnie oczywista — odparł.

— Więc na czym one polegają? Kto to jest ów KKK i dlaczego prześladowa tę nieszczęsną rodzinę?

Sherlock Holmes przymknął oczy i umieścił łokcie na oparciach fotela, stykając dłonie czubkami palców.

— Człowiek, który rozumuje w sposób doskonały — zaczął — mając okazany pojedynczy fakt we wszystkich jego aspektach, wydedukowałby z niego nie tylko cały łańcuch zdarzeń, które do niego przywiodły, ale także wszelkie konsekwencje, jakie mogą z niego wyniknąć. Tak jak Cuvier potrafił prawidłowo opisać całe zwierzę, kontemplując pojedynczą jego kość, tak i obserwator, który gruntownie zrozumie jedno ogniwo w ciągu wydarzeń, powinien zdołać trafnie ustalić wszystkie pozostałe, zarówno te poprzedzające, jak następne. Wciąż jeszcze nie doceniamy wyników, jakie można osiągnąć poprzez czyste rozumowanie. Problemy mogą być rozwiązywane w procesie badawczym, który wprawia w zakłopotanie wszystkich tych, którzy szukali rozstrzygnięcia, wspomagając się własnymi zmysłami. Dla wyniesienia tej sztuki na szczyty konieczne jest, aby dowodzący był w stanie wykorzystać wszystkie fakty, które dotarły do jego wiadomości, a już samo to zakłada, jak z pewnością się ze mną zgodzisz, posiadanie całkowitej wiedzy, co nawet w dzisiejszych czasach wolnego dostępu do edukacji i encyklopedii stanowi raczej rzadkie osiągnięcie. Ale jest przecież możliwe, aby człowiek posiadał tę wiedzę, która może się okazać najbardziej przydatna w jego zawodzie, i do tego właśnie dążę. Jeśli dobrze pamiętam, to kiedyś przy jakiejś okazji, jeszcze w początkach naszej przyjaźni, określiłeś w sposób niezwykle precyzyjny granice moich możliwości.

— Tak — odparłem ze śmiechem. — To było szczególne świadectwo. Pamiętam, że z filozofii, astronomii i polityki oceny wypadły katastrofalnie. Z botaniki — dostatecznie; z geologii celująco — zwłaszcza w zakresie śladów zaschłego błota pochodzącego ze wszystkich regionów w promieniu pięćdziesięciu mil od miasta; wiedza chemiczna okazała się wybiórcza, z anatomii — powierzchowna; twoja mocna strona to również literatura sensacyjna i kroniki kryminalne; zostało też stwierdzone, że jesteś skrzypkiem, bokserem, szermierzem, prawnikiem oraz że zatruwasz się kokainą i tytoniem. Takie były, jak mi się wydaje, główne punkty mojej analizy.

Holmes uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi na ostatnią pozycję z tej listy.

— No cóż — rzekł. — Powtórzę teraz to, co już mówiłem wcześniej, a mianowicie że człowiek powinien zakamarki swego ograniczonego mózgu wypełnić zawartością, której prawdopodobieństwo wykorzystania jest największe, resztę zaś może odłożyć do archiwalnego lamusa, gdzie w razie potrzeby będzie mógł ją znaleźć. Teraz zaś, w przypadku takim, jaki nam przedłożono dzisiejszego wieczoru, musimy z pewnością sięgnąć do wszystkich naszych zasobów. Bądź tak uprzejmy i podaj mi tom z literą „K” *Encyklopedii amerykańskiej*, która stoi na półce obok ciebie. Dziękuję. Rozważmy sytuację i zobaczmy, co się z niej da wydedukować. Po pierwsze z całą pewnością możemy zacząć od przyjęcia założenia, że pułkownik Openshaw miał jakiś poważny powód, by opuścić Amerykę. Mężczyźni w jego wieku nie zmieniają przyzwyczajień i niechętnie rezygnują z uroczego klimatu Florydy, by rozpocząć samotny żywot w prowincjonalnym angielskim miasteczku. Jego skrajne odosobnienie w Horsham nasuwa myśl, że przepelniał go strach przed kimś lub

przed czymś i że to właśnie wypędziło go z Ameryki. Co zaś było powodem tego strachu, możemy tylko wywnioskować, rozpatrując złowrogie listy, które odebrał on sam i jego następcy. Czy zwróciłeś uwagę na stemple pocztowe tych przesyłek?

— Pierwszy był z Pondicherry, drugi z Dundee, a trzeci z Londynu.

— Ze wschodniej części Londynu. Jaki stąd wniosek?

— Wszystkie te miasta są portami morskimi. A więc nadawca znajdował się na pokładzie statku.

— Znakomicie. Mamy już zatem trop. Nie ma żadnej wątpliwości co do istnienia prawdopodobieństwa, i to dużego, że piszący znajdował się na pokładzie statku. Rozważmy teraz inny szczegół. W wypadku Pondicherry między groźbą a jej spełnieniem upłynęło siedem tygodni, przy Dundee to były tylko trzy lub cztery dni. Czy to czegoś nie sugeruje?

— Większą odległość do pokonania.

— Ale przecież list również miał dłuższą drogę do przebycia.

— Wobec tego nie rozumiem.

— Można by przynajmniej domniemywać, że statek, na którym znajduje się ten człowiek, albo ci ludzie, jest żaglowcem. Wygląda to tak, jak gdyby swoje dziwne ostrzeżenia lub znak zapowiadający ich zbliżanie się wysyłali zawsze w chwili rozpoczynania misji. Widzisz, jak szybko nastąpił czyn po nadejściu znaku z Dundee. Gdyby przybyli z Pondicherry parowcem, to przypłynęliby niemal jednocześnie z listem. A przecież faktem jest, że upłynęło siedem tygodni. Sądzę, że tych siedem tygodni stanowi różnicę między statkiem pocztowym, który wiozł list, a żaglowcem z jego nadawcą na pokładzie.

— To niewykluczone.

— Więcej niż niewykluczone. To niemal pewne. Rozumiesz więc teraz, dlaczego tak wyjątkowo szybko należało działać w ostatnim przypadku i dlaczego nakłaniałem młodego Openshawa do zachowania ostrożności. Cios spadał zawsze pod koniec okresu, jaki był potrzebny nadawcom do pokonania tego dystansu. Tym jednak razem ktoś przybywa z Londynu, a zatem nie możemy liczyć na opóźnienie.

— Dobry Boże! — krzyknąłem. — Cóż może oznaczać to nieustępliwe prześladowanie?

— Dokumenty, które trzymał Openshaw, są bez wątpienia niezwykle ważne dla ludzi z żaglowca. Jest chyba zupełnie jasne, że tych osób musi być więcej niż jedna. Pojedynczy człowiek nie potrafiłby doprowadzić do dwóch zgonów w taki sposób, aby wywieść w pole ławę przysięgłych sądu i koronera. Musi być w to zaangażowanych kilku sprawców, a ludzie ci są na pewno przebiegli i zdecydowani. Swoje dokumenty zamierzają zdobyć niezależnie od tego, kto jest ich posiadaczem. W ten sposób, jak widzisz, litery KKK przestają już być inicjałami pojedynczej osoby, a stają się emblematem stowarzyszenia.

— Jakie to stowarzyszenie?

— Czy nigdy nie słyszałeś — Sherlock Holmes pochylił się ku mnie i ściszył głos: — Czy nigdy nie słyszałeś o Ku–Klux–Klanie?

— Nigdy.

Holmes przewrócił kilka stron książki spoczywającej na jego kolanach.

— Jest — rzekł w końcu. — „Ku–Klux–Klan. Nazwa wywiedziona z wyimaginowanego podobieństwa do dźwięku powstającego przy odwodzeniu kurka strzelby. To całkowicie tajne stowarzyszenie zostało założone na Południu po zakończeniu wojny domowej przez grupę byłych żołnierzy konfederackich i natychmiast utworzyło lokalne odgałęzienia w różnych stanach, a zwłaszcza w Tennessee, Luizjanie, obu Karolinach, Georgii i na Florydzie. Jego siła wykorzystywana była w celach politycznych, głównie do zastraszania czarnoskórych wyborców oraz mordowania lub wypędzania z kraju tych, którzy wyrażali sprzeciw wobec poglądów stowarzyszenia. Akty gwałtu były zazwyczaj poprzedzane wysyłanymi do napiętnowanego człowieka ostrzeżeniami, którym nadawano niezwykle, lecz powszechnie rozpoznawalną postać — czy to gałązki z klonowymi liśćmi, czy to pestek melona lub

pomarańczy. Po otrzymaniu takiej przesyłki ofiara mogła albo publicznie wyrzec się swoich przekonań, albo uciekać z kraju. Jeśli ów człowiek zlekceważył takie ostrzeżenie, dopadała go niechybnie śmierć, i to zazwyczaj w sposób dziwny i nieprzewidywalny. Organizacja stowarzyszenia była tak doskonała, a jego metody tak przemyślane, że trudno w kronikach kryminalnych znaleźć przykład, aby komukolwiek udało się je zlekceważyć bezkarnie, albo żeby w wypadku aktów gwałtu popełnionych przez stowarzyszenie zdołano wytropić sprawców. Mimo starań rządu Stanów Zjednoczonych i światlejszych klas społeczeństwa Południa, organizacja przeżywała kilkuletni okres rozkwitu. Wreszcie w roku 1869 ruch uległ gwałtownemu załamaniu, aczkolwiek i po tej dacie zdarzały się sporadyczne ekscesy. Jak zapewne dostrzegasz — powiedział Holmes, odkładając książkę — nagłe osłabienie działalności stowarzyszenia zbiegło się w czasie ze zniknięciem z Ameryki Openshawa wraz z ważnymi dokumentami. Może to być równie dobrze przyczyna, jak i skutek. Nic dziwnego, że jemu i jego rodzinie depczą po piętach najbardziej nieprzejednani członkowie Ku-Klux-Klanu. Pojmiesz chyba, że ów rejestr i dziennik mogą wskazywać na pewne wybitne postacie Południa i że może być wielu zainteresowanych, którzy nie zaznają spokoju, dopóki dokumenty nie zostaną odzyskane.

— A więc ta strona, którą widzieliśmy...

— Jest tym, czego moglibyśmy się spodziewać. Jeśli dobrze pamiętam, brzmiało to tak: „... postraszyć pestkami A., B. i C”, co oznaczało wysłanie im ostrzeżeń stowarzyszenia. Następne wpisy mówiły, że A. i B. zniknęli, czyli opuścili kraj, a C. złożono wizytę z fatalnym, jak się obawiam, dla niego skutkiem. Tak więc, doktorze, myślę, że możemy nieco rozproszyć mroki tajemnicy, i uważam, że na razie jedyną szansą dla młodego Openshawa jest postąpić zgodnie z moją radą. Dzisiejszego wieczoru nic już się więcej nie da ani powiedzieć, ani zrobić, podaj mi zatem skrzypce i spróbujmy na pół godziny zapomnieć o przygnębiającej pogodzie i jeszcze bardziej przygnębiających postępach naszych bliźnich.

Rankiem rozpogodziło się i słońce świeciło blaskiem przyćmionym poprzez wiszący nad wielkim miastem mglisty woal. Kiedy zszedłem na dół, Sherlock Holmes już siedział przy śniadaniu.

— Zechciej mi wybaczyć, że nie czekałem na ciebie — powiedział. — Czuję, że mam przed sobą bardzo pracowity dzień w związku ze śledztwem w sprawie młodego Openshawa.

— Jakie podejmiesz kroki? — zapytałem.

— Zależy to w dużym stopniu od wyników moich pierwszych dociekań. Może ostatecznie będę musiał pojechać do Horsham.

— Nie pojedziesz tam w pierwszej kolejności?

— Nie, zacznę od miasta. Zadzwoń na służącą, żeby ci Podała kawę.

Czekając na kawę, wziąłem ze stołu nieotwartą jeszcze gazetę i rzuciłem na nią okiem. Mój wzrok spoczął na tytule, od którego krew zastygła mi w żyłach.

— Holmesie! — krzyknąłem. — Jest już za późno!

— Ach! — zawołał, odstawiając filiżankę. — Obawiałem się tego. Jak to się stało? — Mówił spokojnie, zauważyłem jednak, że jest głęboko poruszony.

Moją uwagę zwróciło nazwisko Openshawa oraz tytuł TRAGEDIA PRZY MOŚCIE WATERLOO. Oto relacja:

Wczoraj wieczorem między godziną dziewiątą a dziesiątą posterunkowy Cook z Wydziału H, pełniąc służbę w pobliżu mostu Waterloo, usłyszał wołanie o pomoc, a następnie plusk wody. Wyjątkowe ciemności i burzliwa pogoda sprawiły, że pomimo pomocy kilku przechodniów skuteczny ratunek okazał się zupełnie wykluczony. Wszczęto alarm i dzięki pomocy policji wodnej ciało ostatecznie wydobyto. Okazało się, że topielcem jest młody dżentelmen, którego nazwisko, jak wynika z koperty

znalezionej w kieszeni denata, brzmi John Openshaw, a jego miejscem zamieszkania jest dwór w pobliżu Horsham. Istnieje domniemanie, że mógł on spieścić na ostatni pociąg odjeżdżający z Dworca Waterloo i że w tym pośpiechu oraz z powodu głębokich ciemności zmylił drogę i spadł z nabrzeża jednej z małych przystani dla rzecznych parowców. Ciało zbadano w celu wykrycia śladów przemocy i nie ma żadnych wątpliwości, że denat to ofiara nieszczęśliwego wypadku, który powinien wpłynąć na zainteresowanie się władz miejskich stanem rzecznych przystani.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Nigdy dotąd nie widziałem Holmesa tak bardzo przygnębionego i wstrząśniętego.

— Uznaję to za osobisty policzek, Watsonie — odezwał się wreszcie. — To z pewnością uczucie małostkowe, ale tak to właśnie odczuwam. Uważam, że jestem teraz osobiście zaangażowany w tę sprawę i jeśli Bóg nie poskąpi mi zdrowia, dobiore się do skóry tej szajce. Przecież on przyszedł do mnie z prośbą o pomoc, a ja wyprawilem go na śmierć... — zerwał się z krzesła i chodził po pokoju, nie panując nad wzburzeniem, z wypiekami na pociągłych policzkach, nerwowo splatając i rozplatając długie, szczupłe dłonie. — To muszą być szczerwane łotry — wykrzyknął na koniec. — Jakim sposobem udało się im go tam zwabić w pułapkę? Nabrzeże nie leży w prostej linii do dworca. Nawet w taki wieczór most był z pewnością zbyt zatłoczony, aby mógł posłużyć ich celom. No, Watsonie, zobaczymy, kto wygra na dłuższą metę. Teraz wychodzę!

— Idziesz na policję?

— Nie, sam sobie będę policją. Kiedy uprzedzę pajęczynę, policja może dostać schwytanę w nią muchy, ale nie wcześniej.

Przez cały dzień zajmowałem się swymi pacjentami i kiedy znalazłem się na Baker Street, był już późny wieczór. Sherlock Holmes jeszcze nie wrócił. Zjawił się dopiero około dziesiątej — pobladły i umęczony. Podszedł do kredensu, urwał kawałek chleba z bochenka i pochłoniął go łapczywie, popijając dużym łykiem wody.

— Jesteś głodny — zauważyłem.

— Konam z głodu. Zapomniałem o jedzeniu. Nic nie jadłem od śniadania.

— Nic?

— Ani kęsa.

— A jak ci poszło?

— Dobrze.

— Wpadłeś na trop?

— Mam ich w garści. Młody Openshaw wkrótce zostanie pomszczony. No, Watsonie, zastosujmy ich diabelskie chwytły wobec nich samych. To jest myśl!

— O czym mówisz?

Wyjął ze spiżarni pomarańczę, rozerwał ją na części i wycisnął pestki na stół. Wybrał z nich pięć i wsadził do koperty. Po wewnętrznej stronie skrzydełka napisał: *SH do JC*. Następnie kopertę zakleił i zaadresował w sposób następujący: *Kapitan James Calhoun, barkentyna „Samotna Gwiazda”, Savannah, Georgia*.

— To będzie czekać na jego wejście do portu — powiedział, chichocząc. — Może mu przysporzyć bezsennych nocy. Uzna ten list — tak jak wcześniej Openshaw — za niezawodny zwiastun swego losu.

— Kim jest ten kapitan Calhoun?

— Przywódcą szajki. Innych też znajdę, ale on jest pierwszy.

— Jak go wytropiłeś?

Wyciągnął z kieszeni dużą płachtę papieru pokrytego datami i nazwiskami.

— Spędziłem cały dzień — powiedział — nad rejestrami Lloyda i dawnymi rocznikami gazet, śledząc dalsze losy wszystkich statków, które zawięły do Pondicherry w styczniu i

lutym 1883 roku. W ciągu tych miesięcy odnotowano trzydzieści sześć jednostek o pokaźnej wyporności. Wśród nich moją uwagę natychmiast zwróciła „Samotna Gwiazda”, ponieważ choć rejestr mówił że przyплыnęła z Londynu, to jej nazwa kojarzyła się jednocześnie z jednym z amerykańskich stanów.

— Chyba Teksasu.

— Nie jestem pewny którego; wiedziałem jednak, że statek musi pochodzić z Ameryki.

— Cóż więc dalej?

— Przejrzałem rejestry portu w Dundee i kiedy stwierdziłem, że „Samotna Gwiazda” znalazła się tam w styczniu 1885 roku, moje podejrzenie zamieniło się w pewność. Następnie zbadałem, jakie statki cumują obecnie w porcie londyńskim.

— No i...?

— „Samotna Gwiazda” przybiła tu w zeszłym tygodniu. Poszedłem do basenu Alberta, by się tam dowiedzieć, że spłynęła rzeką z poranną falą, kierując się na Savannah. Zatelegrafowałem do Gravesendu i otrzymałem informacje, że minęła ich jakiś czas temu, a ponieważ wieje wschodni wiatr, nie mam wątpliwości, że żaglowiec minął Już Goodwins i zbliża się do wyspy Wight.

— Co zatem zrobisz?

— Och, mam go w ręku. On i jego dwaj współnicy są jedynymi, jak się dowiedziałem, rodowitymi Amerykanami na tym statku. Pozostali to Finowie i Niemcy. Wiem również, że wszyscy trzech ostatniej nocy zeszli na ląd. Wiadomość tę mam od robotnika portowego, który pracował przy załadunku ich żaglowca. Zanim żaglowiec dotrze do Savannah, statek pocztowy dostarczy ten list, a depesza powiadomi tamtejszą policję, że tych trzech jegomościów jest tutaj usilnie poszukiwanych pod zarzutem popełnienia morderstwa.

Jednak w najlepiej nawet obmyślonych ludzkich planach zawsze znajdzie się jakieś niedopatrzenie i mordercy Johna Openshawa nigdy nie mieli otrzymać pestek pomarańczy, które by im uzmysłowiły, że na ich tropie jest ktoś inny, równie przebiegły i zdecydowany jak oni sami. Niezwykle długotrwałe i ostre były tego roku nawałnice w okresie jesienno-zimowego zrównania dnia z nocą. Długo czekaliśmy na wiadomości o „Samotnej Gwieździe” z Savannah, jednak żadne do nas nie dotarły. Usłyszeliśmy wreszcie, że gdzieś daleko na Atlantyku dostrzeżono kołyszącą się na falach stewę rufową z wyrytymi na niej literami SG. I to jest wszystko, co kiedykolwiek doszło do naszej wiadomości o losach „Samotnej Gwiazdy”.

BŁĘKITNY KARBUNKUŁ **(THE ADVENTURE OF THE BLUE CARBUNCLE)**

Rankiem w dzień po Bożym Narodzeniu odwiedziłem mego przyjaciela Sherlocka Holmesa z zamiarem złożenia mu okolicznościowych życzeń. Leżał rozparty na sofie, ubrany w szkarłatny szlafrok, mając z prawej strony w zasięgu ręki stojak na fajki, a tuż obok stos zmiętych gazet, które najwyraźniej właśnie przestudiował. Blisko kanapy stało drewniane krzesło, a na rogu jego oparcia wisiał bardzo obskurny, nędzny, sztywny pilśniowy kapelusz, mocno już znoszony i popękany w kilku miejscach. Leżące na siedzeniu krzesła lupa i szczypczyki podpowiadały, że kapelusz został tu powieszony w celach badawczych.

— Jesteś zajęty — powiedziałem. — Zdaje się, że ci przeszkadzam.

— Ależ bynajmniej. Cieszę się, że mam przyjaciela, z którym mogę omówić wyniki moich dociekań. Jest to sprawa klasycznie banalna (wskazał energicznie kciukiem na stary kapelusz), ale wiążą się z nią pewne punkty, które są dość ciekawe, a nawet pouczające.

Usadowiłem się w jego fotelu i ogrzałem sobie dłonie przy ogniu trzaskającym na kominku, ponieważ na zewnątrz panował ostry mróz, a okienne szyby pokryły się grubą warstwą kryształków lodu.

— Przypuszczam — zauważyłem — że niezależnie od swego prostackiego wyglądu przedmiot ów ma związek z jakąś potworną historią, jest dowodem, który doprowadzi nas do wyjaśnienia jakiejś tajemnicy oraz ukarania jakiejś zbrodni.

— Nie, nie, żadnej zbrodni — odrzekł ze śmiechem Sherlock Holmes. — To tylko jeden z tych drobnych, dziwacznych incydentów, które będą się zdarzać zawsze, gdy mamy do czynienia z czterema milionami ludzkich istot stłoczonych na powierzchni niewielu mil kwadratowych. Pośród akcji i reakcji zachodzących w tym tak zagęszczonym ludzkim mrowiu można się spodziewać każdej możliwej kombinacji zdarzeń i powstania niejednego drobnego problemu, który może być uderzający i dziwaczny, nie mając jednocześnie charakteru kryminalnego. Mamy już w tym doświadczenie.

— Do tego stopnia — zauważyłem — że z ostatnich sześciu spraw, jakie wpisałem do mojego notatnika, trzy nie miały nic wspólnego z jakimkolwiek sprzeniewierzeniem się prawu.

— Otóż to. Masz na myśli moją próbę odzyskania dokumentów Ireny Adler, osobliwą sprawę panny Mary Sutherland i przypadek mężczyzny z zajęczą wargą. No cóż, nie mam najmniejszej wątpliwości, że ta błaha historia trafi do tej samej niewinnej kategorii. Znasz Petersona, tego portiera, co zawsze chodzi w liberii?

— Tak.

— Właśnie do niego należy to trofeum.

— Ach, więc to jego kapelusz!

— Nie, nie. On go tylko znalazł. Właściciel pozostaje nieznan. Upraszam cię, abyś podszedł doń nie jak do sfatygowanego melonika, ale jak do intelektualnego problemu. A więc najpierw — w jaki sposób ten kapelusz trafił tutaj. Otóż przybył w bożonarodzeniowy poranek w towarzystwie solidnie tłustej gęsi, która w tej chwili, jestem tego pewien, piecze się w domu Petersona. A fakty wyglądają następująco. Peterson, który jest, jak wiesz, człkiem przezacnym, wracał około godziny czwartej rano w dniu Bożego Narodzenia z jakiegoś wesołego spotkania, zmierzając w stronę swego domu w dół Tottenham Court Road. Przed sobą, w świetle gazowych latarni, widział rosłego mężczyznę, który lekko się zataczając, niósł przerzuconą przez ramię białą gęś. Kiedy dotarł do rogu Goodge Street, doszło do awantury między owym nieznanym a grupką opryszków. Jeden z nich strącił mu z głowy kapelusz, na co on uniósł w górę laskę, aby się bronić, i wymachując nią nad głową,

stłukł szybę wystawową sklepu, do którego stał tyłem. Peterson rzucił się na pomoc zaatakowanemu, ale ów człowiek, widząc postać w uniformie, która pędziła w jego kierunku, upuścił gęś, wziął nogi za pas i zniknął w labiryncie uliczek na tyłach Tottenham Court Road. Na widok Petersona opryszki czmychnęły również, tak że objął on w wyłączne swe posiadanie pole bitwy oraz wojenne łupy w postaci tego zszarganego kapelusza i absolutnie nieskazitelnej bożonarodzeniowej gęsi.

— Którą z pewnością zwrócił jej właścicielowi?

— I w tym właśnie sęk, mój drogi kompanie. To prawda, że na kartce przytroczonej do gęsiej lewej łapy widniał wydrukowany napis DLA PANI HENRYKOWEJ BAKEROWEJ oraz że na podszewce kapelusza można odczytać inicjały HB; ponieważ jednak w naszym mieście żyje kilka tysięcy Bakerów, a Henrych Bakerów kilkuset, niełatwo jest zwrócić zgubę właścicielowi.

— Cóż zatem uczynił Peterson?

— Zarówno kapelusz, jak gęś przytaszczył w bożonarodzeniowy ranek do mnie, pamiętając, że interesują mnie sprawy najmniejszej nawet wagi. Gęś przetrzymywaliśmy aż do dzisiejszego ranka, kiedy pojawiły się oznaki wskazujące na to, że mimo lekkiego mrozu byłoby lepiej, gdyby została ona spożyta bez dalszej zwłoki. Znalazca zabrał więc gęś, aby przesądzić o jej ostatecznym przeznaczeniu, podczas gdy ja wciąż zachowuję kapelusz tego nieznanego jegomościa, który stracił swój świąteczny obiad.

— Czy nie zamieścił w związku z tym ogłoszenia?

— Nie.

— Co może być więc dla ciebie tropem wiodącym do ustalenia jego tożsamości?

— Tylko to, co możemy osiągnąć poprzez dedukcję.

— Badając jego kapelusz?

— Właśnie tak.

— Ależ to żart. Cóż można wywnioskować z oględzin tego sfatygowanego pilśniaka?

— Oto lupa. A moje metody są ci znane. Jakie zatem samodzielne wnioski możesz wyciągnąć na temat osobowości człowieka, który nosił ten kapelusz?

Wzięłem do ręki ów zniszczony obiekt i obróciłem go niepewnie w rękę. Był to bardzo pospolity czarny kapelusz z okrągłym denkiem, sztywny i solidnie znoszony. Na podszewkę użyto czerwonego jedwabiu, który już jednak uległ silnemu odbarwieniu. Brakowało nazwiska wytwórcy, choć, jak zauważył Holmes, po jednej stronie widniały nabazgrane inicjały HB. Na rondzie miał otwór do zabezpieczenia przed porwaniem przez wiatr, ale brakowało już przy nim gumki. Poza tym kapelusz był splekany, pokryty grubą warstwą kurzu i w kilku miejscach poplamiony, choć można było dostrzec, że właściciel próbował ukryć te zabrudzenia, zaszmarowując je atramentem.

— Niczego tu nie widzę — powiedziałem, oddając kapelusz przyjacielowi.

— Ależ przeciwnie, Watsonie, widzisz wszystko. Nie potrafisz wszakże z tego, co widzisz, wyciągać wniosków. Wykazujesz zbyt wielką nieśmiałość w dochodzeniu do konkluzji.

— Powiedz mi więc, proszę, cóż takiego możesz wywnioskować z wyglądu tego kapelusza?

Holmes podniósł przedmiot badania i popatrzył nań w charakterystyczny dla siebie, szczególnie przenikliwy sposób.

— Podpowiada nam może nie tak wiele — zauważył — ale przecież mamy tu kilka konstatacji zupełnie oczywistych i kilka innych, o bardzo dużej dozie prawdopodobieństwa. Już na pierwszy rzut oka widać, że jego właściciel reprezentuje wysoki poziom umysłowy, jak i to, że jeszcze trzy lata temu był człowiekiem całkiem zamożnym, choć dziś popadł w ciężkie terminy. Jest człowiekiem zapobiegliwym, a raczej był takim w przeszłości, ze skłonnością do moralnego upadku, co w połączeniu z ruiną materialną zdaje się wskazywać,

że ulega jakiemuś zgubnemu wpływowi, prawdopodobnie nałogowi picia. Może to również tłumaczyć oczywisty fakt, że przestała go kochać żona.

— Mój drogi Holmesie!

— Zachował wszakże pewną dozę poczucia własnej godności — ciągnął, nie zwracając uwagi na mój protest. — Prowadzi siedzący tryb życia, rzadko wychodzi z domu, jest w bardzo kiepskiej kondycji fizycznej, w średnim wieku, ma siwe włosy, które strzygł w ciągu ostatnich kilku dni, i które namaszcza cytrynową pomadą. Z jego kapelusza można wydedukować jeszcze więcej oczywistych faktów. A tak na marginesie — najprawdopodobniej nie posiada on w swym domu instalacji gazowej.

— Ty sobie z całą pewnością żartujesz, Holmesie.

— Bynajmniej. Niewykluczone, że nawet teraz, kiedy już zdradziłem ci wyniki mojej dedukcji, nie jesteś w stanie zrozumieć, w jaki sposób do nich doszedłem.

— Nie mam żadnych wątpliwości co do własnej głupoty; muszę jednak wyznaczyć, że nie nadążam za tobą. Z czego na przykład wywnioskowałeś, że tu chodzi o człowieka inteligentnego?

Zamiast odpowiedzi Holmes szybkim ruchem wcisnął kapelusz na głowę. Nakrycie zsunęło mu się na czoło i zatrzymało u nasady nosa.

— To sprawa pojemności mózgu — powiedział. — Człowiek o tak dużej głowie nie nosi jej od parady.

— No a jego zubożenie?

— Ten kapelusz ma już trzy lata. Stąd się wzięło jego podwinięte rondo. Jest to kapelusz bardzo wysokiej jakości. Spójrz na tasiemkę ze wzmocnionego jedwabiu i znakomitą podszewkę. Jeśli ten człowiek mógł sobie pozwolić na kupno tak drogiego kapelusza przed trzema laty i od tej pory nie miał już nowego, to z całą pewnością musiał doznać poważnego uszczerbku na swym majątku.

— No cóż, to jest niewątpliwie jasne. Ale gdzież tu zapobiegliwość i moralny upadek?

Sherlock Holmes się roześmiał.

— Oto jego zapobiegliwość — rzekł, kładąc palec na małym krążku i pętelce zabezpieczenia przed wiatrem. — Tego nie ma w kapeluszach sprzedawanych seryjnie. Jeśli zaś nasz Baker zadał sobie trud i specjalnie zamówił takie zabezpieczenie, to znaczy, że cechuje go pewna zapobiegliwość. Ponieważ jednak, jak widzimy, po odpadnięciu gumki nie zdobył się na to, by ją tam umieścić na nowo, można mieć pewność, że obecnie jest mniej zapobiegliwy niż dawniej, a to z kolei stanowi wyraźny dowód słabnącego charakteru. Z drugiej wszakże strony dołożył starań, aby część tych plam usunąć poprzez zamazanie ich atramentem, co świadczy o tym, że nie utracił bez reszty poczucia własnej godności.

— Twoje rozumowanie ma wszelkie pozory prawdopodobieństwa.

— Co do innych spraw — jego wieku, siwych włosów, które niedawno strzygł, i używania przezeń cytrynowej pomady — wszystko to można wywnioskować dzięki poddaniu starannym oględzinom dolnej części podszewki kapelusza. Lupa ujawnia dużą ilość końcówek włosów, równo odciętych nożyczkami przez fryzjera. Wszystkie one wydają się lepkie i mają zarazem wyraźny zapach cytrynowej pomady. Zauważ, że kurz pokrywający kapelusz nie jest piaszczystym, szarym kurzem ulicznym, ale brunatnym, przypominającym meszek kurzem domowym, co oznacza, że przedmiot ten przez większość czasu spoczywa na domowym wieszaku; natomiast ślady zawilgocenia wewnątrz stanowią dowód, iż noszący go bardzo szybko się poci, nie może więc być w najlepszej kondycji fizycznej.

— A jego żona? Powiedziałeś, że przestała go kochać.

— Kapelusz ten nie był czyszczony od tygodni. Gdybym na twoim, drogi Watsonie, kapeluszu dostrzegł tygodniową warstwę kurzu i gdyby twoja małżonka pozwalała ci wychodzić z domu w takim stanie, to powziąłbym obawę, że ciebie również dotknęło nieszczęście utraty uczuć z jej strony.

— Ale on może być kawalerem.

— Bynajmniej. On tę gęś niósł do domu celem pojednania się z żoną. Pamiętasz kartkę przy łapie ptaka?

— Ty na wszystko masz odpowiedź. Ale z czego, u diaska, wnioskujesz, że w jego domu nie ma instalacji gazowej?

— Jedna czy nawet dwie plamy od łożu mogłyby powstać przez przypadek; jeśli jednak dostrzegam ich co najmniej pięć, to uważam, że ów osobnik musi mieć częstą styczność z palącymi się łożowymi świecami — wchodzi nocą po schodach prawdopodobnie z kapeluszem w jednej i kapiącą świecą w drugiej ręce. Tak czy owak przyczyną łożowych plam nie był gazowy palnik. Czy to cię zadowala?

— No tak, to jest bardzo pomysłowe — odrzekłem ze śmiechem. — Skoro jednak, jak właśnie stwierdziłeś, nie wchodzi tu w grę popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa i nikomu nie stała się krzywda poza tą, jaką jest utrata gęsi, to cały twój wysiłek wydaje się jedynie marnowaniem energii.

Sherlock Holmes otworzył usta, by mi odpowiedzieć, kiedy z hukiem otwarły się drzwi i do mieszkania wtargnął Peterson, portier z hotelu, z pałającymi policzkami i z wyrazem twarzy człowieka bezgranicznie zdumionego.

— Ta gęś, panie Holmes! Ta gęś, proszę pana! — wyrzucił z siebie zdyszany.

— Ejże! Cóż więc ta gęś? Czyżby zmartwychwstała i wyfrunęła przez kuchenne okno?

Holmes obrócił się na sofie, aby lepiej widzieć oblicze podekscytowanego mężczyzny.

— Niech pan spojrzy tu, sir. Niech pan zobaczy, co moja żona znalazła w jej wolu!

Wyciągnął rękę i w zagłębieniu dłoni okazał nam cudownie mieniący się błękitny kamień, może trochę mniejszy od fasoli, o takiej czystości i blasku, że iskrzył się tam niczym maleńkie elektryczne światełko.

Sherlock Holmes zagwizdał i usiadł prosto.

— Na Jowisza, Petersonie! — rzekł. — To się dopiero nazywa znaleźć skarb! Mniemam, że wiesz, co ci wpadło w ręce?

— Diament, sir! Drogocenny kamień! On tnie szkło, jakby to było masło.

— To jest coś więcej niż tylko drogocenny kamień. To jest ten drogocenny kamień.

— Przecież chyba nie błękitny karbunkuł hrabiny Mor — car? — wybuchnąłem.

— Ten sam. Nie mogę go nie rozpoznać, widząc jego rozmiar i kształt, zważywszy, że ostatnio czytam o nim codziennie w ogłoszeniu zamieszczanym w „The Times”. Jest absolutnie wyjątkowy, a jego wartość da się oszacować jedynie w przybliżeniu, choć obiecana nagroda w wysokości tysiąca funtów z pewnością nie sięga jednej dwudziestej jego wartości rynkowej.

— Tysiąc funtów! Boże miłosierny! — portier opadł bezwładnie na krzesło, wlepiając wzrok to we mnie, to w Holmesa.

— Taka jest nagroda, a ja mam powody, by przypuszczać, że kryją się za tym jakieś sentymentalne względy, dla których hrabina jest gotowa zaryzykować połowę swego majątku, aby tylko odzyskać ów klejnot.

— Jeśli dobrze pamiętam, to zaginął on w hotelu „Cosmopolitan” — zauważyłem.

— Właśnie. Dwudziestego drugiego grudnia, a więc dokładnie pięć dni temu. O sprzątnięcie go ze szkatułki tej damy oskarżony został hydraulik John Horner. Dowody przeciwko niemu były tak mocne, że sprawa została skierowana do rozpatrzenia przez sąd przysięgłych. Chyba mam tu gdzieś sprawozdanie na ten temat — poszperał wśród gazet, zerkając na ich daty, aż wreszcie wyciągnął jedną z nich, złożył na pół i odczytał następujący fragment:

Kradzież kosztowności w hotelu „Cosmopolitan”. John Horner, lat 26, z zawodu hydraulik, został oskarżony o to, że dnia 22 bm. dopuścił się kradzieży klejnotu

należącego do hrabiny Morcar, znanego jako błękitny karbunkuł. James Ryder, wyższy rangą pracownik obsługi hotelu, złożył zeznanie, że w dniu rabunku zaprowadził Homera na górę do ubieralni hrabiny, aby ten przylutował w kominku nowy pręt w ruszcie, który się obluźował. Ryder pozostawał z Homerem przez pewien czas, ale na chwilę go stamtąd odwołano. Po powrocie stwierdził, że Horner zniknął, że biurko zostało otwarte siłą, a mała marokiniowa kasetka, w której, jak się później okazało, hrabina miała zwyczaj trzymać swe kosztowności, leży pusta na toalecie. Ryder natychmiast wszczął alarm i jeszcze tego samego wieczoru Horner został aresztowany; jednak kamienia nie znaleziono ani przy nim samym, ani w jego mieszkaniu. Catherine Cusack, pokojówka hrabiny, zeznała, że usłyszawszy okrzyk przerażenia, jaki wydał z siebie Ryder, odkrywając rabunek, pospieszyła do tego pokoju, gdzie zastała stan rzeczy opisany przez głównego świadka. Inspektor Bradstreet z Wydziału B wydał nakaz aresztowania Homera, który szaleńczo się opierał, broniąc swej niewinności w najbardziej obelżywych słowach. Ponieważ przeciw więźniowi świadczył poprzedni wyrok za rabunek, władze miejskie odmówiły doraźnego rozpatrzenia tego przestępstwa i sprawę skierowały do sądu przysięgłych. Horner, który podczas procesu zdradzał oznaki silnego wzburzenia, na koniec zemdlął i został wyniesiony z sądu.

— Teeek! To tyle z policyjnego podwórka — rzekł w zamyśleniu Holmes, odrzucając na bok gazetę. — Problemem, który my musimy rozwiązać, jest kolejność zdarzeń, jakie nastąpiły w okresie, który zaczyna się w chwili opróżnienia szkatułki, a kończy na odkryciu zawartości gęsiego wola na Tottenham Court Road. Widzisz, Watsonie, jak nasze skromne dedukowanie zyskało nagle znacznie poważniejszy i mniej niewinny aspekt. Oto mamy kamień; kamień ów trafił do nas od gęsi, gęś zaś od pana Henry’ego Bakera, dżentelmena posiadającego obskurny kapelusz oraz te wszystkie pozostałe cechy, którymi cię właśnie zanudzałem. Tak więc teraz trzeba nam się bardzo poważnie zabrać do odnalezienia owego jegomościa i upewnić co do roli, jaką odegrał w tej tajemniczej sprawie. Na początek musimy spróbować sposobów najprostszych, a do nich niewątpliwie należy zamieszczenie ogłoszenia we wszystkich wieczornych gazetach. Jeśli to nie poskutkuje, uciekniemy się do innych metod.

— Co będzie w tym ogłoszeniu?

— Podaj mi ołówek i kawałek papieru. Dobrze, a więc: *Przy rogu Goodge Street znaleziono gęś i czarny pilśniowy kapelusz. Pan Henry Baker może to wszystko odzyskać, jeśli się zgłosi o godz. 6.30 dziś wieczorem na Baker Street 221B.* Tak jest jasno i zwięźle.

— Bardzo. Ale czy on to zauważy?

— No cóż, z pewnością pilnie śledzi gazety, ponieważ dla ubogiego człowieka jest to poważna strata. Był on niewątpliwie tak bardzo przerażony pechowym stłuczeniem szyby i pojawieniem się Petersona, że myślał wyłącznie o ucieczce; jednak od tego czasu musi gorzko żałować impulsu, w którego następstwie stracił gęś. A poza tym wprowadzenie jego nazwiska sprawi, że Baker przeczyta ogłoszenie, ponieważ wszyscy jego znajomi zwrócą na nie jego uwagę. Oto ono, Peterson, niech pan pospieszy do agencji ogłoszeniowej i poleci, by je zamieszczono w wieczornych wydaniach gazet.

— W których, sir?

— Ach, w „Globe”, „Star”, „Pali Mali”, „St. James Gazette”, „Evening”, „Standard”, „Echo” i we wszystkich innych, jakie ci przyjdą na myśl.

— Doskonale, proszę pana. A co z kamieniem?

— Aha, kamień zatrzymam. Dziękuję. I posłuchaj, Peterson, nim pojedziesz do domu, kup gęś i przynieś do mnie, żebyśmy mogli ją oddać temu dżentelmenowi w zamian za tę, którą teraz zajada się twoja rodzina.

Po wyjściu portiera Holmes wziął do ręki kamień i trzymał go pod światło.

— Coś pięknego — rzekł. — Tylko popatrz, jak się skrzy i migocze. Jest on oczywiście zarodkiem i ogniskiem zbrodni. Jak zresztą wszystkie drogocenne kamienie. To uiuioone przynęty szatana. W większych i starszych klejnotach każda fasetka może być splamiona krwią. Ten kamień nie ma nawet dwudziestu lat. Znalaziono go u brzegów rzeki Amony w południowych Chinach, a odznacza się tym, że posiada wszystkie charakterystyczne dla karbunkułu cechy z wyjątkiem tego, że jest niebieskawy, a nie rubinowoczerwony. Choć niestary, ma już dziś złowrogą historię.

Z tym dwuipółgramowym kawałkiem skryształowanego węgla drzewnego wiążą się już dwa morderstwa, oblanie witriolem, samobójstwo i kilka grabieży. Któż by pomyślał, że tak śliczne cacko może zaprowadzić ludzi na szubienicę i do więzienia? Zamknę je teraz w moim sejfie i napiszę kilka słów do hrabiny, by ją powiadomić, że jesteśmy w jego posiadaniu.

— Czy uważasz, że ów Homer jest niewinny?

— Nie mam pewności.

— No to czy przypuszczasz, że z tą sprawą miał coś wspólnego ten drugi, Henry Baker?

— Sądzę, że znacznie bardziej prawdopodobne jest to, iż Henry Baker jest całkowicie niewinnym człowiekiem, nie mającym zielonego pojęcia o tym, że ptak, którego niósł, był znacznie więcej wart, niż gdyby był zrobiony z litego złota. To wszakże sprawdzę w prosty sposób, jeśli otrzymamy odpowiedź na nasze ogłoszenie.

— I aż do tej chwili nie możesz podjąć żadnego kroku?

— Żadnego.

— W takim razie będę kontynuował wizyty u moich pacjentów. Ale powrócę tu wieczorem o godzinie, którą podałeś w ogłoszeniu, ponieważ chciałbym poznać rozwiązanie tej zawikłanej sprawy.

— Będzie mi miło cię gościć. Obiad jem o siódmej. Podobno ma być słonka. A tak przy okazji, może, zważywszy na ostatnie wydarzenia, powinienem poprosić panią Hudson, żeby zbadala jej wole.

Jedna z moich wizyt przedłużyła się i było już trochę po wpół do siódmej, gdy ponownie znalazłem się przy Baker Street. Kiedy zbliżyłem się do domu, ujrzałem wysokiego mężczyznę w szkockim berecie i zapiętym pod szyję płaszczu, czekającego na zewnątrz w półkolu światła, które się dobywało z okienka nad drzwiami. W tej samej chwili, kiedy tam dotarłem, drzwi otworzyły się i obaj z przybysem zostaliśmy wprowadzeni do pokoju Holmesa.

— Pan Henry Baker, jak sądę — rzekł gospodarz, podnosząc się z fotela, by powitać swego gościa z pełną swobody jowialnością, którą tak łatwo potrafił przywołać. — Niech pan łaskawie spocznie w fotelu przy kominku, panie Baker. Mamy zimny wieczór, a jak widzę, pański krwiobieg lepiej znosi lato niż zimę. Aaa, Watson, przychodzisz w samą porę. Czy to jest pański kapelusz, panie Baker?

— Tak, sir, to niewątpliwie mój kapelusz.

Był wysokim, przygarbionym mężczyzną o dużej głowie i szerokiej, inteligentnej twarzy, zakończonej szpiczastą posiwiałą kasztanową bródką. Nieco zaczerwieniony nos i także policzki oraz lekkie drżenie jego wyciągniętej ręki przywodziły na myśl domniemania Holmesa co do nawyków pana Bakera. Zrudziały surdut zapięty był pod samą szyję i miał postawiony kołnierz, a chude nadgarstki przybysza wystawały z rękawów bez najmniejszego śladu mankietów czy koszuli. Mówił cicho, z przerwami, starannie dobierając słowa, i sprawiał wrażenie człowieka wykształconego, z którym los obszedł się fatalnie.

— Zatrzymaliśmy te rzeczy na kilka dni — powiedział Holmes — ponieważ spodziewaliśmy się znaleźć pańskie ogłoszenie zawierające adres. Nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego pan go nie zamieścił.

Nasz gość uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem.

— Minęły już czasy, kiedy nie musiałem liczyć każdego pensa — zauważył. — Byłem absolutnie pewien, że ta banda opryszków uniosła z sobą zarówno mój kapelusz, jak ptaka. Nie miałem ochoty ponosić jeszcze dodatkowych wydatków na nie rokującą nadziei próbę odzyskania tych rzeczy.

— To zupełnie naturalne. A nawiasem mówiąc, byliśmy zmuszeni do zjedzenia tego ptaka.

— Do zjedzenia go! — powodowany podnieceniem, nasz gość na wół uniósł się z fotela.

— Tak. Gdybyśmy tego nie zrobili, nikt by z niego nie miał żadnego pożytku. Tuszę jednak, że gęś, leżąca na kredensie, mniej więcej tej samej wagi i absolutnej świeżości, w równym stopniu odpowie pańskim wymaganiom?

— Ach, z pewnością, z pewnością! — odparł pan Baker z westchnieniem ulgi.

— Oczywiście wciąż jeszcze mamy pióra, łapy, wole i tak dalej, pozostałe po pańskiej gęsi, więc jeśli pan sobie tylko życzy...

Mężczyzna wybuchnął donośnym śmiechem.

— Mogłyby mi służyć jako pamiątki po mojej przygodzie — powiedział. — Poza tym jednak nie bardzo widzę, jakież to pożytek miałbym mieć z owych *dissecta membra* mojej świętej pamięci znajomej. Nie, sir, myślę, że za pańskim pozwoleniem ograniczę swoje zainteresowanie do tego wspaniałego ptaka, którego dostrzegam na kredensie.

Sherlock Holmes rzucił w moim kierunku krótkie, bystre spojrzenie i lekko wzruszył ramionami.

— A zatem to jest pański kapelusz, a to pański ptak — rzekł. — A tak przy okazji, czy uznałby mnie pan za natręta, gdybym zapytał, gdzie pan dostał tę gęś? Jestem w pewnym sensie miłośnikiem drobiu, a nieczęsto widuje się bardziej dorodną sztukę.

— Ależ oczywiście, sir — odparł Baker, który wziął do ręki wskazaną mu gęś i wetknął ją sobie pod ramię. — Jest nas kilku bywalców gospody „Alpha” w pobliżu muzeum, gdzie oczywiście można nas znaleźć w ciągu dnia, ponieważ tam pracujemy. W tym roku nasz zacny gospodarz, a jego nazwisko brzmi Windigate, powołał do życia „gęsi klub”, dzięki czemu, uiszczając co tydzień kilkupensową opłatę, mieliśmy otrzymać po bożonarodzeniowej gęsi. Moje pensy były regulaminowo wpłacane, a reszta jest panu znana. Jestem głęboko zobowiązany, sir, ponieważ szkocki beret nie licuje ani z moim wiekiem, ani z powagą — z komiczną pompatycznością uklonił się nam obu i dużymi krokami opuścił pokój.

— A więc to tyle, jeśli chodzi o pana Henry’ego Bakera

— powiedział Holmes, kiedy za gościem zamknęły się drzwi. — Jest zupełnie pewne, że nie ma on najmniejszego pojęcia o tej sprawie. Czy jesteś głodny, Watsonie?

— Niezbyt.

— W takim razie proponuję, abyśmy wstrzymali się z posiłkiem do kolacji i podążyli teraz tym śladem, dopóki jest jeszcze ciepły.

— Ależ oczywiście.

Wieczór był przejmująco zimny, naciągnęliśmy więc płaszcze, szczelnie owijając szyje fullarami. Niebo było bezchmurne, gwiazdy świeciły zimnym blaskiem, a oddechy przechodniów wydobywały się z ich ust niczym dymki pistoletowych wystrzałów. Odgłos naszych rażnych kroków dźwięczał donośnie, kiedy przez dzielnicę lekarzy — Wimpole Street, Harley Street, a także przez Wigmore Street — podążaliśmy do Oxford Street. W ciągu kwadransa znaleźliśmy się w Bloomsbury pod gospodą „Alpha”, małą oberżą na rogu jednej z ulic biegnących w dół do Holborn. Holmes pchnął drzwi do części barowej i zamówił dwie szklanki piwa u rumianego właściciela w białym fartuchu.

— Pańskie piwo powinno być znakomite, jeśli jest tak dobre, jak pańskie gęsi — powiedział.

— Moje gęsi? — mężczyzna wydawał się zaskoczony.

Tak. Zaledwie pół godziny temu rozmawiałem z panem Henrym Bakerem, który jest członkiem pańskiego „gęsiego klubu”.

— Ach tak! W rzeczy samej. Ale to nie są nasze gęsi, sir.

— Doprawdy? Czyjeż zatem?

— No cóż, kupiłem dwa tuziny od sprzedawcy na targu w Covent Garden.

— Rozumiem. Znam kilku z nich. A od którego?

— Nazywa się Breckinridge.

— Aha! Tego akurat nie znam. No więc za pańskie zdrowie, gospodarzu, oraz za powodzenie pańskiej oberży! Dobranoc.

— A teraz do pana Breckinridge'a — ciągnął Holmes, zapinając płaszcz, kiedy wyszliśmy na mroźne powietrze. — Pamiętaj, Watsonie, że choć na jednym końcu tego łańcucha mamy tak swojskie stworzenie, jakim jest gęś, to na drugim jego końcu jest człowiek, który z pewnością otrzyma siedem lat ciężkich robót, jeśli nie zdołamy dowieść jego niewinności. Istnieje też możliwość, że nasze dochodzenie potwierdzi jego winę. W każdym jednak razie jest to linia postępowania, którą przeoczyła policja, a to daje nam szczególną szansę. Podążajmy tą drogą aż do gorzkiego finału. A więc kierunek południe, szybkim krokiem marsz!

Przećliśmy Holborn, poszliśmy Endell Street, a dalej przez płataninę ruder do targowiska Covent Garden. Na jednym z największych straganów widniało nazwisko Breckinridge'a. Przypominający konia właściciel, mężczyzna o chytrym obliczu i z przyszyronymi bokobrodami, pomagał chłopcu zamykać kram.

— Dobry wieczór. Zimna noc — powiedział Holmes. Kupiec skinął głową i rzucił w naszym kierunku pytające spojrzenie.

— Jak widzę, wszystkie gęsi sprzedane — ciągnął Holmes, wskazując na puste marmurowe blaty.

— Jutro rano będzie ich pan miał pięćset sztuk.

— To niedobrze.

— No to jest jeszcze kilka na straganie z gazowym oświetleniem.

— Ale mnie polecono właśnie pana.

— A kto taki?

— Właściciel „Alphy”.

— No tak. Posłałem mu dwa tuziny.

— To były pierwszorzędne ptaki. A właściwie kto je panu dostarcza?

Ku mojemu zaskoczeniu pytanie to spowodowało wybuch gniewu kupca.

— Hejże, mój panie — powiedział, zadzierając głowę i biorąc się pod boki. — Do czego pan zmierzasz? Wyjaśnijmy to sobie od razu.

— To jest wystarczająco jasne. Chciałbym się dowiedzieć, kto sprzedaje panu gęsi, które pan dostarcza do oberży „Alpha”.

— No to ja panu tego nie powiem. I tyle!

— Ach, jest to sprawa bez żadnego znaczenia, i nie rozumiem, jak można z powodu podobnej błahostki tak się gorączkować.

— Gorączkować! Pan by się też pewnie gorączkował, gdyby go tak nękano jak mnie. Jeśli dobrze płacę za dobry towar, to na tym transakcja powinna się zakończyć, a tu ciągle słyszę: „Gdzie są te gęsi?”, „Komu pan sprzedał te gęsi?”, „De pan wziął za te gęsi?”. Sądząc po tej całej wrzawie wokół nich, mógłby ktoś pomyśleć, że to były jedyne gęsi na świecie.

— No cóż, ja nie mam nic wspólnego z ludźmi, którzy zadawali panu te pytania — powiedział beztrząsco Holmes. — Jeśli nam pan nie powie, będą nici z pewnego zakładu o wszystko. Ale co do drobiu to mam wyrobioną opinię i stawiam pięciofuntówkę, że ptak, którego zjadłem, jest wiejskiego chowu.

— No to stracił pan swoją piątkę, bo on jest miejskiego chowu — warknął kupiec.

— To niemożliwe.

— A ja mówię, jak jest.

— Nie wierzę panu.

— Chce pan powiedzieć, że zna się na ptactwie lepiej ode mnie, który handluję nim od małego? Powiadam panu, że wszystkie ptaki, które poszły do „Alphy”, były miejskiego chowu.

— Nie uda się panu mnie o tym przekonać.

— No to może się założymy?

— To będzie po prostu wyciąganie od pana pieniędzy, ponieważ wiem, że mam rację. Ale postawię suwerena tylko dlatego, żeby pana oduczyć takiego uporu.

Kupiec zachichotał ponuro.

— Bill, przynieś no mi rejestry — powiedział. Chłopiec przyniósł jeden mały, cienki zeszyt i drugi duży, zatłuszczony, i położył oba pod wiszącą lampą.

— No więc, panie mądralo — powiedział sprzedawca. — Myślałem, że już w moim sklepie nie ma ani jednej gęsi, ale za chwilę sam się pan przekona, że jedna jeszcze jest. Widzi pan ten mały rejestr?

— I cóż?

— To jest spis ludzi, od których kupuję drób. Widzi pan? Na tej stronie są wieśniacy, a liczby po ich nazwiskach wskazują na miejsce, gdzie ich rachunki zostały odnotowane w księdze kasowej. Dalej! Widzi pan tę stronę wypełnioną czerwonym atramentem? Dobrze. To jest lista moich dostawców miejskich. Spójrz pan więc na trzecie nazwisko. Po prostu mi je pan przeczytaj.

— Pani Oakshott, Brixton Road sto siedemnaście — dwieście czterdzieści dziewięć — przeczytał Holmes.

— No właśnie. A teraz znajdź to pan w księdze kasowej. Holmes dotarł do wskazanej strony.

— Oto jest: Pani Oakshott, Brixton Road sto siedemnaście, dostawca jaj i drobiu.

— I dalej, jaka jest ostatnia pozycja?

— Dwudziestego drugiego grudnia. Dwadzieścia cztery gęsi za siedem suwerenów i sześć pensów.

— Dobrze. Ma pan. A niżej?

— Sprzedane panu Windigate'owi z „Alphy” za dwanaście suwerenów.

— Co masz pan teraz do powiedzenia?

Sherlock Holmes wyglądał na głęboko zasmuconego. Wyciągnął z kieszeni suwerena i rzucił go na marmurowy blat, odwracając się i odchodząc z miną człowieka zbyt rozgoryczonego, by mógł dobyć z siebie słowo. Kilka jardów dalej przystanął przy słupie latarni i zaśmiał się w ten bezgłośny, jakże charakterystyczny dla niego sposób.

— Kiedy widzisz człowieka z tak przystrzyżonymi bokobrodami i z wystającym z kieszeni programem wyścigów konnych, możesz go zawsze naciągnąć na zakład — powiedział. — Zaryzykuję twierdzenie, że gdybym położył przed nim sto funtów, nie udzieliliby nam tak wyczerpujących informacji, jakie wyciągnąłem z niego dzięki pomysłowi, że wygrywa ze mną zakład. No cóż, Watsonie, mam wrażenie, że zbliżamy się do końca naszego pościgu i pozostało nam jedynie ustalić, czy powinniśmy się udać do tej pani Oakshott dziś wieczorem, czy też odłożyć to sobie do jutra. Z tego, co powiedział ów gbur, jasno wynika, że poza nami są jeszcze inni, których wielce ta sprawa niepokoi, ja bym więc...

Jego rozważania zostały nagle przerwane wrzawą, jaka wybuchła od strony kramu, który właśnie opuściliśmy. Obejrawszy się, zobaczyliśmy niskiego jegomościa o szczerzej twarzy, stojącego w środku kręgu żółtego światła rzucanego przez rozkołysaną lampę, i kupca Breckinridge'a w drzwiach swego sklepiku, wygrażającego pięściami w kierunku tej zastraszonej postaci.

— Mam już dosyć i was, i waszych gęsi! — krzyczał. — Żeby was wszystkich razem piekło pochłonęło! Jak jeszcze raz tu przyjdiesz, żeby mi się naprzykrzać tym swoim głupim

gadaniem, poszczuję cię psem. Przyrowadź tu panią Oakshott, to jej odpowiem, ale co ty masz z tym wspólnego? Czy ja te gęsi kupilem od ciebie?

— Nie, ale jedna z nich była moja — jęknął człowieczek.

— No to zapytaj o nią panią Oakshott.

— Powiedziała, żebym zapytał pana.

— Dla mnie to możesz się pytać i pruskiego króla. Mam już tego dosyć. Wynocha! — ruszył gwałtownie do przodu, a ciekawski człowieczek uskoczył w ciemność.

— Ha! To może nam oszczędzić wizyty przy Brixton Road — powiedział szeptem Holmes. — Chodź ze mną, zobaczymy, czego się możemy od tego jegomościa dowiedzieć.

Idąc dużymi krokami pośród rozproszonych grupek ludzi przechadzających się wokół krzykliwie barwnych straganów, mój towarzysz szybko dogonił człowieczka i dotknął jego ramienia. Ten odwrócił się gwałtownie i w świetle gazowej latarni dostrzegłem, że cała krew odbiegła mu z twarzy.

— Kimże pan jest? Czego pan chce? — zapytał drżącym głosem.

— Zechce mi pan wybaczyć — rzekł uprzejmie Holmes — ale mimowolnie podsłuchałem, o co pan przed chwilą pytał sprzedawcę. Wydaje mi się, że mógłbym panu służyć pomocą.

— Pan? Kim pan jest? Co pan może wiedzieć o tej sprawie?

— Nazywam się Sherlock Holmes. Mój zawód polega na tym, że wiem to, czego nie wiedzą inni.

— O tym jednak nie może pan nic wiedzieć.

— Wybaczy pan, ale na ten temat wiem wszystko. Usiłuje pan iść tropem gęsi, które zostały sprzedane przez Panią Oakshott z Brixton Road kupcowi o nazwisku Breckinridge, a przez niego z kolei panu Windigate'owi, właścicielowi oberży „Alpha”; ten następnie sprzedał je swemu klubowi, którego członkiem jest pan Henry Baker.

— Ach, proszę pana, jest więc pan tym właśnie człowiekiem, którego tak bardzo pragnąłem znaleźć — wykrzyknął drobny jegomość, wyciągając ręce z drżącymi palcami. — Wręcz brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo jestem tą sprawą zainteresowany.

Sherlock Holmes zamachał ręką na przejeżdżającą właśnie dorożkę.

— W takim razie lepiej to omówić w przytulnym pokoju niż na tym targowisku, po którym hula wiatr — rzekł. — Zanim jednak posuniemy się dalej, proszę mi łaskawie powiedzieć, komu to mam przyjemność spieszyć z pomocą.

Mężczyzna się zawahał.

— Nazywam się John Robinson — odparł, uciekając wzrokiem w bok.

— Nie, nie. Chodzi mi o prawdziwe nazwisko — powiedział ze słodyczą w głosie Holmes.

— Dobrze więc — rzekł tamten. — Moje prawdziwe nazwisko brzmi James Ryder.

— No właśnie. Kierownik obsługi w hotelu „Cosmopolitan”. Proszę wsiąść do dorożki, a ja wkrótce powiem panu wszystko, czego pan chce się dowiedzieć.

Człowieczek stał, spoglądając na nas wzrokiem to wypełnionym strachem, to nadzieją, jak ktoś, kto nie jest pewien, czy się znajduje o krok od niespodziewanego szczęścia, czy od katastrofy. Następnie wsiadł do dorożki i po półgodzinie znaleźliśmy się znów w saloniku przy Baker Street. Podczas jazdy nie padło ani jedno słowo, jednak lekkie piskliwe westchnienia, jakie wydawał nasz nowy kompan, a także na przemian splatające się i rozplatające dłonie świadczyły o jego wewnętrznym napięciu.

— Oto jesteśmy — zawołał Holmes wesoło, kiedy weszliśmy do pokoju. — W taką pogodę ogień na kominku wydaje się czymś nadzwyczaj stosownym. Wygląda pan na zmarzniętego, panie Ryder. Proszę, niech pan spocznie w wiklinowym fotelu. A ja tylko włożę pantofle i zaraz załatwimy pańską drobną sprawę. Chce pan zatem wiedzieć, Co się stało z tymi gęsiami?

— Tak, sir.

— Czy też raczej, jak sędzę, z tą gęsią. Ponieważ pojmuję, że był pan zainteresowany jednym ptakiem — białym z czarną pręgą na ogonie.

Ryder zdrzął z podniecenia.

— Ach, proszę pana — krzyknął. — Może mi pan powiedzieć, gdzie ona trafiła?

— Tutaj.

— Tutaj?

— Tak. I okazała się ptakiem godnym najwyższej uwagi. Nic dziwnego, że to właśnie nią pan się zainteresował. Po śmierci zniosła jajko — najśliczniejsze, najbardziej promienne błękitne jajeczko, jakie kiedykolwiek widziałem. Mam je tu, w moim muzeum.

Nasz gość poderwał się na nogi, zachwiał i prawą ręką uchwycił za gzyms kominka. Holmes otworzył sejf i wyjął błękitny karbunkuł, który zabłysnął jak gwiazda zimnym, olśniewającym, wielopunktowym blaskiem. Ryder stał ze ściągniętą twarzą, ziejąc wściekłością, niepewny, czy ma się do karbunkułu przyznać, czy go wyprzeć.

— Sztuczka się nie udała, Ryder — rzekł szybko Holmes. — Trzymaj się, człowieku, albo wpadniesz do ognia. Watsonie, pomóż mu wrócić na fotel. On jest zbyt słaby, żeby mu się udawało bezkarnie popełniać przestępstwa. Podaj mu odrobinę brandy. O właśnie! Teraz wygląda trochę bardziej po ludzku. Cóż to wszakże za marna kreatura!

Ryder przez chwilę się zataczał i omal nie upadł, ale brandy przywołała na jego policzki lekkie rumieńce, więc usiadł, wpatrując się przerażonym wzrokiem w swego oskarżyciela.

— Mam już w ręku niemal wszystkie ogniwa i dowody, jakich potrzebowałem, tak że niewiele mi pan musi mówić. Jednak trzeba wyjaśnić jeszcze jeden drobiazg, aby zakończyć sprawę. Słyszał pan o tym błękitnym kamieniu hrabiny Morcar, Ryder?

— Powiedziała mi o nim Catherine Cusack — odpowiedział skrzekliwym głosem.

— Aha, pokojówka jaśnie pani. No cóż, pokusa nagłego wzbogacenia się w tak łatwy sposób była dla pana zbyt silna, podobnie zresztą jak wcześniej dla lepszych od pana; pan jednak nie miał specjalnych skrupułów w doborze zastosowanych środków. Odnoszę wrażenie, Ryder, że tkwią w panu zadatki na całkiem niezłego łotra. Wiedział pan że ten hydraulik Horner był już w przeszłości sądzony w podobnej sprawie i że podejrzenie tym łatwiej padnie na niego. Cóż więc pan zrobił? Wraz ze swą współniczką Cusack wynalazł w pokoju jej pani drobną robótkę i dopilnował, aby to właśnie ten człowiek został wysłany do jej wykonania. Następnie, kiedy Horner już stamtąd wyszedł, pan ukradł kamień, wszczął alarm i doprowadził do aresztowania tego nieszczęśnika. A więc pan...

Ryder rzucił się nagle na dywan i kurczowo chwycił Holmesa pod kolana.

— Na miłość boską, litości! — wykrzyknął. — Niech pan pomyśli o moim ojcu! O mojej matce! To by ich zabiło. Nigdy dotychczas nie pobiłbym! I nigdy już tego nie zrobię! Przysięgam na Biblię. Ach, niech mnie pan nie stawia przed sądem! Na miłość boską, proszę!

— Proszę wrócić na swój fotel! — powiedział surowo Holmes. — Bardzo łatwo jest płaszczyć się teraz i pełzać, ale niewiele pan myślał o tym nieszczęsnym Homerze, odpowiadającym na ławie oskarżonych za przestępstwo, z którym nie miał absolutnie nic wspólnego.

— Ja ucieknę, panie Holmes. Opuszczę kraj. W ten sposób oskarżenie przeciw niemu upadnie.

— Hm! Jeszcze o tym porozmawiamy. Ale teraz poznajmy prawdziwą relację z następnego aktu. W jaki sposób kamień trafił do gęsi i jak gęś znalazła się w wolnej sprzedaży? Powiedz pan prawdę, bo w tym tkwi pańska jedyna nadzieja na ratunek.

Ryder przesunął językiem po spierzchniętych ustach.

— Opowiem dokładnie to, co się wydarzyło, sir — powiedział. — Kiedy Homer został aresztowany, wydało mi się, że dla mnie będzie najlepiej, jeśli się natychmiast z tym kamieniem wyniosę, bo nie wiedziałem, czy policji w jakiejś chwili nie przyjdzie do głowy, by przeszukać mnie i mój pokój. W całym hotelu nie było dla tego kamienia bezpiecznego

miejsca. Wyszędłem więc, niby w jakiejś sprawie urzędowej, i skierowałem się w stronę domu mojej siostry. Wyszła ona za męża za niejakiego Oakshotta i mieszkała przy Brixton Road, gdzie tuczyła ptactwo na targ. Przez całą drogę w każdym mijającym mnie człowieku widziałem policjanta albo detektywa i mimo że był to zimny wieczór, zanim dotarłem do Brbcton Road, twarz spływała mi potem. Siostra zapytała mnie, w czym rzecz i dlaczego jestem taki blady; powiedziałem jej jednak, że zdenerwowałem się kradzieżą biżuterii w hotelu. Potem poszedłem na podwórze za domem, zapaliłem fajkę i zastanawiałem się, jakie posunięcie byłoby dla mnie najlepsze.

Miałem kiedyś przyjaciela nazwiskiem Maudsley, który zszedł na złą drogę i odsiadywał wyrok w Pentomdlle. W czasie jednego z naszych spotkań rozmowa zeszała na sposoby, w jaki złodzieje pozbywają się łupu. Wiedziałem, że jest ze mną szczerzy, ponieważ znałem jego różne sprawy, więc postanowiłem pójść prosto do Kilburn, gdzie mieszkał, i zwierzyć mu się ze swojej tajemnicy. On by mi poradził, w jaki sposób kamień zamienić na pieniądze. Ale jak teraz bezpiecznie dotrzeć do niego? Pomyślałem o męczarniach, jakie przechodziłem po wyjściu z hotelu. W każdej chwili mogłem zostać zatrzymany i poddany rewizji, a kamień tkwił w kieszonce mojej kamizelki. Oparłem się wtedy o ścianę i kiedy patrzyłem na drepczące wokół mych nóg gęsi, nagle przyszedł mi do głowy pomysł, dzięki któremu mógłbym przechytryć najlepszego detektywa na świecie.

Przed kilku tygodniami siostra powiedziała mi, że jedną z jej gęsi będę sobie mógł wybrać jako prezent na Boże Narodzenie, a ona zawsze dotrzymuje słowa. A więc zabiorę gęś teraz, a w niej zaniosę mój kamień do Kilburn. Na podwórku była niewielka szopa, za którą zagoniłem jednego ptaka, okazałego, białego z czarnymi piórami w ogonie. Złapałem go i rozwarłszy mu dziób, wepchnąłem kamień do gardła tak głęboko, jak tylko sięgał mój palec. Gęś przełknęła i czułem pod palcami, jak kamień Przesuwa się wzdłuż jej przełyku aż do wola. Stworzenie jednak było skrzydłami i walczyło ze mną, wskutek czego wyszła z domu siostra, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kiedy się odwróciłem, żeby do niej przemówić, to bydlę wyrwało mi się i odfrunęło do reszty.

— Co ty wyprawiasz z tym ptakiem, Jemie? — powiada.

— No cóż — ja na to — przyrzekał mi gęś na Boże Narodzenie, więc sprawdzałem, która jest najtłustsza.

— Ach, twoją już wybraliśmy. Nazywamy ją ptakiem Jema. To ta duża biała, o, tamta! Mamy ich razem dwadzieścia sześć, z czego jedna jest dla ciebie, jedna dla nas i dwa tuziny na targ.

— Dziękuję, Maggie — odpowiadam — ale jeśli ci to nie sprawi różnicy, wolałbym tę, którą właśnie trzymałem.

— Ta druga jest o dobre trzy funty cięższa — rzekła — i tuczyliśmy ją specjalnie dla ciebie.

— Nie szkodzi. Wezmę tę drugą, i to zaraz — powiedziałem.

— Jak sobie chcesz — odrzekła lekko obrażona. — No to o którą ci chodzi?

— O tę białą z przegowanym ogonem, w samym środku stada.

— Proszę bardzo. Zabij ją i zabierz ze sobą.

Zrobiłem więc, panie Holmes, jak powiedziała, i poniosłem ptaka aż do Kilburn. Opowiedziałem memu koleżce o tym, co zrobiłem, bo był człowiekiem, któremu się o czymś takim opowiada bez oporów. Aż się zakrztusił ze śmiechu, a potem wzięliśmy nóż i rozkroiliśmy gęś. Serce mi zamarło, ponieważ nie było tam śladu kamienia i zrozumiałem, że doszło do straszliwej pomyłki. Zostawiłem ptaka i pognałem do siostry. Wpadłem na podwórko. Nie było tam już ani jednej gęsi.

— Gdzie one są, Maggie? — wrzasnąłem.

— Pojechały do sprzedawcy.

— Do którego sprzedawcy?

— Do Breckinridge’a z Covent Garden.

— Ale czy była tam jeszcze inna gęś z czarno — białym ogonem? — zapytałem. — Taka sama jak ta, którą wybrałem?

— Tak, Jem. Były dwie z takimi ogonami; nigdy nie mogliśmy ich rozróżnić.

Wszystko, oczywiście, stało się dla mnie jasne, więc popędziłem co sił w nogach do tego całego Breckinridge’a; on jednak sprzedał tę partię od razu i ani słowem się nie zdradził, do kogo te gęsi poszły. Sam go pan słyszał dziś wieczorem. Tak właśnie mi odpowiadał za każdym razem. Siostra myśli, że popadam w obłąd. Czasem sam mam takie wrażenie. A teraz... teraz jestem napiętnowanym złodziejem, który nawet nie może tknąć bogactwa, dla którego zaprzedał swą duszę. Dopomóż mi, Boże! Dopomóż mi, Boże! — wybuchnął konwulsyjnym łkaniem, ukrywając twarz w dłoniach.

Zapadła długa cisza, przerywana jedynie jego ciężkimi westchnieniami oraz miarowym bębnieniem palców Holmesa o krawędź stołu. Wreszcie mój przyjaciel wstał i otworzył drzwi na oścież.

— Wynosić mi się! — powiedział.

— Co takiego, sir? Och, niech panu niebo wynagrodzi!

— Ani słowa więcej. Precz!

I rzeczywiście, słowa stały się zbyt ciche. Był już tylko gwałtowny pośpiech, rumor na schodach, trzaśnięcie drzwi i suchy tupot kroków na ulicy.

— Ostatecznie, Watsonie — rzekł Holmes, sięgając po swoją glinianą fajkę — nie jestem zatrudniony przez policję do naprawiania jej niedociągnięć. Inaczej rzecz by się miała, gdyby Homer był w niebezpieczeństwie, ale ten osobnik nie wystąpi z zeznaniami przeciw niemu i sprawa musi upaść. Możliwe, że puszczam płazem przestępstwo, ale też jest zupełnie prawdopodobne, że ratuję czyjaś duszę. Ten jegomość już nigdy nie pójdzie złą drogą. Jest zbyt przerażony. Ale wyślij go do więzienia, a pozostanie zbrodniarzem do końca życia. Poza tym mamy teraz czas wybaczenia. Los podsunął nam niezwykle i tajemniczy problem, którego rozwiązanie jest naszą nagrodą. A teraz, doktorze, gdybyś był tak dobry i zadzwonił na służbę, to niebawem rozpoczniemy inne dochodzenie, którego głównym bohaterem również będzie ptak.

WSTĄŻKA W CĘTKI (THE ADVENTURE OF THE SPECKLED BAND)

Przeglądając swoje notatki z siedemdziesięciu osobliwych spraw, które pozwalały mi w ciągu ostatnich ośmiu lat studiować metody stosowane przez mego przyjaciela Sherlocka Holmesa, znajduję tam wiele historii tragicznych, trochę zabawnych, sporo po prostu dziwnych, ale żadnej tuzinkowej. A to dlatego, że pracując raczej z miłości dla swej sztuki niż dla wzbogacenia się, Holmes odmawiał rozpoczynania jakiegokolwiek śledztwa, w którym nie kryła się obietnica czegoś niezwykłego czy nawet fantastycznego. Wśród wszystkich tych różnorodnych spraw nie przypominam sobie wszakże takiej, która odznaczałaby się bardziej osobliwymi cechami niż historia związana ze znaną rodziną Roylottów ze Stoke Moran w hrabstwie Surrey. Wydarzenia, o których mowa, rozegrały się w początkach mojej znajomości z Holmesem, kiedy to, jako kawalerowie, zamieszkiwaliśmy razem przy Baker Street. Mogłem je zapewne opisać wcześniej, ale z danego podówczas przyrzeczenia dochowania tajemnicy zostałem zwolniony dopiero w ubiegłym miesiącu po przedwczesnym zgonie damy, której to ślubowanie złożyłem. Jest chyba także wskazane, aby owe fakty ujrzały teraz światło dzienne, ponieważ mam powody uważać, że rozpowszechniane są szeroko pogłoski na temat śmierci doktora Grimesby'ego Roylotta, które tę sprawę mogą uczynić bardziej przerażającą, niż jest w istocie.

Było to na początku kwietnia 1883 roku, kiedy obudziwszy się pewnego ranka, stwierdziłem, że przy moim łóżku stoi całkowicie już ubrany Sherlock Holmes. Zazwyczaj nie był on rannym ptaszkiem, a ponieważ zegar na gzymsie kominka wskazywał dopiero kwadrans po siódmej, zamrugałem ku niemu nieco zaskoczony i chyba z pewną irytacją, gdyż byłem wierny swoim przyzwyczajeniom.

— Szalenie mi przykro, że zrywam cię z łóżka, Watsonie, ale dzisiejszego ranka to rzecz zwyczajna. Gwałtownie obudzona została pani Hudson, która odbiła to sobie na mnie, a ja z kolei na tobie.

— O cóż więc chodzi? Pali się?

— Nie, to klient. Odwiedziła nas pewna młoda dama, jak się zdaje, w stanie silnego wzburzenia, i nalega na widzenie się ze mną. Czeka teraz w salonie. Otóż jeśli młode damy wędrują po wielkim mieście o tak wczesnej godzinie i wyciągają z łóżek śpiących ludzi, to domyślam się, że mają do zakomunikowania coś niezwykle naglącego. Gdyby się okazało, że jest to jakiś ciekawy przypadek, to niewątpliwie życzyłbyś sobie go śledzić od samego początku. W każdym razie pomyślałem, że powinienem do ciebie zajrzeć i dać ci tę szansę.

— Mój zacny druhu, za nic w świecie bym tego nie przeoczył.

Niczego tak nie łaknąłem jak przyjemności podążania za Holmesem w jego zawodowych dociekaniach oraz podziwiania błyskawicznych wniosków wyciąganych przezeń intuicyjnie, a jednak zawsze opartych na logicznych podstawach, dzięki czemu rozwiązywał powierzone mu problemy. Ubrałem się pospiesznie i w ciągu kilku minut byłem już gotów towarzyszyć memu przyjacielowi w drodze do salonu. Silnie zawoalowana dama w czerni, która siedziała w okiennym wykuszu, podniosła się na nasz widok.

— Dzień dobry pani — rzekł pogodnie Holmes. — Nazywam się Sherlock Holmes. A to mój przyjaciel i współnik, doktor Watson, w którego obecności może pani rozmawiać równie swobodnie jak ze mną samym. Ha! Cieszę się, że pani Hudson okazała zdrowy rozsądek i rozpałała w kominku. Proszę się do niego przysunąć, a ja zamówię filiżankę kawy, gdyż dostrzegam, że pani drży.

— To nie zimno przyprawia mnie o dreszcze, panie Holmes — powiedziała kobieta, przesuając się zgodnie z poleceniem.

— A co jest tego powodem?

— Strach — mówiąc to, uniosła woalkę, i wtedy mogliśmy stwierdzić, że dama rzeczywiście znajduje się w stanie godnym pożałowania — jej twarz była ściągnięta i poszarzała, a spojrzenie niespokojne i przerażone, jak u zaszczutego zwierzęcia. Z rysów i sylwetki wyglądała ni lat trzydzieści, ale włosy pobłyskiwały przedwczesną siwizną, a w oczach malowały się udreka i znużenie.

— Nie wolno się bać — powiedział Holmes i pochylił się ku niej, by dotknąć uspokajająco jej ramienia. — Nie mam żadnej wątpliwości, że rychło wszystko sobie wyjaśnimy. Jak widzę, przyjechała pani porannym pociągiem.

— A zatem pan mnie zna?

— Nie... ale dostrzegam drugą połówkę biletu powrotnego zatkniętą za pani lewą rękawiczkę. Musiała pani wyruszyć wczesnym rankiem, a jednak, aby dotrzeć do stacji, odbyła pani niezłą przejażdżkę dwukółką po fatalnych drogach.

Dama — wzdrygnęła się gwałtownie i wlepiła w mego towarzysza zdumione spojrzenie.

— Nie ma w tym nic tajemniczego, moja droga pani — rzekł ze śmiechem. — Lewy rękaw pani żakietu jest opryskany błotem w co najmniej siedmiu miejscach. Ślady są całkiem świeże, a tylko dwukółką wyrzuca błoto w ten sposób i tylko wtedy, kiedy się siedzi po lewej stronie powożącego.

— Nienależnie od pańskiego uzasadnienia to wszystko absolutnie się zgadza — rzekła dama. — Wyruszyłam z domu przed szóstą, dwadzieścia minut później dotarłam do Leatherhead i przyjechałam pierwszym pociągiem na Dworzec Waterloo. Proszę pana, ja nie potrafię już dłużej zrosić tego napięcia; oszaleję, jeśli ono nie ustąpi. Nie ma nikogo, na kogo mogłabym liczyć — nikogo poza jedynym człowiekiem, który się o mnie troszczy, ale on, poczciwiec, niewiele mi może pomóc. O panu, panie Holmes, dowiedziałam się od pani Farintosh, której przyszedł pan z pomocą w bolesnej potrzebie. Od niej właśnie otrzymałam pański adres. Ach, czy nie uważa pan, że mógłby również i mnie pomóc, a przynajmniej nieco rozproszyć otaczające mnie nieprzeniknione ciemności? W tej chwili wynagrodzenie pana usługi przekracza moje możliwości, ale za miesiąc lub dwa będę już mężatką kontrolującą własne dochody i wówczas na pewno nie będzie mnie pan mógł uznać za osobę niewdzięczną.

Holmes odwrócił się do biurka, otworzył je i wyciągnął rejestr spraw, w którym coś sprawdził.

— Farintosh — rzekł. — Aha, jest. Przypominam sobie tę sprawę; dotyczyła diademu z opali. To było chyba jeszcze przed naszym poznaniem się, Watsonie. Mogę tylko pani powiedzieć, że z przyjemnością poświęcę nie mniejszą uwagę sprawie pani, niż to było w wypadku jej przyjaciółki. A co do honorarium, to nagrodą jest dla mnie już sama możliwość działania; koszty, jakie ewentualnie poniosę, może pani pokryć w chwili najbardziej dla pani dogodnej. Teraz zaś błagam, aby zechciała pani przedstawić wszystko, co nam pomoże w wyrobieniu sobie poglądu w tej sprawie.

— Niestety! — odparła nasza dama. — Koszmar tej sytuacji polega na tym, że moje lęki są tak bardzo nieokreślone, a podejrzania opierają się na tak słabych i w oczach każdego postronnego obserwatora banalnych podstawach, że nawet człowiek, od którego najbardziej ze wszystkich mam prawo oczekiwać pomocy, uznaje moje opowieści za wytwór fantazji znerwicowanej kobiety. Nie mówi tego wprost, ale wyczuwam to w jego uspokajających odpowiedziach i odwracaniu wzroku. Słyszałam jednak, że pan, panie Holmes, potrafi wejrzeć głęboko w najciemniejsze zakamarki ludzkiej duszy. Pan może mi udzielić rady, jak mam się poruszać wśród osaczających mnie niebezpieczeństw. — cały zamieniam się w słuch, droga pani.

— Nazywam się Helen Stoner i mieszkam z ojczymem,; który jest ostatnim żyjącym członkiem jednej z najstarszych saskich rodzin w Anglii, Royslottów ze Stoke Moran przy wschodniej granicy hrabstwa Surrey.

Holmes kiwnął głową.

— Nazwisko to jest mi znane — powiedział.

— Rodzina należała swego czasu do najbogatszych w Anglii, a jej posiadłości rozciągały się poza granice hrabstw Berkshire na północy i Hampshire na zachodzie. Jednak czterech kolejnych spadkobierców w ostatnim stuleciu odznaczało się skłonnością do rozwiązłego i rozrzutnego trybu życia, a ostatecznej ruiny dopełnił pewien hazardzista w czasach regencji. Nie pozostało mu nic poza kilkoma akrami gruntu i dwustuletnim domem, który ugiął się pod ciężarem hipoteki. Ostatni dziedzic marnie tu wegetował, wiodąc okropne życie arystokraty nędzarza; jedyny jego syn, a mój ojczym, widząc, że musi się przystosować do nowych warunków, zdobył wsparcie jednego z krewnych, co umożliwiło mu zdobycie wykształcenia medycznego, a następnie wyjechał do Kalkuty, gdzie dzięki swej zawodowej biegłości i sile charakteru rozwinął szeroką praktykę lekarską. Jednakże ulegając atakowi gniewu wywołanego jakimś rabunkiem w jego domu, pobił śmiertelnie lokaja — tubylca — i tylko cudem uniknął najwyższej kary. Odcierpiał więc długoletni wyrok więzienia, a następnie powrócił do Anglii jako człowiek zgorzkniały i ponury.

Kiedy doktor Royslott był w Indiach, poślubił moją matkę, młodą wdowę po generale brygady Stonerze z artylerii bengalskiej. Ja i moja siostra bliźniaczka, Julia, w chwili ponownego zamążpójścia matki miałyśmy zaledwie po dwa lata. Posiadała ona znaczny kapitał, co najmniej tysiąc funtów rocznie, który w całości przepisała na doktora Royslotta, w zamian za co mieszkaliśmy w jego rezydencji, z tym jednak zastrzeżeniem, że po wyjściu za mąż miałyśmy otrzymywać określoną sumę rocznego dochodu. Wkrótce po naszym powrocie do Anglii matka zmarła — zginęła osiem lat temu w katastrofie kolejowej pod Crewe. Doktor Royslott poniechał wówczas prób urzędzenia się w Londynie i zabrał nas do swego rodzowego domu w Stoke Moran. Pieniądze pozostawione przez matkę wystarczały na potrzeby nas wszystkich i wydawało się, że nic nie stanie na przeszkodzie naszemu szczęściu. Lecz mniej więcej w tym czasie w ojczymie zaszła straszliwa zmiana. Zamiast zyskiwać sobie przyjaciół i utrzymywać kontakty towarzyskie z sąsiadami, którzy początkowo bardzo się cieszyli, że Royslott ze Stoke Moran wrócił do rodzinnego gniazda, zamknął dom na trzy spusty i rzadko zeń wychodził, poza przypadkami, kiedy chciał sobie pofolgować w dzikich zwadach z każdym, kto mu stanął na drodze. Gwałtowność usposobienia bliska manii prześladowczej była dziedziczna w męskiej linii tej rodziny, a w przypadku mego ojczyma spotęgowała się, jak sądzę, wskutek długiego zamieszkiwania w tropikach. Dochodziło do wielu haniebnych burd, z których dwie zakończyły się w sądzie policyjnym, aż ostatecznie ojczym stał się postrachem wioski. Ludzie uciekają na sam jego widok, bo odznacza się on niezwykle siłą oraz całkowitym brakiem kontroli nad atakami swojego gniewu — W zeszłym tygodniu na przykład przerzucił przez balustradę mostu nad strumieniem miejscowego kowala, i tylko dzięki temu, że zapłaciłam wysokie odszkodowane, na które z trudem zebrałam pieniądze, udało mi się zapobiec kolejnej publicznej kompromitacji. Nie ma żadnych przyjaciół z wyjątkiem wędrownych Cyganów. Powalał tym włóczęgom obozować na kilku akrach porośniętej głogiem ziemi, która jest rodzinnym majątkiem, w zamian zaś korzystał z gościnności w ich namiotach, wędrując z nimi czasem całymi tygodniami. Wielce pasjonują go również indyjskie zwierzęta dostarczane mu przez jakiegoś tajemniczego nadawcę. W tej chwili trzyma geparda i pawiana, które biegają wolno po całej posiadłości, wzbudzając wśród wieśniaków lęk nie mniejszy niż ich właścicieli.

Na podstawie mojego opowiadania może pan sobie wyobrazić, że dla mnie i dla mojej biednej siostry życie nie było źródłem wielkich przyjemności. Nie utrzymał się u nas przez dłuższy czas żaden służący, tak że bardzo często same wykonywałyśmy wszystkie domowe

prace. Julia w chwili śmierci miała zaledwie trzydzieści lat, a jej włosy już zaczynały się srebrzyć.

— A więc pani siostra nie żyje.

— Mijają właśnie dwa lata, jak zmarła, i to jej śmierć jest powodem, dla którego pragnęłam z panem rozmawiać. Pojmuje pan zapewne, że prowadząc życie w opisany przeze mnie sposób, nie miałyśmy wielu okazji do poznania kogokolwiek odpowiadającego nam wiekiem i pozycją towarzyską. Miałyśmy wszakże ciotkę, niezamężną siostrę naszej matki, pannę Honorię Westphail, mieszka ona w pobliżu Harrow, więc od czasu do czasu wolno nam było składać krótkie wizyty w domu tej damy. Julia pojechała tam na Boże Narodzenie dwa lata temu i poznała pewnego zatrudnionego na pół etatu majora piechoty morskiej, z którym się zaręczyła. Mój ojczym, dowiedziawszy się o zaręczynach, nie sprzeciwił się temu związkowi, ale po dwóch tygodniach od ustalenia daty ślubu doszło do strasznego wydarzenia, które pozbawiło mnie jedynej towarzyszką życia.

Sherlock Holmes siedział odchyłony w swym fotelu, z przymkniętymi oczami i głową wciśniętą w poduszki.

Teraz jednak lekko uniósł powieki i rzucił okiem na naszego gościa.

— Proszę o skrupulatność w przedstawianiu szczegółów.

— Nie będzie to trudne, ponieważ każde wydarzenie tego strasznego okresu odcisnęło się piętnem w mojej pamięci. Jak już wspomniałam, naszą siedzibą jest bardzo stary dwór, w którym tylko jedno skrzydło jest obecnie zamieszkałe. Sypialnie są w nim usytuowane na parterze, a salon znajduje się w środkowej części budynku. Pierwsza sypialnia należy do doktora Roylotta, druga należała do mojej siostry, a trzecia do mnie. Między sypialniami nie ma żadnego połączenia, a do wszystkich prowadzą drzwi z tego samego korytarza. Czy wyrażam się jasno?

— Jak najbardziej.

— Okna tych trzech pomieszczeń wychodzą na ogród. Owej strasznej nocy doktor Roylott poszedł do siebie wcześniej, choć wiedziałyśmy, że nie uczynił tego po to, żeby się położyć spać, ponieważ moja siostra czuła dokuczliwy dym z jego mocnych indyjskich cygar, które zwykł palić. Opuściła więc swój pokój i przysłała do mnie, gdzie spędziła jakiś czas, gawędząc o rychłym ślubie. O jedenastej wstała, żeby wyjść, ale w drzwiach zatrzymała się i spojrzała na mnie.

— Powiedz mi, Heleno — rzekła — czy słyszałaś kiedyś jakiś gwizd w środku nocy?

— Nigdy — odparłam.

— Nie przypuszczam, żebyś to ty mogła gwizdać przez sen.

— Oczywiście że nie. Ale o co chodzi?

— O to, że podczas kilku ostatnich nocy, zawsze około trzeciej nad ranem, słyszałam wyraźny cichy gwizd. Mam lekki sen i to mnie budziło. Nie wiem, skąd on pochodził, być może z pokoju obok, a może od strony trawnika. Pomyślałam, żeby cię zapytać, czy ty też go słyszałaś.

— Nie, nie słyszałam. To mogą być ci przekłeci Cyganie z obozu.

— To bardzo prawdopodobne. Ale jeśli gwizd dobiegał z trawnika, to ty powinnaś go słyszeć tak samo jak ja.

— Śpię przecież mocniej od ciebie.

— No cóż, to ostatecznie nic ważnego — uśmiechnęła się do mnie, zamknęła drzwi, a po chwili usłyszałam klucz obracający się w zamku jej drzwi.

— Ach tak — rzekł Holmes. — Czy miała w zwyczaju zawsze zamykać na noc drzwi na klucz?

— Zawsze.

— Dlaczego?

— Chyba już panu wspomniałam, że doktor trzyma geparda i pawiana. Nie czułyśmy się bezpiecznie przy niezaryglowanych drzwiach.

— Całkiem słusznie. Proszę kontynuować swoją relację.

— Tej nocy nie mogłam zasnąć. Przytłaczało mnie jakieś niejasne przeczucie nadsyczonego nieszczęścia. Jak już wspomniałam, byłyśmy z siostrą bliźniaczkami, więc pojmuję pan, jak subtelne więzy łączą dwie tak bardzo bliskie sobie dusze. To była szalona noc. Na dworze wiał wiatr, a deszcz siekł i tłukł o szyby. Nagle wśród zgiełku nawałnicy rozległ się dziki krzyk przerażonej kobiety. Poznałam głos mojej siostry. Wskoczyłam z łóżka, owinęłam się szalem i wypadłam na korytarz. Kiedy otwierałam drzwi mojej sypialni, wydało mi się, że słyszę cichy gwizd, taki, jak opisała mi siostra, a chwilę później — dźwięczny odgłos, jakby upadł jakiś ciężki metalowy przedmiot. Gdy wybiegłam na korytarz, zauważyłam, że drzwi od pokoju mojej siostry nie są zamknięte na klucz i powoli obracają się na zawiasach. Zdjęta przerażeniem wlepiłam w nie wzrok, nie mając pojęcia, co się zza nich wyłoni. W świetle lampy z korytarza zobaczyłam ukazującą się w drzwiach Julię ze zbielełą z przerażenia twarzą, z rękami szukającymi po omacku oparcia, podczas gdy cała jej postać chwiała się na różne strony, jak gdyby siostra była pijana. Rzuciłam się ku niej, ale w tym samym momencie pod Julią ugięły się nogi i upadła na podłogę. Zwinęła się w kłębek jak człowiek cierpiący straszliwy ból, a jej ciałem targały okropne konwulsje. Zrazu pomyślałam, że siostra mnie nie poznaje, ale kiedy się nad nią pochyliłam, krzyknęła nagle głosem, którego nigdy nie zapomnę.

— Ach, mój Boże, Heleno! To była wstążka, cętkowana wstążka!

Chciała powiedzieć coś jeszcze i wskazała palcem w kierunku pokoju doktora, ale chwyciła ją kolejna konwulsja i słowa uwieźły jej w krtani. Rzuciłam się przed siebie, nawołując głośno ojczyma, i spotkałam go, gdy ubrany w szlafrok wybiegał ze swej sypialni. Kiedy znalazł się obok mojej siostry, ta była już nieprzytomna, i choć wlał jej do gardła brandy i posłał na wieś po pomoc medyczną, wszystkie wysiłki spełzyły na niczym; Julia stopniowo gasła, i zmarła, nie odzyskawszy przytomności. Taki straszliwy koniec spotkał moją ukochaną siostrę.

— Chwileczkę — rzekł Holmes. — Czy jest pani pewna, że słyszała ten gwizd i metaliczny dźwięk? Czy może pani przysiąc?

— O to samo pytał mnie podczas przesłuchania koroner hrabstwa. Jestem przekonana, że to słyszałam, a jednak nie mogę wykluczyć, że pośród łoskotu nawałnicy i skrzypienia starego domu być może uległam złudzeniu.

— Czy pani siostra była ubrana?

— Nie, miała na sobie nocną koszulę. W jej prawej ręce znalazłam niedopaloną zapalną, a w lewej całe pudełko.

— Co wskazuje na to, że zaświeciła sobie i rozejrzała się dokoła, kiedy powstało zagrożenie. To jest ważne. A do jakich wniosków doszedł koroner?

— Zbadał całą sprawę bardzo starannie, ponieważ sposób prowadzenia się doktora Roylotta był w hrabstwie od dawna znany, jednak nie zdołał odkryć żadnej przyczyny zgonu. Moje zeznania dowodziły, że drzwi były zabezpieczone od środka, a okna zamknięte staroświeckimi okiennicami z szerokimi żelaznymi sztabami ryglującymi, które zakładano każdej nocy. Ściany starannie opukano i okazało się, że są lite na całej grubości. Równie dokładnie zbadano strop i podłogę, z takim samym wynikiem. Komin jest szeroki, ale zaryglowany czterema wielkimi skoblami. Jest zatem pewne, że siostra w chwili śmierci była zupełnie sama. Poza tym nie znaleziono żadnych śladów, które wskazywałyby, że stosowano wobec niej przemoc.

— A kwestia trucizny?

— Lekarze przebadali ciało również i pod tym względem, jednak bezowocnie.

— A zdaniem pani co mogło być przyczyną zgonu?

— W moim przekonaniu siostra umarła z czystego strachu, na skutek nerwowego wstrząsu, choć nie mogę sobie wyobrazić, co ją tak przeraziło.

— Czy Cyganie byli w tym czasie w swoim obozie?

— Tak, ale oni są tam prawie zawsze.

— Aha. A co pani wnosi z tej wzmianki o wstążce — wstążce w cętki?

— Może było to po prostu majaczenie, ale mogło też odnosić się do jakiejś bandy*, na przykład do tych Cyganów z obozu. A może to dziwne określenie nasunęły jej nakrapiane chustki, które wielu z nich wiąże sobie na głowach.

Holmes pokręcił głową jak człowiek bynajmniej nie usatysfakcjonowany.

— Wkraczamy na bardzo niepewny teren — powiedział.

— Proszę mówić dalej.

— Od śmierci Julii minęły dwa lata i aż do niedawna moje życie było bardziej samotne niż kiedykolwiek. Jednakowoż przed miesiącem pewien drogi memu sercu Przyjaciół poprosił mnie o rękę. Nazywa się Armitage — Percy Armitage — jest młodszym synem pana Armitage'a z Crane Water w pobliżu Reading. Ojczym nie sprzeciwia się temu związkowi i mamy się pobrać wiosną. Dwa tygodnie temu w zachodnim skrzydle domu rozpoczęto jakieś naprawy i w mojej sypialni została przebita ściana, tak że musiałam się przeprowadzić do pokoju, w którym zmarła moja siostra, i spać w jej łóżku. Niech więc pan sobie wyobrazi dreszcz przerażenia, jaki mnie przeniknął, kiedy ostatniej nocy, leżąc rozbudzona i rozmyślając o straszliwym losie Julii, usłyszałam w nocnej ciszy stłumiony gwizd, taki sam, jaki był zwiastunem śmierci siostry. Wskoczyłam z łóżka i zapaliłam lampę, ale w pokoju nie ujrzałam niczego, co zwróciłoby moją uwagę. Byłam jednak zbyt wstrząśnięta, żeby się znów położyć, więc ubrałam się i kiedy tylko zaświtało, wymknęłam się z domu; z położonego naprzeciwko nas zajazdu „Korona” wzięłam dwukółkę i pojechałam do Leatherhead, a prosto stamtąd tutaj, by prosić pana o radę.

— Postąpiła pani rozsądnie — rzekł mój przyjaciel. — Czy jednak opowiedziała mi pani wszystko?

— Tak, wszystko.

— To nieprawda, panno Stoner. Pani osłania swego ojczyma.

— Jak to? Co pan chce przez to powiedzieć? Ignorując pytanie, Holmes zsunął koronkowy mankiet, który okalał jej spoczywającą na kolanie rękę. Pięć odcisniętych niewielkich sinych śladów pięciu palców wyraźnie znaczyło się na jej białym nadgarstku.

— Została pani okrutnie potraktowana — rzekł Holmes. Dama oblała się głębokim rumieńcem i zakryła swój posiniaczony przegub.

— To gruboskórny człowiek — powiedziała. — I chyba nawet nie jest świadomy swej siły.

Nastąpiło długie milczenie. Holmes, wsparłszy głowę na rękach, wpatrywał się w trzaskający na kominku ogień.

— To bardzo poważna sprawa — odezwał się wreszcie. — Istnieje tysiąc szczegółów, które pragnąłbym poznać, zanim zdecyduję, jakie podejmę działanie. Ale nie ma chwili do stracenia. Czy przybywając dziś do Stoke Moran, mielibyśmy możliwość obejrzenia obu tych pokojów bez wiedzy pani ojczyma?

— Tak się składa, że właśnie dziś wspomniał o wyjeździe do miasta w jakiejś sprawie najwyższej wagi. Możliwe więc, że nie będzie go przez cały dzień i nic panom w tym nie przeszkodzi. Mamy teraz gospodynię, ale ona jest stara i niezbyt rozgarnięta, więc nie będzie z nią kłopotu.

— Doskonale. Czy masz coś przeciwko tej podróży, Watsonie?

— Ależ bynajmniej.

— Zatem pojedziemy razem. A jakie są pani plany?

* *the band* znaczy zarówno „wstążka”, jak i „banda” (przyp. tłum.).

— Skoro już jestem w mieście, załatwię tu parę spraw. Wrócę jednak pociągiem o dwunastej, aby już być w domu w chwili przyjazdu panów.

— Proszę nas oczekiwać wczesnym popołudniem. Muszę osobiście dopilnować pewnych spraw zawodowych. Czy nie zostanie pani na śniadaniu?

— Nie, muszę już iść. Odczułam ulgę z chwilą powierzenia panu moich kłopotów. Będę z niecierpliwością czekać na nasze ponowne spotkanie po południu — opuściła na twarz gęstą woalkę i bezszelestnie wysunęła się z pokoju.

— I cóż o tym wszystkim myślisz, Watsonie? — zapytał Holmes, odchylając się na oparcie krzesła.

— Wygląda mi to na nader mroczną i nader niebezpieczną sprawę.

— W rzeczy samej — tyleż mroczną, co niebezpieczną.

— Jeśli jednak ta dama się nie myli, mówiąc, że ściany i stropy są w najlepszym porządku oraz że drzwi, okno i komin są nie do sforsowania, to jej siostra musiała być bez wątpienia sama w chwili, gdy dosięgła ją ta tajemnicza śmierć.

— No dobrze, a co z nocnym gwizdaniem, co z tak osobliwymi słowami, jakie padły z ust umierającej kobiety?

— Nie wiem, co o tym myśleć.

— Jeśli się połączy te nocne gwizdy, obecność bandy i Cyganów, którzy pozostają w zażyłych stosunkach ze starym doktorem, następnie fakt, że mamy wszelkie powody, by sądzić, iż doktor jest zainteresowany niedopuszczeniem do małżeństwa swej pasierbicy, wzmiankę umierającej o wstążce czy też o bandzie i wreszcie to, że panna Helena Stoner usłyszała metaliczny odgłos, który mógł powstać, gdy jedna z metalowych sztab zabezpieczających okno opadła z powrotem na swoje miejsce — to uważam, że istnieją solidne podstawy, aby sądzić, iż tajemnicę można wyjaśnić, podążając tymi właśnie tropami.

— Ale jaka wobec tego była w tym rola Cyganów?

— Nie mam pojęcia.

— Ja osobiście mam wiele zastrzeżeń wobec tego rodzaju historyjek.

— Ja również. I właśnie dlatego jedziemy dziś do Stoke Moran. Chcę sprawdzić, czy te nasze zastrzeżenia są uzasadnione. Ale co to takiego, u diabła?!

Ten wykrzyknik mój towarzysz dobył z siebie w odpowiedzi na gwałtowne rozwarcie się drzwi, które wypełniła sylwetka mężczyzny potężnych rozmiarów. Jego specyficzny ubiór świadczył o tym, że jest to przedstawiciel wolnego zawodu i zarazem posiadacz ziemski. Miał na sobie czarny cylinder, długi surdut, parę wysokich kamaszy. W ręce trzymał szpicrutę. Był tak wysoki, że jego kapelusz otarł się o górną futrynę, a i wszedź zdawał się wypełniać otwór drzwiowy bez reszty. Szeroka twarz zryta tysiącem zmarszczek, ogorzała od słońca i naznaczona wszelkimi szatańskimi namiętnościami, zwracała się to ku jednemu, to ku drugiemu z nas, podczas gdy głęboko osadzone, nabiegłe żółcią oczy i długi, wąski, ostry nos nadawały mu pewne podobieństwo do starego dzikiego ptaka.

— Który z was to Holmes? — zapytała zjawa.

— To moje nazwisko, sir, ale w ten sposób zyskał pan nade mną przewagę — powiedział spokojnie mój towarzysz.

— Jestem doktor Grimesby Roylott ze Stoke Moran.

— Ach tak, doktorze — odparł Holmes uprzejmie. — Proszę, niech pan siada.

— Nie będę nigdzie siadał. Była tu moja pasierbica. Śledziłem ją. Co ona wam tu mówiła?

— Jest dość zimno jak na tę porę roku — powiedział Holmes.

— Co wam mówiła?! — wrzasnął wściekle starzec.

— Ale słyszałem, że krokusy dobrze wróżą — ciągnął mój towarzysz spokojnie.

— Aha! Chcesz się pan mnie pozbyć, tak? — powiedział nasz gość, postępując krok do przodu i potrząsając szpicrutą. — Znam cię, ty kanalio! Słyszałem o tobie. Jesteś Holmes-mąciciel!

Mój przyjaciel uśmiechnął się.

— Holmes—intrygant!

Uśmiech Holmesa się poszerzył.

— Holmes—urzędniczyna Scotland Yardu!

Holmes zachichotał z zadowoleniem.

— Rozmowa z panem to dla mnie największa przyjemność — powiedział. — Kiedy pan będzie wychodził, proszę zamknąć drzwi, ponieważ jest straszny przeciąg.

— Wyjdę, jak powiem to, co mam do powiedzenia. Nie Waz się pan mieszać w moje sprawy. Wiem, że panna Stoner tu była, śledziłem ją! Jestem niebezpiecznym człowiekiem, jeśli mi się wejdzie w drogę. Popatrz pan — zrobił kilka szybkich kroków, chwycił pogrzebacz i wygiął go w podkowę swymi opalonymi rękami. — Pilnuj się pan, żeby mi nie wpaść w łapy — szczeknął, cisnął wykrzywiony pogrzebacz do kominka i wymaszerował z pokoju.

— Wygląda na bardzo sympatyczną osobę — rzekł Holmes ze śmiechem. — Nie jestem taki barczysty jak on, ale gdyby pozostał tu dłużej, mógłbym mu udowodnić, że w rękach jestem niewiele słabszy od niego — mówiąc to, podniósł pogrzebacz i nagłym ruchem wyprostował go na powrót.

— Ale że też ma czelność mylić mnie z oficjalną instytucją śledczą! Incydent ten wszakże przydaje temu dochodzeniu pikanterii. Ufam tylko, że nasza mała przyjaciółka nie odpokutuje za swoją nieostrożność, wskutek której ten bydlak mógł ją śledzić. Teraz zaś, Watsonie, każdy sobie podać śniadanie, a następnie przejdę się do miejskich archiwów sądowych, gdzie mam nadzieję znaleźć pewne dane, które mogą nam pomóc w tej sprawie.

Była już prawie pierwsza, kiedy Sherlock Holmes powrócił ze swojej wycieczki. W rękę trzymał płachtę błękitnego papieru zabazgranego notatkami i liczbami.

— Widziałem testament jego zmarłej żony — powiedział. — Aby określić właściwe znaczenie tego dokumentu, byłem zmuszony wyliczyć obecną wartość inwestycji, których dotyczy. Ogólny dochód roczny, w chwili śmierci żony wynoszący niemal tysiąc sto funtów, obecnie z powodu spadku cen w rolnictwie wynosi nie więcej niż siedemset pięćdziesiąt funtów. Każda z córek w wypadku wyjścia za mąż może sobie rościć prawo do dwustu pięćdziesięciu funtów. Jest zatem oczywiste, że gdyby obie pasierbice zawarły małżeństwa, ta okrągła sumka zamieniłaby się w kwotę żalospną, a nawet jeden mariaż nadwerężyłby ją w niemałym stopniu. Moja poranna praca nie poszła na marne, ponieważ dostarczyła dowodu na to, że doktor ma jak najsilniejsze motywacje, by torpedować wszelkie kroki zmierzające w tym kierunku. Tak więc, Watsonie, rzecz jest zbyt poważna, aby mitrężyć czas, zwłaszcza że ten starzec wie o naszym zaangażowaniu się w jego sprawy. Jeśli zatem jesteś gotowy, wezwijmy dorożkę i jedźmy na Dworzec Waterloo. Będę ci wielce zobowiązany, jeśli wsuniesz do kieszeni swój pistolet. Eley numer dwa jest znakomitym argumentem w obcowaniu z dżentelmenem, który potrafi zawiązywać na supeł pogrzebacz. Pistolet plus szczoteczki do zębów to wszystko, czego nam potrzeba.

Mieliśmy szczęście i od razu złapaliśmy pociąg do Leatherhead, a na miejscu w zajeździe kolejowym wynajęliśmy dwukółkę, by przebyć nią cztery czy pięć mil pięknymi drózkami hrabstwa Surrey. Dzień był wspaniały — rozświetlony jasnymi promieniami słońca, a po niebie przemykały nieliczne chmurki. Drzewa i przydrożne żywopłoty zaczynały się właśnie zielenić, a powietrze wypełniała woń wilgotnej ziemi. Ja przynajmniej wyczuwałem silny kontrast między tym pełnym słodczy zwiastowaniem wiosny a ponurym śledztwem, w jakie się zaangażowaliśmy. Mój towarzysz siedział na przodzie dwukółki z założonymi rękami, z kapeluszem nasuniętym na oczy, brodą wciśniętą w pierś — zagłębiał się bez reszty w myślach. Ale nagle drgnął, klepnął mnie w ramię i wskazał ręką ponad łąkami.

— Spójrz tam — powiedział.

Na łagodnym zboczu rozciągał się park z młodymi drzewami, w najwyższym punkcie przechodzący w gęsty zagajnik. Między gałęziami drzew prześwitywały szare ściany szczytowe i wysoki dach bardzo starego dworu.

— Stoke Moran — rzekł.

— Tak, sir, to dom doktora Grimesby'ego Roylotta — zauważył woźnica.

— Tam są prowadzone jakieś prace budowlane — powiedział Holmes. — I tam też zmierzamy.

— Tu jest wieś — wyjaśnił woźnica, wskazując na skupisko dachów widoczne w pewnej odległości po lewej stronie drogi — ale jeśli pan chce dostać się do dworu, to będzie bliżej, jak się przejdzie przez płot, a potem pójdzie polami. Tak właśnie, jak idzie ta pani.

— A tą panią jest, mniemam, panna Stoner — Holmes patrzył przed siebie, przysłaniając sobie dłonią oczy. — Tak. Uważam, że powinniśmy pójść za pańską radą.

Zsiedliśmy z powozu, zapłaciliśmy za przejazd i dwu — kółka z turkotem zawróciła do Leatherhead.

— Pomyślałem sobie również — powiedział Holmes, kiedy przelaziliśmy przez ogrodzenie — że będzie dobrze, jeśli ten jegomość weźmie nas za architektów, którzy przyjechali tu w jakimś określonym interesie. Może to go powstrzyma od plotkowania. Dobry wieczór, panno Stoner. Jak pani widzi, dotrzymujemy danego słowa.

Nasza poranna klientka przyspieszyła kroku, żeby nas powitać, a na jej twarzy odmalowała się radość.

— Czekałam na panów z wielką niecierpliwością — zawołała, serdecznie ściskając nam dłonie. — Wszystko wspaniale się ułożyło. Doktor Roylott wyjechał do miasta i jest nieprawdopodobne, aby wrócił przed wieczorem.

— Mielśmy już przyjemność zawrzeć z panem doktorem znajomość — rzekł Holmes i w kilku słowach opisał, co się wydarzyło. Słuchając tego, panna Stoner zbladła jak płótno.

— Wielkie nieba! — krzyknęła. — A więc on szedł za mną!

— Na to wygląda.

— Jest to człowiek tak przebiegły, że nigdy nie wiem, czy mi coś z jego strony nie zagraża. Ciekawe, co też mi powie po powrocie do domu?

— To on powinien mieć się na baczności, bo może się przekonać, że na jego tropie jest ktoś bardziej od niego przebiegły. Dziś w nocy musi pani zamknąć się przed nim na klucz. Jeśli będzie agresywny, zawieziemy panią do jej ciotki w Harrow. A teraz musimy jak najlepiej wykorzystać dany nam czas. Proszę nas od razu zaprowadzić do pokoi, które zamierzamy zbadać.

Budynek był wzniesiony z szarego, dziś już omszałego kamienia, miał wysoką część środkową i dwa niższe skrzydła, niczym wyrzucone na boki kleszcze kraba. W lewym skrzydle okna były zabite deskami, a dach nad nim, częściowo zapadły, przedstawiał obraz ruiny. Część środkowa znajdowała się w nieco lepszym stanie, a prawe skrzydło wyglądało na względnie zadbane; firanki w oknach i błękitny dym wydobywający się z kominów świadczyły o tym, że tam właśnie mieszka rodzina. Na ścianie Szczytowej tego skrzydła stało rusztowanie przeznaczone do robót kamieniarskich, ale podczas naszej wizyty nie dostrzegliśmy śladu robotnika. Holmes spacerował z wolna wzdłuż niechlujnie utrzymanego trawnika i w najgłębszym skupieniu badał okna od zewnątrz.

— To okno, jak wnoszę, należy do pokoju, w którym zazwyczaj pani spała, środkowe należało do pani siostry, a kolejne, najbliższe głównego budynku, do doktora Roylotta?

— Właśnie tak. Teraz jednak sypiam w pokoju środkowym.

— Z powodu przeróbek, jak rozumiem. A przy okazji — nie wydaje się, żeby istniała jakaś nagła potrzeba naprawy ściany przy tym skrzydle.

— Nie ma żadnej. Uważam, że chodzi tu tylko o pretekst, żeby się wyprowadzić z mojego pokoju.

— Aha! To daje do myślenia. Dalej, po drugiej stronie tego wąskiego skrzydła biegnie korytarz. On, oczywiście, ma okna?

— Tak, ale bardzo małe. Zbyt wąskie, aby ktokolwiek mógł się przez nie przecisnąć.

— Skoro obie panie zamykały się na noc na klucz, ich pokoje były od tej strony niedostępne. A teraz czy zechciałyby pani łaskawie wejść do swego pokoju i zaryglować okiennice?

Panna Stoner spełniła jego prośbę, a Holmes, po starannych oględzinach okiennicy przez otwarte okno, usiłował ją wszelkimi sposobami otworzyć siłą, jednak bez powodzenia. Nie było tam najmniejszej szczeliny, do której dałoby się wsunąć nóż i podważyć nim sztabę. Następnie za pomocą lupy sprawdził zawiasy, te jednak były wykonane z litego żelaza i mocno osadzone w murze.

— Hm, hm! — mruknął, skrobiąc się w brodę z niejakim zakłopotaniem. — Moja teoria napotyka niewątpliwie pewne trudności. Nikt nie mógł pokonać okiennic, gdy były zaryglowane. No cóż, popatrzmy, czy wewnątrz nie znajdziemy jakiegoś wyjaśnienia sprawy.

Małe boczne drzwi prowadziły do pomalowanego na biało korytarza, z którego wchodziło się do wszystkich trzech sypialni. Holmes poniechał zbadania trzeciej izby i przeszliśmy od razu do drugiej, w której sypiała teraz panna Stoner i gdzie przeznaczenie dosięgnęło jej siostrę. Był to przytulny niewielki pokój z niskim sufitem i otwartym kominkiem w stylu staroświeckich wiejskich domostw. W jednym rogu stała brązowa komoda, w drugim wąskie, pokryte białą kapą łóżko, a na lewo od okna gotowalnia. Sprzęty te wraz z dwoma wiklinowymi krzeselkami składały się na umeblowanie pokoju, nie licząc prostokątnego wiltonowskiego dywanu na środku. Belki i ściennie boazerie ze starego dębu były brązowe, wyżarte przez robactwo i tak bardzo odbarwione, że pewnie jeszcze pamiętały czasy, kiedy wznoszono ten budynek. Holmes zaciągnął jedno z krzeseł w róg pokoju, usiadł tam i w milczeniu wodził wzrokiem po całym pomieszczeniu, wszerz i wzdłuż, w górę i w dół, chłonąc każdy szczegół.

— Z czym ma połączenie ten dzwonek? — zapytał wreszcie, wskazując na zwisającą przy łóżku grubą linkę od dzwonka, której pompon leżał teraz na poduszce.

— Z pokojem gospodyni.

— Czy nie wygląda, jakby był nowszy niż inne przedmioty?

— Tak. Został założony dopiero przed kilku laty.

— Na prośbę pani siostry, jak przypuszczam?

— Nie. Nigdy nie słyszałam, żeby go używała. W razie jakiejś potrzeby zazwyczaj radziłyśmy sobie same.

— Więc chyba zbędne było umieszczanie w tym miejscu tak efektownej linki od dzwonka. Proszę o chwilę cierpliwości, zanim zaspokoję swoją ciekawość co do podłogi — rzucił się twarzą w dół z lupą w ręce i pełzał żwawo w przód i w tył, badając drobiazgowo szczeliny między deskami. Następnie uczynił to samo z drewnem, którym wyłożone były ściany. W końcu podszedł do łóżka i wpatrywał się w nie przez pewien czas, a potem przyglądał się ścianie, wodząc wzrokiem w górę i w dół. Wreszcie chwycił za linkę dzwonka i raptownie ją pociągnął.

— Ależ to jest atrapa — powiedział.

— Nie dzwoni?

— Nie. Nie jest nawet przymocowany do drutu. To bardzo ciekawe. Widać, że zaczepiono go na haku tuż nad małym otworem wentylacyjnym.

— Cóż za nedorzecznosc! Jak mogłam tego nie zauważyć!

— Bardzo dziwne! — mruknął Holmes, pociągając za linkę. — W tym pokoju zadziwia mnie jedna, a może dwie sprawy. Na przykład jakież głupi musiał być budowniczy, który wykonał wywietrznik prowadzący do innego pokoju, gdy w ten sam sposób mógł przecież doprowadzać powietrze z zewnątrz!

— On również jest całkiem świeżej daty — rzekła dama.
— Wykonany mniej więcej w tym samym czasie co linka dzwonka — zauważył Holmes.
— Tak. W tym okresie dokonano kilku drobnych zmian.
— Które wydają się mieć niezwykle interesujący charakter — pseudodzwonki, wywietrzniki, które nie wietrzą. Jeśli pani pozwoli, przeniesiemy teraz nasze poszukiwania do kolejnego pomieszczenia.

Pokój doktora Grimesby'ego Roylotta był większy od sypialni jego pasierbicy, ale umeblowany równie skromnie. Łóżko polowe, nieduża drewniana półka z książkami, głównie o tematyce technicznej, fotel obok łóżka, zwykle drewniane krzesło pod ścianą, okrągły stół i duży żelazny sejf. Holmes chodził wolno po pokoju i przyglądał się wszystkim przedmiotom z najżywszym zainteresowaniem. 88

— Co jest w środku? — zapytał, stukając ręką w sejf.
— Dokumenty handlowe mego ojczyma.
— Ach, więc je pani widziała?
— Tylko raz, kilka lat temu. Pamiętam, że sejf był nimi wypełniony po brzegi.
— A nie ma tam w środku na przykład kota?
— Nie, cóż to za dziwaczny pomysł!
— No, a proszę spojrzeć na to — podniósł małą miseczkę z mlekiem, która stała na sejfie.
— Nie, nie trzymamy kota. Ale jest przecież gepard, a także pawian.
— Ach tak, oczywiście! Wszak gepard to duży kot, choć śmiem twierdzić, że taka miseczka nie zaspokoi w pełni Jego apetytu. Jest jeszcze jedna rzecz, którą pragnąłbym ustalić — przykucnął naprzeciw drewnianego krzesła i z największą uwagą badał jego siedzenie. — Dziękuję.

Załatwione — rzekł, prostując się i chowając lupę do kieszeni. — Ale, ale! Tu jest coś ciekawego!

Przedmiotem, który przyciągnął wzrok Holmesa, był krótki bicz, który wisiał na rogu łóżka, wygięty i związany tak, że jego trzaskawka tworzyła pętlę.

— Co o tym sądzisz, Watsonie?
— No cóż, całkiem zwyczajny bat. Nie rozumiem tylko, w jakim celu został tak związany.

— I to właśnie nie jest całkiem zwyczajne. A niech to! Ten świat jest niegodziwy, a już najgorzej, gdy inteligentny człowiek wysila umysł w zbrodniczych celach. Myślę, panno Stoner, że wystarczy tego, co zobaczyłem, i jeśli pani pozwoli, wyjdziemy teraz na trawnik.

Nigdy jeszcze nie widziałem na twarzy mego przyjaciela takiej zawziętości, jego czoła tak chmurnego jak wówczas, kiedy opuszczał scenę tego śledztwa. Przespacerowaliśmy się kilkakrotnie tam i z powrotem po trawniku i ani panna Stoner, ani ja nie chcieliśmy zakłócać myśli Holmesa, dopóki nie otrząśnie się z zadumy.

— Jest rzeczą niezwykle istotną — powiedział wreszcie po dłuższej chwili — żeby pani absolutnie i pod każdym względem zastosowała się do moich rad.

— Tak też z pewnością uczynię.
— Sprawa jest zbyt poważna, żeby można było sobie pozwolić na jakiegokolwiek wahanie. Od pani karności może zależeć jej życie.

— Zapewniam, że będę panu we wszystkim posłuszna.
— A zatem, po pierwsze — ja i mój przyjaciel musimy spędzić noc w pani pokoju. Oboje z panną Stoner popatrzeliśmy na niego zdziwieni.
— Tak właśnie musi być. Proszę pozwolić, że wyjaśnię. Jest tu gdzieś chyba w pobliżu jakiś zajazd?

— Tak, nazywa się „Korona”.
— Bardzo dobrze. Czy pani okna są stamtąd widoczne?
— Z pewnością.

— Kiedy wróci ojczym, musi pani pod pretekstem bólu głowy zamknąć się w pokoju. Następnie, po upewnieniu się, że już poszedł do siebie, proszę otworzyć okiennice, odsunąć skobel, postawić na parapecie lampę, która będzie sygnałem dla nas. Później schowa się pani w swoim dawnym pokoju, zabierając ze sobą wszystko, co uzna za potrzebne. Nie wątpię, że mimo remontu jakoś sobie pani przez jedną noc poradzi.

— Ależ tak, z łatwością.

— Reszta należy do nas.

— Ale co panowie zrobią?

— Spędzimy noc w pani pokoju i zbadamy źródło hałasu, który panią zaniepokoił.

— Widzę, panie Holmes, że doszedł pan już do jakiegoś wniosku — powiedziała panna Stoner, dotykając rękawem mego towarzysza.

— Chyba tak.

— A więc, na miłość boską, niech mi pan powie, co było przyczyną śmierci mojej siostry!

— Wolałbym mieć pewniejsze dowody, zanim odpowiem na to pytanie.

— Może mi pan przynajmniej powiedzieć, czy słuszny jest mój domysł, że zmarła wskutek nagłego przerażenia.

— Nie, nie sędzę. Uważam, że prawdopodobnie był jakiś inny, bardziej konkretny powód. Teraz jednak, panno Stoner, musimy już iść, bo jeżeli zostanie nas tu doktor Roylott, to cała nasza wyprawa zakończy się fiaskiem. Do widzenia i proszę być dzielną! Jeśli zrobi pani wszystko, o czym mówiłem, to z całą pewnością wkrótce odsuniemy od pani wszelkie zagrożenia.

Nie mieliśmy żadnych kłopotów z wynajęciem sypialni z salonikiem w zajeździe „Korona”. Nasze pokoje znajdowały się na piętrze, z którego mieliśmy widok na bramę wjazdową oraz na zamieszkane skrzydło dworu Stoke Moran. O zmierzchu ujrzeliśmy przejeżdżającego obok zajazdu doktora Grimesby’ego Roylotta. Jego potężna sylwetka górowała nad drobną postacią powożącego młodego stajennego. Chłopiec miał jakieś trudności z otwarciem ciężkich żelaznych wrót i dobiegł nas grubiański ryk doktora, który, jak mogliśmy to dojrzeć, z wściekłością wymachiwał zaciśniętymi pięściami nad woźnicą. Dwukółka zniknęła, a za kilka chwil zobaczyliśmy rozbłysk światła pośród drzew, gdy w jednym z pokoi zapalono lampę.

— Wiesz co, Watsonie — powiedział Holmes, kiedy usiedliśmy w gęstniejących ciemnościach — mam poważne wątpliwości co do tego, czy cię zabrać ze sobą tej nocy. Kryje się w tym bardzo wyraźny element zagrożenia.

— Czyżby moja pomoc była ci niepotrzebna?

— Twoja obecność mogłaby być nieoceniona.

— A więc oczywiście idę.

— To bardzo uprzejme z twojej strony.

— Mówisz o niebezpieczeństwie. W tych pokojach dostrzegłeś niewątpliwie coś więcej niż ja.

— Nie, ale, jak miemam, mogłem nieco więcej wydedukować. Przypuszczam, że obaj widzieliśmy to samo.

— Nie zauważyłem niczego szczególnego poza linką od dzwonka i nie mogę sobie wyobrazić, jakim celom miałaby ona służyć.

— Zwróciłeś też uwagę na wywietrznik, prawda?

— Tak, ale nie uważam niewielkiego otworu w ścianie między pokojami za coś niezwykłego. Jest tak mały, że nawet sznur z trudnością by się przezeń przecisnął.

— O tym, że powinniśmy znaleźć wywietrznik, wiedziałem jeszcze przed przyjazdem do Stoke Moran.

— Mój drogi Holmesie!

— Ależ tak, wiedziałem o tym. Czy pamiętasz, jak w swojej relacji panna Stoner nadmieniła, że jej siostra mogła czuć zapach cygar doktora Roylotta? To oczywiście wskazywało, że między tymi dwoma pokojami musi istnieć jakieś połączenie. Mogło ono być tylko bardzo niewielkie, gdyż w przeciwnym wypadku zostałyby odnotowane w dochodzeniu koronera. Domyśliłem się istnienia wywietrznika.

— Ale cóż mogłoby się w tym kryć?

— Zachodzi tu co najmniej osobliwa zbieżność faktów. Wywietrznik w ścianie, sznurek zawieszony na haku, i oto śpiąca w tym łóżku kobieta umiera. Czy to nie jest dla ciebie szokujące?

— Nie dostrzegam żadnego związku.

— Czy nie zaobserwowałeś niczego szczególnego w związku z łóżkiem?

— Nie.

— Jest przytwierdzone do podłogi. Czy kiedykolwiek widziałeś coś podobnego?

— Nie przypominam sobie.

— Ta dama nie mogła przesunąć łóżka. Musiało pozostawać w tej samej pozycji w stosunku do wywietrznika i sznurka, bo tak go możemy nazwać, skoro najwyraźniej nigdy nie był przeznaczony do uruchamiania dzwonka.

— Holmesie! — zawołałem. — Zaczynam niejasno przeczuwać, do czego zmierzasz. Zdążyliśmy w samą porę, aby zapobiec jakiejś wyrafinowanej i przerażającej zbrodni.

— Zaiste i wyrafinowanej, i przerażającej. Kiedy na złą drogę schodzi lekarz, to staje się zbrodniarzem największym. Jest bardzo opanowany i posiada wiedzę. Palmer i Pritchard należeli do elity w swej profesji. Ten zaś człowiek uderza nawet bardziej przebiegle, sądzę jednak, Watsonie, że my okazemy się jeszcze sprytniejsi. Ale zanim noc dobiegnie końca, czeka nas wystarczająco dużo przerażających wrażeń; wypalmy sobie, na Boga, spokojnie po fajce i niech nasze myśli ulecą ku czemuś bardziej radosnemu.

Około dziewiątej światło pośród drzew zgasło i dwór pogąrzył się w ciemności. Minęły leniwie dwie godziny, gdy nagle, wraz z uderzeniem jedenastej, zabłysło pojedyncze światło dokładnie na wprost naszego okna.

— To sygnał dla nas — powiedział Holmes, podrywając się z krzesła. — Światło ze środkowego okna.

Kiedy wychodziliśmy, zamienił kilka słów z gospodarzem, wyjaśniając mu, że wybieramy się z późną wizytą do pewnego znajomego i niewykluczone, że pozostaniemy tam na noc. Po chwili byliśmy już na ciemnej drodze, czując na twarzach chłodny powiew wiatru i mając przed sobą żółte światło, które mrugało w mroku niczym drogowskaz wiodący nas ku ponuremu celowi.

Na teren posiadłości dostaliśmy się bez kłopotu, ponieważ ogrodzenie starego parku ziało nienaprawionymi wyrwami. Pokonawszy drogę wśród drzew, dotarliśmy do trawnika, przecięli go i już zamierzaliśmy wejść do środka przez okno, kiedy z kępy laurowego krzewu wyskoczyło coś, co wyglądało jak ohydne kalekie dziecko, i na swych powykręcanych kończynach popędziło przez trawnik jak strzała przed siebie i zniknęło w ciemnościach.

— Mój Boże! — wyszeptałem. — Widziałeś to?

Przez chwilę Holmes był równie wstrząśnięty jak ja. W podnieceniu zacisnął dłoń wokół mego nadgarstka. Następnie wybuchnął cichym śmiechem i zbliżył usta do mego ucha.

— Przyjemni domownicy — mruknął. — To był pawian. Zapomniałem o tych ulubieńcach doktora. Był jeszcze gepard; w każdej chwili mogliśmy poczuć go na swoich plecach. Przyszłą, że zrobiło mi się lżej na sercu, gdy idąc za przykładem Holmesa, zsunąłem buty i znalazłem się w sypialni. Mój towarzysz bezszelestnie zamknął okiennice, przeniósł lampę na stół i obrzucił pokój spojrzeniem. Wszystko wyglądało tak jak za dnia. Następnie podkradł się

ku mnie i ułożywszy dłoń w trąbkę, wyszeptał mi do ucha tak cicho, że z trudem zdołałem usłyszeć jego słowa:

— Najmniejszy dźwięk może zniweczyć wszystkie nasze plany.

Kiwnąłem głową na znak zrozumienia.

— Musimy się obejść bez światła. Dostrzegłby je przez wywietrznik.

Ponownie skinąłem głową.

— Tylko nie zaśnij, bo od tego może zależeć twoje życie. Przygotuj pistolet na wypadek, gdyby się okazał potrzebny. Ja usiądę na skraju łóżka, a ty spocznij na tym krześle.

Wyjąłem pistolet i umieściłem go na rogu stołu. Holmes miał przy sobie długą trzcinową laszkę, którą wraz z pudełkiem zapalek i ogarkiem świecy położył obok siebie na łóżku. Następnie zgasił lampę.

Chyba nigdy nie zapomnę tego przerażającego czuwania. Nie słyszałem najmniejszego dźwięku, nawet oddechu mojego towarzysza — wiedziałem, że siedzi o kilka stóp ode mnie, czujny, choć jest w stanie podobnie nerwowego napięcia jak ja sam. Okiennece odcięły nas od ostatniego źródła światła i nasze oczekiwanie przebiegało w absolutnej ciemności. Z zewnątrz dały się słyszeć sporadyczne krzyki nocnego ptaka, a raz, tuż przy naszym oknie, rozbrzmiał przeciągły, jakby koci skowyt, który nam uświadomił, że gepard rzeczywiście chodzi po tym terenie wolno. Z daleka dobiegał głęboki dźwięk zegara bijącego na wieży parafialnego kościoła, odzywający się co kwadrans. Jakże długie wydawały się nam te kwadranse! Minęła dwunasta, pierwsza, druga i trzecia, a my wciąż czekaliśmy w milczeniu na to coś, co miało się wydarzyć.

Nagle w górze od strony wywietrznika pojawił się przelotny błysk światła, który natychmiast znikł, a w ślad za nim przypląnęła silna woń palącej się oliwy i rozgrzanego metalu. Ktoś w sąsiednim pokoju zapalił ślepą latarkę. Usłyszałem cichy odgłos, jakby coś się poruszało, i znowu zapadła cisza, lecz woń stała się intensywniejsza. Przez pół godziny siedziałem, wyęzając słuch. Nagle dał się słyszeć inny dźwięk — niezwykle delikatny, łagodny odgłos, jak gdyby z czajnika dobywał się cienki strumyczek pary. Słyszając to, Holmes błyskawicznie zeskoczył z łóżka, zaświecił zapalkę i smagnął wściekle swą trzciną po linie do dzwonka.

— Widzisz to, Watsonie?! — ryknął. — Widzisz to?!

Ja jednak nie widziałem nic. W chwili kiedy błysnęła potarta zapalka, usłyszałem cichy, wyraźny gwizd, jednak nagły błysk, który poraził moje zmęczone oczy, uniemożliwił mi zorientowanie się, co było obiektem tak szalonego ataku mojego przyjaciela. Zauważyłem jednak śmiertelną bladość jego twarzy wyrażającej przerażenie i odrazę.

Kiedy wreszcie przestał walić trzciną i wpatrywał się w wywietrznik, z ciszy nocy dobył się najstraszliwszy krzyk, jaki kiedykolwiek słyszałem. Nateżał się z każdą chwilą — chrapliwy ryk bólu, przerażenia i strachu stopionych w jeden skowyt. Opowiadają, że daleko we wsi, a nawet na odległej plebanii, ów krzyk zerwał ludzi z łóżek. Ściął nam krew w żyłach i wpatrzeni w siebie staliśmy tak długo, aż jego ostatnie echo zamarło w ciszy, z której się wydobyl.

— Co to może znaczyć? — wydyszałem.

— To, że jest już po wszystkim — odparł Holmes. — I chyba w końcu tak jest najlepiej. Bierz pistolet i wchodzimy do pokoju doktora Roylotta.

Z poważną miną zapalił lampę i ruszył przodem wzdłuż korytarza. Dwukrotnie zapukał do drzwi, ale nie doczekał się odpowiedzi. Nacisnął klamkę i wszedł do środka, a ja tuż za nim z pistoletem w ręce.

Naszym oczom ukazał się niezwykle widok. Na stole stała ślepa latarka z na w pół odsuniętą zastawką, rzucająca jaskrawy snop światła na żelazny sejf, którego drzwiczki były uchylone. Obok stołu na drewnianym krześle siedział doktor Grimesby Roylott, ubrany w długi szary szlafrok, spod którego wystawały nagie kostki i stopy wsunięte w tureckie

pantofle bez pięt. Na jego kolanach leżał osadzony na krótkim trzonku długi bicz, który zauważyliśmy za dnia. Broda Roylotta sterczała ku górze, a oczy ze straszliwym, nieruchomym spojrzeniem były wlepione w róg pokoju pod sufitem. Na czole miał dziwną żółtą wstęgę nakrapianą brązowymi cętkami, która zdawała się ciasno opasywać mu głowę. Kiedy weszliśmy, nie wypowiedział słowa ani się nie poruszył.

— Wstążka! Wstążka w cętki! — szepnął Holmes. Postąpiłem krok do przodu. W tym momencie dziwne nakrycie głowy Roylotta zaczęło się poruszać, a spośród włosów doktora wyłonił się pękaty łebek w kształcie rombu i bufiasta szyja odrażającego węża.

— To żmija bagienna! — krzyknął Holmes. — Najjadowitszy wąż w Indiach. Ten człowiek zmarł w ciągu dziesięciu sekund od ukąszenia. Prawda to, że przemoc obraca się przeciwko temu, kto po nią sięga, i że ten, kto pod kimś kopie dołki, sam w nie wpada. Wepchnijmy to stworzenie z powrotem do jego dotychczasowej kryjówki, abyśmy mogli przenieść pannę Stoner w jakieś spokojne miejsce i powiadomić policję o tym, co się wydarzyło.

Mówiąc to, porwał bicz z kolan martwego mężczyzny i zarzuciwszy pętlę na szyję gada, ściągnął go z jego straszego legowiska, a potem poniósł, trzymając w wyprostowanej ręce, wrzucił do wnętrza żelaznego sejfu i zatrasnął za nim drzwiczki.

Tak wyglądała w rzeczywistości śmierć doktora Grimesby'ego Roylotta ze Stoke Moran. Nie ma potrzeby, abym nadmiernie przedłużał tę i tak już zbyt rozwlekłą relację, opowiadając, w jaki sposób przekazaliśmy smutne wieści przerażonej dziewczynie, jak zawieźliśmy ją porannym pociągiem pod opiekę poczciwej ciotki w Harrow, jak niespiesznie toczące się oficjalne śledztwo doprowadziło do konkluzji, że doktora spotkał ten los podczas nieostrożnej zabawy z jego groźnym ulubieńcem. Niewielką lukę w mojej wiedzy o tej sprawie Sherlock Holmes uzupełnił nazajutrz podczas naszej podróży powrotnej.

— Doszedłem do całkowicie błędnych wniosków — powiedział — co dowodzi, mój drogi Watsonie, jak zawsze niebezpieczne jest rozumowanie na podstawie zbyt skąpych danych. Obecność Cyganów i słowo „wstążka”, którego ta nieszczęsna dziewczyna użyła, chcąc niewątpliwie przekazać to, co przez mgnienie oka ujrzała w błysku zapałki, wystarczyły, żeby mnie pchnąć na zupełnie błędny trop. Mogę sobie tylko o tyle pogratulować, że swój pogląd natychmiast zrewidowałem, kiedy stało się dla mnie jasne, iż zagrożenie dla lokatora tego pokoju nie mogło przyjść ani przez drzwi, ani przez okno. Moja uwaga skupiła się więc, jak ci to już wspominałem, na wywietrzniku i sznurze od dzwonka zawieszonym nad łóżkiem. Odkrycie, że to tylko imitacja oraz że łóżko jest przytwierdzone do podłogi, od razu nasunęło mi podejrzenie, iż sznur służył jako pomost czemuś, co przechodzi przez otwór wywietrznika i dociera do łóżka. Natychmiast pomyślałem o wężu i kiedy skojarzyłem to z informacją o odebraniu przez doktora dostawy zwierząt z Indii, poczułem, że prawdopodobnie podążam właściwym tropem. Pomysł użycia tego rodzaju trucizny, która przypuszczalnie nie mogłaby zostać wykryta za pomocą żadnego chemicznego testu, mógł się zrodzić w umyśle człowieka bezwzględniego, który ma za sobą doświadczenie zdobyte na Wschodzie. Z jego punktu widzenia szybkość działania takiej trucizny mogła również stanowić zaletę. Musiałby to być zaiste bystrooki koroner, aby dostrzec dwa ciemne nakłucia wskazujące na miejsca, gdzie jadowe zęby węża dokonały swego dzieła. Następnie rozważyłem sprawę gwizdu. Zbrodniarz musiał oczywiście przywołać węża z powrotem, zanim w świetle poranka zwierzę stanie się widoczne dla dziewczyny. Ćwiczył więc jego powroty na sygnał, prawdopodobnie posługując się mlekiem, które zauważyliśmy wcześniej. Wsuwał węża przez wywietrznik w porze, którą uważał za najlepszą, mając pewność, że stworzenie spełźnie po sznurze w dół i wyląduje na łóżku. Wąż mógł, ale nie musiał ukąsić śpiącej kobiety; być może unikała ona swego losu przez kolejne noce w ciągu całego tygodnia, jednak prędzej czy później musiała zginąć.

Do wniosków tych doszedłem, zanim się jeszcze znalazłem w jego pokoju. Zbadanie krzesła wykazało, że doktor miał zwyczaj na nim stawać, co oczywiście było konieczne, jeśli się chciało dosięgnąć do wywietrznika. Widok sejfów, miski z mlekiem i pętli z biczem wystarczył, aby rozwiać jakiegokolwiek istniejące jeszcze wątpliwości. Metaliczny szczęk, jaki usłyszała panna Stoner, był rzecz oczywista spowodowany szybkim zatrzaśnięciem drzwiczek sejfów za jego straszliwym mieszkańcem. Kiedy ostatecznie powziąłem decyzję, poczyniłem znane ci już kroki w celu sprawdzenia, czy mam rację. Gdy usłyszałem syk tego stworzenia, a nie wątpię, że ty także, natychmiast zapaliłem światło i zaatakowałem.

— Wskutek czego umknęło przez wywietrznik.

— I wskutek czego zwróciło się przeciw swemu panu po drugiej stronie ściany. Jeden z moich ciosów był celny i wzbudził gadzią złość węża, tak że rzucił się na pierwszą napotkaną osobę. A zatem jestem niewątpliwie pośrednio odpowiedzialny za śmierć doktora Grimesby'ego Royleta — ta i nie mogę rzec, żeby to mi jakoś specjalnie ciążyło na sumieniu.

SREBRNY PŁOMIENIĆ

(THE ADVENTURE OF SILVER BLAZE)

— Obawiam się, Watsonie, że będę musiał wyjechać — powiedział Holmes, gdy pewnego poranka zasiedliśmy do śniadania.

— Wyjechać? Dokąd?

— Na płaskowyż Dartmoor, a konkretnie do King's Pyland.

Nie byłem zaskoczony. Dziwiło mnie jedynie to, że Holmes aż do tej pory nie został wmieszany w tę niezwykłą sprawę, która była głównym tematem rozmów jak Anglia długa i szeroka. Przez cały poprzedni dzień mój przyjaciel krążył po pokoju z brodą wciśniętą w pierś, ze zmarszczonym czołem, to czyszcząc, to ponownie nabijając fajkę najmocniejszym czarnym tytoniem, całkowicie głuchy na moje pytania czy uwagi. Najnowsze wydania wszystkich gazet nasz kioskarcz przysyłał nam tylko po to, aby po pobieżnym przejrzeniu lądowały w kącie pokoju. Jednak mimo milczenia Holmesa doskonale wiedziałem, nad czym rozmyśla. Istniała tylko jedna zajmująca opinię publiczną sprawa, która mogłaby stanowić wyzwanie dla jego analitycznych zdolności, a było to dziwne zniknięcie faworyta gonitwy o Puchar Wes — seksu oraz zamordowanie jego trenera. A zatem kiedy nie nagle zawiadomił o zamiarze obejrzenia sceny, na której rozegrał się ów dramat, uczynił tylko to, czego właśnie z nadzieją oczekiwałem.

— Byłbym najszcześliwszy, mogąc pojechać razem z tobą, o ile nie będę ci przeszkadzał — powiedziałem.

— Mój drogi Watsonie, wyświadczyłbyś mi wielką łaskę, jadąc ze mną. I sądzę, że nie byłby to dla ciebie czas stracony, ponieważ są w tej sprawie punkty, które mogą z niej uczynić przypadek absolutnie wyjątkowy. Myślę, że zdążymy jeszcze na pociąg z Dworca Paddington, więc ze wszystkimi problemami zaznajomię cię dokładniej już w czasie podróży. Byłbym zobowiązany, gdybyś zabrał ze sobą swą znakomitą lornetkę polową.

I tak oto mniej więcej godzinę później siedziałem wciśnięty w róg przedziału wagonu pierwszej klasy pociągu pędzącego do Exeter. Sherlock Holmes swą bystrą, ożywioną twarz w obramowaniu podróźnej czapki z opuszczanymi nausznikami natychmiast zanurzył w stosie najświeższych gazet, które zdobył na Dworcu Paddington. Dopiero kiedy zostawiliśmy daleko za sobą Reading, wcisnął ostatnią z nich pod fotel i podsunął mi pudełko z cygarami.

— Jedziemy zgodnie z rozkładem — powiedział spoglądając za okno i rzucając okiem na zegarek. — Nasza szybkość wynosi teraz trzydzieści pięć i pół mili na godzinę.

— Nie zauważyłem ćwierćmilowych słupków — stwierdziłem.

— Ja też nie. Ale słupy telegraficzne są rozmieszczone wzdłuż tego toru co sześćdziesiąt jardów, więc rachunek jest prosty. Jak mniemam, zainteresowałaś się już sprawą morderstwa Johna Strakera i zniknięcia Srebrnego Płomienia?

— Wiem tyle, ile przekazują „Telegraph” i „Chronicle”.

— Jest to jeden z tych przypadków, w których sztuka rozumowania powinna być raczej spożytkowana na selekcję szczegółów aniżeli na zdobywanie nowych dowodów. Tragedia ta jest tak niezwykła i wieloaspektowa i dotyczy osobiście tylu ludzi, że cierpimy na nadmiar domysłów, fałszywych teorii i hipotez. Trudność polega na oddzieleniu samej istoty zdarzenia od całej otoczki stworzonej przez różnych teoretyków i dziennikarzy. A zatem ustalwszy tę niepodlegającą wątpliwości podstawę naszych dalszych działań, mamy obowiązek przekonać się na miejscu, czy można już wyciągnąć jakieś wnioski i na czym zasadza się owa tajemnicza sprawa. We wtorek rano odebrałem telegramy, zarówno od pułkownika Rossa, właściciela wierzchowca, jak i od inspektora Gregory'ego, który zajmuje się tą sprawą, zapraszające mnie do współpracy.

— We wtorek wieczorem! — wykrzyknąłem. — A dziś mamy czwartek rano. Dlaczego nie pojechałeś tam wczoraj?

— Ponieważ, mój drogi Watsonie, popełniłem błąd, co mi się, niestety, zdarza częściej, niż mogliby sądzić ci, którzy mnie znają jedynie z twoich pamiętników. Rzecz w tym, że nie mogłem uwierzyć, aby najznakomitszego konia Anglii udawało się tak długo ukrywać, i to w tak słabo zaludnionej okolicy, jaką jest północna część płaskowyżu Dartmoor. Wczoraj z godziny na godzinę oczekiwałem wieści o tym, że odnaleziono zwierzę i że jego porywacz był mordercą Johna Strakera. Kiedy jednak Przyszedł kolejny ranek, a ja stwierdziłem, że poza aresztowaniem młodego Fitzroya Simpsona nie posunięto się ani o krok dalej, poczułem, że nadszedł czas, abym zaczął działać. Wydaje mi się jednak, że wczorajszy dzień nie został stracony.

— A zatem wypracowałeś sobie jakąś teorię?

— Uporządkowałem przynajmniej najistotniejsze fakty składające się na ten przypadek. Winienem ci je wyliczyć, ponieważ nic tak nie rozjaśnia sprawy jak przedstawienie jej innej osobie, a poza tym trudno mi sobie wyobrazić współpracę z tobą, jeśli nie będziesz znał sytuacji, która jest naszym punktem wyjścia.

Rozparłem się więc swobodnie w miękkim fotelu, wydmuchując dym z cygara, podczas gdy Holmes, pochylony do przodu, odliczając swym długim palcem wskazującym kolejne punkty na dłoni lewej ręki, przekazywał mi podstawowe wiadomości o zdarzeniach, które doprowadziły do naszej podróży.

— Srebrny Płomień — zaczął — pochodzi z linii słynnego Isonomy i może się poszczycić równie znakomitym dorobkiem co jego słynny przodek. Ma teraz cztery lata i przynosi kolejne nagrody pułkownikowi Rossowi, jego szczęśliwemu właścicielowi. Aż do chwili tego nieszczęścia koń był głównym faworytem w gonitwie o Puchar Wesseksu i stawiano na niego w zakładach trzy do jednego. Dla grających na wyścigach był on zawsze największym faworytem i nigdy ich nie zawodził, tak że nawet mimo niewielkich wygranych stawiano na niego duże sumy. Jest więc oczywiste, że wielu ludzi zrobiłoby wszystko, aby Srebrny Płomień nie pojawił się na torze w chwili, gdy w kolejny wtorek starter da sygnał do rozpoczęcia gonitwy.

Oczywiście w King's Pyland, gdzie znajduje się stajnia pułkownika Rossa, doskonale rozumiano tę sytuację. Podjęto więc wszelkie środki ostrożności, by chronić faworyta. Trener, John Straker, był emerytowanym dżokejem, który jeździł w barwach pułkownika Rossa, zanim jeszcze stał się na to zbyt ciężki. Pracował dla pułkownika przez pięć lat jako dżokej, a przez siedem jako trener, i zawsze okazywał się gorliwym i uczciwym sługą. Nadzorował tylko trzech chłopców stajennych, gdyż była to mała ujeżdżalnia, licząca zaledwie cztery konie. Jeden z chłopców dyżurował każdej nocy w stajni, podczas gdy reszta spała na strychu. Wszyscy odznaczyli się bardzo dobrymi charakterami. John Straker mieszkał z żoną w małym wiejskim domku, w odległości około dwustu jardów od stajni. Byli bezdzietni, zatrudniali jedną służącą i powodziło im się całkiem nieźle. Okolica jest bardzo odludna, ale około pół mili na północ znajduje się małe skupisko chat wybudowanych przez przedsiębiorcę z Tavistock na użytek inwalidów i innych osób, które chcą rozkoszować się czystym powietrzem płaskowyżu Dartmoor. Samo Tavistock leży dwie mile na zachód, a po przeciwnej stronie wrzosowisk, w tej samej mniej więcej odległości, znajduje się większa stajnia wyścigowa Capleton, która należy do lorda Backwatera, a jest zarządzana przez niejakiego Silasa Browna. We wszystkich pozostałych kierunkach wrzosowiska są zupełnie dzikie, zamieszkane jedynie przez nielicznych wędrownych Cyganów. Tak wyglądała ogólna sytuacja w ostatnią poniedziałkową noc, kiedy doszło do katastrofy.

Tamtego wieczoru konie odbyły swój zwykły trening i zostały napojone, o godzinie dziewiątej stajnię zamknięto. Dwaj chłopcy poszli do domu trenera, gdzie zjedli kolację w kuchni, a trzeci, Ned Hunter, pozostał na straży. Kilka minut po dziewiątej służąca, Edith

Baxter, niosła mu do stajni kolację w postaci dania z baraniny przyprawionej curry. Nie zabrała ze sobą żadnego napoju, ponieważ w stajni jest kran z wodą, a obowiązywała zasada, że stajenny na służbie nie pije niczego innego. Służąca wzięła ze sobą latarnię, gdyż było bardzo ciemno, a ścieżka wiodła przez otwarte wrzosowisko.

Gdy Edith Baxter była mniej więcej trzydzieści jardów od stajni, z ciemności wyłonił się jakiś mężczyzna, który krzyknął, żeby się zatrzymała. Kiedy wkroczył w krąg żółtego światła rzucanego przez latarnię, służąca ujrzała mężczyznę o wyglądzie dżentelmena, w szarym tweedowym ubraniu i płóciennej czapce. Na nogach miał wysokie buty, a w ręku trzymał grubą laskę z gałką. Największe wszakże wrażenie zrobiła na niej nienaturalna błądź jego twarzy oraz nerwowe zachowanie. Uznała, że chyba przekroczył już trzydziestkę.

— Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jestem? — zapytał. — Właściwie już zdecydowałem, że spędzę noc na wrzosowisku, kiedy dostrzegłem światło twojej latarni.

— Jest pan tuż obok stajni w King's Pyland — odparta.

— Ach, doprawdy? Cóż za szczęśliwy traf! — wykrzyknął.

— Jak rozumiem, chłopiec stajenny sypia tam każdej nocy. I chyba właśnie niesiesz mu kolację. Jestem pewien, że duma nie przeszkodzi ci zarobić na nowy przydziewek, prawda? — z kieszonki kamizelki wyjął kawałek złożonego białego papieru. — Dopilnuj, żeby ten chłopak dostał to dziś wieczorem, a będziesz miała najpiękniejszą sukienkę, jaką można zdobyć za pieniądze.

Przestraszyła ją taka natarczywość, więc ominęła go biegiem i dotarła do okna stajni, przez które zazwyczaj podawała posiłek. Było już otwarte, a Hunter siedział w środku przy stole. Ledwie dziewczyna zaczęła mu opowiadać o tym, co się zdarzyło, mężczyzna znów się pojawił.

— Dobry wieczór — rzekł, zaglądając przez okno.

— Chciałbym zamienić z tobą słówko.

Dziewczyna mogłaby przysiąc, że kiedy to mówił, dostrzegła rozek papieru wystający z jego zaciśniętej dłoni.

— Jaki ma pan tu interes? — zapytał chłopiec.

— Interes, który może ci napędzić pieniędzy do kieszeni

— odrzekł tamten. — Masz dwa konie na Puchar Wesseksu, Srebrny Płomień i Bayarda. Posłuchaj mojej prostej rady, a nie będziesz stratny. Czy to prawda, że Bayard na tysiącu jardów może się od tego drugiego odsądzić o sto i że wobec tego wasza stajnia postawiła na niego pieniądze?

— Ach, więc pan jesteś jednym z tych przeklętych wyścigowych szpicli — krzyknął chłopiec. — Zaraz ci pokażę, jak takich traktujemy w King's Pyland! — Zerwał się z krzesła i popędził przez stajnię, żeby spuścić psa. Dziewczyna uciekła do domu, ale biegnąc, obejrzała się i dostrzegła, że obcy zaglądał przez okno do środka. Jednak Minutę później, kiedy Hunter wypadł z psem na dwór, tamtego już nie było. Chłopak obiegnął budynek dookoła, ale przybysz zniknął bez śladu.

— Chwileczkę! — przerwałem. — Czy kiedy chłopiec stajenny wybiegł z psem, to zostawił drzwi otwarte?

— Znakomicie, Watsonie, znakomicie! — mruknął mój towarzysz. — Waga tego szczegółu uderzyła mnie tak bardzo, że wczoraj wysłałem do Dartmoor specjalną depeszę, by wyjaśnić tę sprawę. A więc chłopiec zamknął drzwi, zanim się oddalił od stajni. Mogę też dodać, że okno było za małe, by mógł się przez nie przecisnąć człowiek.

Hunter poczekał do powrotu swych współtowarzyszy z kolacji, zanim przekazał wiadomość trenerowi i opowiedział o tym, co się wydarzyło. Słuchając relacji, Straker zdenerwował się, choć raczej nie pojmował jej rzeczywistego znaczenia. Musiał go jednak nurtować pewien niepokój, gdyż według relacji pani Straker wstał i ubrał się o pierwszej po północy. W odpowiedzi na jej indagację wyjaśnił, że nie może spać z powodu troski o konie,

więc zamierza przejść się do stajni i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Błagała go, żeby został w domu, ponieważ słyszała odgłos deszczu uderzającego o szyby, jednak mimo jej nalegań wciągnął obszerny płaszcz nieprzemakalny i wyszedł z domu.

Pani Straker obudziła się o siódmej rano, zawołała służącą i wyruszyła do stajni. Drzwi były otwarte; Hunter, wciśnięty w krzesło, znajdował się w stanie kompletnego odrętwienia, boks faworyta był pusty i ani śladu po trenerze.

Natychmiast obudzono chłopców, którzy spali na poddaszu, przeznaczonym do cięcia słomy na sieczkę. W nocy niczego nie słyszeli, gdyż obaj mają twardy sen. Hunter był niewątpliwie pod wpływem jakiegoś silnego narkotyku i ponieważ niczego rozsądnego nie można było z niego wydobyć, pozwolono mu się wyspać, gdy tymczasem dwaj stajenni i obie kobiety wyruszyli na poszukiwanie trenera i konia. Wciąż jeszcze mieli nadzieję, że trener z jakichś powodów zabrał konia na wczesny rozruch, ale wszedłszy na wzgórek, z którego rozciągał się widok na okoliczne wrzosowiska, nie tylko nie dostrzegli śladu faworyta, ale zauważyli coś, co było dla nich sygnałem, że być może wydarzyło się nieszczęście.

Jakieś ćwierć mili od stajni na krzaku jałowca łopotał płaszcz Johna Strakera. Tuż poniżej znajdowało się nieckowate zagłębienie terenu i właśnie na jego dnie znaleziono zwłoki nieszczęsnego trenera. Głowę miał pogruchoaną brutalnymi ciosami zadanymi jakimś ciężkim przedmiotem, na udzie widniało długie wyraźne cięcie zadane bardzo ostrym narzędziem. Było wszakże oczywiste, że Straker bronił się zjadle przed zabójcami, ponieważ w prawej ręce trzymał niewielki nóż, który aż po rękojeść zbrukany był krwią, lewą zaś dłoń zaciskał na czerwono — czarnym jedwabnym fularze, rozpoznanym przez służącą jako część stroju, jaki miał na sobie poprzedniego wieczoru ów nieznajomy, który odwiedził stajnię.

Również Hunter, po otrząśnięciu się z odrętwienia, nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, kto jest właścicielem fularu. Był również pewien, że przybysz w tym czasie, kiedy stał przy oknie, nafaszerował narkotykiem jego baraninę, pozbawiając w ten sposób stajnię strażnika.

Co do konia, to w błocie zalegającym dno fatalnego zagłębienia było aż nadto dowodów, że zwierzę znajdowało się tam podczas walki. Ale od tamtego poranka koń zniknął i mimo wyznaczenia wysokiej nagrody oraz zaalarmowania wszystkich okolicznych Cyganów, nie pojawiły się żadne informacje na jego temat. Ostatecznie analiza wykazała, że resztki kolacji Huntera zawierają znaczną ilość sproszkowanego opium, podczas gdy inni domownicy spożyli tę samą potrawę bez jakichkolwiek zgubnych skutków.

— Tak wyglądają główne fakty dotyczące tej sprawy, które przedstawiłem ci, pomijając wszelkie domysły, i tak bezstronnie, jak to jest tylko możliwe. Teraz zajmijmy się tym, czego już dokonała policja.

Inspektor Gregory, któremu powierzono prowadzenie śledztwa, jest fachowcem najwyższej klasy. Gdyby tylko był obdarzony wyobraźnią, mógłby w swym zawodzie osiągnąć szczyty. Po przyjeździe do Dartmoor z miejsca odnalazł i aresztował człowieka, na którym podejrzenie ciąży w sposób naturalny. Nie było kłopotu z dotarciem do niego, ponieważ jest on w okolicy dobrze znany. Zdaje się, że jego nazwisko brzmi Fitzroy Simpson. Ten dobrze urodzony i świetnie wykształcony człowiek roztrwonił majątek na wyścigach konnych i źródłem jego utrzymania jest dyskretna działalność bukmacherska prowadzona w eleganckich kręgach londyńskich klubów sportowych. Kiedy sprawdzono jego rejestry, okazało się, że przyjmował zakłady przeciw faworytowi dochodzące do pięciu tysięcy funtów.

Po aresztowaniu Simpson dobrowolnie oświadczył, że przyjechał do Dartmoor z nadzieją na zdobycie jakichś informacji o koniach z King's Pyland, a także o Desborough, innym faworycie, którym opiekuje się Silas Brown w stajni Capleton. Nie próbował zaprzeczać, że poprzedniego wieczoru działał tak, jak to zostało opisane, ale oznajmił, że nie miał żadnych

złych zamiarów, a pragnął jedynie zdobyć informacje z pierwszej ręki. Kiedy mu pokazano fular, mocno zbladł i nie potrafił żadną miarą wytłumaczyć, w jaki sposób ta rzecz znalazła się w ręce zamordowanego. Wilgotne ubranie Simpsona wskazywało na to, że podczas wczorajszej burzy przebywał na zewnątrz, a jego laska, która była solidnym kijem obciążonym ołowiem, nadawała się na taką właśnie broń, którą można by, zadając kilka ciosów, spowodować straszliwe obrażenia, takie, od jakich zmarł trener.

Z drugiej strony na jego ciele nie znaleziono żadnej rany, podczas gdy wygląd noża Strakera wskazywał, że przynajmniej jeden z zabójców musiał zostać przez trenera napiętnowany. Oto więc, Watsonie, masz wszystko w pigułce i jeśli potrafisz rzucić na to nieco światła, będę ci nieskończenie zobowiązany.

Sprawozdania, które Holmes przedstawił mi z charakterystyczną dla siebie jasnością, słuchałem z najwyższym zainteresowaniem. Choć większość faktów była mi znana, to nie umiałem należycie ocenić ani stopnia ich ważności, ani ich wzajemnych powiązań.

— Czy nie jest możliwe — zasugerowałem — aby Straker mógł sam się zranić własnym nożem w trakcie gwałtownych konwulsji, do jakich zawsze dochodzi po każdym uszkodzeniu mózgu?

— To jest bardziej niż możliwe, to niemal pewne — powiedział Holmes. — W takim przypadku znika jeden z głównych punktów korzystnych dla oskarżonego.

— A jednak — powiedziałem — mimo wszystko nie mogę sobie wyobrazić, jaka może być teoria policji.

— Obawiam się, że jakąkolwiek wersję wydarzeń byśmy przedstawili, będzie się ona klócić z wersją policji — odparł mój towarzysz. — Oni wyobrażają sobie, jak mniemam, że ten Fitzroy Simpson, po odurzeniu stajennego i zdobyciu w jakiś sposób duplikatu klucza, otworzył drzwi stajni i zabrał konia z wyraźnym zamiarem uprowadzenia go. Uzda Srebrnego Płomienia zginęła, a zatem Simpson musiał ją zwierzęciu założyć. Następnie, zostawiwszy otwarte drzwi, wyprowadził konia daleko na wrzosowiska, gdzie albo spotkał trenera, albo został przez niego doścignięty. Wywiązała się oczywiście bójka, Simpson swą ciężką laską rozwalił trenerowi głowę, sam unikając jakichkolwiek obrażeń od noża, którego Straker użył w obronie własnej, a następnie albo zaprowadził konia do jakiejś kryjówki, albo zwierzę mogło umknąć w czasie walki i teraz wałęsa się po wrzosowiskach. Tak się to właśnie jawi policji i jakkolwiek teoria ta jest nieprawdopodobna, to wszelkie inne wyjaśnienia są nieprawdopodobne w stopniu jeszcze większym. W każdym razie nie widzę innej możliwości, jak tylko zbadać sprawę na miejscu, gdyż bez tego nie możemy się w naszym śledztwie posunąć ani o krok dalej.

Był już prawie wieczór, kiedy dotarliśmy do miasteczka Tavistock, które — niczym ozdobny guz na tarczy — leży w samym środku płaskowyżu Dartmoor. Na stacji oczekiwało nas dwóch dżentelmenów — jeden wysoki, z brodą i lwią grzywą jasnych włosów, o przenikliwych niebieskich oczach, drugi średniego wzrostu, żwawy osobnik, bardzo schludny i wytworny, w surducie i getrach, z przystrzyżonymi niewielkimi bokobrodami i z monoklem w oku. Ten niższy okazał się pułkownikiem Rossem, szeroko znanym sportsmenem, wyższy zaś — inspektorem Gregorym, człowiekiem, który właśnie wyrabiał sobie dobrą markę w angielskiej służbie detektywistycznej.

— Jestem zachwycony, że pan do nas przybył, panie Holmes — powiedział na powitanie pułkownik. — Inspektor zrobił wszystko, co w jego mocy; ja jednak chciałbym poruszyć niebo i ziemię, by pomścić biednego Strakera i odzyskać mojego wierzchowca.

— Czy pojawiły się jakieś nowe okoliczności? — zapytał Holmes.

— Z przykrością przyznaję, że nie poczyniliśmy żadnych istotnych postępów — rzekł inspektor. — Przed dworcem stoi nasz powóz, a ponieważ pragnąłby pan niewątpliwie obejrzeć to miejsce przed zapadnięciem zmroku, o sprawie możemy porozmawiać w drodze.

Po chwili wszyscy siedzieliśmy w eleganckim landzie toczącym się z turkotem przez to wiekowe, pełne uroku miasteczko hrabstwa Devonshire. Inspektora Gregory'ego sprawa ta pochłaniała bez reszty, więc aż kipiał uwagami, podczas gdy Holmes od czasu do czasu wtrącał pytanie lub wykrzyknik. Pułkownik Ross, z założonymi rękami i w nasuniętym na oczy kapeluszu, odchylił się do tyłu, ja zaś z zainteresowaniem przysłuchiwałem się dialogowi dwóch detektywów. Gregory formułował swą teorię, która się niemal pokrywała z przewidzianą przez Holmesa w pociągu.

— Sieć coraz ciaśniej oplata Fitzroya Simpsona — stwierdził. — Uważam, że to właśnie on jest przestępcą. Jednocześnie przyznaję, że dowody przeciw niemu nie są zbyt mocne i pojawienie się jakiejś nowej okoliczności może je podważyć.

— A co z nożem Strakera?

— Doszliśmy do wniosku, że zranił się sam w chwili upadku.

— Mój przyjaciel doktor Watson zasugerował to samo podczas naszej podróży. Jeśli tak, fakt ten przemawiałby na niekorzyść owego Simpsona.

— Niewątpliwie. Nie ma on ani noża, ani śladu zranienia. Dowody przeciw niemu są z pewnością bardzo silne. Był głęboko zainteresowany zniknięciem faworyta gonitwy, pada na niego podejrzenie o zatrucie chłopca stajennego, nie ma wątpliwości, że podczas burzy przebywał na dworze, był uzbrojony w ciężką laskę, a jego fular tkwił w ręce martwego mężczyzny. Doprawdy uważam, że mamy wystarczająco dużo materiału, aby wystąpić przed sądem przysięgłych. Holmes pokręcił przecząco głową.

— Inteligentny adwokat rozniósłby tę teorię na strzępy — powiedział. — Dlaczego Simpson miałby zabierać konia ze stajni? Jeśli chciał go okaleczyć, czemu nie zrobił tego na miejscu? Czy posiadał duplikat klucza? Który aptekarz sprzedał mu opium w proszku? A nade wszystko — gdzie on, człowiek obcy w tym okręgu, mógł ukryć konia, i to konia takiego jak ten? A co on sam mówi o papierze, który na jego prośbę służąca miała doręczyć chłopcu stajennemu?

— Powiada, że był to banknot dziesięciofuntowy. Znaleźliśmy jeden w jego portfelu. Ale inne pańskie zastrzeżenia nie są tak oczywiste, jak by się wydawało. Simpson nie jest w tej okolicy osobą obcą. Tego lata dwukrotnie zatrzymywał się w Tavistock. Opium prawdopodobnie przywiózł z Londynu. Klucz, po wykorzystaniu, mógł gdzieś porzucić. A koń może leżeć na dnie jakiegoś dołu lub w starej kopalni na wrzosowiskach.

— Co aresztowany mówi o fularze?

— Przyznaje, że należy do niego, i twierdzi, jakoby go zgubił. Jednak w sprawie pojawił się nowy element, który może przemawiać za tym, że Simpson wyprowadził konia ze stajni.

Holmes nadstawił uszu.

— Znaleźliśmy ślady, które wskazują, że w odległości mili od miejsca morderstwa w poniedziałek wieczorem obozowała grupa Cyganów. We wtorek już ich nie było. Nakładając więc, że istniało jakieś porozumienie między Simpsonem a tymi Cyganami, to czy nie mógł on, kiedy został dogoniony, zaprowadzić konia do nich, i teraz zwierzę jest w ich rękach?

— To jest, oczywiście, możliwe.

— Na wrzosowisku prowadzone są poszukiwania tych Cyganów. Sprawdziłem również wszystkie stajnie i szopy w Tavistock i w promieniu dziesięciu mil.

— To znaczy, że gdzieś niedaleko jest jeszcze inna stajnia wyścigowa?

— Tak, i jest to czynnik, którego bynajmniej nie lekceważymy. Ponieważ ich koń, Desborough, zajmował drugie miejsce w zakładach, byli oni zainteresowani zniknięciem faworyta. Wiadomo, że trener Silas Brown obstawił wysoko tę gonitwę; a nie był on przyjacielem Strakera. Przeszukaliśmy jednak stajnię Capleton i nie znaleźliśmy tam niczego, co miałoby związek z tą sprawą.

— I niczego, co łączyłoby owego Simpsona z interesami tej stajni?

— Absolutnie niczego.

Holmes odchylił się do tyłu na swym siedzeniu i rozmowa została przerwana. Po kilku minutach nasz woźnica zatrzymał powóz przed stojącym przy drodze dobrze utrzymanym domkiem z czerwonej cegły. W dość znacznym oddaleniu, po drugiej stronie wygonu, mieściła się pokryta szarą dachówką długa przybudówka. Wszędzie dookoła aż po horyzont widać było łagodne krzywizny wrzosowiska, zabarwionego na brązowo dzięki wędzącym paprociom, zakłócone jedynie przez wieże Tavistock oraz — na zachodzie — skupisko zabudowań, w których mieściły się stajnie wyścigowe Capleton. Wskoczyliśmy z powozu wszyscy z wyjątkiem Holmesa, który wciąż pozostawał nieruchomy na swym siedzeniu, ze wzrokiem utkwionym w niebo, bez reszty pochłonięty własnymi myślami. Dopiero gdy dotknąłem jego ramienia, wzdrygnął się gwałtownie i wysiadł z pojazdu.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł, zwracając się do pułkownika Rossa, który patrzył na niego z pewnym zdziwieniem. — Bujałem w obłokach — w jego oczach pojawił się blask oraz tłumione podniecenie, co przekonało mnie, gdyż znałem go już dobrze, że wpadł na jakiś trop, aczkolwiek nie mogłem sobie wyobrazić, w czym rzecz.

— Może chciałby pan od razu obejrzeć miejsce zbrodni, panie Holmes? — zapytał Gregory.

— Myślę, że zostanę tu przez chwilę i zajmę się jedną lub dwiema kwestiami szczegółowymi. Straker został przyniesiony tutaj, jak się domyślam?

— Tak, leży na górze. Badanie przyczyny zgonu odbędzie się jutro.

— Był u pana na służbie od kilku lat, pułkownika Ross?

— Zawsze uważałem go za znakomitego pracownika.

— Przypuszczam, inspektorze, że dokonał pan przeglądu zawartości kieszeni Strakera w chwili jego śmierci.

— Trzymam te przedmioty w salonie, jeśli pana interesują.

— Byłbym rad je obejrzeć.

Weszliśmy do pokoju frontowego i usiedliśmy wokół stołu zajmującego środek pomieszczenia. Inspektor otworzył prostokątną blaszaną kasetkę i wyłożył przed na — mi jej skromną zawartość. Było tam pudełko stearynowych zapalek, dwucalowej długości łożowa świeca, fajka z korzenia wrzośca, kapciuch z foczej skóry zawierający Pół uncji grubo ciętego prasowanego tytoniu, srebrny zegarek na złotym łańcuszku, pięć suwerenów w zło — Cle, aluminiowy piórnik, kilka dokumentów i oprawny w kość słoniową nóż z niezwykle delikatnym, sztywnym ostrzem, na którym widniał napis WEISS I SPÓŁKA, LONDYN.

— To bardzo osobliwy nóż — rzekł Holmes, podnosząc go i badając uważnie. — Ponieważ widzę na nim ślady krwi, domyślam się, że jest to właśnie ten, który tkwił w zaciśniętej dłoni zmarłego. Watsonie, narzędzie to z pewnością mieści się w zakresie twoich kompetencji.

— Nazywamy je nożem kataraktalnym — odpowiedziałem.

— Tak też myślałem. Niezwykle subtelne ostrze przeznaczone do nadzwyczaj delikatnej pracy. Dziwne to, żeby na tak niebezpieczną wyprawę zabierać podobne narzędzie, zwłaszcza że trudno je schować w kieszeni.

— Czubek ostrza był zabezpieczony krążkiem korka, który znaleźliśmy obok ciała — powiedział inspektor. — Jego żona powiada, że nóż ten od kilku dni leżał na toalecie i że jej mąż pochwycił go, wychodząc z pokoju. Marna to była broń, ale jak się wydaje, najlepsza, jaką miał pod ręką w takiej chwili.

— Bardzo możliwe. A co z dokumentami?

— Trzy z nich są rachunkami wystawionymi przez handlarzy sianem. Jeden to list z instrukcjami od pułkownika Rossa. Ten zaś jest rachunkiem modniarki na sumę trzydziestu siedmiu funtów i piętnastu szylingów, wystawionym przez madame Lesurier z Bond Street na nazwisko Williama Darbyshire'a. Pani Straker powiedziała nam, że Darbyshire jest przyjacielem jej męża i że czasem listy do niego przychodzą na ten adres.

— Madame Darbyshire ma raczej kosztowne gusta — zauważył Holmes, rzucając okiem na rachunek. — Dwadzieścia dwie gwinee to dość słona cena za jeden kostium. W każdym razie niczego więcej się już tu nie dowiemy, możemy się zatem udać na miejsce zbrodni.

Kiedy wyszliśmy z salonu, kobieta, która czekała na korytarzu, podeszła do nas i położyła dłoń na rękawie inspektora. Na tej stroskanej, wymizerowanej twarzy widać było wyraźne piętno przerażenia i rozpacz.

— Czy już ich macie? Czy ich znaleźliście? — pytała bez tchu.

— Nie, pani Straker; ale ten oto pan Holmes przybył z Londynu, aby nam pomóc, i zrobimy wszystko co w naszej mocy.

— Myśmy się już kiedyś z pewnością poznali w Plymouth na jakimś garden party, pani Straker — rzekł Holmes.

— Nie, sir. Pan się myli.

— Czyżby? No cóż. Grotów bym przysiąc. Miała pani na sobie jasnopopielaty kostium z lamówką ze strusich piór.

— Nigdy nie miałam podobnego stroju, sir.

— Aha, to zmienia postać rzeczy — powiedział Holmes i prosząc o wybaczenie, podążył za inspektorem i resztą na wrzosowisko. Szybko doszliśmy do zagłębienia, gdzie odkryto ciało. Na skraju dołu rósł krzak janowca, na którym znaleziono płaszcz trenera.

— Ta noc była bezwietrzna, jak rozumiem — rzekł Holmes.

— Całkowicie. Ale padał ulewny deszcz.

— W takim razie płaszcz nie został ciśnięty podmuchem wiatru na krzaki, tylko ktoś go tam położył.

— Tak, leżał rozpostarty na krzaku.

— To doprawdy ciekawe. Odnoszę wrażenie, że teren został tu solidnie zdeptany. Niewątpliwie od poniedziałkowej nocy stanęło tu wiele stóp.

— Rozłożyliśmy po tej stronie słomianą matę i chodziliśmy po niej.

— Znakomicie.

— W tej torbie mam jeden z butów, które miał na nogach Straker, i jeden but Fitzroya Simpsona, a także odlew podkowy Srebrnego Płomienia.

— Mój drogi inspektorze, pan przechodzi samego siebie!

Holmes wziął torbę i zstępując do zagłębienia, przesunął słomianą matę nieco ku jego środkowi. Następnie z napiętą twarzą i z podbródkiem wspartym na dłoniach patrzył badawczo w zdeptane błoto, jakie miał przed sobą.

— Hejże! — powiedział nagle — a co to takiego?

Była to na wpół spalona stearynowa zapalka, tak pokryta błotem, że na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie drewnianej drzazgi.

— Nie rozumiem, jak mogłem ją przeoczyć — rzekł inspektor z wyrazem poirytowania na twarzy.

— Ona jest niedostrzegalna. A zauważyłem ją tylko dlatego, że jej szukałem.

— Jak to? Pan się spodziewał ją tu znaleźć?

— Pomyślałem, że to niewykluczone — wyjął z torby buty i każdy z nich porównał z odciskami w ziemi. Następnie wygramolił się z dołu i pełzał dokoła pośród janowca i zarośli.

— Obawiam się, że nie ma już więcej śladów — powiedział inspektor. — Zbadałem teren bardzo starannie w promieniu stu jardów w każdym kierunku.

— W rzeczy samej! — rzekł Holmes, podnosząc się z ziemi. — Nie będę w takim razie na tyle bezczelny, aby to powtarzać. Ale przed zapadnięciem zmroku chciałbym się trochę przespacerować po wrzosowisku, tak abym jutro miał dobre rozeznanie. I chyba zabiorę sobie tę podkową na szczęście.

Pułkownik Ross, który zdradzał pewne oznaki zniecierpliwienia spokojem mojego przyjaciela i metodycznością jego działań, rzucił okiem na zegarek.

— Chciałbym, żeby pan ze mną wrócił, inspektorze — rzekł. — Jest kilka spraw, co do których pragnę zasięgnąć pańskiej rady. Chodzi mi zwłaszcza o to, czy nie jesteśmy zobowiązani wobec publiczności, aby wykreślić Srebrny Płomień z listy startowej Pucharu.

— Z całą pewnością nie! — wykrzyknął energicznie Holmes. — Proszę niczego nie zmieniać.

Pułkownik się skłonił.

— Jestem bardzo rad, że pan ma taki pogląd w tej sprawie, sir — powiedział. — Po odbyciu spaceru znajdzie nas pan w domu tego nieszczęsnego Strakera, tak że będziemy mogli razem pojechać do Tavistock.

Zawrócili, a Holmes i ja ruszyliśmy z wolna przez wrzosowisko. Słońce zaczynało się już kryć za budynki stajni w Capleton, a rozległa opadająca płaszczyzna przed nami zabarwiła się złotem, przechodząc w wyrazisty rdzawy brąz w miejscach, gdzie więdnące paprocie i głogi chwytały nieco wieczornego światła. Jednak wszystkie wspaniałości tego krajobrazu nie przemawiały do mojego przyjaciela, który bez reszty był pogrążony w rozmyślaniach.

— Więc tędy droga — odezwał się w końcu. — Kwestię znalezienia zabójcy Strakera możemy na chwilę odłożyć i ograniczyć się do prześledzenia losów wierzchowca. Jeśli więc przyjmiemy, że wyrwał się on podczas tragicznych wydarzeń albo po nich, to dokąd mógł trafić? Koń jest stworzeniem wybitnie stadnym. Puszczony wolno albo wrócił do King's Pyland, albo poszedł do Capleton. Gdyby hasał dziko po wrzosowisku, ktoś by już z pewnością go zauważył. A dlaczego mieliby go porwać Cyganie? Na wieść o kłopotach ci ludzie zawsze czmychają, ponieważ nie chcą być nagabywani przez policję. O sprzedaniu takiego konia nie mogliby nawet marzyć. Podjęliby wielkie ryzyko, niczego nie uzyskując w zamian. To jest niewątpliwie jasne.

— A zatem gdzie on jest?

— Powiedziałem już, że musiał pójść albo do King's Pyland, albo do Capleton. W King's Pyland go nie ma, wobec tego jest w Capleton. Przyjmijmy to jako roboczą hipotezę i zobaczymy, dokąd nas ona doprowadzi. Ta część wrzosowiska jest, jak to zauważył inspektor, bardzo twarda i sucha. Jednak opada ono w kierunku Capleton i można stąd dostrzec, że za wzgórzem rozciąga się na sporej przestrzeni znaczne zagłębienie terenu, które w poniedziałkową noc musiało być solidnie podmokłe. Jeśli nasze założenie jest trafne, to koń w pewnym momencie powinien był znaleźć się właśnie tam, mamy więc miejsce, gdzie należałoby szukać jego śladów.

Podczas rozmowy szliśmy szybkim krokiem i już po kilku minutach dotarliśmy do rzeczonego zagłębienia. Na polecenie Holmesa poszedłem wzdłuż brzegu w prawo, on zaś ruszył w lewo; jednak nie zrobiłem jeszcze pięćdziesięciu kroków, kiedy dobiegł mnie jego okrzyk i ujrzałem, jak przywołuje mnie ręką. W miękkiej ziemi przed nim ślad konia rysował się doskonale, a podkowa, którą wyciągnął z kieszeni, świetnie pasowała do odcisku.

— Spójrz, ile znaczy wyobraźnia — powiedział. — Jest to jedyna rzecz, jakiej brakuje Gregory'emu. My potrafimy sobie wyobrazić, co mogło się wydarzyć, działaliśmy zgodnie z tym przypuszczeniem i stwierdzamy, że mieliśmy rację. Idźmy więc dalej.

Przeszliśmy przez podmokłe dno zagłębienia, a potem ćwierć mili po suchej, twardej darni. Teren znowu zaczął opadać i ślady pojawiły się ponownie. Następnie zgubiliśmy je na przestrzeni pół mili, żeby raz jeszcze znaleźć zupełnie blisko Capleton. Pierwszy dostrzegł je Holmes i przystanął, wskazując na nie z wyrazem triumfu na twarzy. Obok śladów konia widać było odciski stóp człowieka.

— Dotychczas koń był sam — krzyknąłem.

— A właśnie! Był przedtem sam. Zaraz, zaraz! Cóż to takiego?

Podwójny ślad ostro skręcił i skierował się na King's Pyland. Holmes zagwizdał z wrażenia i podążyliśmy tym tropem. Jego wzrok przykuty był do śladów, ja jednak zerknąłem

nico w bok i ku swemu zaskoczeniu zauważyłem takie same znaki biegnące w przeciwnym kierunku.

— Punkt dla ciebie, Watsonie — rzekł Holmes, kiedy mu to pokazałem. — Zaoszczędziłeś nam długiego spaceru, który przywiódłby nas z powrotem w to samo miejsce. Ruszajmy więc tym szlakiem powrotnym.

Nie musieliśmy iść daleko. Trop urywał się na asfaltowej drodze wiodącej ku wrotom stajni Capleton. Kiedy się zbliżyliśmy, wyszedł z nich stajenny.

— Nie potrzebujemy tu żadnych włóczęgów — rzekł na powitanie.

— Chciałbym tylko o coś spytać — powiedział Holmes, wetknąwszy palec wskazujący i kciuk do kieszonki kamizelki. — Czy nie byłoby za wcześnie, gdybym przyszedł jutro o piątej rano, chcąc zastać twego pracodawcę, pana Silasa Browna?

— Co też pan mówi, sir! Jeśli kogokolwiek pan spotka o tej porze, to właśnie jego, bo on zawsze wstaje pierwszy. Ale oto on we własnej osobie, sir; będzie mógł panu odpowiedzieć osobiście. Nie, nie, proszę pana; straciłbym miejsce, gdyby zobaczył, że tknąłem pańskie pieniądze. Może później, jeśli łaska.

Ledwie Sherlock Holmes zdążył schować z powrotem półkoronówkę, którą uprzednio wyciągnął z kieszonki, zza wrót wyszedł ku nam mężczyzna o srogim wyglądzie, potrząsając szpicrutą.

— Co to takiego, Dawson? — krzyknął. — Żadnych pogaduszek! Wracaj do roboty! A wy, u diabła, czego tu chcecie?

— Dziesięciu minut rozmowy z szanownym panem — odparł Holmes najbardziej przymilnym tonem.

— Nie mam czasu na gadanie z każdym łazęgą. Nie chcemy tu żadnych obcych. Wynoście się albo pies wystrzępi wam nogawki.

Holmes pochylił się i szepnął coś trenerowi do ucha. Ten drgnął gwałtownie i cały spłoszował.

— To kłamstwo! — wykrzyknął. — To jest cholerne kłamstwo!

— Doskonale! Mamy się więc sprzeczać publicznie czy porozmawiamy w pańskim salonie?

— No więc niech pan wejdzie, jeśli taka wola. Holmes się uśmiechnął.

— Watsonie — powiedział — potrzymam cię tu nie więcej niż kilka minut. Panie Brown, pozostają całkowicie do Pańskiej dyspozycji.

Minęło jakieś dwadzieścia minut, zanim Holmes z trenerem pojawili się ponownie, ale w tym czasie wszystkie czerwienie krajobrazu spłowieły w szarość. Nigdy wcześniej nie zaobserwowałem, żeby w człowieku zaszła w tak krótkim czasie tak znaczna zmiana, jak właśnie w przypadku Silasa Browna. Twarz miał zszarzała na popiół, krople potu lśniły mu na czole, a ręce trzęsły się tak, że trzymana przezeń szpicruta kołysała się jak gałąź na wietrze. Zniknął również arogancki, wyniosły sposób bycia Browna, który warował przy boku mego przyjaciela niczym pies przy swoim panu.

— Pańskie polecenia zostaną wykonane. Z całą pewnością — powiedział.

— Nie wolno popełnić najdrobniejszego błędu — rzekł Holmes, spoglądając na trenera, który drgnął, jakby odczytał groźbę w oczach mówiącego.

— Ależ oczywiście, żadnego błędu, proszę pana. On tam będzie. Czy ma zostać taki, jaki jest teraz?

Holmes zastanawiał się chwilę i następnie wybuchnął śmiechem.

— Niech zostanie, jak jest — powiedział. — Proszę nic nie zmieniać. I żadnych sztuczek, bo inaczej...

— Ależ może mi pan zaufać, może mi pan zaufać!

— Musi go pan doglądać jak swego własnego.

— Może pan na mnie polegać.

— Tak, sądzę, że mogę. Jutro dostanie pan ode mnie wiadomość.

Odwrócił się na pięcie, nie zwracając uwagi na wyciągniętą drżącą dłoń tamtego, i wyruszyliśmy do King's Pyland.

— Już dawno nie spotkałem przykładu doskonalszego połączenia zbira, tchórza i kanalii w jednej osobie niż wielki pan Silas Brown — stwierdził Holmes podczas naszego mozolnego marszu.

— No więc czy on ma tego konia?

— Próbowałem nadrabiać krzykiem, ale tak dokładnie opisałem mu jego działania tamtego ranka, że jest przekonany, iż go obserwowałem. Zauważyłeś, oczywiście, osobliwie prostokątne czubki butów w pozostawionych śladach i to, że jego obuwie doskonale do nich pasuje. Oczywiście jest również, że żaden jego podwładny nie odważyłby się zrobić czegoś podobnego. Opowiedziałem mu więc, jak zgodnie ze swoim zwyczajem wstał pierwszy i zauważył dziwnego konia wałęsającego się po wrzosowisku; jak do niego wyszedł, rozpoznał po białym znamieniu na czole, od którego nadano faworytowi imię, i zdumiał się, że przypadek pchnął w jego ręce jedyne konia mogącego rywalizować z wierzchowcem, na którego postawił swoje pieniądze. Opowiedziałem mu dalej, jak w pierwszym odruchu poprowadził go z powrotem w stronę King's Pyland i jak następnie diabeł go podkusił, by zawrócić i ukryć go w Capleton. Kiedy mu to wszystko przedstawiłem w najdrobniejszych szczegółach, poddał się i zaczął myśleć jedynie o ratowaniu własnej skóry.

— Ależ jego stajnie zostały przeszukane.

— Ach, taki koński oszust jak on zna wiele sztuczek.

— Ale czy nie obawiasz się zostawić konia w jego rękach teraz, kiedy jest ze wszech miar zainteresowany, aby mu zrobić coś złego?

— Mój druhu, on będzie go strzegł jak źrenicy oka. Wie, że na łagodne potraktowanie może liczyć tylko wówczas, gdy zapewni koniowi bezpieczeństwo.

— Pułkownik Ross w żadnym wypadku nie sprawia wrażenia człowieka, który byłby skłonny okazywać nadmierne miłosierdzie.

— To nie zależy od pułkownika Rossa. Pracuję według własnych metod i mówię tyle, ile uznaję za stosowne. Taką komfortową sytuację może mieć tylko człowiek działający nieoficjalnie. Nie wiem, czy podzielasz moje zdanie, Watso — nie, ale dla mnie manieri pułkownika Rossa są po prostu cokolwiek wyniosłe. Jestem teraz skłonny nieco się zabawić jego kosztem. Nie wspominaj mu ani słowem o koniu.

— Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz.

— No i wszystko to jest sprawą drugorzędną w porównaniu z pytaniem o zabójcę Johna Strakera.

— A ty zamierzasz się tym zająć?

— Wręcz przeciwnie, wracamy obaj wieczornym pociągami do Londynu.

Słowa mego przyjaciela wprawiły mnie w osłupienie. W hrabstwie Devonshire bawiliśmy zaledwie od kilku godzin i myśl, że miałby on zaniechać śledztwa, które zaczęło się tak znakomicie, była dla mnie zupełnie niepojęta. Przed dotarciem do domu trenera nie udało mi się z niego wyciągnąć już ani słowa więcej. Inspektor z pułkownikiem czekali na nas w salonie.

— Mój przyjaciel i ja wracamy ekspresem o północy — oznajmił Holmes. — Zaczepiliśmy cudowny łyk waszego wspaniałego dartmoorskiego powietrza.

Inspektor wytrzeszczył oczy, a pułkownik wykrzywił usta w szyderym uśmiechu.

— A zatem stracił pan nadzieję na aresztowanie mordercy biednego Strakera? — zapytał.

Holmes wzruszył ramionami.

— Istnieją po temu bardzo poważne przeszkody — powiedział. — Jestem jednak głęboko przekonany, że pański koń wystartuje we wtorek, i stanowczo proszę o trzymanie swego dżokeja w gotowości. Czy mógłbym poprosić o fotografię pana Johna Strakera?

Inspektor wyciągnął zdjęcie z trzymanej w kieszeni koperty i podał mu.

— Mój drogi Gregory, zgadujesz wszystkie moje prośby. Bądź uprzejmy chwilkę zaczekać, gdyż mam jeszcze pytanie do służącej.

— Muszę przyznać, że jestem raczej rozczarowany naszym londyńskim doradcą — rzekł, nie owijając w bawełnę, pułkownik, kiedy mój przyjaciel wyszedł z pokoju. — Nie dostrzegam żadnego postępu w sprawie od czasu jego przyjazdu.

— Ma pan przynajmniej zapewnienie, że pański koń pobiegnie — odparłem.

— Tak, mam jego zapewnienie — powiedział pułkownik, wzruszając ramionami. — Ale wolałbym mieć konia.

Zamierzałem właśnie coś odpowiedzieć w obronie przyjaciela, kiedy ten powrócił do pokoju.

— No więc, szanowni panowie — rzekł — jestem w pełni gotów, by ruszać do Tavistock.

Kiedy wsiadaliśmy do powozu, jeden ze stojących przytrzymał nam drzwiczki. Holmesowi najwyraźniej zaświtała jakaś nagła myśl, gdyż pochylił się i dotknął ręki chłopca.

— Na wygonie trzymacie kilka owiec. Kto ich dogląda?

— Ja, proszę pana.

— Czy przypadkiem nie zauważyłeś, że ostatnio dzieje się z nimi coś niedobrego?

— Nie, proszę pana. Nic specjalnego. Ale trzy z nich okulały, proszę pana.

Holmes był szalenie zadowolony. Zachichotał, zacierając ręce.

— Wyrafinowane przedsięwzięcie, Watsonie. Niezwykle wyrafinowane przedsięwzięcie! — powiedział, szczypiąc mnie w ramię. — Gregory, pozwól, że zwrócę twą uwagę na tę osobliwą epidemię wśród owiec. Ruszamy!

Wyraz twarzy pułkownika Rossa wciąż odzwierciedlał jego niską ocenę zdolności umysłowych mego przyjaciela, na obliczu inspektora wszakże dostrzegłem wyraźne ożywienie.

— Uważa pan, że to coś oznacza?

— Zdecydowanie tak.

— Czy jest jeszcze coś, na co pragnąłby pan zwrócić moją uwagę?

— Na dziwne zachowanie psa tamtej nocy.

— Pies nic nie robił w nocy.

— I to jest właśnie dziwne.

Po czterech dniach znów siedzieliśmy z Holmesem w pociągu zmierzającym do Winchesteru, gdzie mieliśmy obejrzeć gonitwę o Puchar Wesseksu. Czekał tam na nas przed stacją uprzedzony wcześniej pułkownik Ross i pojechaliśmy jego powozem na tor wyścigowy za miastem. Był ponury i nadzwyczaj chłodny w obejściu.

— Jakoś nie widzę mojego konia — powiedział.

— Przypuszczam, że pan pozna Srebrnego Płomienia, gdy go pan zobaczy? — zapytał Holmes.

Pułkownik był bardzo zagniewany.

— Bywam na wyścigach od dwudziestu lat i nikt mi do tej pory nie zadał takiego pytania — rzekł. — Każde dziecko poznałoby Srebrnego Płomienia z jego białym czołem i cętkowaną przednią nogą.

— Jak wyglądają zakłady?

— No cóż, to jest właśnie w tym wszystkim dziwne. Jeszcze wczoraj można było dostać piętnaście do jednego, ale cena zaczęła coraz bardziej spadać, tak że teraz z trudem dostanie się trzy do jednego.

— Hm! — rzekł Holmes. — Ktoś tu coś wie, to oczywiście! Kiedy powóz zatrzymał się za ogrodzeniem w pobliżu trybuny, rzuciłem okiem na program, aby zobaczyć listę startową. Wyglądała następująco:

Bieg o puchar Wesseksu — 50 funtów za każde sto stóp. Dodatek specjalny dla cztero — i pięciolatków — 1000 funtów. Druga nagroda 330 funtów. Trzecia nagroda 200 funtów. Nowy dystans: jedna mila i pięć furlongów.

1. Murzyn pana Heatha Newtona (dżokej — czerwona czapka, cynamonowa kurtka).
2. Bokser pułkownika Wardlawa (dżokej — różowa czapka, niebiesko — czarna kurtka).
3. Desborough lorda Backwatera (dżokej — żółta czapka i żółte rękawy).
4. Srebrny Płomień pułkownika Rossa (dżokej — czarna czapka, czerwona kurtka).
5. Irys księcia Balmoral (dżokej — żółte i czerwone pasy).
6. Zadzior lorda Singleforda (dżokej — szkarłatna czapka, czarne rękawy).

— Skreśliliśmy z listy startowej innego naszego konia, Wszystkie nadzieje wiążąc z pańskim słowem — powiedział pułkownik. — Ale zaraz, co to jest? Srebrny Płomień faworytem?

— Pięć do czterech przeciw Srebrnemu Płomieniowi! — ryczeli bukmacherzy. — Pięć do czterech przeciw Srebrnemu Płomieniowi! Piętnaście do pięciu przeciw Desborough! Pięć do czterech na torze!

— Pokazują się numery! — krzyknąłem. — Jest cała szóstka!

— Cała szóstka! A więc mój koń biegnie! — zawołał pułkownik wielce poruszony. — Ale ja go nie widzę. Moje barwy nie przeszły.

— Na razie przeszło tylko pięć. To musi być ten ostatni. Kiedy to mówiłem, potężny gniadosz wyśliznął się zza ogrodzenia z wagą dżokejską i przecwałował obok nas, niosąc na swym grzbiecie dżokeja o tak dobrze znanych czarno — czerwonych barwach pułkownika.

— To nie jest mój koń! — krzyknął właściciel. — To bydlę nie ma na sobie ani jednego białego włosa. Co też pan narobił, panie Holmes?

— Dobrze, dobrze, popatrzmy, jak sobie radzi — powiedział mój przyjaciel spokojnie. Przez kilka minut obserwował tor przez moją lornetkę polową. — Kapitalnie! Znakomity start! — krzyknął nagle. — Są tam, na zakręcie!

Z naszego powozu mieliśmy doskonały widok na konie, kiedy wyszły na prostą. Sześć zwierząt biegło tak blisko siebie, że można by je nakryć jednym dywanem, ale w połowie drogi żółte barwy stajni Capleton wysunęły się na czoło. Zanim jednak cała stawka znalazła się na naszej wysokości, ucieczka Desborough została zlikwidowana i koń pułkownika, odrywając się gwałtownie, minął słupek o dobrych sześć długości przed swym rywalem. Irys księcia Balmoral przybiegł na niefortunnym trzecim miejscu.

— W każdym razie gonitwa jest moja — rzekł zdyszany pułkownik, przesuwając ręką po oczach. — Muszę przyznać, że nie mogę się w tym zupełnie połapać. Czy nie sądzi pan, panie Holmes, że już wystarczająco długo robi pan z tego tajemnicę?

— Rzeczywiście, pułkowniku. Powinien się pan dowiedzieć wszystkiego. Przejdźmy tam dookoła i razem przyjrzyjmy się koniowi. Proszę spojrzeć — ciągnął, kiedy weszliśmy za ogrodzenie z wagą dla dżokejów, gdzie wstęp mieli tylko właściciele koni ze swymi przyjaciółmi. — Wystarczy, że przemyje pan jego łeb i nogę winnym spirytusem, a ujrzy przed sobą tego samego Srebrnego Płomienia co zawsze.

— Pan mnie zdumiewa!

— Konia w takim stanie znalazłem w rękach pewnego oszusta i pozwoliłem sobie dopuścić go do wyścigu.

— Mój drogi panie, pan czyni cuda! Wygląda na to, że ten koń jest w świetnej formie i całkowicie zdrowy. Nigdy w przeszłości nie pobiegł lepiej. Jestem panu winien tysięczne przeprosiny za to, że wątpiłem w pańskie zdolności. Wyświadczył mi pan wielką przysługę,

odzyskując mojego konia. Wyświadczyłby pan jeszcze większą, oddając w ręce sprawiedliwości mordercę Johna Strakera.

— Już to zrobiłem — odparł spokojnie Holmes. Pułkownik i ja gapiliśmy się na niego w osłupieniu.

— Pan go ma! Gdzież on więc jest?

— Jest tutaj.

— Tutaj? Gdzie?

— W moim towarzystwie, w tej właśnie chwili. Pułkownik poczerwieniał z gniewu.

— Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że mam wobec Pana dług wdzięczności, panie Holmes — rzekł — ale to, co Pan powiedział, muszę uznać albo za bardzo kiepski żart, albo za zniewagę.

Sherlock Holmes się roześmiał.

— Zapewniam, że w żaden sposób nie wiązę pana z tą zbrodnią, pułkowniku — rzekł — jednak prawdziwy morderca stoi tuż za panem.

Wyminął go i położył dłoń na lśniącej szyi rasowego zwierzęcia.

— Koń! — krzyknął pułkownik jednocześnie ze mną.

— Tak, koń. I jego wina będzie mniejsza, jeśli powiem, że zrobił to w obronie własnej oraz że John Straker nie był człowiekiem, który by w najmniejszym stopniu zasługiwał na pańskie zaufanie. Ale oto słyhać dzwonek; a ponieważ mam szansę wygranej w następnej gonitwie, dłuższe wyjaśnienia odłożę na bardziej stosowną chwilę.

Siedzieliśmy w kącie przedziału pulmanowskiego wagonu, który niósł nas z powrotem do Londynu, i sądzę, że ani pułkownikowi, ani mnie podróż się nie dłużyła, kiedy słuchaliśmy opowiadania naszego towarzysza o zdarzeniach, do jakich doszło tamtej poniedziałkowej nocy w stajniach wyścigowych na płaskowyżu Dartmoor, oraz o tym, w jaki sposób Holmes je rozwikłał.

— Przyznaję — rzekł — że wszelkie teorie, jakie zbudowałem na podstawie relacji prasowych, okazały się całkowicie błędne. A jednak kryły się tam wskazówki, choć ich rzeczywiste znaczenie przesłaniały inne zbędne szczegóły. Wyjechałem do Devonshire z przekonaniem o faktycznej winie Fitzroya Simpsona, mimo świadomości, że dowody przeciw niemu nie są bynajmniej wystarczające. To właśnie wtedy, gdy siedziałem w powozie, tuż przed dotarciem do domu trenera, uzmysłowiłem sobie, jak wielkie znaczenie miała baranina z curry. Pewnie pamiętasz moje roztargnienie i to, że pozostałem w pojeździe, podczas gdy wszyscy już wysiedli. Nie mogłem pojąć, jak to się stało, że przeoczyłem tak oczywisty trop.

— Przyznaję — rzekł pułkownik Ross — że ja nawet teraz nie dostrzegam znaczenia tego faktu.

— To było pierwsze ogniwo w łańcuchu mojego rozumowania. Sproszkowane opium jest niewątpliwie bezsmakowe. Jego zapach nie jest przykry, ale wyczuwalny. Gdyby się je domieszało do tradycyjnej potrawy, jedzący z pewnością by je wykrył i prawdopodobnie zaniechał dalszego spożywania posiłku. I właśnie curry było środkiem, który miał ukryć ten smak. Trudno byłoby przypuścić, aby ktoś obcy, ów Fitzroy Simpson, mógł wpłynąć na podanie tego wieczoru w rodzinie trenera potrawy z dodatkiem curry, a Już przyjęcie założenia, że akurat wtedy, gdy się tam Pojawił ze sproszkowanym opium, podano posiłek, który maskował jego zapach, wskazywałoby na nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Jest to całkowity absurd. W ten sposób Simpson zostaje ze sprawy wykluczony, a nasza uwaga skupia się na Strakerze i jego żonie, jedynych ludziach, którzy mogli zdecydować o podaniu tego wieczoru baraniny z curry. Opium zostało dodane już po odstawieniu na bok talerza z jedzeniem dla chłopca stajennego, ponieważ inni jedli na kolację to samo, ale bez złych skutków. Które z nich zatem mogło mieć dostęp do talerza bez budzenia podejrzeń służącej?

Zanim rozstrzygnąłem tę kwestię, zrozumiałem, co oznaczał fakt, że pies nie szczekał, ponieważ jeden wniosek nieubłaganie pociąga za sobą następne. Zdarzenie z Simpsonem

pokazało, że w stajniach trzymany jest pies, a jednak, choć ktoś tam wszedł i wyprowadził konia, pies nie zaszczekał na tyle głośno, aby obudzić chłopców śpiących na strychu. To oczywiście, że nocny gość był kimś doskonale psu znanym.

Byłem już przekonany, albo prawie przekonany, że John Straker poszedł do stajni w środku nocy i zabrał stamtąd Srebrnego Płomienia. Tylko w jakim celu? Oczywiście w celu popełnienia czegoś niegodziwego, w przeciwnym bowiem wypadku po cóż miałyby odurzać chłopca stajennego? A jednak nie potrafiłem sobie odpowiedzieć na pytanie o ten cel. Zdarzały się już wcześniej przypadki, że trenerzy zapewniali sobie duże sumy pieniędzy, poprzez agentów obstawiając gonitwy przeciw własnym koniom, by następnie oszukańczymi sposobami uniemożliwić im zwycięstwo. Czasem było to wywieranie presji na dżokeja. Czasem środki pewniejsze i bardziej subtelne. Co wchodziło w grę w tym wypadku? Miałem nadzieję, że w wyciągnięciu wniosku pomoże mi zapoznanie się z zawartością kieszeni pana Strakera. Co też uczyniłem. Musicie, panowie, pamiętać ten osobliwy nóż, który został znaleziony w ręce nieboszczyka, nóż, którego z pewnością nikt o zdrowych zmysłach nie wybierze sobie jako broni. Był to, jak nas poinformował doktor Watson, rodzaj skalpela używanego do najbardziej precyzyjnych operacji chirurgicznych. I do takiej właśnie delikatnej operacji miał on być użyty tamtej nocy. Z pewnością pan wie, pułkowniku Ross, zważywszy na pańskie ogromne doświadczenie w dziedzinie wyścigów konnych, że można dokonać lekkiego nacięcia ścięgien końskiego zadu, przeprowadzając to tak delikatnie, że nie pozostanie żaden ślad. Tak potraktowany koń zacząłby lekko utykać, co mogłoby zostać uznane za naciągnięcie mięśnia podczas treningu lub za atak reumatyzmu, ale nikt by nie odgadł, że to skutek nieuczciwej gry.

— Łotr! Nikczemnik! — krzyknął pułkownik.

— Mamy więc wyjaśnienie, dlaczego John Straker chciał wyprowadzić konia na wrzosowisko. Tak pełne animuszu stworzenie mogłoby wyrwać każdego z najgłębszego snu, gdyby poczuło ukłucie noża. Absolutną koniecznością było wykonanie tego na otwartej przestrzeni.

— Ależ byłem ślepy! — zawołał pułkownik. — To jasne, że do tego potrzebne mu były zapalki i świeca.

— Niewątpliwie. Jednak badając jego rzeczy, miałem o tyle szczęście, że odkryłem nie tylko metodę popełnienia zbrodni, ale również jej motywy. Jako człowiek światowy przyzna pan, pułkowniku, że mężczyźni nie noszą przy sobie rachunków innych ludzi. Mamy do regulowania wystarczająco dużo własnych. Od razu wywnioskowałem, że Straker prowadził podwójne życie i utrzymywał drugi dom. Treść rachunku wskazywała na to, że w grę wchodziła dama, i to o bardzo kosztownych gustach. Bez względu na to, jak hojny jest pan wobec służących, trudno sobie wyobrazić, aby stać ich było na kupowanie swym kobietom spacerowych strojów za dwadzieścia dwie gwinee. Zadałem nieświadomej niczego pani Straker pytanie w związku z tym kostiumem i ku swemu zadowoleniu usłyszałem, że nigdy go nie miała. Zanotowałem więc sobie adres modniarki, z przeczuciem, że dzięki wizycie u niej z fotografią Strakera z łatwością rozprawię się z tym mitycznym osobnikiem o nazwisku Darbyshire.

Od tej chwili wszystko stało się jasne. Straker zawiódł Srebrnego Płomienia do takiego zagłębienia w ziemi, z którego światło byłoby niewidoczne. Simpson podczas ucieczki zgubił fular, a Straker podniósł go być może z myślą użycia do zabezpieczenia nogi konia. Już w tym dole zaszedł go od tyłu i zapalił światło, jednak stworzenie, przerażone nagłym błyskiem i wiedzione dziwnym instynktem zwierząt, które potrafią przeczuć, że grozi im coś niedobrego, wierzgnęło tak, że stalowa podkova trafiła Strakera prosto w czoło. Był już wtedy bez płaszcza, który zdjął mimo deszczu, aby przeprowadzić tę delikatną operację, a kiedy upadł, jego własny nóż rozciął mu udo.

— Cudownie! — krzyknął pułkownik. — Cudownie! To tak, jakby pan przy tym był.

— Moje ostatnie posunięcie, przyznaję, było bardzo ryzykowne. Uderzyło mnie, że ktoś tak przebiegły jak Straker nie dokonałby tego precyzyjnego nacięcia ścięgna, nie zrobiwszy próby. Na czym by mógł dokonać prób? Mój wzrok zatrzymał się na owcach, więc zadałem pytanie, które raczej ku memu zaskoczeniu potwierdziło słuszność tego domysłu.

— Wyjaśnił pan to w sposób doskonały, panie Holmes.

— Po powrocie do Londynu odwiedziłem modniarkę, a ta od razu rozpoznała w Strakerze znakomitego klienta o nazwisku Darbyshire, który miał pełną temperamentu żonę kochającą się w kosztownych strojach. Nie mam wątpliwości, że to przez ową kobietę pograżył się w długach po uszy, co doprowadziło do tej godnej pożałowania intrygi.

— Wytłumaczył pan nam już wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy — krzyknął pułkownik.
— Gdzie był koń?

— Ach, on uciekł i znalazł się pod opieką jednego z pańskich sąsiadów. Sądzę, że w tym wypadku musimy zastosować niewielką amnestię. Jeśli się nie mylę, to jesteśmy w Clapham, skąd mamy połączenie z Dworcem Wiktorii i dotrzemy tam za dziesięć minut. Jeśli miałby pan ochotę na wypalenie cygara w naszym mieszkaniu, pułkowniku, to z przyjemnością przekażę panu inne dotyczące tej sprawy szczegóły, które mogłyby pana interesować.

PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY Z NORWOOD (THE ADVENTURE OF THE NORWOOD BUILDER)

— Po śmierci nieodżałowanego profesora Moriarty’ego — powiedział Sherlock Holmes — Londyn stał się miastem wybitnie nieciekawym z punktu widzenia specjalisty do spraw kryminalnych.

— Trudno mi sobie wyobrazić, aby twój pogląd znalazł zrozumienie u zbyt wielu uczciwych obywateli — odparłem.

— No cóż, zgoda, nie powinienem być egoistą — stwierdził ze śmiechem, odsuwając krzesło od nakrytego do śniadania stołu. — Społeczność oczywiście na tym zyskała, a nie stracił nikt, z wyjątkiem biednego fachowca, detektywa, który nie ma już nic do roboty. Dopóki Moriarty brał udział w grze, jedna tylko poranna gazeta oferowała nieskończone możliwości pracy. Często był to zaledwie nikły ślad, Watsonie, najmniejsza wskazówka, a jednak od razu wiedziałem, że za daną sprawą kryje się genialny jadowity umysł, podobnie jak najsubtelniejsze drgania brzegów pajęczyny przypominają o plugawym pająku, który czai się w jej środku. Drobne kradzieże, przypadkowe napady, bezsensowna agresja — wszystko to w oczach człowieka, który miał w ręku klucz, mogło się układać w jedną spójną całość. Naukowcowi badającemu elity świata przestępczego żadna europejska stolica nie dostarczała tak bogatego materiału, jak ówczesny Londyn. A dziś... — Wzruszył ramionami w żartobliwej wzdardzie dla stanu rzeczy, którego sam w dużym stopniu był sprawcą.

Holmes był już od kilku miesięcy z powrotem w Londynie, a ja, na jego prośbę, sprzedałem swoją praktykę i znów dzieliłem z nim stare mieszkanie przy Baker Street. Młody lekarz nazwiskiem Verner przejął mój skromny rewir w Kensington, niespodziewanie dla mnie płacąc bez większego wahania najwyższą cenę, jakiej odważyłem się zażądać. Fakt ten wyjaśnił się dopiero po kilku latach, kiedy odkryłem, że Verner jest dalekim krewnym Holmesa i że tak naprawdę to pieniądze na to dał mu mój przyjaciel.

Miesiące naszego wspólnego przemieszkowania nie były tak zupełnie pozbawione doniosłych wydarzeń, jak to przedstawił Holmes, ponieważ przeglądając moje notatki, znajduję, że w tym czasie prowadził on śledztwo dotyczące sprawy dokumentów eksprezydenta Murillo, jak też wyjaśniał wstrząsającą aferę związaną z holenderskim parowcem „Friesland”, przez którą o mało obaj nie postradaliśmy życia. Jednak mając chłodną i dumną naturę, zawsze jak ognia unikał publicznego rozgłosu, więc narzucił mi wyjątkowo surowe warunki, abym ani słowem nie wspominał o nim samym, o jego metodach czy sukcesach — był to zakaz, który, jak to już wyjaśniłem, właśnie niedawno został cofnięty.

Po wygłoszeniu swego dziwaczego protestu Sherlock Holmes odchylił się w krzesło i ledwie rozłożył niespiesznie poranną gazetę, gdy naszą uwagę zwróciły dziwne odgłosy na zewnątrz. Najpierw był to natarczywy dźwięk dzwonka, a w ślad za nim gwałtowne głucho dudnienie, jak gdyby walono pięścią w drzwi wejściowe. Po chwili ktoś jak burza przebiegł przez hol, potem usłyszeliśmy szybki stukot nóg po schodach, a w ułamek sekundy później do pokoju wtargnął miotany szalem blady, rozdygotany młody człowiek o rozbieganych oczach i zmierzwionych włosach. Patrzył to na mnie, to na Holmesa i pod wpływem naszych pytających spojrzeń uświadomił sobie, że należą się z jego strony jakieś przeprosiny za tak bezceremonialne wejście.

— Przepraszam! — krzyknął. — Proszę mnie zrozumieć. Jeszcze chwila, a oszaleję! Panie Holmes, to ja jestem tym nieszczęsnym Johnem Hectorem McFarlane’em!

Oznajmił nam to tak, jakby już samo jego nazwisko miało tłumaczyć zarówno jego wizytę, jak jej formę, ale widząc obojętny wyraz twarzy mego towarzysza, uznałem, że mówi mu ono nie więcej niż mnie.

— Proszę się poczęstować papierosem — rzekł Holmes, podsuwając mu pudełko. — Jestem pewien, że przy takich objawach mój przyjaciel, doktor Watson, przepisałby panu jakiś środek uspokajający. Ostatnio mieliśmy upalne dni. A teraz, jeśli pan już trochę doszedł do siebie, byłbym rad, gdyby usiadł pan na tamtym krześle i opowiedział nam spokojnie i bez pośpiechu, kim jest i co go do mnie sprowadza. Przedstawiając się, był pan pewien, że pańskie nazwisko jest mi znane, ale zapewniam, że poza oczywistymi faktami, iż jest pan kawalerem, doradcą prawnym, wolnomularzem i astmatykiem, nie wiem o panu nic.

Znając świetnie metody mego przyjaciela, z łatwością rozszyfrowałem linię jego rozumowania — dostrzegłem nieład stroju, plik prawniczych dokumentów, masoński herb przy dewizce zegarka oraz zadyszkę, a więc wszystko to, co umożliwiło mu wyciągnięcie takich wniosków. Nasz klient wszakże siedział z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami.

— Tak, wszystko to się zgadza, ale poza tym jestem największym w tej chwili pechowcem w Londynie. Na miłość boską, niech mnie pan nie opuszcza, panie Holmes! Jeśli przyjdą mnie aresztować, zanim skończę swoją opowieść, proszę ich skłonić, żeby mi dali trochę czasu na przedstawienie panu całej prawdy. Łatwiej byłoby mi pójść do więzienia, gdybym wiedział, że pan zajmuje się moją sprawą.

— Aresztować pana? — rzekł Holmes. — To jest doprawdy nadzwyczaj zachęca... nadzwyczaj interesujące. Pod jakim zarzutem spodziewa się pan zostać aresztowany?

— Pod zarzutem zamordowania pana Jonasa Oldacre'a z Lower Norwood.

Wyraz twarzy mego towarzysza znamionował współczucie, które niestety nie było pozbawione domieszki zadowolenia.

— Mój Boże! — powiedział. — A dopiero przed chwilą, przy śniadaniu, mówiłem memu przyjacielowi, doktorowi Watsonowi, że z łamów naszych gazet zniknęły już sensacyjne wydarzenia.

Nasz gość drążącą ręką sięgnął po „Daily Telegraph”, który wciąż jeszcze leżał na kolanach Holmesa.

— Gdyby pan był zajrzał do tej gazety, sir, domyśliłby się pan natychmiast, jaki jest cel tej mojej porannej wizyty. Czuję się tak, jak gdyby moje nazwisko i moje nieszczęście były na ustach wszystkich ludzi — odwrócił gazetę na środkową stronę. — O, jest. Za pańskim pozwoleniem przeczytam to. Proszę posłuchać, panie Holmes. Tytuły brzmią następująco: TAJEMNICZA SPRAWA W LOWER NORWOOD. ZNIKNIĘCIE ZNANEGO PRZEDSIĘBIORCY BUDOWLANEGO. PODEJRZENIE MORDERSTWA I PODPALENIA. NA TROPIE PRZESTĘPCY. Oni już tym tropem podążają, panie Holmes, i wiem, że nieuchronnie prowadzi on do mnie. Byłem śledzony od Dworca London Bridge i jestem pewien, że tylko czekają na nakaz, aby mnie aresztować. Serce mojej matki tego nie wytrzyma, z pewnością nie wytrzyma! — załamał ręce torturowany tym przecuciem, kołysząc się w tył i w przód na krześle.

Z zainteresowaniem przyglądałem się człowiekowi, który został oskarżony o popełnienie brutalnej zbrodni. Był przystojny, ale jakiś wymoczkowaty, w jego wystraszonych niebieskich oczach, gładko wygolonej twarzy i niewielkich, znamionujących słaby charakter, wrażliwych ustach było coś odpychającego. Miał jasne włosy. Mógł mieć około dwudziestu siedmiu lat; jego ubiór i sposób bycia wskazywały na dżentelmena. Z kieszeni lekkiego letniego płaszcza sterczał plik urzędowych dokumentów, które zdradzały zawód naszego gościa.

— Musimy wykorzystać dany nam czas — powiedział Holmes. — Watsonie, czy mógłbyś wziąć tę gazetę i przeczytać mi rzeczony ustęp?

Pod krzykliwymi tytułami, które już nam przytoczył nasz klient, przeczytałem następującą, wielce sugestywną relację:

Późnym wieczorem w dniu wczorajszym czy też wcześniej rano w dniu dzisiejszym doszło w Lower Norwood do zdarzenia, którego okoliczności stwarzają obawy, że popełniono ciężką zbrodnię. Pan Jonas Oldacre jest dobrze znanym mieszkańcem tego przedmieścia, gdzie prowadził przedsiębiorstwo budowlane. Pan Oldacre jest pięćdziesięciodwuletnim kawalerem i mieszka w Deep Dene House w zaułku Sydenham przy ulicy o tej samej nazwie. Ma opinię człowieka o ekscentrycznych obyczajach, tajemniczego i nienarzucającego się otoczeniu. Kilka lat temu faktycznie wycofał się już ze swego interesu, dorobiwszy się, jak wieść niesie, pokaźnego majątku. Jednak na tyłach jego domu wciąż jeszcze istnieje niewielki skład drewna. Ostatniej nocy, około godziny dwunastej, wszczęto alarm, palił się jeden ze stosów. Niebawem na miejsce przybyły wozy strażackie, ale stłumienie ognia było niemożliwe, bo drewno płonęło bardzo gwałtownie i trzeba było czekać, aż stos wypalił się do końca. Do tego momentu wyglądało to na zwyczajny wypadek, jednak nowe fakty zdają się wskazywać, że w grę wchodzi zbrodnia. Za zaskakującą uznano nieobecność na miejscu zdarzenia właściciela przedsiębiorstwa, wszczęto więc dochodzenie, które wykazało, że zniknął on z domu. Podczas oględzin jego pokoju stwierdzono, że łóżko pozostało tej nocy nietknięte, że sejf jest otwarty, a po całym pomieszczeniu poniewierają się liczne ważne dokumenty, i wreszcie że widoczne są ślady jakichś morderczych zmagania — w pokoju wykryto niewielkie plamy krwi i znaleziono dębową łaskę, której uchwyt również był poplamiony krwią. Wiadome jest, że pan Jonas Oldacre przyjął tej nocy w swojej sypialni późnego gościa oraz że znalezioną łaskę zidentyfikowano jako własność młodego londyńskiego adwokata o nazwisku John Hector McFarlane, który jest młodszym wspólnikiem firmy Graham & McFarlane, mieszczącej się przy Gresham Buildings pod numerem 426 we wschodniej części śródmieścia Londynu. Policja twierdzi, że jest w posiadaniu dowodów, które świadczą o istnieniu bardzo wiarygodnego motywu tej zbrodni, i nie ma wątpliwości, że sprawę przyjmą sensacyjny obrót.

OSTATNIE WIADOMOŚCI. W chwili oddawania do druku niniejszego numeru rozeszła się pogłoska, jakoby pana Johna Hectora McFarlane'a aresztowano już pod zarzutem popełnienia morderstwa na panu Jonasie Oldacre. W każdym razie jest rzeczą pewną, że nakaz został już wydany. Podczas śledztwa w Norwood zaczynają wychodzić na jaw nowe złowrogie szczegóły. Wiadomo teraz, że poza śladami walki w pokoju nieszczęsnego przedsiębiorcy zauważono też otwarte oszklone drzwi jego sypialni (która mieści się na parterze), a odkryte tam ślady sugerują, że coś dużego i ciężkiego ciągnięto w stronę stosu drewna, a wreszcie utrzymuje się, jakoby w popiołach pogorzeliska znaleziono zwęglone ludzkie szczątki. Teoria policyjna głosi, że popełniono najbardziej sensacyjną zbrodnię, której ofiara została zatłuczona na śmierć, jej dokumenty splądrowano, a ciało zawleczono na stos drewna, który podpalono dla zatarcia śladów przestępstwa. Prowadzenie kryminalnego dochodzenia powierzono doświadczonemu inspektorowi Lestrade'owi ze Scotland Yardu, który podąża tymi tropami z charakterystyczną dla siebie energią i przenikliwością.

Sherlock Holmes słuchał tego z zamkniętymi oczami, zetknąwszy opuszki palców obu dłoni.

— Sprawa ta z pewnością zawiera pewne interesujące punkty — powiedział w swój powolny sposób. — Czy mogę na wstępie spytać, panie McFarlane, jak to się dzieje, że pan wciąż przebywa na wolności, skoro wygląda na to, że są już wystarczające dowody, aby pana aresztować?

— Mieszkam z rodzicami w Torrington Lodge w Blackneath, panie Holmes; ale ostatniego wieczoru, ze względu na bardzo późne spotkanie z panem Jonasem Oldacre'em, zatrzymałem się w hotelu w Norwood i stamtąd pojechałem do pracy. O całej sprawie dowiedziałem się dopiero w pociągu, kiedy przeczytałem to, co pan już zna. Natychmiast zrozumiałem, jak niebezpieczna jest moja sytuacja, więc pospieszyłem złożyć sprawę w pańskie ręce. Z pewnością już by mnie aresztowano czy to w moim biurze w śródmieściu, czy to w domu. Jakiś człowiek szedł za mną od Dworca London Bridge i nie mam wątpliwości... Wielkie nieba, co to takiego?

Był to dźwięk dzwonka, po którym natychmiast dało się słyszeć ciężkie stąpanie po schodach. Chwilę później w progu stanął nasz stary przyjaciel Lestrade. Za jego ramieniem dostrzegłem jednego lub dwóch stojących na zewnątrz umundurowanych policjantów.

— Pan John Hector McFarlane! — rzekł Lestrade. Nasz nieszczęsny klient powstał z krzesła z upiornie pobladłą twarzą.

— Aresztuję pana pod zarzutem popełnienia morderstwa z premedytacją na panu Jonasie Oldacre z Lower Norwood!

McFarlane zwrócił się do nas w odruchu rozpaczy i opadł ponownie na krzesło, całkowicie zdruzgotany.

— Chwileczkę, Lestrade — rzekł Holmes. — Pół godziny wcześniej czy później nie zrobi panu różnicy, a ten dżentelmen miał nam właśnie zrelacjonować swoją nader interesującą sprawę, co mogłoby się okazać pomocne w jej wyjaśnieniu.

— Myślę, że z jej wyjaśnieniem nie będzie żadnych kłopotów — powiedział pośpiesznie Lestrade.

— Niemniej jednak, z pańskim pozwoleniem, byłbym bardzo zainteresowany wysłuchaniem jego relacji.

— No cóż, panie Holmes, trudno mi czegokolwiek panu odmówić, ponieważ w przeszłości kilka razy okazał się pan dla policji użyteczny i jesteśmy w Scotland Yardzie pana dłużnikami — powiedział Lestrade. — Muszę jednakże pozostawać przy moim więźniu, a także mam obowiązek przestrzec go, że wszystko, co powie, może być uznane za dowód przeciw niemu.

— Niczego więcej nie pragnę — powiedział nasz klient. — Proszę tylko, aby pan tego wysłuchał i poznał absolutną prawdę.

Lestrade spojrział na zegarek.

— Daję panu pół godziny — powiedział.

— Przede wszystkim muszę wyjaśnić — zaczął McFarlane — że nie wiedziałem nic o panu Jonasie Oldacre. Jego nazwisko było mi znane, ponieważ rodzice przed laty utrzymywali z nim znajomość, która się następnie urwała. Byłem więc bardzo zaskoczony, kiedy wczoraj, około godziny trzeciej po południu, wszedł on do mojego biura w śródmieściu. Jednak jeszcze większe zdumienie ogarnęło mnie w chwili, gdy poznałem cel jego wizyty. Trzymał w ręku kilka kartek z jakiegoś notesu, pokrytych niechlujnym pismem — oto one — które położył na moim stole. „To mój testament — powiedział. — Pragnę, aby pan, panie McFarlane, nadał mu urzędowy kształt. Posiedzę tu, aż pan się z tym upora”.

Zabrałem się do przepisywania dokumentu i może pan sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy stwierdziłem, że Jonas Oldacre prawie cały swój majątek przekazywał mnie. Był dziwnym, przypominającym łasicę człowiekiem o białych rzęsach i kiedy podniosłem na niego wzrok, stwierdziłem, że wlepią we mnie spojrzenie swych przenikliwych szarych oczu, w których malowało się rozbawienie. Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy zapoznawałem się z warunkami testamentu. Jonas Oldacre wszakże wyjaśniał w nim, że jest kawalerem, że ma bardzo niewielu żyjących krewnych, że w młodości znał moich rodziców, że zawsze słyszał o mnie jako o godnym uznania młodym człowieku i jest pewny, iż jego pieniądze znajdą się we właściwych rękach. Oczywiście pozostało mi tylko wyjąkać słowa podziękowania. Testament został stosownie zakończony, podpisany i poświadczony przez

mojego urzędnika. To ten niebieski papier, te zaś kartki są, jak już wyjaśniłem, jego brudnopisem. Pan Jonas Oldacre poinformował mnie następnie, że istnieją liczne dokumenty — umowy dzierżawy budynków, tytuły własności, świadectwa hipoteczne, akcje i temu podobne — które powinienem koniecznie obejrzeć i zrozumieć ich znaczenie. Powiedział, że nie zazna spokoju ducha, dopóki nie załatwi całej tej sprawy, i nalegał, żebym jeszcze tego wieczoru przyszedł z testamentem do jego domu w Norwood, gdzie moglibyśmy doprowadzić wszystko do końca.

„Pamiętaj, mój chłopcze, ani słowa twoim rodzicom o całej sprawie, dopóki wszystko nie zostanie załatwione. Będą mieli małą niespodziankę” — powiedział.

Bardzo w tym względzie nalegał i skłonił mnie, abym mu to solennie przyrzekł.

Może pan sobie wyobrazić, panie Holmes, że nie byłem w nastroju do odmawiania mu czegokolwiek. Był moim dobroczyńcą i pragnąłem dokładnie spełnić wszystkie jego życzenia. Wysłałem więc do domu telegram z informacją, że załatwiam ważną sprawę i że trudno mi określić, kiedy wrócę. Pan Oldacre wyraził chęć, abyśmy zjedli razem kolację o dziewiątej, ponieważ wcześniej może go jeszcze nie być w domu. Miałem jednak pewne trudności ze znalezieniem jego domu i kiedy tam dotarłem, było już prawie wpół do dziesiątej. Znalazłem go...

— Przepraszam! — przerwał Holmes. — Kto otworzył drzwi?

— Kobieta w średnim wieku; sądzę, że jego gospodyni.

— I to ona, jak się domyślam, podała pańskie nazwisko policji?

— Właśnie — rzekł McFarlane.

— Proszę kontynuować.

Mc Farlane otarł spocone czoło i ciągnął swą opowieść.

— Kobieta zaprowadziła mnie do salonu, gdzie było nakryte do skromnej kolacji. Później poszliśmy z panem Oldacre'em do jego sypialni, w której stał ciężki sejf. Gospodarz otworzył go, wyjął masę dokumentów i zaczęliśmy je przeglądać. Skończyliśmy między jedenastą a dwunastą. Oldacre zauważył, że nie powinniśmy niepokoić gospodyni, i wyprowadził mnie przez oszklone drzwi sypialni, które przez cały ten czas pozostawały otwarte.

— Czy żaluzja była opuszczona? — zapytał Holmes.

— Tego nie jestem pewien, ale sądzę, że była opuszczona tylko do połowy. Nie mogłem odnaleźć mojej laski, na co on powiedział: „Nie martw się, mój chłopcze; mam nadzieję, że będziemy się teraz często widywać, więc przechowam tę laskę do twoich następnych odwiedzin i wtedy ją sobie odbierzesz”. Zostawiłem go tam z otwartym sejfem i dokumentami ułożonymi na stole w pakiety. Było już tak późno, że nie mogłem wrócić do Blackheath, więc tę noc spędziłem w hotelu „Anerley Arms”, nie mając o niczym pojęcia, aż dopiero rano przeczytałem w gazecie informację o tej przerażającej sprawie.

— Czy jest jeszcze coś, o co chciałby pan zapytać, panie Holmes? — odezwał się Lestrade, który podczas tego niezwyklego wyjaśnienia raz lub dwa zmarszczył brwi.

— Dopiero po mojej wizycie w Blackheath.

— Chciał pan powiedzieć w Norwood — powiedział Lestrade.

— Ach tak; to oczywiście musiałem mieć na myśli — rzekł Holmes z zagadkowym uśmiechem.

Lestrade wiedział aż za dobrze, że ten ostry jak brzytwa umysł potrafi penetrować obszary dla niego niedostępne. Zauważyłem, że spojrzał na mego przyjaciela z ciekawością.

— Myślę, że powinienem teraz zamienić z panem słówko, panie Holmes — powiedział. — No, panie McFarlane, przy drzwiach stoi moich dwóch posterunkowych, a na dole czeka dorożka.

Nieszczęsny młodzieniec podniósł się i rzuciwszy nam ostatnie błagalne spojrzenie, wyszedł z pokoju. Mundurowi zaprowadzili go do pojazdu, Lestrade pozostał.

Holmes podniósł kartki brudnopisu testamentu i przypatrywał się im z twarzą wyrażającą najżywsze zainteresowanie.

— Nie sądzi pan, Lestrade, że dokument ten odznacza się szczególnymi cechami? — powiedział, przewracając kartki.

Funkcjonariusz popatrzył na niego z zakłopotaniem.

— Nie mogę odczytać kilku pierwszych linijek, tych w środku drugiej strony i jednej lub dwóch na końcu. Te zaś są wyraźne jak druk — powiedział. — Jednak między nimi są fragmenty bardzo nieczytelne, a w trzech miejscach nie potrafię odczytać dosłownie nic.

— I co pan o tym sądzi? — zapytał Holmes.

— Ba, co pan o tym sądzi?

— A że pisano to w pociągu. Pismo czytelne powstało w czasie postojów na stacjach, mało czytelne — w ruchu, a nieczytelne podczas przejazdów przez zwrotnice. Biegły oświadczyłby od razu, że pisano to w pociągu linii podmiejskiej, ponieważ tylko w okolicach wielkich miast kolejne zwrotnice pojawiają się tak często. Przyjmując, że pisanie testamentu wypełniło mu całą podróż, musiał to być pociąg ekspresowy, z jednym tylko przystankiem między Norwood a dworcem London Bridge.

Lestrade zaczął się śmiać.

— Pan mnie zapędza w kozi róg, snując swoje teorie, panie Holmes — stwierdził. — Jaki to ma związek ze sprawą?

— No cóż, po prostu potwierdza opowiadanie młodego człowieka w tym punkcie, że testament został naszkicowany przez Oldacre'a wczoraj podczas podróży. Czyż nie jest to osobliwe, że ktoś pisze tak ważny dokument w tak przypadkowy sposób? Nasuwa się przypuszczenie, że nie przywiązywał on do niego zbyt wielkiej wagi. Gdyby ktoś sporządził testament, który w jego intencji nie miał nigdy zostać wykonany, mógłby to uczynić w ten właśnie sposób.

— Tylko że tym samym podpisał wyrok śmierci na siebie — rzekł Lestrade.

— Aha, tak pan sądzi?

— A pan nie?

— No cóż, to całkiem możliwe, niemniej jednak sprawa ta nie jest jeszcze dla mnie jasna.

— Nie jest jasna? Ha, jeśli ona nie jest jasna, to co mogłoby być jaśniejsze? Oto młody człowiek nagle dowiaduje się, że jeśli pewien starszy człowiek umrze, on odziedziczy jego majątek. Cóż więc robi? Nikomu o niczym nie mówi, ale pod jakimś pretekstem wychodzi, by spotkać się tego wieczoru ze swym klientem; czeka, aż gospodyni pójdzie spać, a następnie w odosobnieniu, jakim jest pokój tego człowieka, morduje go, pali jego ciało w składzie drewna i odchodzi do pobliskiego hotelu. Krwawe ślady w pokoju i na lasce są bardzo nikłe. Prawdopodobnie ich nie zauważył i dlatego pomyślał, że obyło się bez krwi, i miał nadzieję, że jeśli ciało spłonie, to wszystkie tropy wskazujące na sposób popełnienia zbrodni zostaną zatarte — tropy, które muszą prowadzić do niego. Czy to wszystko nie jest oczywiste?

— Szczególnie uderza to, mój dobry Lestrade, że nawet troszeczkę zbyt oczywiste — odparł Holmes. — Ma pan wiele znamienitych zalet, ale brakuje panu wyobraźni. Gdyby pan choć na chwilę postawił się w sytuacji tego młodzieńca, to czy na popełnienie zbrodni wybrałby pan pierwszą noc po sporządzeniu testamentu? Czy nie wydałby się panu zbyt niebezpieczny bezpośredni związek między tymi dwoma zdarzeniami? A poza tym, czy wybrałby pan ten wieczór, kiedy było wiadomo, że odwiedził pan Oldacre'a, ponieważ został wpuszczony do domu przez służącą? I wreszcie, czy zadając sobie tyle trudu dla ukrycia ciała, jednocześnie zostawiłby pan swoją laskę, znak wskazujący na pana jako mordercę? Niech pan przyzna, Lestrade, że wszystko to jest wysoce nieprawdopodobne.

— Co do laski, panie Holmes, to wie pan równie dobrze jak ja, że przestępca działa często w popłochu i robi rzeczy, których człowiek opanowany nigdy by nie uczynił. Bardzo

prawdopodobne, że obawiał się wrócić do pokoju. Niech mi pan przedstawi inną teorię, która pasowałaby do faktów.

— Mógłbym ich panu z łatwością dostarczyć pół tuzina — odparł Holmes. — Oto na przykład jedna, nawet bardzo prawdopodobna wersja. Prezentuję ją panom bezinteresownie. Starszy mężczyzna pokazuje McFarlane'owi dokumenty bezspornej wartości. Przechodzący włóczęga widzi je przez okno, którego żaluzja jest zaciągnięta jedynie do połowy. Doradca prawny wychodzi. Wpada włóczęga! Chwyta laskę, którą tam znajduje, zabija Oldacre'a i odchodzi po spaleniu ciała.

— Po cóż by włóczęga miał palić ciało?

— A jeśli już o to chodzi, to dlaczego McFarlane miałby to zrobić?

— Aby zatrzeć niektóre ślady.

— Możliwe, że włóczęga chciał w ten sposób w ogóle ukryć fakt morderstwa.

— I dlaczego włóczęga niczego nie zabrał?

— Ponieważ uznał, że dokumenty nie przedstawiają dla niego żadnej wartości.

Lestrade pokręcił głową, choć odniosłem wrażenie, że jego postawa nie była już tak niezachwiana jak przedtem.

— No dobrze, panie Holmes, niech pan szuka swego włóczęgi, a dopóki go pan nie znajdzie, my nie zwolnimy naszego aresztanta. Przyszłość pokaże, jaka jest prawda. Niech pan tylko zwróci uwagę na to, panie Holmes — powiedział — że na razie, jak wiemy, żadne dokumenty nie zostały wyniesione i że McFarlane jest jedynym człowiekiem na świecie, który nie miał najmniejszego powodu, aby je zabierać, ponieważ był prawnym spadkobiercą i miał do nich dostęp w każdej chwili.

Uwaga ta, jak się wydaje, wywarła na moim przyjacielu pewne wrażenie.

— Nie zamierzam kwestionować tego, że dowody na swój sposób bardzo silnie wspierają pańską teorię — rzekł. — Pragnę tylko wykazać, że istnieją również inne prawdopodobne hipotezy. Jak pan sam powiada, przyszłość pokaże, jaka jest prawda. Do widzenia! Przypuszczam, że w ciągu dnia wpadnę do Norwood i zobaczę, jak pan sobie radzi.

Po wyjściu detektywa mój przyjaciel wstał i rozpoczął przygotowania do dnia pracy z ożywieniem człowieka, który ma przed sobą do wykonania jakiegoś sprawiającego mu przyjemność zadanie.

— Swoje pierwsze kroki, Watsonie — mówił, wbijając się w surdut — jak to już powiedziałem, muszę skierować do Blackheath.

— A dlaczego nie do Norwood?

— Ponieważ w tej sprawie jedno szczególne zdarzenie goni inne. Policja popełnia błąd, skupiając uwagę na tym drugim, ponieważ ma ono akurat charakter kryminalny. Dla mnie jednak jest oczywiste, że logika podpowiada rozpoczęcie dochodzenia od próby wyjaśnienia zdarzenia pierwszego — tak nagłego sporządzenia dziwaczego testamentu, i to na rzecz jakże zaskakującego spadkobiercy. To może nam cokolwiek ułatwić zrozumienie zdarzeń późniejszych. Nie, mój druhu, nie sądzę, żebyś mógł mi w tym pomóc. Nie przewiduję żadnego niebezpieczeństwa, w przeciwnym bowiem wypadku ani bym pomyślał wyruszać bez ciebie. Wierzę, że kiedy się zobaczymy wieczorem, będę ci mógł zameldować, że potrafię już jakoś pomóc temu młodzieńcowi, który złożył sprawę w moje ręce.

Było już późno, kiedy mój przyjaciel wrócił, i wystarczył mi jeden rzut oka na jego umęczoną i zatroskaną twarz, aby zrozumieć, że nie spełniły się wielkie nadzieje, z którymi wyruszał w drogę. Przez godzinę rzępolił na skrzypcach, usiłując tym uspokoić wewnętrzne wzburzenie. Wreszcie odrzucił instrument i rozpoczął szczegółową relację ze swojej nieudanej wyprawy.

— Wszystko idzie źle, Watsonie — tak źle, jak to tylko jest możliwe. Przed Lestrade'em nadrabiałem miną, ale, Bóg mi świadkiem, sądzę, że tym razem to ten jegomość jest na właściwym tropie, podczas gdy my błądzimy. Mój instynkt to jedno, a fakty — to drugie, i

bardzo się obawiam, że brytyjscy przysięgli nie są na tyle inteligentni, aby przedłożyć moje teorie nad fakty Lestrade'a.

— Pojechałeś do Blackheath?

— Tak, Watsonie, pojechałem tam i bardzo szybko stwierdziłem, że świętej pamięci Oldacre był całkiem niezłym szubrawcem. Ojciec Johna McFarlane'a był poza domem, właśnie poszukiwał syna. Matkę zastałem — jest drobną, spłoszoną osobką o niebieskich oczach, drżącą ze strachu i oburzenia. Oczywiście nie dopuszczała do siebie nawet myśli o winie Johna. Ale jednocześnie nie wyraziła ani zaskoczenia, ani żalu w związku z losem, jaki spotkał Oldacre'a. Wręcz przeciwnie, mówiła o nim z takim rozgoryczeniem, że nieświadomie wzmocniła tylko wiarygodność wersji policji; nie ulega bowiem wątpliwości, że gdyby jej syn usłyszał te słowa, to poczułby nienawiść do tego człowieka i zechciałby się z nim rozprawić.

„Bardziej przypominał złośliwą i przebiegłą małpę niż ludzką istotę — powiedziała do mnie. — I taki był zawsze, od czasów swej młodości”. „Znała go pani wówczas?”

— zapytałem. „Tak, znałam go dobrze; był moim adoratorem. Dzięki Bogu, że miałam na tyle rozumu, żeby go odrzucić i poślubić lepszego, choć uboższego, człowieka. Już po zaręczynach, panie Holmes, usłyszałam wstrząsającą historię o tym, jak wpuścił kota do ptaszarni, i jego dzikie okrucieństwo tak mnie przeraziło, że zerwałam z nim wszelki kontakt — poszperała w biurku i w końcu pokazała mi straszliwie oszpeconą i pociętą nożem fotografię jakiejś kobiety. — To ja jestem na tym zdjęciu — powiedziała. — Przysłał mi je już takie, wraz ze swym przekleństwem, rankiem w dniu mego ślubu”. „No cóż — rzekłem na to. — Ale przynajmniej teraz już pani wybaczył, zostawiając swój majątek pani synowi”. „Ani ja, ani mój syn nie chcemy niczego od Jonasa Oldacre'a, żywego czy umarłego — krzyknęła z mocą. — Istnieje Bóg w niebiosach, panie Holmes, i Bóg, który ukarał tego niegodziwca, pokaże, kiedy Mu się to spodoba, że ręce mego syna nie są zbrukane krwią”.

— Tak więc zbadałem jeden lub dwa tropy, ale nie doszedłem do niczego, co wspierałoby naszą hipotezę, a jedynie do kilku punktów, które pozostawały z nią w sprzeczności. Wreszcie dałem za wygraną i pojechałem do Norwood.

Deep Dene House to okazała nowoczesna willa z jaskrawej cegły, stojąca tyłem do gruntów wchodzących w skład posiadłości, z porośniętym kępami wawrzynu trawnikiem od frontu. W głębi po prawej stronie znajduje się skład drzewny, w którym wybuchł pożar. Oto prowizoryczny plan na kartce z mojego notatnika. Okno po lewej stronie prowadzi do pokoju Oldacre'a. Jak widzisz, można do niego zajrzeć z ulicy. I z tym tylko wiązę obecnie jakieś nadzieje. Lestrade'a tam nie było, honory domu czynił jego pierwszy posterunkowy. Dokonali wielkiego znaleziska. Cały ranek spędzili na przetrząsaniu popiołów po pożarze i obok zwęglonych organicznych szczątków zabezpieczyli kilka odbarwionych krawców. Zbadałem je starannie i nie było wątpliwości, że są to guziki od spodni. Odcyfrowałem nawet, że jeden z nich oznaczony był nazwiskiem „Hyams”, które należy do krawca Oldacre'a. Następnie bardzo dokładnie popracowałem nad trawnikiem w poszukiwaniu śladów i znaków, ale wskutek panującej suszy wszystko jest tam twarde jak kamień. Niczego nie można się było dopatrzeć, poza tym, że kogoś lub coś przeciągnięto przez niski ligustrowy żywopłot, który wytyczał granicę między domem a składem drzewnym. Wszystko to oczywiście pasuje do oficjalnej teorii. Na czworakach spenetrowałem cały trawnik, czując na plecach sierpniowe słońce, a kiedy wstałem, nie byłem ani trochę mądrzejszy niż przedtem.

Po tej porażce wszedłem do sypialni, żeby ją również obejrzeć. Ślady krwi były ledwie widoczne — zwykłe maźnięcia i plamki, ale niewątpliwie świeże. Laskę zabrano, choć i na niej widniały podobne ślady. Nie ma żadnej wątpliwości, że należy ona do naszego klienta. Sam to zresztą potwierdza. Na dywanie można było rozróżnić odciski stóp obu mężczyzn, ale żadnych innych, które by należały do trzeciej osoby, co znów jest wodą na młyn dla tamtej strony. Oni wciąż posuwają się do przodu, a my tkwimy w martwym punkcie.

Zabłysnął mi tylko jeden promyk nadziei, ale i ten znaczy tyle co nic. Zbadałem zawartość sejfu, której znaczna część była z niego wyjęta i rozłożona na stole. Dokumenty znajdowały się w zaklejonych kopertach. Jedną lub dwie z nich otworzyła policja. Nie miały one, na ile mogłem się zorientować, jakiejś szczególnej wartości, a książeczka bankowa nie wskazywała na to, żeby pan Oldacre opływał w wielkie dostatki. Wydało mi się wszakże, iż pewnych dokumentów brakowało. W papierach były wzmianki o jakichś tytułach własności — być może chodziło o majątek większej wartości — których nie mogłem znaleźć. A to, gdybyśmy oczywiście zdołali udowodnić, że zniknęły, skierowałoby argument Lestrade'a przeciw niemu samemu, któż by bowiem kradł to, co miał wkrótce odziedziczyć?

Na koniec, po bezowocnym przetrząśnięciu wszystkich kątów, spróbowałem szczęścia z gospodynią. Jest to pani Lexington, drobna, ciemnowłosa, milcząca kobieta o podejrzliwych, rozbieganych oczach. Mam pewność, że gdyby ją zmusić, miałaby wiele do powiedzenia. Ale ona była zamknięta w sobie jak ślimak w skorupie. Tak, wpuściła McFarlane'a o wpół do dziesiątej. Wolałaby, żeby jej wcześniej ręka uschła. Położyła się o wpół do jedenastej. Jej pokój znajduje się w drugim końcu domu, więc niczego nie słyszała. Pan McFarlane zostawił w holu swój kapelusz i, jeśli dobrze pamięta, także laskę. Obudził ją alarm wszczęty z powodu pożaru. Jej biedny drogi pan został z pewnością zamordowany. Czy miał jakichś wrogów? Przecież każdy człowiek ma wrogów, ale pan Oldacre z nikim się nie zadawał, a z ludźmi spotykał się tylko w interesach. Obejrząwszy guziki, wyraziła pewność, że należą do garderoby, którą miał na sobie ostatniego wieczoru. Drewno było bardzo suche, bo od miesiąca nie padało. Paliło się jak hubka i kiedy dotarła na miejsce, widziała tylko płomienie. I ona, i strażacy czuli zalatującą od ognia woń palonego ciała. Nie wiedziała nic o dokumentach ani o sprawach prywatnych pana Oldacre'a.

Tak więc, drogi Watsonie, melduję ci o swoim niepowodzeniu. A przecież... a przecież... — gwałtownie zacisnął pięści w poczuciu głębokiego przekonania co do swoich racji — ja wiem, że to wszystko wyglądało inaczej, czuję to. Istnieje tu coś, co nie wyszło na jaw, a o czym wie gospodyni. W jej oczach malowało się jakieś wyzwanie, które zawsze świadczy o tym, że człowiek coś ukrywa. W każdym razie gadanie nic już tu nie da, Watsonie; jeśli jednak nie przyjdzie nam w sukurs jakiś szczęśliwy przypadek, to obawiam się, że sprawy zniknięcia w Norwood nie odnotujemy w kronice sukcesów, z czym nasi sympatycy prędzej czy później będą musieli się pogodzić.

— Ale przecież — powiedziałem — powierzchowność McFarlane'a przekonałaby każdą ławę przysięgłych o jego niewinności.

— To bardzo niebezpieczny argument, mój drogi Watsonie. Pamiętasz tego przerażającego mordercę z 1887 roku, Berta Stevensa, który chciał, abyśmy go ratowali od stryczka? Czy można sobie było wyobrazić łagodniejszego w objęciu młodzieńca ze szkółki niedzielnej?

— To prawda.

— Jeśli nie uda się nam przedstawić alternatywnej wersji, ten człowiek jest zgubiony. Trudno znaleźć jakąkolwiek skazę na sprawie, którą się teraz wytacza przeciw niemu, całe zaś dalsze dochodzenie służy jej wzmocnieniu. A tak przy okazji — jest jeden mały szkopuł związany z dokumentami, który może nam posłużyć jako punkt wyjścia. Przejrzenie książeczki bankowej Oldacre'a pozwoliło mi stwierdzić, że niski stan konta spowodowany jest głównie wysokiej wartości czekami, jakie w ciągu ostatniego roku zrealizował niejaki pan Cornelius. Powinienem się doprawdy zainteresować, kim może być człowiek, z którym emerytowany przedsiębiorca budowlany zawiera tak poważne transakcje. Być może miał on jakiś swój udział w tej sprawie. Cornelius mógł być maklerem, ale nie znaleźliśmy żadnych dokumentów, które dotyczyłyby operacji giełdowych Oldacre'a. Z braku jakichkolwiek innych wskazówek moi wywiadowcy muszą teraz skierować do banku pytanie o dżentelmena, który podjął gotówkę z tytułu tych czeków. Boję się jednak, mój drogi przyjacielu, że ta

sprawa zakończy się dla nas haniebnie — Lestrade zaprowadzi naszego klienta na szubienicę, co oczywiście będzie dla Scotland Yardu powodem do triumfu.

Nie wiem, czy Sherlock Holmes w ogóle spał tej nocy, bo kiedy zszedłem na śniadanie, znalazłem go bladego i przygnębionego, z oczami głęboko podkrążonymi, co jeszcze bardziej podkreślało ich jasną barwę. Dywan wokół niego usiany był niedopałkami papierosów i porannymi wydaniem gazet. Na stole leżał otwarty telegram.

— Co o tym sądzisz, Watsonie? — zapytał, rzucając mi go przez stół.

Telegram przyszedł z Norwood i brzmiał następująco: MAM NOWE WAŻNE DOWODY. WINA MCFARLANE’A USTALONA OSTATECZNIE. RADZĘ PANU PONIECHAĆ TEJ SPRAWY. LESTRADE.

— To brzmi poważnie — powiedziałem.

— Lestrade pieje na znak zwycięstwa — odparł z gorzkim uśmiechem Holmes. — A jednak poniechanie tej sprawy może być przedwczesne. W końcu „nowe ważne dowody” bywają bronią obosieczną i mogą nadać sprawie bieg, którego Lestrade nie potrafi przewidzieć. Zjedz śniadanie, Watsonie, a potem razem wyjdziemy i zobaczymy, co możemy zrobić. Mam wrażenie, że dziś będę Potrzebował twego towarzystwa i moralnego wsparcia.

Mój przyjaciel w ogóle nie zjadł śniadania, ponieważ Jedną z osobliwości jego charakteru było to, że w chwilach zwiększonego napięcia nie pozwalał sobie na żadne posiłki, i wiem, że wykorzystywał swą żelazną odporność, pracując aż do omdlenia z powodu kompletnego wyczerpania organizmu. W takiej chwili nie mogę poświęcać energii i sił życiowych na proces trawienia — mówił wówczas w odpowiedzi na moje medyczne wymówki. Nie byłem więc zdziwiony, gdy tego ranka wyszedł, nie tknąwszy posiłku, i udaliśmy się razem do Norwood. Tłumek chorobliwie ciekawych gapiów ciągle kłębił się wokół Deep Dene House. W bramie powitał nas Lestrade ostentacyjnie triumfujący, z twarzą rozpromienioną poczuciem zwycięstwa.

— No cóż, panie Holmes, czy już pan udowodnił, że się mylimy? Znalazł pan swego włóczęgę? — zawołał do nas.

— Nie sformułowalem jeszcze żadnego wniosku — rzekł w odpowiedzi mój towarzysz.

— A my nasz sformułowaliśmy wczoraj i teraz okazuje się, że jest on słuszny; musi pan więc przyznać, że tym razem trochę pana wyprzedziliśmy, panie Holmes.

— Z pańskiej miny wnoszę, że z pewnością wydarzyło się coś niezwykłego — powiedział Holmes.

Lestrade roześmiał się hałaśliwie.

— Nie lubi pan przegrywać, podobnie jak żaden z nas — stwierdził. — Człowiek nie zawsze może liczyć na to, że wszystko pójdzie po jego myśli, prawda, doktorze Watson? Wejdźcie łaskawie, szanowni panowie, a myślę, że zdołam was raz na zawsze przekonać, iż to John McFarlane popełnił zbrodnię.

Poprowadził nas korytarzem do ciemnego holu.

— Tu właśnie młody McFarlane musiał przyjść, aby po dokonaniu morderstwa zabrać swój kapelusz — wyjaśnił.

— A teraz proszę spojrzeć na to.

Z teatralną gwałtownością zapalił zapalną, której światło wydobyło z mroku płamę krwi na białej ścianie. Był to dobrze widoczny odcisk kciuka.

— Niechże pan na to spojrzysz przez swoje szkło powiększające, panie Holmes.

— Tak, właśnie to robię.

— Zdaje pan sobie sprawę, że nie ma dwóch jednakowych odcisków kciuka?

— Słyszałem coś o tym.

— Zechce pan zatem porównać ten ślad z odciskiem w wosku prawego kciuka młodego McFarlane’a, wykonanym na moje polecenie dziś rano?

Kiedy przysunął woskowy odcisk do śladu na ścianie, nie było potrzebne powiększenie, żeby stwierdzić, iż są to niewątpliwie odciski tego samego kciuka. Stało się dla mnie jasne, że nasz klient jest zgubiony.

— To dowód rozstrzygający — oznajmił Lestrade.

— Tak, to dowód rozstrzygający — powtórzyłem bezwiednie.

— To jest dowód rozstrzygający — rzekł Holmes.

Coś w tonie jego głosu zwróciło moją uwagę, więc zerknąłem w jego kierunku. Na twarzy Holmesa zaszła niezwykła zmiana. Aż kipiał od tłumionej wesołości. Oczy mego przyjaciela błyszczały niczym gwiazdy. Widać było, że czyni rozpaczliwe wysiłki, aby powstrzymać niepohamowany atak śmiechu.

— Mój Boże! Mój Boże! — wykrzyknął wreszcie. — No cóż, trudno, ale któż by pomyślał? Jakże zwodnicza może być czyjaś powierzchowność! Taki miły na oko młodzieniec! Jest to dla nas lekcja, aby nie ufać własnemu osądowi, nieprawdaż Lestrade?

— Tak, niektórzy z nas wykazują skłonność do zbyt dużej pewności siebie, panie Holmes — odparł Lestrade. Zuchwalstwo tego człowieka było irytujące, czego jednak nie mogliśmy mu mieć za złe.

— A cóż to za opatrnościowe zdarzenie, że ten młodzieniec zechciał odcisnąć swój prawy kciuk na ścianie, zdejmując z kołka kapelusz! Wszak to taka naturalna czynność, gdy się nad tym zastanowić... — mówiąc to, Holmes był pozornie spokojny, choć cała jego postać drżała z tłumionego podniecenia. — A tak na marginesie, Lestrade, kto dokonał tego niezwykłego odkrycia?

— Gospodyni, pani Lexington, zwróciła na to uwagę policjanta z nocnej zmiany.

— Gdzie tej nocy przebywał policjant?

— Pozostawał na straży w sypialni, w której popełniono zbrodnię; pilnował, aby nic nie zostało ruszone.

— Ale dlaczego policja nie zauważyła tego wczoraj?

— Po prostu nie widzieliśmy szczególnego powodu, aby dokładnie oglądać hol. Poza tym nie jest to, jak pan widzi, zbyt rzucające się w oczy miejsce.

— Tak, z pewnością nie jest. Tuszę, że nie ma najmniejszych wątpliwości, iż ten ślad był tu również wczoraj?

Lestrade spojrział na Holmesa tak, jakby pomyślał, że ten popada w obłęd. Przyznaję, że ja sam byłem zaskoczony zarówno jego wesołością, jak tym nieco szalonym spostrzeżeniem.

— Czyżby pan sądził, że McFarlane wyszedł z więzienia w środku nocy po to, by wzmocnić dowody przeciwko sobie? — powiedział. — Pozostawiam to wszystkim ekspertom świata do rozstrzygnięcia, czy to jest, czy nie jest odcisk jego kciuka.

— To bezsprzecznie jest odcisk jego kciuka.

— A więc to wystarczy — rzekł Lestrade. — Jestem człowiekiem praktycznym, panie Holmes, i kiedy mam dowody, wyciągam wnioski. Jeśli ma pan cokolwiek do powiedzenia, znajdzie mnie pan w salonie, gdzie będę pisał sprawozdanie.

Holmes odzyskał już spokój umysłu, ale nadal wydawało mi się, że w wyrazie jego twarzy dostrzegam błyski rozbawienia.

— Mój Boże, sprawy przybrały bardzo nieprzyjemny obrót, nieprawdaż, Watsonie? A jednak są tu pewne szczegóły, które dają iskierkę nadziei naszemu klientowi.

— Z przyjemnością tego wysłucham — powiedziałem szczerze. — Obawiałem się, że jest już po nim.

— Nie posuwałbym się w osądzie aż tak daleko, mój drogi Watsonie. Rzecz w tym, że istnieje jedna doprawdy poważna skaza na dowodzie, do którego nasz przyjaciel przywiązuje tak wielką wagę.

— Czyżby, Holmesie? Co takiego?

— Jedynie to, iż ja w i e m, że tego znaku nie było, kiedy oglądałem hol wczoraj. A teraz, mój drogi, pospacerujemy sobie trochę w promieniach słońca.

Z zamętem w głowie, ale z sercem na powrót ożywionym pewną nadzieją, towarzyszyłem memu przyjacielowi w przechadzce wokół ogrodu. Holmes obchodził dom po kolei od każdej strony, i badał go z wielką uwagą. Następnie zawiódł mnie do środka i przejrzelśmy cały budynek od piwnicy aż po strych. Większość pokoi była nieumeblowana, niemniej jednak Holmes sprawdzał je drobiazgowo. W najwyżej położonym korytarzu, z którego prowadziły drzwi do trzech niezamieszkałych sypialni, znów chwycił go paroksyzm wesołości.

— Sprawa ta jest niewątpliwie wyjątkowa, Watsonie — rzekł. — Myślę, że przyszedł już czas, abyśmy przed naszym przyjacielem Lestrade'em uchylili nieco rąbka tajemnicy. Zabawił się trochę naszym kosztem i niewykluczone, że będziemy mogli odpłacić mu tym samym, jeśli moja interpretacja zdarzeń okaże się słuszna. Tak, tak, sądzę, że wiem, jak możemy się do tego zabrać.

Inspektor Scotland Yardu wciąż jeszcze pisał, kiedy wraz z Holmesem wkroczyliśmy do salonu.

— Jak widzę, sporządza pan sprawozdanie ze śledztwa — zaczął Holmes.

— Zgadza się.

— A nie sądzi pan, że trochę przedwcześnie? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pański materiał dowodowy nie jest jeszcze pełny.

Lestrade zbyt dobrze znał mego przyjaciela, żeby lekceważyć jego słowa. Odłożył więc pióro i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Co pan ma na myśli, panie Holmes?

— Tylko to, że jest jeszcze pewien ważny świadek, którego pan nie przesłuchał.

— Może mi go pan zaprezentować?

— Myślę, że tak.

— A zatem proszę to uczynić.

— Zrobię, co w mojej mocy. Ilu ma pan policjantów?

— Trzech na każde zawołanie.

— Znakomicie — powiedział Holmes. — Mogę spytać, czy są to okazali, sprawni i obdarzeni silnym głosem mężczyźni?

— Nie mam co do tego żadnej wątpliwości, choć bynajmniej nie rozumiem, po co, u licha, potrzebny jest tu panu ich głos!

— Może uda mi się panu pomóc zrozumieć i to, i jeszcze parę innych rzeczy — rzekł Holmes. — Proszę łaskawie wezwać pańskich ludzi, i zaraz zaczniemy.

Po pięciu minutach trzech policjantów zebrało się w holu.

— W przybudówce znajdziecie sporo słomy — zwrócił się do nich Holmes. — Przynieście tutaj dwie wiązki. Będzie ona niezwykle przydatna do przywołania pewnego świadka, który jest mi potrzebny. Bardzo dziękuję. Masz pewnie w kieszeni pudełko zapalek, Watsonie? A teraz, panie Lestrade, proszę wszystkich, by mi towarzyszyli na ostatnie piętro.

Jak już powiedziałem, był tam szeroki korytarz, z którego troje drzwi prowadziło do trzech pustych sypialni. Sherlock Holmes ustawił wszystkich w końcu korytarza — mnie, szczerzących zęby policjantów i Lestrade'a, na którego twarzy walczyły o lepsze: zdumienie, oczekiwanie i drwina. Holmes stanął przed nami niby iluzjonista chcący zaprezentować sztuczkę.

— Czy mógłby pan posłać swoich ludzi po dwa wiadra wody? Rozłóżcie słomę na podłodze tutaj, z dala od ścian. W porządku, myślę, że jesteśmy wszyscy gotowi.

Lestrade zaczął pąsowieć ze złości.

— Chyba pan sobie stroi żarty, panie Holmes! — powiedział. — Jeśli chce pan nas o czymś poinformować, to z pewnością można to uczynić bez tej całej błazenady.

— Zapewniam pana, mój poczciwy Lestrade, że mam absolutne podstawy, aby postępować w ten właśnie sposób. Pamięta pan może, jak zaledwie kilka godzin temu podrwiwał pan ze mnie, kiedy to się wydawało, że słońko świeci na pańskim podwórku? Więc proszę mi teraz nie żałować tej odrobiny pompatyczności i celebry. Czy mógłbym cię prosić, Watsonie, o otwarcie okna, a następnie przyłożenie zapalniczki do skrajów słomy?

Tak też uczyniłem i porwany przeciągiem kłęb szarego dymu zawirował w dół korytarza, a sucha słoma zatrzeszczała i zajęła się płomieniem.

— Zaraz się przekonamy, czy zdołamy wywołać tego świadka dla pana, Lestrade. Prosiłbym więc was, panowie, abyście wspólnie krzyknęli: „Pali się!”. A zatem — raz, dwa, trzy...

— Pali się! — ryknęli.

— Dziękuję. Pozwolę sobie panów potrudzić raz jeszcze.

— Pali się!

— Jeszcze raz, panowie, i wszyscy razem.

— Pali się!! — ten wrzask musiał odbić się echem w całym Norwood.

Ledwie krzyk zdążył ucichnąć, a nastąpiła rzecz zadziwiająca. Otworzyły się nagle drzwi w miejscu, gdzie na pozór była gładka ściana w końcu korytarza, i niczym królik ze swojej jamy wypadł z nich mały zasuszony człowieczek.

— Kapitalne! — powiedział spokojnie Holmes. — Watsonie, wiaderko wody na słomę, proszę. Tak, wystarczy! Pozwoli pan, Lestrade, że mu przedstawię głównego brakującego świadka, pana Jonasa Oldacre’a.

Inspektor wlepił wzrok w przybysza w bezbrzeżnym zdumieniu. Ten ostatni mrugał w jasnym świetle korytarza, przyglądając się nam i dymiącemu ognisku. Była to twarz odrażająca — przebiegła, występna i złośliwa, o chytrych jasnoszarych oczach z białymi rzęsami.

— Co to wszystko ma znaczyć? — odezwał się wreszcie Lestrade. — Co pan tam robił przez cały ten czas? No, co?

Oldacre zaśmiał się z zażenowaniem, kurcząc się na widok poczerwieniałej z wściekłości twarzy rozjuszonego policjanta.

— Nie zrobiłem nikomu nic złego.

— Nic złego? Zrobił pan wszystko, co w pana mocy, aby niewinnego człowieka zaprowadzić na szubienicę! I gdyby nie ten oto dżentelmen, jestem pewny, że udałoby się to panu.

— Niech mi pan wierzy, to był tylko figiel.

— Ach, figiel, tak? Nie będzie się pan miał z czego śmiać, już ja to panu przyrzekam. Zabierzcie go na dół i trzymajcie w salonie, dopóki nie przyjdę — a kiedy odeszli, ciągnął dalej. — Nie mogłem mówić przy policjantach, ale obecność doktora Watsona nie przeszkadza mi oświadczyć, że jest to najbłyskotliwsze pańskie posunięcie, choć pozostaje dla mnie tajemnicą, jak pan tego dokonał. Uratował pan życie niewinnemu człowiekowi, zapobiegając jednocześnie straszliwemu skandalowi, który zepsułby dobre imię policji.

Holmes uśmiechnął się i poklepał Lestrade’a po ramieniu.

— I przekona się pan, szanowny panie inspektorze, że po tym śledztwie wasze dobre imię nie tylko się utrzyma, ale nieporównanie się wzmocni. Proszę po prostu dokonać kilku zmian w sprawozdaniu, które pan właśnie pisze, a zwierzchność zrozumie, jak trudno jest zamydlić oczy inspektorowi Lestrade’owi.

— I nie chce pan, aby tu się pojawiło pańskie nazwisko?

— Zdecydowanie nie. Nagrodą jest dla mnie praca. Być może zostaną doceniony kiedyś... w dalekiej przyszłości, kiedy zezwolę mojemu żarliwemu kronikarzowi, aby raz jeszcze sięgnął po pióro i papier... co, Watsonie? No, dobrze, popatrzmy teraz, gdzie się ten szczur przyczaił.

W poprzek korytarza, sześć stóp od jego końca, biegło przepierzenie z desek i gipsu ze sprytnie zamaskowanymi drzwiami. Światło wpadało tam przez szpary pod okapem. Wewnątrz znajdowało się kilka sprzętów oraz zapas jedzenia i wody, a także trochę książek i dokumentów.

— Przydało mu się to, że był przedsiębiorcą budowlanym — powiedział Holmes, kiedy stamtąd wyszliśmy. — Mógł urządzić swoją małą kryjówkę bez żadnego współnika... wyjąwszy, oczywiście, jego nieocenioną gospodynię, którą bezzwłocznie dorzucę do pańskich zdobyczy, Lestrade.

— Będę panu niezmiernie wdzięczny. Ale jakim sposobem dowiedział się pan o istnieniu tego miejsca, panie Holmes?

— Doszedłem do wniosku, że ten jegomość ukrywa się gdzieś w domu. Kiedy zmierzyłem krokami jeden korytarz i stwierdziłem, że jest o sześć stóp krótszy niż analogiczny na niższej kondygnacji, stało się całkiem jasne, że mam rację. Pomyślałem sobie, że nie wytrzyma on nerwowo, by siedzieć spokojnie po wszczęciu alarmu pożarowego. Mogliśmy, oczywiście, tam wejść i pojmać Oldacre'a, ale chciałem się zabawić i zmusić go, by się sam zdekonspirował; poza tym byłem panu dłużny małą mistyfikacją, Lestrade, za pańskie poranne drwiny.

— No tak, z pewnością odplacił mi pan pięknym za nadobne, sir. Ale jak, u licha, w ogóle doszedł pan do tego, że on się ukrywa w domu?

— Odcisk kciuka, Lestrade. Powiedział pan, że jest to dowód rozstrzygający; i słusznie, ale w zupełnie innym sensie. Wiedziałem, że poprzedniego dnia odcisku tam nie było. Jak pan może zauważył, zwracam ogromną uwagę na szczegóły, zbadałem więc hol i miałem pewność, że ściana była czysta. A zatem kciuk został odcisnięty w nocy.

— Ale jak?

— W bardzo prosty sposób. Podczas pieczętowania pakietów Jonas Oldacre nakłonił McFarlane'a, by ten przyłożył kciuk do miękkiego wosku. Stało się to tak szybko i naturalnie, że zapewne sam młodzieniec tego nie pamięta. Jest bardzo prawdopodobne, że tak to wyglądało, a Oldacre nie miał najmniejszego pojęcia, do czego może to wykorzystać. Dopiero w swej norze doznał nagle olśnienia, że można by spreparować dowód obciążający McFarlane'a, wykorzystując ślad jego kciuka. Nie było dla niego nic łatwiejszego, niż ten woskowy odcisk zwilżyć krwią z nakłutego szpilką własnego palca, czy też palca gospodyni. Gdyby pan sprawdził te dokumenty, które zabrał ze sobą do kryjówki, założę się o pięć funtów, że znalazłby pan tam pieczęć z odcisniętym na niej kciukiem.

— Cudowne! — rzekł Lestrade. — Cudowne! W pana ujęciu wszystko jest jasne jak słońce. Ale jaki cel miał ten skomplikowany podstęp?

Z rozbawieniem obserwowałem, jak arogancka postawa detektywa nagle zaczęła przypominać zachowanie się dziecka zadającego pytania swemu nauczycielowi.

— Proszę bardzo. Myślę, że wyjaśnienie tego nie jest zbyt trudne. Dżentelmen, który czeka na nas na dole, jest bardzo przebiegłym, mściwym i cynicznym człowiekiem. Czy pan wie, że kiedyś został on odtracony przez matkę McFarlane'a? Nie. A przecież radziłem, żeby się najpierw udać do Blackheath, a nie do Norwood. Odczuł to jak policzek i pamięć o tym tkwiła jak zadra w tym podłym, intryganckim umyśle — przez całe życie łaknął zemsty, ale nigdy nie miał okazji, aby jej dopełnić. W ciągu ostatniego roku lub dwóch jego sprawy zaczęły układać się źle — myślę, że chodziło o potajemne spekulacje — i znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Postanawia więc oszwabić swych wierzycieli i w tym celu wystawia czeki na duże sumy na niejakiego pana Corneliusa, którym — jak to zakładam — jest on sam pod zmienionym nazwiskiem. Nie poszedłem jeszcze śladem tych czeków, ale nie mam wątpliwości, że zostały złożone pod tym nazwiskiem w jakimś prowincjonalnym miasteczku, w którym Oldacre od czasu do czasu prowadził swą podwójną egzystencję.

Zamierzał zmienić nazwisko i zniknąć ostatecznie, podjąć te pieniądze i rozpocząć życie w nowym miejscu.

— Tak, to bardzo prawdopodobne.

— Uświadomił sobie, że swym zniknięciem mógłby zmylić wszelkie pościgi, a jednocześnie zemścić się okrutnie na swej dawnej ukochanej, gdyby uwierzyła, że został zamordowany przez jej jedyne, uwielbiane dziecko. Było to mistrzowskie łotrstwo i dokonał go, jak na mistrza przystało. Pomysł sporządzenia testamentu, który miał dostarczyć motywu do popełnienia zbrodni, potajemna wizyta, o której nie wiedzą rodzice młodzieńca, zatrzymanie laski, krew, zwierzęce szczątki i guziki w stosie drewna — wszystko to było godne podziwu. Powstała z tego sieć, która jeszcze przed kilku godzinami wydawała mi się nie do rozerwania. Oldacre nie posiadał jednak tego największego daru charakteryzującego artystę — wycucia, kiedy należy się zatrzymać w działaniu. Chciał udoskonalić coś, co już było doskonałe — zaciągnąć ciaśniej pętlę na szyi nieszczęsnej ofiary — i w ten sposób wszystko zepsuł. Zejdźmy na dół, Lestrade. Chcę mu jeszcze zadać jedno lub dwa pytania.

Wredny drań siedział w swym własnym salonie, mając po bokach policjantów.

— To był żart, sir; zwykły figiel, nic więcej — zawodził bez przerwy. — Zapewniam pana, że schowałem się tylko po to, żeby zobaczyć efekt mojego zniknięcia, i jestem pewien, że nie będzie pan aż tak niesprawiedliwy, by sądzić, że dopuściłbym do wyrządzenia jakiegokolwiek krzywdy biednemu młodemu McFarlane'owi.

— O tym zadecyduje sąd przysięgłych — powiedział Lestrade. — W każdym razie będziemy musieli oskarżyć pana o działanie w zмовie, jeśli nie o usiłowanie zabójstwa.

— I prawdopodobnie dowie się pan, że pańscy wierzyciele położą rękę na koncie bankowym pana Corneliusa — dodał Holmes.

Człowieczek wzdrygnął się i obrócił swe jadowite spojrzenie na mego przyjaciela.

— Mam panu wiele do zawdzięczenia — rzekł. — Może pewnego dnia będę mógł spłacić ten dług.

Holmes uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Przypuszczam, że przez kilka lat nie znajdzie pan na to czasu — powiedział. — A przy okazji, co też pan umieścił w stosie drewna obok swoich starych spodni? Zdechłego psa, króliki czy coś innego? Nie powie pan? Mój Boże, jakież pan nieuprzejmy! Dobrze już, dobrze, myślę, że para królików dostarczyła zarówno krwi, jak zwęglonych szczątków. Gdybyś kiedyś spisywał relację z tej sprawy, Watsonie, to możesz się posłużyć królikami.

SAMOTNA CYKLISTKA (THE ADVENTURE OF THE SOLITARY CYCLIST)

W latach 1894–1901 Sherlock Holmes był człowiekiem bardzo zapracowanym. Można bez przesady powiedzieć, że w ciągu tych ośmiu lat zasięgano jego rady niemal we wszystkich trudniejszych sprawach wagi państwowej, a wybitną rolę odegrał również w setkach spraw prywatnych, często w najwyższym stopniu zawikłanych. Ten okres pracy zaowocował licznymi zdumiewającymi sukcesami i kilkoma nieuniknionymi porażkami. Ponieważ zachowałem pełny opis wszystkich tych przypadków, a w wiele z nich zaangażowany byłem osobiście, można sobie bez trudu wyobrazić, że niełatwym zadaniem jest rozstrzygnięcie, które zaprezentować czytelnikom. Będę się jednak trzymał swojej dotychczasowej zasady i dam pierwszeństwo sprawom interesującym nie tyle z powodu brutalności dokonanej zbrodni, ile ze względu na pomysłowość i dramatyzm, jakie cechują ich rozwiązanie. Dlatego właśnie przedstawię teraz czytelnikowi wydarzenia związane z panną Violetą Smith, samotną cyklistką z Charlington, oraz osobliwe następstwa naszego śledztwa, które nieoczekiwanie skończyło się tragedią. Wprawdzie okoliczności nie stworzyły okazji do jakiejś imponującej ilustracji tych talentów, dzięki którym mój przyjaciel zyskał sławę, jednak występowały w tej sprawie aspekty wyróżniające ją z długiej kroniki zbrodni, czyli źródła, z którego czerpię materiał do tych krótkich opowiadań o przygodach mego przyjaciela Sherlocka Holmesa.

Z moich zapisków wynika, że o panie Violetcie Smith pierwszy raz usłyszeliśmy w sobotę, 23 kwietnia 1895 roku. Pamiętam, że jej wizyta była Holmesowi bardzo nie na rękę, ponieważ bez reszty pochłaniał go wówczas niejasny i zawikłany problem dziwacznej prześladowania Johna Vincenta Hardena, znanego milionera branży tytoniowej. Mój przyjaciel, który nade wszystko umiłował ścisłość i koncentrację myśli, nie znosił, gdy cokolwiek odciągało jego uwagę od sprawy, którą się właśnie zajmował. Ponieważ jednak szorstkość jest obca jego naturze, nie mógł odmówić wysłuchania historii młodej i pięknej kobiety, wysokiej, pełnej wdzięku i królewskiego majestatu, która pojawiła się przy Baker Street późnym wieczorem i błagała o jego radę i pomoc. Daremne było przekonywanie jej, że czas Holmesa jest już po brzegi wypełniony. Młoda dama przyszła zdecydowana opowiedzieć swą historię i nie ulegało wątpliwości, że żadna siła nie wyrzuci jej z tego pokoju, dopóki nie osiągnie celu. Zrezygnowany i z męczeńskim uśmiechem na twarzy, Holmes poprosił uroczego intruza o zajęcie miejsca i opowiedzenie o swym strapieniu.

— Nie ma to przynajmniej nic wspólnego z pani zdrowiem — powiedział Holmes, obrzucając przenikliwym spojrzeniem całą jej postać. — Tak zapalona cyklistka musi tryskać energią.

Zaskoczona spojrzała w dół, ku swym stopom, a ja zauważyłem lekką chropowatość na krawędzi jej buta, spowodowaną tarciem o brzeg rowerowego pedału.

— Tak, bardzo często jeżdżę na rowerze, panie Holmes, i ta dzisiejsza wizyta u pana ma z tym pewien związek.

Mój przyjaciel ujął obnażoną z rękawiczki dłoń damy i przyjrzał się jej z takim skupieniem i tak beznamietnie jak naukowiec obserwujący jakiś okaz.

— Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, ale taki jest mój zawód — powiedział, puszcżając jej rękę. — Byłem już bliski popełnienia błędu i uznania pani za maszynistkę. Oczywiście, nie mam wątpliwości, że w grę wchodzi muzyka. Czy dostrzegasz, Watsonie, spłaszczone koniuszki palców charakterystyczne dla osób uprawiających którąś z tych profesji? Jednak jej twarz... wyraża pewne uduchowanie — delikatnie obrócił ją ku światłu — którego maszynistka jest raczej pozbawiona. Ta dama jest pianistką.

— Tak, panie Holmes, jestem nauczycielką muzyki.

— Na wsi, jak wnioskuje z pani cery.

— Tak, sir; w pobliżu Farnham, na pograniczu hrabstwa Surrey.

— Piękna okolica wiążąca się z niezwykle ciekawymi wspomnieniami. Pamiętasz, Watsonie, to gdzieś w tamtych stronach ujeliśmy fałszerza Archiego Stamforda. A teraz, panno Violetto, cóż takiego zdarzyło się w pobliżu Farnham, na pograniczu hrabstwa Surrey?

Młoda dama, w sposób klarowny i opanowany, przedstawiła nam następującą relację.

— Mój ojciec nie żyje, panie Holmes. Był to James Smith, dyrygent orkiestry Teatru Królewskiego. Zostałyśmy z matką same, nie miałyśmy żadnych krewnych z wyjątkiem mojego stryja, Ralpha Smitha, który wyjechał do Afryki przed dwudziestu pięciu laty i od tego czasu słuch o nim zaginął. Po śmierci ojca popadłyśmy w wielkie ubóstwo. Pewnego dnia powiadomiono nas, że w „The Times” ukazało się ogłoszenie z pytaniem o miejsce naszego pobytu. Wyobraża pan sobie nasze podniecenie na myśl, że może ktoś zapisał nam swój majątek. Udałyśmy się natychmiast do prawnika, którego nazwisko zostało podane w gazecie. Tam zastałyśmy dwóch dżentelmenów, panów Carruthersa i Woodleya, którzy przyjechali z wizytą do kraju z Afryki Południowej. Powiedzieli, że byli przyjaciółmi mojego stryja i że przed kilku miesiącami zmarł on w biedzie w Johannesburgu, a wydając ostatnie tchnienie, prosił ich o odszukanie jego krewnych i zapewnienie im dostatku. Wydało nam się dziwne, że stryj Ralph, który nie interesował się nami za życia, tak nagle zatroszczył się naszym losem po swej śmierci; pan Carruthers wyjaśnił jednak, że stało się tak, bo kiedy dowiedział się o zgonie brata, poczuł się odpowiedzialny za nasz los.

— Przepraszam — przerwał Holmes. — Kiedy odbyło się to spotkanie?

— W grudniu, przed czterema miesiącami.

— Proszę mówić dalej.

— Pan Woodley wydał mi się osobą nad wyraz odrażającą. Ustawicznie kokietował mnie wzrokiem — pospolity, o nalanej twarzy młody człowiek z rudym wąsikiem i szeszanymi na skronie, wypomadowanymi włosami. Myślę, że był zdecydowanie odpychający — i jestem pewna, że Cyryl nie życzyłby sobie, żebym zawierała znajomość z kimś takim.

— Ach, więc on ma na imię Cyryl! — uśmiechnął się Holmes.

Młoda dama zaczerwieniła się i roześmiała.

— Tak, panie Holmes, Cyryl Morton, inżynier elektryk; i mamy nadzieję pobrać się pod koniec lata. O mój Boże, po co ja panu o nim mówię? Chciałam po prostu powiedzieć, że pan Woodley był absolutnie odpychający. Natomiast pan Carruthers, człowiek znacznie starszy, sprawiał wrażenie sympatyczniejszego. Był to ciemnowłosy, blady, gładko wygolony milczący mężczyzna; odznaczał się łagodnością w obejściu i uprzejmym uśmiechem. Interesowało go, w jakich okolicznościach zostałyśmy osierocone, a kiedy się dowiedział o naszym ubóstwie, zaproponował, żebym uczyła muzyki jego jedyną, dziesięcioletnią córkę. Oparłam, że nie chcę zostawiać matki samej, wobec czego zasugerował, że mogłabym jeździć do niej w końcu każdego tygodnia i zaproponował mi sto funtów rocznie, co jest oczywiście płacą znakomitą. Ostatecznie przystałam na to i pojechałam do Chiltern Grange, leżącego w odległości sześciu mil od Farnham. Pan Carruthers był wdowcem, ale do opieki nad domem zatrudnił gospodynię, bardzo szacowną starszą kobietę, panią Dixon. Dziecko okazało się kochanym stworzeniem i wszystko wyglądało obiecująco. Pan Carruthers był bardzo uprzejmy i muzykalny i większość wieczorów spędzaliśmy razem. W końcu każdego tygodnia jeździłam do matki do miasta.

Pierwsza skaza na moim szczęściu pojawiła się wraz z przyjazdem pana Woodleya. Przybył w odwiedziny na tydzień, co dla mnie, och, równało się trzem miesiącom! Był on człowiekiem okropnym, niegodziwcem w stosunku do wszystkich, ale wobec mnie o całe niebo gorszym. Okazywał mi tę swoją odrażającą miłość, pysznił się swym bogactwem, mówił, że jeśli go poślubię, będę miała najwspanialsze diamenty w Londynie, a wreszcie pewnego dnia po obiedzie, kiedy mu dałam do zrozumienia, że nie chcę mieć z nim nic

wspólnego, pochwycił mnie w ramiona — był obrzydliwie silny — i przysiągł, że nie puści, jeśli go nie pocałuję. Na to wszedł pan Carruthers i odciągnął go ode mnie, na co tamten porwał się na gospodarza i zwałił go z nóg, raniąc mu twarz do krwi. Jak się pan może domyślić, oznaczało to koniec jego wizyty. Nazajutrz pan Carruthers przeprosił mnie, zapewniając, że już nigdy nie będę narażona na podobną zniewagę. Od tego czasu nie widziałam więcej pana Woodleya.

A teraz, panie Holmes, przechodzę do ostatniej sprawy, która jest powodem mojej dzisiejszej prośby o pańską radę. Musi pan wiedzieć, że w każdą sobotę przed południem jeżdżę rowerem do dworca kolejowego w Farnham, aby zdążyć na pociąg do miasta o dwunastej dwadzieścia dwie. Droga z Chiltern Grange jest odludna, zwłaszcza na pewnym odcinku, na którym ciągnie się przez ponad milę między wrzosowiskiem Charlinton z jednej strony a lasami, które otaczają dwór Charlinton, z drugiej. Trudno byłoby znaleźć bardziej odludną ścieżkę czy drogę i rzadko można się tam natknąć na wóz czy chłopca przed dotarciem do gościńca w pobliżu wzgórza Crooksbury. Kiedy dwa tygodnie temu przejeżdżałam tamtędy, obejrzałam się przypadkiem przez ramię i w odległości dwustu jardów za sobą ujrzałam jakiegoś człowieka, również na rowerze. Wyglądał na mężczyznę w średnim wieku, miał krótką ciemną brodę. Obejrzałam się ponownie przed dotarciem do Farnham, ale człowiek ten zniknął, więc przestałam o tym myśleć. Może pan jednak sobie wyobrazić moje zaskoczenie, panie Holmes, gdy wracając w poniedziałek, ponownie ujrzałam tego samego mężczyznę, i na tym samym odcinku drogi. Moje zdumienie wzrosło, kiedy w następną sobotę i poniedziałek incydent ten dokładnie się powtórzył. Człowiek ów zawsze zachowywał stałą odległość, w żaden sposób mnie nie niepokoił, choć z pewnością było to wciąż bardzo dziwne. Wspomniałam o tym panu Carruthersowi, który chyba poważnie potraktował moje słowa, bo powiedział, że zamówi konia i bryczkę, tak że w przyszłości nie będę pokonywać tej odludnej drogi sama. Koń i bryczka miały nadejść w tym tygodniu, ale z jakiegoś powodu nie zostały dostarczone i znów musiałam pojechać na stację rowerem. To było dzisiejszego ranka. Nie muszę mówić, że dojeżdżając do wrzosowiska Charlinton, miałam się na baczności i że oczywiście człowiek ten był dokładnie w tym samym miejscu co przed dwoma tygodniami. Zawsze trzymał się ode mnie na tyle daleko, że nie mogłam dojrzeć jego twarzy, ale był to ktoś z pewnością mi nieznany. Miał na sobie ciemne ubranie i płócienną czapkę. Jedynym szczegółem, jaki mogłam dostrzec w jego twarzy, była ciemna broda. Dziś się nie przestraszyłam, ale nurtowała mnie ciekawość i postanowiłam dowiedzieć się, kim on jest i czego chce. Zmniejszyłam szybkość, ale on zrobił to samo. Następnie przystanął i on również. Potem zastawiłam na niego pułapkę. Jest tam ostry zakręt, popedałowałam więc bardzo szybko i za zakrętem zatrzymałam się w oczekiwaniu na niego. Przypuszczałam, że wystrzeli z za zakrętu i przejedzie obok, nie zdążywszy się zatrzymać. On jednak nie pojawił się w ogóle. Wówczas wróciłam i wyjrzałam z za rogu. Miałam widok na milowy odcinek drogi, ale mężczyzna gdzieś zniknął. A najdziwniejsze było to, że w tym miejscu nie było żadnej drogi bocznej, w którą mógłby wjechać. Holmes zachichotał i zatarł ręce.

— Jest to z pewnością sprawa wielce osobliwa — powiedział. — Ile czasu upłynęło między wzięciem przez panią zakrętu a dokonaniem odkrycia, że droga jest pusta?

— Dwie albo trzy minuty.

— A zatem nie mógł się wycofać drogą, gdyż, jak pani mówi, nie ma tam żadnych dróg bocznych?

— Żadnych.

— Mógł więc z pewnością oddalić się ścieżką odchodzącą po jednej lub po drugiej stronie drogi.

— Nie od strony wrzosowiska, gdyż byłabym go dostrzegła.

— Tak więc drogą eliminacji doszliśmy do stwierdzenia, że pojechał on ścieżką w kierunku dworu Charlington, który, jak rozumiem, jest usytuowany na własnych gruntach po jednej stronie drogi. Czy coś jeszcze?

— Już nic więcej, panie Holmes, jeśli nie liczyć bezbrzeżnego zdumienia, jakie mnie ogarnęło; poczułam więc, że nie zaznam spokoju, dopóki do pana nie przyjdę i nie zasięgnę jego rady.

Holmes przez krótką chwilę siedział w milczeniu.

— Gdzie przebywa ów dżentelmen, z którym jest pani zaręczona?

— W Coventry, gdzie pracuje w Spółce Elektrycznej Środkowej Anglii.

— Czy nie mógłby on złożyć pani niespodziewanej wizyty?

— Ależ panie Holmes! Przecież bym go rozpoznała!

— Czy miała pani innych wielbicieli?

— Przed poznaniem Cyryla kilku.

— A później?

— Był ten okropny człowiek, Woodley, jeśli można go nazwać wielbicielem.

— Nikogo więcej?

Nasza klientka wydała się lekko zmieszana.

— Kto to był?

— Ach, to może być tylko imaginacja, ale czasem wydawało mi się, że mój pracodawca, pan Carruthers, okazuje mi duże zainteresowanie. Dość często z sobą przebywamy. Wieczorami mu akompaniuję. Nigdy nie napomknął o tym słowem. Jest prawdziwym dżentelmenem. Ale dziewczyna zawsze to wyczuwa.

— Ha! — Holmes miał poważną minę. — Z czego on żyje?

— Jest bogatym człowiekiem.

— Bez powozów i koni?

— No, cóż, jest co najmniej dobrze sytuowany. Ale dwa lub trzy razy w tygodniu jeździ do miasta. Ma liczne udziały w południowoafrykańskich kopalniach złota.

— Proszę mnie informować o wszelkich nowych wydarzeniach, panno Smith. Jestem w tej chwili bardzo zajęty, ale znajdę trochę czasu, by przeprowadzić małe śledztwo w pani sprawie. Tymczasem proszę nie robić żadnego kroku bez mojej wiedzy. Do widzenia i ufam, że będą do nas od pani docierać wyłącznie dobre wieści.

— Jest rzeczą zupełnie naturalną, że taka dziewczyna posiada adoratorów — rzekł Holmes, zaciągając się fajką, przy której lepiej mu się rozmyślało. — Ale przecież nie jeżdżących za nią rowerami po odludnych wiejskich drogach. To bez wątpienia jakiś skryty wielbiciel. Są jednak, Watsonie, w tej sprawie dziwne i dające do myślenia szczegóły.

— To, że pojawia się on tylko w tym miejscu?

— No właśnie. Nasz pierwszy krok musi polegać na sprawdzeniu, kto zamieszkuje dwór Charlington, a następnie — co też może łączyć panów Carruthersa i Woodleya, ponieważ wydają się reprezentować tak odmienne typy ludzkie. Dlaczego oni obaj tak żywo zainteresowali się poszukiwaniem krewnych Ralphi Smitha? I jeszcze jedno. Cóż to za gospodarstwo, w którym płaci się podwójnie guwernantce, ale nie trzyma się konia, choć do stacji kolejowej jest sześć mil drogi? Dziwne to, Watsonie... bardzo dziwne.

— Pojedziesz tam?

— Nie, mój drogi przyjacielu, ty to zrobisz. Być może jest to tylko jakaś błaha intryga, a ja nie mogę przerywać dla niej moich innych ważnych badań. W poniedziałek wczesnym rankiem pojedziesz do Farnham, ukryjesz się w pobliżu dworu Charlington, sam zbadasz sytuację i zaczniesz działać zgodnie z własnym osądem. Następnie, po zasięgnięciu informacji na temat mieszkańców dworu, wrócisz i zdasz mi sprawozdanie. A teraz,

Watsonie, ani słowa więcej o tej sprawie, dopóki nie będziemy mieli kilku pewnych, solidnych punktów oparcia, dających nam nadzieję na rozwiązanie zagadki.

Otrzymaliśmy od tej damy potwierdzenie, że wraca w poniedziałek pociągiem odjeżdżającym z Dworca Waterloo o godzinie dziewiątej pięćdziesiąt, ja zatem wyruszyłem wcześniej i zdażyłem na pociąg o dziewiątej trzynastcie. Na stacji w Farnham nie miałem kłopotów ze znalezieniem drogi do wrzosowiska Charlington. Niemożliwością było nie rozpoznać scenerii, w której młoda dama przeżyła swą przygodę, ponieważ droga biegnie tam między otwartym wrzosowiskiem z jednej strony a starym cisowym żywopłotem okalającym park pełen wspaniałych drzew — z drugiej. Widać stąd było główną bramę z omszałego kamienia, ukoronowaną rozsypującymi się heraldycznymi symbolami; ale poza tym wjazdem dla powozów zauważyłem kilka przerw w żywopłocie i wiodące od nich ścieżki. Dom był z drogi niewidoczny, ale już samo zaniedbane otoczenie mogło świadczyć o jego wyglądzie.

Wrzosowisko pokrywały złociste łachy kwitnącego janowca, wspaniale jaśniejące w ostrych promieniach wiosennego słońca. Zająłem pozycję za jedną z kęp tego krzewu, tak aby mieć jednocześnie widok na bramę wjazdową do dworu i na długi odcinek drogi po obu stronach. Kiedy z niej schodziłem, była pusta, teraz wszakże ujrzałem cyklistę jadącego w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybyłem. Miał na sobie ciemne ubranie, dostrzegłem też czarną brodę. Dotarłszy do końca terenów Charlington, zeskoczył ze swego wehikułu i przeprowadził go przez lukę w żywopłocie, znikając mi z oczu.

Po upływie kwadransa pojawiła się następna osoba na rowerze. Tym razem była to młoda dama jadąca od stacji kolejowej. Widziałem, jak się rozgląda dokoła po dotarciu do żywopłotu. W chwilę później mężczyzna wyłonił się ze swej kryjówki, wskoczył na rower i podążył śladem kobiety. Na całej rozległej przestrzeni przed sobą widziałem jedynie te dwie poruszające się ludzkie postacie — pełną wdzięku, trzymającą się prosto na swym rowerze dziewczynę i jadącego za nią nisko pochylonego nad kierownicą mężczyznę, każdym swym ruchem zdradzający dziwną konspiracyjność. Dama obejrzała się na niego i zwolniła. On zrobił to samo. Kiedy się zatrzymała, mężczyzna natychmiast uczynił to również, zachowując między nimi odległość dwustu jardów. Jej kolejne posunięcie było tyleż nieoczekiwane, co zuchwałe. Nagle gwałtownie zwróciła koła w przeciwnym kierunku i pomknęła prosto na niego! On wszakże okazał się równie szybki i rzucił się do rozpaczliwej ucieczki. Po chwili kobieta zawróciła i popedałowała w swoją stronę, trzymając wyniośle głowę i nie zwracając już uwagi na milczącego towarzysza podróży. Ten również zawrócił i utrzymywał swoją stałą odległość, aż zniknął za zakrętem drogi.

Pozostałem w mojej kryjówce, co okazało się słuszne, ponieważ wkrótce mężczyzna znów się pojawił, jadąc powoli z powrotem. Zjechał z drogi przy bramie i zsiadł z roweru. Przez kilka minut stał pomiędzy drzewami. Ręce miał uniesione, jak gdyby poprawiał sobie krawat. Następnie wsiadł na rower i ruszył podjazdem w kierunku dworu. Przebiegłem przez wrzosowisko i zapuściłem oko między drzewa. Z daleka dostrzegłem zarysy szarego budynku ze sterczącymi kominami z epoki Tudorów, jednak podjazd biegł pośród gęstych zarośli i więcej go już nie widziałem.

Wydawało mi się, że tego ranka wykonałem nie najgorszą robotę, i podniesiony na duchu wróciłem pieszo do Farnham. Miejscowy agent nieruchomości nie potrafił niczego powiedzieć o dworze Charlington i skierował mnie do znanej firmy przy Pali Mali w Londynie. Wstąpiłem tam po drodze do domu i zostałem uprzejmie przyjęty przez urzędnika. Nie, nie mogę wynająć na lato dworu Charlington. Po prostu się spóźniłem. Został on już wynajęty przed miesiącem. Nazwisko lokatora brzmi Williamson. Jest to szacowny starszy dżentelmen. Ugrzeczniony agent ubolewał, że nie może powiedzieć niczego więcej, ponieważ nie wolno mu wyjawiać spraw dotyczących jego klientów.

Sherlock Holmes z uwagą wysłuchał długiego sprawozdania, które mu przedstawiłem tego wieczoru, ale nie dobył z siebie nawet słowa lakonicznej pochwały, którą miałem nadzieję

usłyszeć. Wręcz przeciwnie, gdy omawiał to, co zrobiłem i czego nie zrobiłem, jego wyraz twarzy był sroższy niż zazwyczaj.

— Twoja kryjówka, mój drogi Watsonie, została wybrana bardzo nieudolnie. Powinieneś się znaleźć za żywopłotem; stamtąd mógłbyś znacznie lepiej przyjrzeć się temu osobnikowi. A usadowiłeś się w odległości kilkuset jardów i możesz mi powiedzieć nawet jeszcze mniej niż panna Smith. Ona sądzi, że nie zna tego człowieka. Ja zaś jestem przekonany, że jest przeciwnie. Bo dlaczego tak bardzo by mu zależało na tym, żeby się do niego nie zbliżyła i nie rozpoznała jego rysów? Opisujesz go, jak pochyła się nad kierownicą. Przecież to kolejny sposób kamuflażu. Doprawdy kiepsko się sprawiłeś. On wraca do domu, a ty jedziesz do londyńskiego agenta!

— A cóż powinienem był zrobić? — zawołałem, lekko zaciętrzewiony.

— Udać się do najbliższej gospody. To ośrodek wiejskich plotek. Wymieniliby ci tam wszystkie nazwiska wszystkich mieszkańców dworu, od właściciela rezydencji do pomywaczki. Williamson! To mi nic nie mówi. Jeśli jest człowiekiem w starszym wieku, to nie może być owym ruchliwym cyklistą, który błyskawicznie ucieka przed pościgiem młodej damy. Co zyskaliśmy dzięki twojej wyprawie? Wiedzę, że opowieść dziewczyny jest prawdziwa. Nigdy w to nie wątpiłem. Że między cyklistą a dworem istnieje jakiś związek. Tego również byłem pewien. Że dwór jest wynajmowany przez Williamsona? A któż by się bardziej do tego nadawał? No już dobrze, dobrze, szanowny panie, niech się pan rozchmurzy. Aż do następnej soboty nie zdziałamy wiele więcej, a tymczasem jednej lub dwóch rzeczy mogę się dowiedzieć na własną rękę.

Nazajutrz rano otrzymaliśmy liścik od panny Smith, omawiający zwięźle i dokładnie wszystkie wydarzenia, których byłem świadkiem, ale istota listu zawierała się w jego postscriptum:

Będąc pewna, że mogę zaufać Pańskiej dyskrecji, Panie Holmes, informuję Pana, że moja sytuacja w tym domu stała się trudna w związku z propozycją małżeństwa, jaką przedstawił mi mój pracodawca. Nie wątpię w głębię i uczciwość jego uczucia. Ale przecież jestem już zaręczona. Pan Carruthers bardzo się przejął moją odmową, ale przyjął to też bardzo spokojnie. Rozumie Pan jednak, że czuję się teraz cokolwiek niezręcznie.

— Wygląda na to, że nasza młoda przyjaciółka popada w coraz większe tarapaty — rzekł w zamyśleniu Holmes, kiedy skończyłem czytać list. — Sprawa ta z pewnością zawiera coraz więcej ciekawych aspektów i jest bardziej skomplikowana, niż sądziłem pierwotnie. Na pewno nie zaszkodzi mi spędzenie dnia w ciszy i spokoju na wsi, jestem więc skłonny pojechać tam dziś po południu, by sprawdzić jedną lub dwie teorie, które sobie stworzyłem.

Spokojny dzień Holmesa na wsi zakończył się w szczególny sposób, ponieważ wrócił on na Baker Street późnym wieczorem z rozciętą wargą i blednącym już guzem na czole, w takim stanie, że sam mógłby się stać obiektem zainteresowania ze strony Scotland Yardu. Był zachwycony swymi przygodami, śmiał się serdecznie, opowiadając o tym, co przeżył.

— Tak mi brak ćwiczeń fizycznych, że każda okazja jest dla mnie wielką przyjemnością — zaczął. — Wiesz, że posiadam pewną biegłość w starym, prawdziwie brytyjskim sporcie, jakim jest boks. Czasem okazuje się bardzo przydatny. Dziś, na przykład, gdyby nie ta umiejętność, mógłbym skończyć doprawdy haniebnie.

Nalegałem, żeby mi opowiedział, co się wydarzyło.

— Znalazłem wiejską gospodę, którą już wcześniej poleciłem twojej uwadze, i tam przeprowadziłem dyskretne śledztwo. Siedziałem sobie przy barze, a od rozmownego właściciela wyciągnąłem wszystko, co mnie interesowało. Williamson jest siwowłosym mężczyzną i mieszka we dworze sam z nieliczną służbą. Krąży pogłoska, że jest, albo był, księdzem; wielokrotnie jednak podczas jego krótkiego rezydowania we dworze zachował się

w sposób odbiegający od stylu życia osoby duchownej. Zadałem już kilka pytań w siedzibie duszpasterstwa, gdzie powiedziano mi, że człowiek o tym nazwisku był wyświęcony, ale jego kariera potoczyła się w niewłaściwym kierunku. Właściciel poinformował mnie, że w końcu tygodnia we dworze zazwyczaj przebywają goście — „paczka niezłych opojów, sir” — a zwłaszcza jeden dżentelmen z rudymi wąsami o nazwisku Woodley, który przebywa tam stale. Doszliśmy właśnie do tego punktu, kiedy podszedł nie kto inny, jak ów dżentelmen we własnej osobie, który właśnie popijał piwo w sali sąsiadującej z barem i słyszał całą naszą rozmowę. Kim ja jestem? Czego chcę? Do czego zmierzam, zadając takie pytania? Miał wspaniały przyływ elokwencji, a jego epitety były bardzo mocne. Potok obelg zakończył wściekłym ciosem na odlew, którego nie zdołałem w pełni uniknąć. Następnych kilka minut to już była sama rozkosz. Lewy prosty przeciw młóćącemu na oślep zbirowi. Wyszedłem z tego w takim stanie, w jakim mnie teraz widzisz. Pana Woodleya odwieziono do domu na furze. Tak zakończyła się moja wiejska wycieczka i muszę przyznać, że jakkolwiek była ona przyjemna, to mój dzień nad granicą hrabstwa Surrey nie okazał się o wiele bardziej owocny niż twój.

Czwartek przyniósł nam kolejny list od naszej klientki.

Nie będzie dla Pana, Panie Holmes, zaskoczeniem, że porzucam pracę u pana Carruthersa. Nawet wysoka płaca nie może zrekompensować mojej krępującej sytuacji. W sobotę zamierzam wyjechać do miasta i więcej już tu nie wracać. Pan Carruthers ma już bryczkę, więc nie będę narażona na ewentualne niebezpieczeństwa czyhające na odludnej drodze.

Jeśli zaś chodzi o konkretną przyczynę mojego wyjazdu, to jest nią nie tylko napięcie w moich stosunkach z panem Carruthersem, ale także ponowne pojawienie się tego ohydneho człowieka, pana Woodleya. Zawsze był wstrętny, ale teraz wygląda straszniej niż kiedykolwiek, ponieważ miał chyba jakiś wypadek i jest silnie oszpecony. Zobaczyłam go z okna, ale na szczęście się z nim nie spotkałam. Odbył on długą rozmowę z panem Carruthersem, po której ten ostatni wydawał się bardzo poruszony. Woodley zatrzymał się chyba gdzieś w sąsiedztwie, ponieważ tutaj nie nocował, choć rano widziałam go przez mgnienie skradającego się w zaroślach. Wolałabym już, żeby tam chodziło wolno dzikie zwierzę. Trudno mi wyrazić, jak bardzo go nienawidzę i jak się go boję. Nie rozumiem, jak pan Carruthers choć przez chwilę może ścierpieć podobną kreaturę! W każdym razie w sobotę skończą się wszelkie moje kłopoty.

— Wierzę w to również, Watsonie, wierzę w to również — powiedział z powagą Holmes. — Wokół tej małej kobietki zawiązuje się jakaś skomplikowana intryga i naszym obowiązkiem jest dopilnować, aby nikt jej się nie naprzykrzał podczas tej ostatniej podróży. Myślę, Watsonie, że musimy sobie wygospodarować czas i pojechać tam w sobotę rano, aby dopilnować, by to osobliwe i bezowocne jak dotąd śledztwo nie doczekało się jakiegoś niefortunnego finału.

Przyznaję, że aż do tej chwili nie traktowałem tej sprawy zbyt poważnie. Wydawała mi się raczej groteskowa i dziwaczna niż niebezpieczna. Fakt, że jakiś mężczyzna zaczął się przy drodze, a następnie podążał za piękną kobietą, nie jest czymś niezwykłym, a jeśli do tego był on aż tak nieśmiały, że nie tylko nie miał odwagi jej zagadnąć, ale uciekał, kiedy się do niego zbliżała, to nie wyglądał na zbyt groźnego napastnika. Zbir Woodley to zupełnie inna sprawa, ale poza jednym przypadkiem nie niepokoił naszej klientki, a kiedy teraz odwiedził dom Carruthersa, już jej się nie narzucał. Człowiek na rowerze musiał bez wątpienia należeć do grupy tych cotygodniowych gości, o których mówił oberżysta; kim wszakże był i czego chciał, pozostawało wciąż niewyjaśnione. Dopiero powaga i skupienie w zachowaniu się

Holmesa oraz fakt, że przed opuszczeniem mieszkania wsunął do kieszeni rewolwer, uświadomiły mi, iż za tym dziwnym zbiegiem wydarzeń może się kryć jakaś tragedia.

Po deszczowej nocy nastąpił wspaniały poranek, a krajobraz wrzosowisk z jaskrawymi kępami kwitnącego janowca wydawał się jeszcze piękniejszy, zwłaszcza dla oczu zmęczonych wszelkimi wypłowiałymi odcieniami brązu i szarości Londynu. Szliśmy z Holmesem szeroką piaszczystą drogą, wdychając świeże poranne powietrze, pełni zachwytu dla śpiewu ptaków i ożywczych tchnień wiosny. Z drogi, która wiodła teraz po stoku wzgórza Crooksbury, mieliśmy widok na ponury dwór wyzierający spośród wiekowych dębów — choć bardzo starych, to wciąż jednak młodszych niż budowla, którą otaczały. Holmes wskazał na szeroką wstęgę rudawozółtej drogi, wijącą się między brązem wrzosowiska a pączkującą zielenią lasów. W oddali mogliśmy dostrzec czarny punkcik zbliżającego się w naszym kierunku pojazdu. Holmes wydał okrzyk zniecierpliwienia.

— Przyjąłem półgodzinny margines czasu — powiedział. — Jeśli to jest jej bryczka, to znaczy, że zamierza zdażyć na wcześniejszy pociąg. Boję się, Watsonie, że ona minie Charlington, zanim się z nią zdołamy spotkać.

Gdy zeszedliśmy w dół, pojazd zniknął nam z oczu, ale pospieszyliśmy naprzód z taką szybkością, że zaczął się mścić mój siedzący tryb życia i musiałem zostać w tyle. Holmes jednak zawsze był w formie, posiadał bowiem niewyczerpane pokłady fizycznej energii, z których mógł czerpać siły. Nie zwolnił ani na chwilę swego sprężystego kroku, aż nagle, kiedy był sto jardów przede mną, zatrzymał się i ujrzałem, że wyrzuca ręce w górę w geście żalu i rozpacz. W tej samej chwili zza zakrętu drogi wyłoniła się pusta, zmierzająca w naszym kierunku dwukółka, ciągnięta przez cwałującego konia, za którym wlokły się po ziemi lejce.

— Za późno, Watsonie! Za późno! — krzyknął Holmes, kiedy biegłem zdyszany u jego boku. — Jakimże byłem głupcem, nie biorąc pod uwagę wcześniejszego pociągu! To jest uprowadzenie, Watsonie — uprowadzenie! Morderstwo! Bóg wie co. Zastąp mu drogę! Zatrzymaj konia! Dobrze. Teraz wsiadajmy i spróbujmy naprawić skutki mojego fatalnego błędu!

Wskoczyliśmy do dwukółki, a Holmes, zawróciwszy konia, smagnął go ostro batem i popędziliśmy z powrotem w dół. Za zakrętem otworzył się przed nami cały odcinek drogi między dworem a wrzosowiskiem. Złapałem Holmesa kurczowo za ramię.

— To ten człowiek! — powiedziałem, chwytając ciężko powietrze.

W naszym kierunku zbliżał się samotny cyklista. Głowę trzymał nisko, a ramiona miał zgięte, tak jakby całą swoją siłę wkładał w pedałowanie. Pędził niczym zawodnik podczas wyścigu. Nagle podniósł okoloną brodą twarz, ujrzał nas tuż przed sobą, zahamował i zeskoczył z roweru. Czarna jak węgiel broda stanowiła osobliwy kontrast z bledością jego twarzy, a oczy błyszczały mu jak od gorączki. Wlepił wzrok w dwukółkę. Po sekundzie na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

— Ej, halo! Zatrzymajcie się! — zawołał, tarasując nam drogę swoim wehikułem. — Skąd macie tę bryczkę? Zatrzymaj się, człowieku! — ryknął, wyciągając z bocznej kieszeni pistolet. — Zatrzymaj się, powtarzam, albo, na Boga, wpakuję kulkę w tego konia!

Holmes rzucił mi lejce na kolana i zeskoczył na ziemię.

— Właśnie z panem chcemy rozmawiać. Gdzie jest panna Violetta Smith? — powiedział szybko i prosto z mostu, jak to miał w zwyczaju.

— To ja was o to pytam. Macie jej dwukółkę. Powinniście wiedzieć, co się z nią dzieje.

— Spotkaliśmy tę bryczkę na drodze. Była pusta. Zawróciliśmy, żeby przyjść z pomocą młodej damie.

— Dobry Boże! Dobry Boże! Co mam począć? — krzyknął nieznajomy w porywie rozpacz. — Mają ją; ten diabeł wcielony Woodley i łajdacki pastor! Chodź, człowieku, jeśli

rzeczywiście jesteś jej przyjacielem. Pomóż mi, a uratujemy ją, choćbym miał paść trupem w charlingtońskim lesie.

Pobiegł roztrzęsiony z pistoletem w ręce w kierunku wyrwy w żywopłocie. Holmes podążył w ślad za nim, a ja, pozostawiając konia skubiącego trawę na poboczu drogi, pobiegłem za Holmesem.

— Tędy przeszli — powiedział, wskazując na ślady stóp na błotnistej ścieżce. — Ale zaraz! Chwileczkę! Kto tam jest w krzakach?

Był to młody człowiek, mniej więcej siedemnastoletni, w stroju stajennego ze skórzanymi wiązaniem i w kamaszach. Leżał na boku, z podciągniętymi kolanami i krwawiącą raną na głowie. Był nieprzytomny, ale żył. Rzut oka na jego ranę wystarczył mi, by stwierdzić, że kość nie została naruszona.

— To Peter, stajenny — krzyknął nieznajomy. — Powoził. Te potwory odciągnęły go i ogłuszyły. Niech tu leży, nasza pomoc na nic mu się teraz nie zda, ją jednak możemy uratować przed losem dla kobiety najgorszym.

Popędziliśmy jak szaleni ścieżką, która wila się pośród drzew. Kiedy dotarliśmy do zarośli otaczających dom, Holmes się zatrzymał.

— Oni nie poszli do domu. Tu są ich ślady, na lewo, za krzakami wawrzynu! No właśnie!

Kiedy to powiedział, ostry krzyk kobiety — krzyk pełen przerażenia i rozpacz — wystrzelił z gęstej kępy zarośli przed nami. Urwał się nagle na najwyższej nucie krztuszeniem się i gulgotem.

— Tędy! Tędy! Są w parkowej kręgielni — krzyknął nieznajomy, pędząc jak strzała przez krzaki. — Aaa, tchórzliwe psy! Za mną, panowie! Za późno! Za późno! Niech to diabli!

Wpadliśmy nagle na uroczą polankę porośniętą murawą i otoczoną starymi drzewami. W przeciwległym jej końcu, w cieniu potężnego dębu, ujrzelśmy dziwną grupę złożoną z trzech osób. Była wśród nich kobieta, nasza klientka, pobladła i omdleająca, z chusteczką przy ustach. Naprzeciwko niej stał wulgarny młody mężczyzna o nalanej twarzy, z rudymi wąsami; rozstawił szeroko nogi w wysokich kamaszach, jedną rękę wsparł na biodrze, w drugiej trzymał jeździecką szpicrutę. Cała jego postawa wyrażała triumfującą pyszałkowatość. Między nimi stał starszy siwobrody mężczyzna w krótkiej komży narzuconej na lekkie tweedowe ubranie, który najwyraźniej zakończył ceremonię udzielania ślubu, ponieważ kiedy się pojawiliśmy, chował właśnie do kieszeni modlitewnik i klepał po ramieniu złowrogiego pana młodego w geście serdecznych gratulacji.

— Są już po ślubie! — powiedziałem bez tchu.

— Dalej! — krzyknął nasz przewodnik. — Naprzód! Rzucił się pędem przez polanę, a my tuż za nim. Kiedy się zbliżyliśmy, młoda dama opierała się bezsilnie o pień drzewa. Williamson, eksduchowny, ukłonił się nam z fałszywą uprzejmością, a arogancki Woodley postąpił do przodu z głośnym, obraźliwym śmiechem.

— Możesz zdjąć tę brodę, Bob — powiedział. — Przecież cię poznaję. No proszę, przybyłeś ze swymi kamratami w samą porę, żebym mógł wam przedstawić panią Woodley.

Nasz przewodnik nie wyrzekł ani słowa. Zerwał ciemną brodę, która go maskowała, i cisnął ją na ziemię, odsłaniając podłużną, bladą, gładko wygoloną twarz. Następnie podniósł pistolet i wymierzył w młodego łotra, który nacierał na niego, wymachując złowieszczą szpicrutą.

— Tak — rzekł nasz sprzymierzeniec. — Jestem Bob Carruthers i dopilnuję, aby ta kobieta odzyskała cześć, choćbym miał z tego powodu zawisnąć. Powiedziałem ci, co zrobię, jeśli ją będziesz nagabywał i, Bóg mi świadkiem, dotrzymam słowa!

— Spóźniłeś się. Ona jest moją żoną!

— Nie, ona jest wdową po tobie!

Jego pistolet wystrzelił i zobaczyłem krew tryskającą z przodu kamizelki Woodleya. Obrócił się z krzykiem i runął na plecy, a jego odrażająca czerwona twarz pokryła się nagle

śmiertelną, plamistą bladością. Starzec, wciąż jeszcze w komży, wybuchnął takim stekiem plugawych przekleństw, jakich jeszcze nigdy nie słyszałem, i wyciągnął własny pistolet, ale zanim zdążył go unieść, znalazł się oko w oko z lufą rewolweru Holmesa.

— Dość już tego — powiedział lodowatym głosem mój przyjaciel. — Rzuć pistolet! A ty go, Watsonie, podnieś! Trzymaj tego klechę na muszce! Dziękuję. Pan, Carruthers, odda mi swój pistolet. Dość już gwałtu. No dalej, proszę mi go oddać.

— Kimże pan jest?

— Nazywam się Sherlock Holmes.

— Wielki Boże!

— Widzę, że pan o mnie słyszał. Będę reprezentował Policję, dopóki ona tu nie przybędzie. A, jesteście! — zawołał do wystraszonego stajennego, który pojawił się na skraju polany. — Podejdź tu. Zawieziesz tę wiadomość do Farnham najszybciej, jak potrafisz — nabazgrał kilka słów na kartce wyrwanej z notesu. — Oddaj to komendantowi posterunku policji. Dopóki on nie przybędzie, muszę was wszystkich zatrzymać w moim prywatnym areszcie.

Silna, władcza osobowość Holmesa zapanowała nad tą tragiczną sceną, a wszyscy stali się marionetkami w jego rękach. Williamson i Carruthers przyłapali się na tym, że niosą rannego Woodleya do domu, a ja posłużyłem ramieniem przerażonej dziewczynie. Poszkodowanego położono na łóżku, ja zaś, na polecenie Holmesa, zbadałem go. Z meldunkiem podążyłem do starej, wyłożonej boazerią jadalni, gdzie siedział mój przyjaciel, a naprzeciwko niego dwóch jego więźniów.

— Będzie żył — oznajmiłem.

— Co takiego? — krzyknął Carruthers, zrywając się na równe nogi. — Pójdę na górę i od razu z nim skończę. Chce mi pan powiedzieć, że ta anielska dziewczyna ma być na całe życie związana z tym gburem Jackiem Woodleyem?

— Nie musi się pan tym martwić — powiedział Holmes. — Są dwa bardzo istotne powody, dla których ona w żadnym wypadku nie może być jego żoną. Po pierwsze możemy bez żadnego ryzyka zakwestionować prawo pana Williamsona do udzielania ślubu.

— Zostałem wyświęcony! — wrzasnął stary szubrawiec.

— A także suspendowany.

— Księdzem pozostaje się na całe życie.

— Nie sądzę. A co z zezwoleniem?

— Mamy zezwolenie na ślub. Jest w mojej kieszeni.

— A zatem zostało zdobyte podstępem. Tak czy owak, małżeństwo wymuszone jest nieważne, stanowi natomiast bardzo poważne przestępstwo, o czym się pan przekona wcześniej, niż się panu wydaje. Według mojej oceny na przemyślenie tej kwestii będzie pan miał najbliższe dziesięć lat. Co do pana, Carruthers, lepiej by było, gdyby pan w ogóle nie wyciągał z kieszeni swego pistoletu.

— Chyba ma pan rację, panie Holmes; kiedy sobie jednak pomyślałem o wszystkich środkach ostrożności, jakie podjąłem dla ochrony tej dziewczyny — ponieważ kochałem ją i po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, czym jest miłość — to po prostu do szaleństwa doprowadziła mnie świadomość, że znalazła się ona na łasce tego największego potwora i zbira w całej Afryce Południowej, którego nazwisko było synonimem diabła wcielonego od Kimberley po Johannesburg. Cóż, może pan w to nie uwierzy, panie Holmes, ale od chwili kiedy zatrudniłem tę pannę, ani razu nie pozwoliłem jej przejechać obok domu, w którym, jak wiedziałem, czają się te łotry, i podążyłem za nią na rowerze po to tylko, by się upewnić, że minęła go bezpiecznie. Dla niepoznaki trzymałem się od niej z daleka i przyprawiałem sobie brodę, ponieważ jest to uczciwa i dumna dziewczyna i nie pozostałaby u mnie długo, wiedząc, że jeżdżę za nią po wiejskich drogach.

— Czemu pan jej nie ostrzegł przed grożącym niebezpieczeństwem?

— Bo wówczas odeszłaby ode mnie, a ja nie potrafiłbym tego znieść. Nawet jeśli nie mogła mnie kochać, to tak wiele dla mnie znaczyło po prostu patrzenie na jej wdzięczną postać poruszającą się po domu i słuchanie jej dźwięcznego głosu.

— No cóż — powiedziałem. — Pan to nazywa miłością, ja jednak określiłbym to jako egoizm.

— Być może idzie to ze sobą w parze. W każdym razie nie mogłem dopuścić, aby odeszła. Poza tym, jeśli się weźmie pod uwagę obecność tych łotrów w okolicy, było wskazane, żeby panna Smith miała kogoś, kto się nią opiekuje. Kiedy w końcu przyszedł telegram, wiedziałem, że coś planują.

— Jaki telegram?

Carruthers wyciągnął go z kieszeni.

— Proszę — powiedział.

Treść telegramu była krótka: STARY NIE ŻYJE.

— Hm! — mruknął Holmes. — Chyba wiem, jak się to wszystko rozgrywało i dlaczego ta wiadomość doprowadziła do kulminacji. Ale w oczekiwaniu na policję mógłby mi pan powiedzieć, co pan wie.

Stary nicpoń w komży wybuchnął potokiem wulgarnych słów.

— Na Boga — powiedział. — Jeżeli nas wsepiesz, Bobie Carruthersie, to cię obsłużę tak, jak ty obsłużyłeś Jacka Woodleya! Możesz sobie pleść, ile dusza zapagnie, na temat tej dziewczyny, to twoja sprawa, ale jak doniesiesz na swoich kamratów temu glinie w cywilu, to będzie to najczarniejszy dzień w twoim życiu.

— Wasza wielbność nie powinien się tak ekscytować — powiedział Holmes, zapalając papierosa. — Sprawa wystarczająco przemawia przeciw panu, ja zaś jedynie z czystej ciekawości proszę o kilka szczegółów. Niemniej jednak jeśli macie panowie jakieś opory co do rozmowy ze mną, to będę mówił ja, a wówczas zorientujecie się, jakie macie szansę na zachowanie swych tajemnic. Po pierwsze wszyscy trzej przybyliście z Afryki Południowej dla przeprowadzenia tej gry — panowie Williamson, Carruthers oraz Woodley.

— Kłamstwo numer jeden — powiedział starzec. — Poznałem ich dopiero przed dwoma miesiącami i nigdy w życiu nie byłem w Afryce, tak że może pan sobie tym nabić swoją fajkę i ją wypalić, panie Holmesie Wścibski!

— On mówi prawdę — powiedział Carruthers.

— No więc dobrze, przyjechało was dwóch. Pomysł z jego wielbnością powstał już na miejscu. W Afryce Południowej poznaliście Ralpha Smitha. Mieliście powody, żeby sądzić, że nie pożyje on długo. Dowiedzieliście się, że jego bratanica odziedziczyłaby po nim majątek. No co, zgadza się?

Carruthers potwierdził, a Williamson zaklął.

— Była z pewnością jego najbliższą krewną i mieliście świadomość, że stary jegomość nie zostawi żadnego testamentu.

— On nie umiał czytać ani pisać.

— A zatem przyjechaliście we dwóch i odnaleźliście dziewczynę. Pomysł polegał na tym, że jeden z was się z nią ożeni, a drugi otrzyma swoją część łupu. Z jakiegoś powodu na męża wybrany został Woodley. Dlaczego?

— Podczas podróży zagraliśmy o nią w karty. On wygrał.

— Rozumiem. Pan zatem zaangażował ją u siebie, a Woodley miał się do niej zalecać. Ona zaś uznała go za wiecznie pijaną bestię i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Tymczasem wasze porozumienie właściwie się załamało, ponieważ pan zakochał się w tej damie. Nie mógł pan dłużej znieść myśli, że ten zbir miałby ją poślubić.

— Nie, na Boga, nie mogłem!

— Doszło między wami do kłótni. Wyszedł od pana wściekły i zaczął działać na własną rękę.

— Jestem zdumiony, Williamson, że tak niewiele mamy do dodania temu dżentelmenowi — wykrzyknął Carruthers, śmiejąc się z rozgoryczeniem. — Tak, pokłóciliśmy się i on mnie powalił na ziemię. Teraz w każdym razie nasz rachunek jest już pod tym względem wyrównany. Potem straciłem go z oczu. To właśnie wtedy zaprzyjaźnił się z tym pseudoksiędzem. Doszło do mnie, że zagnieździł się w okolicy, na trasie przejazdu panny Smith do stacji. Od tego czasu nie spuszczałem jej z oka, ponieważ wiedziałem, że knują jakieś draństwo. Widywałem Woodleya od czasu do czasu, bo zależało mi na tym, żeby się dowiedzieć, co zamierzają. Przed dwoma dniami przyszedł do mego domu i przyniósł ten telegram, z którego wynikało, że Ralph Smith zmarł. Zapytał, czy dotrzymam umowy. Odpowiedziałem, że nie. Zapytał też, czy poślubię dziewczynę i oddam mu jego udział. Powiedziałem, że chętnie bym to zrobił, ale ona mnie nie zechce. On na to: „Najpierw doprowadźmy do małżeństwa, a za tydzień lub dwa sprawy mogą się odmienić”. Powiedziałem, że niczego nie będę robił przemocą. Odszedł, klnąc, jak przystało na szubrawca o niewyparzonej gębie, i przysięgając, że ją jednak zdobędzie. Wyjeżdżała w końcu tego tygodnia, wynająłem więc bryczkę, żeby ją zawiozła na stację, ale czułem taki niepokój, że podążyłem za nią na rowerze. Miała jednak nade mną przewagę i zanim zdążyłem ją dogonić, stało się. Zrozumiałem to natychmiast, gdy ujrzałem panów jadących z powrotem jej dwukołówką.

Holmes wstał i rzucił niedopałek papierosa na ruszt kominka.

— Okazałem się bardzo tępy, Watsonie — rzekł. — Kiedy powiedziałeś mi, że widziałeś cyklistę, który jak gdyby poprawiał sobie krawat w zaroślach, już tylko to powinno mi być wystarczyć za całe wyjaśnienie. Jednakowoż możemy sobie pogratulować, bo sprawa była osobliwa i pod pewnymi względami wyjątkowa. Dostrzegam na podjeździe trzech policjantów hrabstwa i rad jestem, że chłopiec stajenny dotrzymuje im kroku; można z tego wnosić, że ani on, ani nasz oryginalny pan młody nie ponieśli jakichś nieodwracalnych obrażeń podczas swych przygód tego poranka. Myślę, Watsonie, że teraz możesz swą medyczną biegłość oddać do dyspozycji panny Smith i przekazać jej, że jeśli czuje się już dostatecznie na siłach, to będziemy szczęśliwi, mogąc jej towarzyszyć do domu matki. Jeśli zaś jeszcze nie doszła do siebie, to przekonasz się, że wzmianka o naszym zamiarze zatelegrafowania do pewnego młodego inżyniera w środkowej Anglii dopełni kuracji. A co do pana, panie Carruthers, myślę, że uczynił pan już wszystko, co mógł, aby odkupić swój udział w tej nieszczęsnej intrydze. Oto moja wizytówka, proszę pana, i jeśli moje zeznania miałyby w jakiś sposób pomóc w pańskim procesie, to może pan na mnie liczyć.

W wirze naszych nieustannych działań niejednokrotnie jest mi trudno, jak czytelnik już to być może zauważył, napisać stosowne zakończenie do poszczególnych opowiadań i uzupełniać je finałowymi szczegółami, których oczekiwałaby rozbudzona ciekawość. Każda sprawa stanowi preludium do następnej, a kiedy już nastąpi przesilenie, aktorzy odchodzą na zawsze do swej życiowej krzątaniny. Jednakże na końcu manuskryptu związanego z tą sprawą widnieje krótki dopisek, w którym odnotowuję, że panna Violetta Smith w istocie odziedziczyła pokaźny majątek i że jest dziś żoną Cyryla Mortona, starszego wspólnika w spółce Morton i Kennedy, firmie słynnych inżynierów elektryków z Westminsteru. Williamson i Woodley zostali osądzeni za uprowadzenie i użycie przemocy, otrzymując wyroki — pierwszy siedem lat, drugi dziesięć. Nie zamieściłem wzmianki o dalszych losach Carruthersa, ale jestem pewien, że jego atak nie został przez sąd potraktowany w kategoriach ciężkiego przestępstwa, z uwagi na to, że postrzelony przez niego Woodley miał reputację wyjątkowo niebezpiecznego szubrawca; sądzę więc, że kilka miesięcy więzienia wystarczyło, aby sprawiedliwości stało się zadość.

ZŁOTE PINCE–NEZ

(THE ADVENTURE OF THE GOLDEN PINCE–NEZ)

Kiedy zaglądam do trzech opasłych tomów moich notatek, które obejmują naszą pracę na przestrzeni całego roku 1894, to przyznaję, że jest mi bardzo trudno z bogactwa tego materiału wybrać sprawy z natury najciekawsze, a jednocześnie stwarzające pole do popisu dla tych szczególnych zdolności mego przyjaciela, które czynią go sławnym. Znajduję na tych stronicach moje notatki na temat odrażającej historii o krwawym konowale i strasznej śmierci bankiera Crosby'ego. Widzę tu również relację o tragedii w Addleton i osobliwej zawartości starożytnego brytyjskiego kurhanu. W okresie tym pojawia się też słynna sprawa spadkowa Smith–Mortimer oraz wytopienie i aresztowanie Hureta, zabójcy z bulwaru — był to wyczyn, który przyniósł Holmesowi osobisty list dziękczynny od prezydenta Francji i wstęgę Legii Honorowej. Każda z tych spraw zasługuje na opowiadanie, ale zważywszy wszystko razem, moim zdaniem, żaden z tych przypadków nie łączy w sobie tylu osobliwych aspektów co zdarzenie z Yoxley Old Place, na które składa się nie tylko godna ubolewania śmierć młodego Willoughby'ego Smitha, ale także późniejszy rozwój wydarzeń, rzucających ciekawe światło na przyczyny tej zbrodni.

Była wietrzna i burzliwa późnolistopadowa noc. Przez cały wieczór siedzieliśmy z Holmesem w milczeniu, on pochłonięty odczytywaniem za pomocą swej potężnej lupy resztek oryginalnej inskrypcji na palimpseście, ja zaś zagłębiony w lekturze najnowszej rozprawy z dziedziny chirurgii. Za oknem na Baker Street zawodził wiatr, a deszcz wściekle tłukł o szyby. Dziwne, że w samym środku miasta, otoczonego zewsząd w promieniu dziesięciu mil wytworami ludzkich rąk, odczuwało się żelazny uścisk Natury i człowiek uświadamiał sobie, że dla potężnych żywiołów cały Londyn jest niczym więcej jak tylko pokrywającymi pola kretowiskami. Rzadko rozmieszczone latarnie rzucały światło na błotnistą jezdnię i lśniący w deszczu chodnik. Od strony Oxford Street zbliżała się w rozbryzgach kałuż samotna dorożka.

— Ach, Watsonie, jak to dobrze, że nie musimy tego wieczoru nigdzie wychodzić — rzekł Holmes, odkładając lupę i zwijając palimpsest. — Wystarczy jak na jedno posiedzenie. To zajęcie męczące dla oczu. Jak dotychczas, na ile się mogę zorientować, dokument ten nie jest bardziej interesujący niż kroniki opactwa westminster — skiego z połowy dwunastego wieku. Hej, hej, hej! A cóż to takiego?

Spośród dudnienia wiatru z ulicy dobiegł nas stukot końskich kopyt i przeciągły zgrzyt koła szorującego o krawężnik chodnika. Dorożka, którą zauważyłem wcześniej, zatrzymała się przed naszymi drzwiami wejściowymi.

— Czego on może chcieć? — wykrzyknąłem, kiedy z powozu wysiadł jakiś mężczyzna.

— Czego? Nas! Nam zasię, mój biedny Watsonie, potrzebne chyba będą płaszcze, fulary, kalosze i wszystko, co człowiek wymyślił, by stawić czoło niepogodzie. Ale poczekaj chwilkę! Dorożka ruszyła. Jest więc jeszcze jakaś nadzieja. Zatrzymałby ją, gdyby nas chciał gdzieś ze sobą zabrać. Zbiegnij na dół, mój miły druhu, i otwórz drzwi, bo wszyscy cnotliwi ludzie od dawna już śpią.

Kiedy światło palącej się w holu lampy padło na naszego nocnego gościa, rozpoznałem go bez trudności. Był to młody Stanley Hopkins, dobrze zapowiadający się detektyw, którego karierą Holmes kilkakrotnie okazał bardzo poważne zainteresowanie.

— Czy go zastałem? — zapytał żywo gość.

— Proszę tu do mnie, drogi panie — rozległ się głos Holmesa z góry. — Mam nadzieję, że nie zechce pan nas nigdzie porwać w taką noc jak ta.

Detektyw wspinał się po schodach, jego nieprzemakalny płaszcz lśnił w świetle lampy w holu. Pomogłem mu się rozebrać, podczas gdy Holmes wzruszył w kominku polana, które buchnęły żywszym płomieniem.

— Teraz, mój drogi Hopkinsie, wyciągnij się i ogrzej sobie stopy — powiedział. — Oto cygaro, a doktor ma doskonale lekarstwo na taką pogodę — gorącą wodę z cytryną. Coś niewątpliwie ważnego musiało pana sprowadzić do mnie w tę zawieruchę.

— To prawda, panie Holmes. Po południu miałem urwanie głowy, niech mi pan wierzy. Czy zauważył pan w ostatnich wydaniach gazet cokolwiek na temat tego, co się wydarzyło w Yoxley?

— Dziś nie czytałem niczego, co przekraczałoby wiek piętnasty.

— No tak, to był zaledwie jeden akapit, i do tego mijający się całkowicie z prawdą, więc nic pan nie stracił. Nie mogę zmarnować ani chwili. Yoxley Old Place leży w hrabstwie Kent, siedem mil od Chatham, a trzy od linii kolejowej. Wezwano mnie telegraficznie o trzeciej piętnaście, o piątej byłem już na miejscu, gdzie przeprowadziłem dochodzenie, ostatnim pociągiem wróciłem na Charing Cross, a prosto stamtąd wziąłem dorożkę do pana.

— Co, jak się domyślam, oznacza, że w sprawie tej nie ma pan pełnej orientacji?

— Oznacza to, że nie mam o niej zielonego pojęcia. Na razie wiem tylko tyle, że jest to najbardziej zagmatwana sprawa spośród tych, którymi się zajmowałem dotychczas, choć z początku sprawiała wrażenie tak prostej, że możliwość jakiegokolwiek pomyłki wydawała się wykluczona. Nie ma tu motywu, panie Holmes. To mnie właśnie martwi — że nie mogę doszukać się motywu. Jest nieboszczyk — fakt niewątpliwy — ale do tej chwili nie widzę żadnego powodu, dla którego ktokolwiek pod słońcem pragnąłby krzywdy tego człowieka. Holmes zapalił cygaro i odchylił się w fotelu.

— Niech nam pan o tym opowie — rzekł.

— Fakty są dość oczywiste — powiedział Stanley Hopkins. — Moim jedynym pragnieniem jest dowiedzieć się, co one znaczą. A oto historia, tak jak ją na razie widzę.

Przed kilku laty ów wiejski dom, Yoxley Old Place, wynajął pewien starszy człowiek, który przedstawił się jako profesor Coram. To inwalida, który przez połowę dnia pozostaje w łóżku, a przez drugą połowę kuśtyka wokół domu o lasce lub porusza się na wózku popychanym przez ogrodnika. Jest bardzo lubiany przez tych nielicznych sąsiadów, którzy go odwiedzają, i ma opinię człowieka gruntownie wykształconego. Jego służba składa się z dwu osób: starszawej gospodyni, pani Marker, i pokojówki, Susan Tarlton. Obie były tam od jego przyjazdu i wydają się kobietami o kryształowych charakterach. Profesor zaczął pisać książkę naukową i uznał za konieczne zatrudnienie sekretarza na okres około roku. Dwaj pierwsi okazali się nieudolni; jednak trzeci, pan Willoughby Smith, bardzo młody człowiek i świeży absolwent uniwersytetu, zdawał się spełniać wszelkie wymagania swego pracodawcy. Jego obowiązki polegały na tym, że przez cały ranek pisał pod dyktando profesora, a wieczór spędzał na wyszukiwaniu odnośników i cytatów, które profesor miał wykorzystywać następnego dnia. Temu Willoughby'emu Smithowi nie można niczego zarzucić — ani z okresu jego dzieciństwa, które spędził w Uppingham, ani studiów kończonych w Cambridge. Wszystkie jego świadectwa, do jakich dotarłem, od samego początku potwierdzają, że był on skromnym, spokojnym, ciężko pracującym chłopcem, wolnym od jakichkolwiek słabości. A przecież to właśnie jego spotkała śmierć owego poranka w gabinecie profesora, i do tego w okolicznościach wskazujących na morderstwo.

Wiatr za oknami wył i huczał. Holmes i ja przysunęliśmy się bliżej ognia, podczas gdy młody inspektor z wolna, punkt po punkcie, rozwijał swoje niezwykle opowiadanie.

— Nie wiem, czy w całej Anglii — ciągnął — znalazłby pan gospodarstwo bardziej samowystarczalne i odizolowane od świata zewnętrznego. Mijały tygodnie, a nikt z mieszkańców domu nie przekraczał bramy ogrodu. Profesora pochłaniała bez reszty jego praca, poza nią nie widział świata. Młody Smith nie znał nikogo w sąsiedztwie, więc żył

bardzo podobnie jak jego pracodawca. Żadnej z dwóch kobiet nic nie odciągało od domu. Mortimer, ogrodnik pchający wózek profesora, jest emerytowanym wojskowym — starym kombatantem wojny krymskiej, człowiekiem o wspaniałym charakterze. Nie mieszka w tym domu, lecz w trzyczobowej chatce w odległym końcu ogrodu. Byli to jedyni ludzie, których się spotykało na terenie posiadłości. Przy tym wszystkim brama ogrodu znajduje się w odległości stu jardów od głównej linii kolejowej łączącej Londyn z Chatham. Zamyka się ją tylko na skobel, więc nikt nie ma trudności z wejściem do środka.

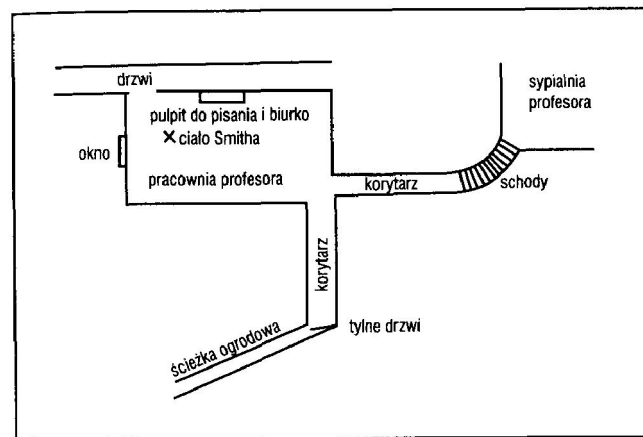
Teraz przekażę panu zeznania służącej Susan Tarlton, jedynej osoby, która może powiedzieć coś sensownego w tej sprawie. Stało się to przed południem, między jedenastą a dwunastą. Była wówczas zajęta zawieszaniem jakichś zasłon na górze w sypialni od frontu. Profesor Coram pozostawał jeszcze w łóżku, ponieważ przy niesprzyjającej pogodzie rzadko wstaje przed południem. Gospodyni pracowała na tyłach domu. Willoughby Smith znajdował się w swojej sypialni, której używa również jako salonu; jednak służąca usłyszała w pewnym momencie, jak idzie korytarzem i schodzi do gabinetu znajdującego się bezpośrednio pod pokojem, w którym pracowała. Nie widziała Smitha, ale powiada, że nie mogła się pomylić i rozpoznała jego szybki, zdecydowany sposób chodzenia. Nie usłyszała zamykających się drzwi gabinetu, ale mniej więcej minutę później dobiegł stamtąd straszliwy krzyk. Był to dziki, chrapliwy pisk, tak dziwny i nienaturalny, że równie dobrze mogłaby go wydać kobieta. W tej samej chwili nastąpiło ciężkie grzotnienie, które wstrząsnęło całym domem, po czym zapadła cisza. Skamieniała służąca stała przez chwilę bez ruchu, a następnie, nabrawszy odwagi, zbiegła po schodach w dół. Drzwi gabinetu były zamknięte, więc je otworzyła. W środku młody pan Willoughby Smith leżał na podłodze. Z początku nie zauważyła żadnych obrażeń, ale kiedy spróbowała go podnieść, dostrzegła, że z jego szyi cieknie krew. Była to niewielka, ale bardzo głęboka rana kłuta, Smith miał przeciętą tętnicę szyjną. Obok na dywanie leżało narzędzie zbrodni — jeden z tych małych nożyków do cięcia laku, jakie spotykamy na staroświeckich pulpitych do pisania, z rękojeścią z kości słoniowej i sztywnym ostrzem. Należał do wyposażenia biurka profesora.

W pierwszej chwili służąca pomyślała, że Smith nie żyje, ale kiedy zwilżyła mu czoło wodą z karafki, otworzył na chwilę oczy. „Profesorze — wymamrotał — to była ona”. Susan jest gotowa przysiąc, że dokładnie tak brzmiały jego słowa. Próbował rozpaczliwie powiedzieć coś więcej, unosząc prawą rękę. Ale już nie zdążył.

Tymczasem pojawiła się również gospodyni, przybyła jednak za późno, żeby mogła usłyszeć słowa umierającego młodzieńca. Pozostawiwszy służącą przy zwłokach, pospieszyła do pokoju profesora. Ten siedział wyprostowany w łóżku, głęboko wstrząśnięty, ponieważ słyszał wystarczająco dużo, aby pojąć, że stało się coś straszego. Pani Marker może przysiąc, że profesor był jeszcze w nocnej bieliźnie i rzeczywiście nie zdołałby się ubrać bez pomocy Mortimera, który miał polecenie przyjść do niego o dwunastej. Profesor twierdzi, że usłyszał daleki krzyk, ale nic więcej nie wie. Nie potrafi wytłumaczyć ostatnich słów młodzieńca: „Profesorze — to była ona”, ale przypuszcza, że umierający po prostu majaczył. Jest przekonany, że Willoughby Smith nie miał na świecie żadnych wrogów i nie dał żadnych powodów do zbrodni. Pierwszą reakcją profesora było posłanie ogrodnika Mortimera do policji. Nieco później komendant posterunku powiadomił i wezwał mnie. Do mojego przyjazdu niczego nie ruszono, wydano też rygorystyczny zakaz chodzenia po ścieżce wiodącej do domu. Była to znakomita okazja do zastosowania pańskich metod, panie Holmes. Istniały po temu doskonałe warunki.

— Oprócz obecności samego Sherlocka Holmesa! — powiedział mój przyjaciel z uśmiechem zaprawionym goryczą. — No więc proszę nam powiedzieć, jak sobie pan z tym poradził.

— Najpierw muszę pana prosić o rzucenie okiem na ten prowizoryczny plan, który da panu wyobrażenie o usytuowaniu gabinetu profesora i naświetli inne punkty tej sprawy. Pomoże zapoznać się z postępami mojego śledztwa.



Rozwinął pogniecioną kartkę, z rysunkiem, który odtwarzam, i położył ją na kolanie Holmesa. Podniosłem się i stojąc za jego plecami, przyglądałem się jej zza ramienia przyjaciela.

— Plan jest oczywiście bardzo powierzchowny i obejmuje tylko te punkty, które wydają mi się istotne. Resztę obejrzy pan później sam. A teraz, po pierwsze, jeśli przyjmiemy, że zabójca wszedł do domu z zewnątrz, to którędy mógł się tam dostać? Niewątpliwie ścieżką ogrodową i tylnymi drzwiami, przez które można bezpośrednio dotrzeć do gabinetu. Każdy inny sposób byłby niezwykle skomplikowany. Ucieczka również musiała się odbyć tą drogą, ponieważ drugie wyjście zostało odcięte przez Susan, kiedy zbiegała z góry, trzecie zaś prowadzi prosto do sypialni profesora. Stąd też uwagę skierowałem od razu na ścieżkę ogrodową, a ponieważ niedawno padał deszcz, z pewnością jakieś ślady stóp byłyby na niej widoczne.

Okazało się jednak, że mam do czynienia ze zbrodniarzem ostrożnym i znającym się na rzeczy. Na ścieżce żadnych śladów nie znaleziono. Nie było wszakże wątpliwości, że ktoś przeszedł po trawie obok ścieżki i że zrobił to właśnie dlatego, żeby nie pozostawić śladów. Nie mogłem znaleźć tam niczego, co przypominałoby odcisk stopy, choć trawa była przydeptana równoległe do ścieżki. I mógł to zrobić tylko morderca, gdyż ani ogrodnik, ani nikt inny z domowników tego ranka tam się nawet nie zbliżał, a deszcz zaczął padać dopiero w nocy.

— Chwileczkę — wtrącił Holmes. — Dokąd wiedzie ta ścieżka?

— Do drogi.

— Jaką ma długość?

— Mniej więcej sto jardów.

— W punkcie, w którym ścieżka dochodzi do bramy, znalazł pan z pewnością jakieś ślady?

— Niestety, w tym miejscu ścieżka jest wybrukowana.

— No a na samej drodze?

— Nie. Jest cała doszczętnie zdeptana.

— Bodaj to! A czy te ślady na trawie prowadziły do — czy od domu?

— Tego nie mogliśmy ustalić. To były zbyt nikłe ślady.

— Stopy małe czy duże?

— Nie dało się rozróżnić.

Holmes wydał okrzyk zniecierpliwienia.

— Od tego czasu lał deszcz i szalał huragan — powiedział — będzie to trudniej odczytywać niż palimpsest! Ale już nic się na to nie poradzi. Co pan zrobił, Hopkins, po nabraniu pewności, że nie jest niczego pewien?

— Myślę, że ustaliłem wiele rzeczy, panie Holmes. Stwierdziłem, że ktoś wszedł niezauważony do domu z zewnątrz. Zbadałem korytarz. Jest wyłożony kokosową matą, na której nie ma żadnych śladów. To mnie zaprowadziło do samego gabinetu. Jest skąpo umeblowany. Główny sprzęt stanowi tam ruchomy pulpit do pisania połączony z biurkiem, w którym znajdują się dwa rzędy szuflad z niewielką szafką między nimi. Szuflady były otwarte, a szafka zamknięta. Jak się wydaje, szuflad, które nie zawierały niczego wartościowego, w ogóle nie zamykano. Ważniejsze dokumenty znajdowały się w szafce, ale nic nie wskazywało na to, żeby ktoś usiłował się do niej dobierać, a profesor zapewnia mnie, że nic nie zginęło. Z całą pewnością nie dokonano żadnego rabunku.

Przechodzę teraz do ciała młodzieńca. Zostało znalezione w pobliżu biurka, nieco na lewo, jak to jest pokazane na planie. Rana zadana została z prawej strony szyi i biegła od tyłu ku przodowi, tak że samookaleczenie wydaje się niemożliwe.

— Jeśli nie upadł na nóż — powiedział Holmes.

— Istotnie. Przyszło mi coś takiego na myśl, ale nóż znaleźliśmy w odległości kilku stóp od ciała, a zatem chyba jest to wykluczone. Mamy też oczywiście słowa umierającego, wreszcie ów bardzo ważny dowód, który znaleźliśmy w jego zaciśniętej prawej ręce.

Stanley Hopkins wyjął z kieszeni mały papierowy pakiecik. Rozwinął go i zobaczyliśmy złote pince-nez z dwoma urwanymi końcami czarnego jedwabnego kordonka.

— Willoughby Smith miał doskonały wzrok — dodał inspektor. — Jest oczywiste, że albo zerwał je z twarzy zabójcy, albo mu je odebrał.

Sherlock Holmes wziął okulary do ręki i zaczął badać z najwyższą uwagą i zainteresowaniem. Potrzymał je na nosie, usiłował coś przez nie odczytać, podszedł do okna i popatrzył na ulicę, przyjrzał się im w największym skupieniu w pełnym świetle lampy, aż wreszcie, chichocząc, usiadł przy stole i napisał kilka zdań na kartce papieru, którą następnie podsunął Stanleyowi Hopkinsowi.

— To najlepsza rzecz, jaką mogę dla pana zrobić — rzekł. — Może się to okazać w jakiś sposób pomocne.

Zdumiony detektyw odczytał na głos treść notatki:

Poszukiwana jest kobieta o dobrych manierach, w stroju damy. Ma bardzo gruby nos i blisko siebie osadzone oczy, pokryte zmarszczkami czoło, przenikliwe spojrzenie i prawdopodobnie przygarbione plecy. Istnieje możliwość, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy co najmniej dwa razy odwiedzała optyka. Ponieważ jej szkła są bardzo silne, a optyków jest niezbyt wielu, wytropienie tej kobiety nie powinno nastęrczać żadnych trudności.

Holmes uśmiechnął się, widząc zdziwienie Hopkinsa; uczucie to musiało się odmalować również na mojej twarzy.

— Ależ te wnioski narzucają się same — powiedział. — Trudno byłoby znaleźć jakiś inny przedmiot, który by dawał wspanialsze pole do formułowania konkluzji niż okulary, zwłaszcza okulary tak godne uwagi jak te. Że należą one do kobiety, wnioskuję z ich lekkości, a także, oczywiście, z ostatnich słów nieboszczyka. Co zaś do jej elegancji i stroju, to — jak pan widzi — okulary te są efektownie osadzone w litym złocie i nie do pomyślenia jest, aby ktoś, kto je nosi, mógł być niechlujny pod innymi względami. Może się pan przekonać, że ich zacisk jest dla pańskiego nosa zbyt szeroki, co mówi o znacznej szerokości nozdrzy tej damy u ich nasady. Taki nos jest zazwyczaj krótki i gruby, ale istnieje od tego wystarczająco dużo wyjątków, tak że nie będę się dogmatycznie upierał w tym punkcie mego opisu. Ja mam twarz pociągłą, a jednak stwierdzam, że te okulary zupełnie nie pasowały do

moich oczu. A zatem oczy tej damy są osadzone bardzo blisko siebie. Dostrzegasz zapewne, Watsonie, że są to szkła wklęsłe i niezwykle silne. Tak bardzo ograniczona przez całe życie zdolność widzenia musiała z pewnością spowodować niekorzystne zmiany w wyglądzie tej kobiety, które uwidaczniają się na czole, na powiekach i w postawie.

— Tak — powiedziałem. — Zgadza się z twoimi argumentami. Przyznaję jednak, że nie mogę zrozumieć, z czego wnioskujesz o jej dwukrotnej wizycie u optyka.

Holmes wziął okulary do ręki.

— Zauważ — rzekł — że zaciski są wyłożone korkowymi paskami, aby złagodzić nacisk na nos. Jeden z nich jest nieco odbarwiony i bardziej zużyty, drugi zaś nowy. Najwyraźniej jeden z nich odpadł i został uzupełniony.

Według mojej oceny ten późniejszy nie ma więcej niż kilka miesięcy. Oba paski dokładnie do siebie pasują, a zatem wnioskuję, że ta dama udawała się dwukrotnie do tej samej firmy.

— Na Boga, to zdumiewające! — krzyknął Hopkins w pełnym uznaniu uniesieniu. — Pomyśleć, że wszystkie te dowody trzymałem w ręku, nie mając o tym pojęcia! Zamierzałem jednak obejść londyńskich optyków.

— Zrobi to pan na pewno. A czy teraz ma pan jeszcze coś do powiedzenia o tej sprawie?

— Nie, panie Holmes. Sądzę, że wie pan tyle co ja, a prawdopodobnie nawet więcej. Dopytywaliśmy się, czy nie widziano kogoś obcego na wiejskich drogach i na stacji kolei. O nikim takim nie słyszano. To, co nie mieści mi się w głowie, to całkowity bezsens tej zbrodni. Nikt nie potrafi podsunąć nawet cienia motywu.

— Ach, tu nie jestem w stanie panu pomóc. Sądzę jednak, że chciałby pan, abyśmy tam jutro pojechali?

— Jeśliby to nie sprawiło kłopotu, panie Holmes. Jest pociąg z Charing Cross do Chatham odjeżdżający o godzinie szóstej rano, tak że w Yoxley Old Place byłibyśmy między ósmą a dziewiątą.

— A więc pojedziemy tym pociągiem. Ta sprawa w pewnych aspektach jest nadzwyczaj interesująca i byłbym zachwycony, mogąc w nią wejrzeć. No, ale jest już prawie pierwsza i w najlepszym wypadku mamy przed sobą parę godzin snu. Mam nadzieję, że jakoś pan się urządzi na sofie naprzeciwko kominka. Zapalę tę lampę, a przed naszym wyjazdem zaproponuję panu filiżankę kawy.

Następnego dnia zawierucha ucichła, ale ranek był lodowaty. Z okien pociągu widzieliśmy chłodne zimowe słońce, które wznosiło się nad posępnymi bagnami Tamizy, i mijaliśmy długie ponure odcinki rzeki, które już zawsze będą mi przypominać nasz pościg za człowiekiem z Andamanów w początkach naszej kariery. Po długiej i męczącej podróży wysiedliśmy na małej stacyjce kilka mil od Chatham. Podczas gdy zaprzęgano konia do bryczki, zjedliśmy naprędce śniadanie w miejscowej gospodzie, tak że znalazłszy się w końcu w Yoxley Old Place, byliśmy gotowi do działania. W bramie parku powitał nas policjant.

— No jak, Wilson, jest coś nowego?

— Nie, sir, nic.

— Żadnych meldunków o obcych w okolicy?

— Nie, sir. Na stacji są pewni, że wczoraj żaden obcy ani nie przyjechał, ani nie wyjechał.

— Popytałeś w gospodach i pensjonatach?

— Tak, sir. Ale nie ma nikogo podejrzanego.

— No cóż, z Chatham można tu dojść spacerem. Tam zaś każdy mógłby się zatrzymać albo wsiąść niepostrzeżenie do pociągu. To jest ogrodowa ścieżka, o której panu mówiłem, panie Holmes. Ręczę słowem, że wczoraj nie było na niej żadnego śladu.

— Po której stronie ścieżki biegły ślady na trawie?

— Po tej, sir. Na tym wąskim pasie między ścieżką a rabatką. Teraz już ich nie dostrzegam, ale wtedy były całkiem wyraźne.

— Tak, tak, ktoś przeszedł wzdłuż ścieżki — powiedział Holmes, zatrzymując się na krawędzi trawnika. — Nasza dama musiała stąpać bardzo ostrożnie, w przeciwnym bowiem wypadku zostawiałaby ślady albo na ścieżce, albo, i to jeszcze wyraźniejsze, na miękkiej rabatce, prawda?

— Tak, proszę pana, wygląda na to, że była bardzo opanowana.

Dostrzegłem w twarzy Holmesa przeblysł jakiegoś zamysłu.

— Mówi pan, że musiała wracać tą drogą?

— Tak, sir. Nie ma innej możliwości.

— Po tym skrawku trawy?

— Z pewnością, panie Holmes.

— Hm! To był niezwykle wyczyn... Doprawdy niezwykle. Dobrze, problem ścieżki wyczerpaliśmy. Idźmy dalej. Przypuszczam, że drzwi prowadzące do ogrodu są zazwyczaj otwarte? A zatem wystarczyło po prostu wejść. Nie myślała o morderstwie, przygotowała by sobie bowiem jakąś broń, zamiast chwytać nóż z pulpitu. Podążyła korytarzem, nie zostawiając żadnych śladów na kokosowej macie. Następnie znalazła się w gabinecie. Jak długo tam była? Czy możemy to jakoś określić?

— Nie dłużej niż kilka minut, sir. Zapomniałem panu powiedzieć, że pani Marker, gospodyni, sprzątała tam mniej więcej kwadrans wcześniej.

— Aha, to nam wyznacza jakieś granice. Nasza dama wchodzi do pokoju i cóż robi? Zbliża się do biurka. Po co? Po coś w szufladach? Nie. To, co ją interesowało, znajdowałoby się z pewnością pod zamknięciem. A więc jej chodziło o coś, co kryło się w tym drewnianym sekretarzyku. Zaraz! Cóż to za rysa na jego przodzie? Przytrzymaj zapalną, Watsonie. Hopkins, dlaczego mi pan o niej nie powiedział?

Rysa, którą badał Holmes, zaczynała się po prawej stronie dziurki od klucza, na mosiężnej obudowie, i biegła jakieś cztery cale dalej, wyraźnie zaznaczona na politurowanej powierzchni sekretarzyka.

— Zauważyłem ją, panie Holmes, ale przecież powierzchnia wokół dziurki od klucza zawsze bywa porysowana.

— Ta rysa jest świeża, całkiem świeża. Proszę zobaczyć, jak mosiądz błyszczy w miejscu nacięcia. Stare zarysowanie nabrałoby koloru powierzchni. Niech pan spojrzy przez moją lupę. Również i politura wygląda jak ziemia wokół rozoranej bruzdy. Jest tam gdzieś pani Marker?

Do pokoju weszła starsza kobieta o smutnej twarzy.

— Czy odkurzała pani ten sekretarzyk wczoraj rano?

— Tak, sir.

— Czy zauważyła pani tę ryse?

— Nie, sir, nie zauważyłam.

— Jestem pewien, że nie, ponieważ ścierka do kurzu usunęłaby drobiny polityry. Kto ma klucze do sekretarzyka?

— Profesor trzyma go na łańcuszku od zegarka.

— Czy to jest zwykły kluczyk?

— Nie, proszę pana, to jest klucz patentowy.

— Dziękuję pani. Może pani odejść, pani Marker. Czynimy więc niewielkie postępy. Nasza dama wchodzi do pokoju, zbliża się do sekretarzyka i albo go otwiera, albo usiłuje to zrobić. Kiedy jest tym zajęta, do pokoju wkracza młody Willoughby Smith. Wyciągając w pośpiechu klucz, kobieta robi ryse na drzwiczkach sekretarzyka. Smith stara się ją zatrzymać, ona zaś łapiąc najbliższą rzecz w swym zasięgu, którą jest akurat ten nożyk, uderza go, by się odeń uwolnić. Cios jest śmiertelny. On pada na podłogę, ona ucieka, czy to z rzeczą, po którą przysłała, czy też bez niej. Niech tu przyjdzie pokojówka. Susan, czy ktokolwiek mógłby oddalić się przez te drzwi po tym, jak usłyszałaś krzyk?

— Nie, proszę pana, to niemożliwe. Zanim zesłam po schodach, nie widziałam nikogo w korytarzu. Poza tym usłyszałabym, gdyby ktoś otwierał te drzwi.

— To rozstrzyga sprawę wyjścia. Niewątpliwie dama odeszła tą samą drogą, którą przybyła. Domyślam się, że ten drugi korytarz wiedzie tylko do pokoju profesora. Nie ma tam żadnego wyjścia na zewnątrz?

— Nie, proszę pana.

— Pójdźmy więc i zawrzyjmy znajomość z profesorem. Ale, ale, Hopkins! Ten korytarz jest również wyłożony kokosową matą! To bardzo ważne, to doprawdy bardzo ważne.

— Ależ, sir. Cóż to ma do rzeczy?

— Czy nie dostrzega pan żadnego związku ze sprawą? No, cóż, nie upieram się. Niewątpliwie jestem w błędzie. A jednak wydaje mi się, że to nie jest bez znaczenia. Chodźmy więc i niech mnie pan przedstawi profesorowi.

Przeszliśmy korytarzem, który był tej samej długości jak ten wiodący do ogrodu. Nasz przewodnik zapukał, a następnie wprowadził nas do sypialni profesora.

Było to bardzo duże pomieszczenie, wypełnione niezliczoną ilością książek, które nie mieściły się na półkach i poukładane w stosy leżały w rogach pokoju i pod gablotami. Łóżko stało pośrodku sypialni, a na nim, wsparty o poduszki, siedział właściciel domu. Chyba nigdy nie widziałem postaci o równie niezwykłym wyglądzie. Zwróciła się ku nam wychudzona orla twarz o przenikliwym spojrzeniu ciemnych oczu, które czaiły się w głębokich oczodołach pod zwisającymi nad nimi krzaczastymi brwiami. Miał białe włosy, białe wąsy i takąż brodę, z tym że ta ostatnia wokół ust była dziwnie zabarwiona na żółto. W tej gęstwie białych włosów sterczał papieros, powietrze w pokoju cuchnęło zastarzałym dymem tytoniowym. Kiedy profesor wyciągnął rękę do Holmesa, zauważyłem, że również jego palce są pożółkłe od nikotyny.

— Czy pan pali, panie Holmes? — zapytał wyszukaną angielszczyzną z dziwnym, lekko afektowanym akcentem. — Niech się pan poczęstuje papierosem. A pan, sir? Polecam je, ponieważ specjalnie dla mnie wyrabia je Ionides z Aleksandrii. Co pewien czas przesyła mi tysiąc sztuk i z ubolewaniem przyznaje, że muszę odnawiać zamówienie co dwa tygodnie. To źle, proszę pana, bardzo źle, ale stary człowiek ma tak niewiele przyjemności. Tytoń i moja praca — to wszystko, co mi jeszcze pozostało.

Holmes zapalił papierosa i obrzucił cały pokój szybkim, przenikliwym spojrzeniem.

— Ale teraz już tylko tytoń! — wykrzyknął starzec. — Niestety, to ta fatalna przerwa w pracy! Któż mógł przewidzieć tak straszliwe nieszczęście! Taki godny szacunku młodzieniec. Zapewniam pana, że po kilku miesiącach praktyki stał się wspaniałym asystentem. Co pan myśli o tej sprawie, panie Holmes?

— Jeszcze nie mam sprecyzowanego zdania.

— Czułbym się doprawdy zobowiązany, gdyby zdołał pan rzucić światło na to, co dla nas jest tak mroczne. Dla takiego mola książkowego i inwalidy jak ja podobny cios jest wręcz paraliżujący. Wydaje mi się, że zatraciłem zdolność myślenia. Pan jednak jest człowiekiem czynu — człowiekiem przedsiębiorczym. Dla pana to już rutyna. Zachowuje pan spokój w obliczu każdego niebezpieczeństwa. Mamy doprawdy szczęście, że jest pan po naszej stronie.

Kiedy profesor mówił, Holmes chodził w tę i z powrotem wzdłuż pokoju. Stwierdziłem, że pali z niezwykłą zachłannością. Najwyraźniej podzielał upodobanie naszego gospodarza do Aleksandryjskich papierosów.

— Tak, sir, to druzgoczący cios — ciągnął starzec. — Oto moje *magnum opus* — ten tam stos papierów na bocznym stoliku. To analiza dokumentów znalezionych w koptyjskich klasztorach Syrii i Egiptu, dzieło, które wstrząśnie samymi podstawami religii objawionej. Nie wiem, czy moje zdrowie pozwoli mi kiedykolwiek dokończyć tę pracę. Zwłaszcza teraz, gdy utraciłem asystenta. Na Boga, panie Holmes, pan pali jeszcze więcej niż ja!

Holmes się uśmiechnął.

— Jestem koneserem tytoniu — powiedział, biorąc z pudełka kolejnego, czwartego już papierosa i zapalając go od niedopalka poprzedniego. — Nie będę pana nadmiernie dręczył pytaniami, profesorze Coram, ponieważ rozumiem, że w chwili gdy popełniano zbrodnię, przebywał pan w łóżku i nie może o niej nic wiedzieć. Pragnąłbym panu zadać tylko jedno pytanie. Co według pana mógł mieć na myśli ten nieszczęśnik, wypowiadając swe ostatnie słowa: „Profesorze — to była ona”?

Profesor pokręcił głową.

— Susan jest wiejską dziewczyną — powiedział. — A pan zna niewiarygodną głupotę ludzi z tej warstwy społecznej. Wyobrażam sobie, że ów nieszczęśnik wymamrotał jakieś chaotyczne, bełkotliwe słowa, ona zaś przypisała im tę bezsensowną treść.

— Rozumiem. Czy ma pan jakiś własny pogląd na to, co się stało?

— Być może wypadek, być może — ośmielam się to mówić tylko między nami — samobójstwo. Młodzi ludzie miewają swoje głęboko skrywane kłopoty, na przykład jakieś sprawy sercowe, o których nikomu nie mówią. Jest to hipoteza bardziej prawdopodobna niż morderstwo.

— A okulary?

— Ach! Jestem tylko badaczem — człowiekiem bujającym w obłokach. Nie potrafię wyjaśniać przyziemnych aspektów życia. Wiemy wszakże, mój przyjacielu, że symbole miłości mogą przybierać różne formy. Ależ proszę poczęstować się jeszcze jednym papierosem. Przyjemnie jest widzieć, że ktoś je docenia. Wachlarz, rękawiczka, okulary — kto wie, co jeszcze człowiek może uznać za symbol miłości czy najbliższy sercu skarb, w chwili gdy wyznacza kres swemu życiu? Ten dżentelmen mówi o śladach na trawie; ale jakże łatwo tu o pomyłkę! A co do noża, to mógł on z powodzeniem odskoczyć gdzieś dalej, gdy nieszczęsny młodzieniec upadł na podłogę. Możliwe, że mówię jak dziecko, ale wydaje mi się, że Willoughby Smith zginął z własnej ręki.

Holmes zdawał się być pod wrażeniem teorii profesora; pochłonięty myślami, paląc papierosa za papierosem kontynuował swój spacer wzdłuż pokoju.

— Niech mi pan powie, profesorze Coram — rzekł wreszcie — co pan trzyma w szafce biurka?

— Nic, co przydałoby się złodziejowi. Dokumenty rodzinne, listy od mojej nieszczęśliwej żony, uniwersyteckie dyplomy, którymi mnie uhonorowano. Oto kluczyk, może się pan sam przekonać.

Holmes wziął kluczyk do ręki, przyglądał mu się przez chwilę i oddał z powrotem.

— Nie, nie przypuszczam, żeby to miało mi w czymś pomóc. Wolałbym zejść do pańskiego ogrodu i spokojnie rozważyć całą sprawę. Są pewne przesłanki przemawiające za teorią samobójstwa, którą pan tu nam przedstawił. Czujemy się zobowiązani przeprosić pana za to najście, profesorze Coram, i obiecuję, że dopiero po lunchu pozwolimy sobie zakłócić pański spokój. Wrócimy tu o godzinie drugiej, żeby zdać panu sprawę z naszych ustaleń.

Holmes był dziwnie roztargniony, więc po ogrodowych ścieżkach przechadzaliśmy się w milczeniu.

— Wpadłeś na jakiś trop? — zapytałem w końcu.

— To zależy od papierosów, które wypaliłem — odparł. — Możliwe, że bardzo głęboko się myślę. Decydujące będą te papierosy.

— Ależ mój drogi Holmesie! — wykrzyknąłem. — Jak u licha...

— Dobrze, dobrze, przekonasz się sam. Jeśli się myślę, nic złego się nie stanie. Zawsze pozostaje nam trop optyka. Ja jednak chodzę na skróty, jeśli mam taką możliwość. Ach, oto nasza poczciwa pani Marker! Oddajmy się teraz przez pięć minut przyjemności pouczającej rozmowy z tą kobietą.

Być może wspomniałem już wcześniej, że Holmes, kiedy chciał, potrafił być szczególnie ujmujący w kontaktach z kobietami i bez trudu ustalał granice tej poufałości. W połowie

przewidywanych pięciu minut, wykorzystując życzliwe nastawienie gospodyni, gawędził z nią już tak, jak gdyby znali się od lat.

— Tak, panie Holmes, jest tak, jak pan mówi, sir. On okropnie pali! Przez cały dzień, a czasem i przez całą noc, sir. Widuję jego pokój rano — no, pomyślałby pan, że to londyńska mgła. Biedny młody pan Smith też palił, ale nie aż tyle co profesor. A jego zdrowie — no nie wiem, czy ono się poprawia od tego palenia!

— Ba! — rzekł Holmes. — Ale na pewno papierosy zabijają apetyt.

— Tego to ja nie jestem za bardzo pewna, sir.

— Przypuszczam, że profesor nie je prawie nic.

— No, czasem miewa dobry apetyt. To mu muszę przyznać.

— Założę się, że dziś rano nie zjadł w ogóle śniadania i że ani spojrzy na podwieczerek po tych wszystkich papierosach, które wypalił na moich oczach.

— No to akurat by pan przegrał, sir, bo dziś rano zjadł całkiem spore śniadanie. Nie pamiętam, żeby kiedy zjadł więcej, a na podwieczerek zamówił pożywne danie z kotletami. Sama się dziwię, bo od kiedy weszłam do tamtego pokoju i zobaczyłam młodego pana Smitha leżącego na podłodze, to nie mogę znieść nawet samego widoku jedzenia. No, ale są ludzie i ludziska, i profesorowi jakoś nie odebrało to apetytu.

Zmitrężyliśmy cały ranek w ogrodzie. Stanley Hopkins pojechał do wsi, aby sprawdzić pogłoski o jakiejś dziwnej kobiecie, którą poprzedniego ranka widziały dzieci na drodze do Chatham. Jeśli zaś chodzi o mego przyjaciela, to sprawiał wrażenie, jakby opuściła go typowa dlań energia. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek do prowadzonej przez siebie sprawy podchodził z tak małym zaangażowaniem. Nawet przyniesione przez Hopkinsa nowiny, że odnalazł te dzieci i że z całą pewnością widziały one kobietę dokładnie odpowiadającą rysopisowi podanemu przez Holmesa i noszącą okulary lub pince-nez, nie zdołały w nim wzbudzić śladu żywszego zainteresowania. Nastawił zaś ucha, kiedy Susan, która czekała z podwieczorkiem, samorzutnie poinformowała nas, że pan Smith wychodził wczoraj rano na spacer, z którego powrócił zaledwie pół godziny przed tragedią. Mnie ów incydent wydał się bez znaczenia, ale widziałem wyraźnie, że Holmes włączył tę informację do ogólnej koncepcji, którą sobie budował. W pewnej chwili zerwał się z krzesła i spojrzął na zegarek.

— Szanowni panowie, godzina druga — powiedział. — Nasz przyjaciel czeka. Musimy iść na górę i załatwić sprawę z naszym profesorem.

Starzec właśnie skończył swój lunch, a stojący przed nim pusty talerz świadczył o jego dobrym apetycie, co przypisywała mu gospodyni. Wyglądał zaiste niesamowicie, kiedy obrócił ku nam białą grzywę włosów i roziskrzone oczy. W ustach dymił mu papieros. Był ubrany i siedział w fotelu przy kominku.

— No więc, panie Holmes, czy rozwikłał pan już tę tajemnicę? — przesunął w kierunku mego przyjaciela blaszane pudło z papierosami, które stało na stole. W tej samej chwili Holmes wyciągnął rękę i wspólnie z profesorem stracili pudełko z brzegu stołu. Przez minutę lub dwie obaj na czworakach zbieraliśmy rozrzucone papierosy z najbardziej niespodziewanych miejsc.

Kiedy wreszcie podnieśliśmy się z kolan, zauważyłem, że oczy Holmesa promienieją, a policzki nabrały kolorów. Tak jawne sygnały bojowe widuję u niego tylko w momentach przełomowych.

— Tak — odparł. — Rozwikłałem ją.

Obaj z Hopkinsem patrzyliśmy na niego w osłupieniu. Przez posępną twarz profesora przemknął jakby szydery uśmiech.

— Doprawdy! I to w ogrodzie?

— Nie, tutaj.

— Tu! Kiedy?

— Właśnie w tej chwili.

— Pan z pewnością żartuje, panie Holmes. Czuję się zmuszony przypomnieć panu, że jest to sprawa zbyt poważna, aby ją traktować w taki sposób.

— Wykułem i wypróbowałem każde ogniwo mego łańcucha, profesorze Coram, i mam pewność, że jest on nie do zerwania. Nie potrafię na razie powiedzieć, jakimi kieruje się pan motywami i jaką dokładnie rolę odgrywa pan w tej dziwnej sprawie. Za kilka minut dowiem się tego zapewne z pańskich własnych ust. Tymczasem pójdę panu na rękę i odtworzę to, co się wydarzyło, chociaż w przeciwieństwie do pana niektóre punkty są dla mnie nadal niejasne.

Pewna dama wkroczyła wczoraj do pańskiego gabinetu z zamiarem wejścia w posiadanie jakiegoś dokumentu, który znajduje się w pańskim sekretarzyku. Miała swój własny klucz. Skorzystałem z okazji i zbadałem pański klucz, i nie znalazłem na nim tego lekkiego przebarwienia, jakie mogłoby powstać, gdyby zarysowano nim politurę. Nie był pan zatem współsprawcą, bo jeśli dobrze odczytuję to z dowodów, ona przybyła tu bez pana wiedzy, żeby pana obrabować.

Profesor wydmuchnął chmurę dymu.

— Jest to w najwyższym stopniu ciekawe i wielce pouczające — powiedział. — Czy ma pan jeszcze coś do dodania? Ustaliwszy tak wiele szczegółów związanych z tą damą, z pewnością może pan również powiedzieć, co się z nią stało.

— Postaram się to uczynić. Kiedy więc pański sekretarz usiłował ją zatrzymać, ona pchnęła go nożem, żeby sobie umożliwić ucieczkę. Tę śmierć jestem skłonny uznać za nieszczęśliwy wypadek, ponieważ mam pewność, że ta dama nie miała najmniejszego zamiaru zadać mu tak strasznego ciosu. Zabójca nie przychodzi nieuzbrojony.

Przerażona tym, co zrobiła, uciekła w panice z miejsca tragedii. Na nieszczęście podczas utarczki zgubiła swoje szkła, a cierpiąc na daleko posuniętą krótkowzroczność, stała się bez nich zupełnie bezradna. Pobiegła korytarzem, który, jak się jej wydawało, był tym, którym przysła — oba wyłożone są kokosową matą — ale dopiero wtedy, kiedy już było za późno, zrozumiała, że wpadła w niewłaściwy korytarz oraz że ma odcięty odwrót. Co zatem zrobiła? Nie mogła się cofnąć. Nie mogła też pozostać tam, gdzie się znalazła. Musiała iść do przodu. I poszła. Wspięła się po schodach, pchnęła drzwi i znalazła się w pańskim pokoju.

Starzec siedział z otwartymi ustami i z wściekłością wpatrywał się w Holmesa. W jego wyrazistych rysach odbiły się zdumienie i strach. Jednak opanował się, wzruszył ramionami i wybuchnął nieszczerym śmiechem.

— Wszystko to bardzo pięknie, panie Holmes — powiedział. — Ale ta wspaniała teoria ma jedną małą skazę. Ja byłem w tym pokoju i nie opuściłem go przez cały dzień.

— Jestem tego świadom, profesorze Coram.

— I chce pan przez to powiedzieć, że mogłem leżeć w łóżku i nie zauważyć, że do mojego pokoju weszła jakaś kobieta?

— Nigdy tego nie powiedziałem. Pan ją zauważył. Pan ją rozpoznał. Pan pomógł jej uciec.

Profesor ponownie parsknął piskliwym śmiechem. Dźwignął się z fotela, a jego oczy jarzyły się jak węgle.

— Pan oszalał! — krzyknął. — Mówi pan jak obłąkany! Ja pomogłem jej uciec? To gdzie ona teraz jest?

— Ona jest tam — rzekł Holmes, wskazując na wysoką bibliotekę w rogu pokoju.

Ujrzałem, jak starzec, którego ponurą twarz ściągnął straszliwy grymas, wyrzucił w górę ramiona i z powrotem opadł na fotel. W tej samej chwili drzwi szafy bibliotecznej, na którą wskazał Holmes, gwałtownie obróciły się na zawiasach i wyskoczyła z niej jakaś kobieta.

— Ma pan rację — wykrzyknęła z dziwnym, obcym akcentem. — Ma pan rację! Jestem tutaj.

Była szara od kurzu i obwieszona pajęczynami ze ścian swojej kryjówki. Twarz miała również usmoloną, ale nawet w najbardziej sprzyjających warunkach nie mogła wyglądać korzystnie, ponieważ posiadała dokładnie takie cechy fizyczne, jakich domyślił się Holmes, i

jeszcze z dodatkiem wydatnego, znamionującego upór podbródka. Czy to z powodu swej naturalnej krótkowzroczności, czy też skutek przejścia z mroku do światła dziennego stała w oszołomieniu, mrużąc oczy, aby się zorientować, gdzie się znajduje i kim my jesteśmy. A jednak nawet w tych żalonych okolicznościach w postawie tej kobiety było coś arystokratycznego — a może tak działała wojowniczość wyzywającego podbródka i wysoko trzymanej głowy — co zmuszało otoczenie do okazywania jej szacunku i podziwu. Stanley Hopkins położył dłoń na ramieniu kobiety, ogłaszając ją swym więźniem, ona wszakże zbyła go lekkim tylko machnięciem ręki; zrobiła to z przemożnym, wymagającym posłuszeństwa dostojeństwem. Starzec wparł się w siedzenie fotela i ze ściągniętą twarzą wlepił w nią złowrogie spojrzenie.

— Tak, sir, jestem pańskim więźniem — powiedziała. — Słyszałam stamtąd każde słowo i wiem, że panowie odkryli prawdę. Przyznaję się do wszystkiego. To ja zabiłam tego młodzieńca. Ale rację ma ten z panów, który powiedział, że był to wypadek. Nawet nie wiedziałam, że w rękę trzymam nóż, ponieważ w rozpaczy chwyciłam, co było pod ręką, i uderzyłam go, żeby mi pozwolił odejść. Mówię prawdę.

— Madame — rzekł Holmes — jestem przekonany, że to prawda. Obawiam się, że stan pani zdrowia pozostawia wiele do życzenia.

Jej twarz nabrała straszliwej barwy, tym niesamowitszej, że wyzierającej spod ciemnych smug kurzu. Przysiadła na skraju łóżka i mówiła dalej.

— Mam doprawdy niewiele czasu — powiedziała. — A muszę panom przedstawić całą prawdę. Jestem żoną tego człowieka. On nie jest Anglikiem. To Rosjanin. Nazwiska jego nie wyjawię.

Po raz pierwszy starzec drgnął.

— Niech cię Bóg błogosławi, Anno! — krzyknął. — Niech cię Bóg błogosławi!

Rzuciła mu spojrzenie pełne najgłębszej pogardy.

— Czemuż tak nieustępliwie trzymasz się swego wstrętnego żywota, Sergiuszu? — rzuciła. I mówiła dalej. — Wyrządził on krzywdę wielu ludziom, dobra nie przysporzył nikomu, nawet sobie samemu. Nie mnie jednak zrywać tę wążką nić, zanim zdecyduje o tym Bóg. Mam już na swym sumieniu grzech popełniony po przekroczeniu progu tego przekłętego domu. Ale muszę mówić, póki nie jest za późno. Jak już powiedziałam — jestem żoną tego człowieka. Kiedy pobraliśmy się, on miał lat pięćdziesiąt, a ja byłam głupią dwudziestoletnią dziewczyną. Działo się to w pewnym rosyjskim mieście, na uniwersytecie, którego nazwy nie podam.

— Niech cię Bóg błogosławi, Anno — ponownie wymamrotał starzec.

— Byliśmy rewolucjonistami, nihilistami, pan rozumie. On, ja i wielu innych. Później przysły trudne czasy, zabity został oficer policji, wiele osób aresztowano, potrzebowano dowodów, więc żeby ratować życie i dostać wielką nagrodę — on zdradził własną żonę i swoich towarzyszy. Tak, zostaliśmy wszyscy aresztowani na podstawie jego zeznań. Niektórzy trafili na szubienicę, inni na Syberię. Znalazłam się wśród tych drugich, ale nie dostałam dożywocia. Mój mąż wyjechał do Anglii, zabierając swoje w haniebny sposób zdobyte pieniądze, i od tego czasu żył sobie w spokoju, doskonale wiedząc, że gdyby nasza organizacja dowiedziała się o miejscu jego pobytu, nie upłynąłby tydzień, a sprawiedliwość zostałaby wymierzona. Profesor sięgnął drżącą dłonią po papierosa.

— Jestem w twoich rękach, Anno — powiedział. — Zawsze byłaś dla mnie dobra.

— Nie opowiedziałam jeszcze panom o szczycie jego łotrostwa — ciągnęła kobieta. — Pewien towarzysz z naszej organizacji był bliski memu sercu. Szlachetny, bezinteresowny, kochający, stanowił przeciwieństwo mego męża.

Nienawidził przemocy. Wszyscy byliśmy winni, jeśli można to nazwać winą, wszyscy z wyjątkiem niego. W listach zawsze odwodził mnie od takiego sposobu działania. Te listy mogłyby go uratować. Podobnie jak mój dziennik, w którym dzień po dniu zapisywałam

zarówno moje uczucia wobec niego, jak poglądy, które każde z nas wyznawało. Mój mąż znalazł i zatrzymał i dziennik, i listy. Ukrył je i popełniając krzywoprzysięstwo, usilnie obciążał w zeznaniach tego człowieka, licząc na wyrok skazujący go na śmierć. To mu się nie udało, ale Aleksy został zesłany na Syberię, gdzie w tej właśnie chwili pracuje w kopalni soli. Pomyśl o tym, ty łajdaku, ty łajdaku! Teraz, właśnie teraz, Aleksy, człowiek, którego imienia nie jesteś godzien wymawiać, żyje i pracuje jak niewolnik, a tymczasem ja, mając twój los w swych rękach, pozwalam ci żyć dalej spokojnie!

— Zawsze byłaś szlachetną kobietą, Anno — powiedział starzec, zaciągając się papierosem.

Podniosła się, lecz ponownie opadła na łóżko z okrzykiem bólu.

— Muszę kończyć — rzekła. — Kiedy odsiedziałam już swój wyrok, postanowiłam zdobyć dziennik i listy, które, wysłane do władz rosyjskich, mogłyby umożliwić uwolnienie mego przyjaciela. Wiedziałam, że mąż wyjechał do Anglii. Po miesiącach poszukiwań odkryłam miejsce jego pobytu. Miałam też pewność, że wciąż ma mój dziennik, ponieważ kiedy byłam na Syberii, dostałam od niego list z wymówkami, w którym cytował mi fragmenty z tego pamiętnika. Znając jednak jego mściwą naturę, wiedziałam, że nigdy mi go nie odda z własnej woli. Musiałam go zdobyć sama. W tym celu wynajęłam prywatnego detektywa, który dostał się do tego domu jako sekretarz mego męża — to był drugi z kolei twój sekretarz, Sergiuszu, ten, który tak szybko cię opuścił. Stwierdził, że dokumenty trzymasz w szafce, i sporządził odcisk klucza. Nie mógł posunąć się dalej. Dostarczył mi plan domu i powiedział, że przed południem gabinet jest zawsze pusty, ponieważ sekretarz pracuje na górze. Zebrałam w końcu całą swą odwagę, przyjechałam tu, żeby zdobyć te dokumenty, i kiedy zamykałam szafkę, ów młodzieniec mnie zdemaskował. Widziałam go już tego ranka. Spotkał mnie na drodze, a ja zapytałam go o miejsce zamieszkania profesora Corama, nie wiedząc, że jest przez niego zatrudniony.

— Otóż to! Otóż to! — przerwał Holmes. — Sekretarz wrócił ze spaceru i powiedział swemu chlebodawcy o spotkanej kobiecie. A potem, wydając ostatnie tchnienie, próbował przekazać informację, że to była ona — ta sama kobieta, o której dopiero co profesorowi opowiedział.

— Niech mi pan pozwoli dokończyć — przerwała mu, a jej twarz ściągnęła się jakby od ataku bólu. — Kiedy on upadł, wybiegłam z pokoju, pomyliłam korytarze i znalazłam się w sypialni mego męża. Powiedział, że mnie wyda. Dowiedziałam mu, że jeżeli tak zrobi, jego los znajdzie się w moich rękach. Gdyby oddał mnie w ręce prawa, ja wydałabym go organizacji. Nie chodziło mi po prostu o własne życie, ale chciałam osiągnąć swój cel. Wiedział, że dotrzymam słowa, że jego los jest splątany z moim. Z tego też, i tylko z tego powodu udzielił mi schronienia. Weisnął mnie do tej ciemnej kryjówki, pozostałości z dawnych czasów, znanej tylko jemu. Posiłki jadał sam we własnym pokoju, więc mógł się ze mną nimi dzielić. Zostało ustalone, że gdy tylko policja opuści dom, wymknę się w nocy i nigdy już tu nie wrócę. Pan jednak w jakiś sposób odgadł nasze plany — gwałtownie wyciągnęła zza gorsu sukni niewielki pakiecik. — To są moje ostatnie słowa — rzekła. — Oto dokumenty, które uratują Aleksego. Zawierzam pańskiemu honorowi i sprawiedliwości. Proszę to wziąć i dostarczyć do ambasady rosyjskiej. Spełniłam wreszcie swoją powinność i...

— Powstrzymać ją! — wrzasnął Holmes. Skoczył przez pokój i wyszarpnął z jej ręki małą fiolkę.

— Za późno! — powiedziała, padając bezwładnie na łóżko. — Za późno! Truciznę zażyłam przed wyjściem z kryjówki. Kręci mi się w głowie! Odchodzę! Sir, niech pan pamięta o pakiecie, obarczam tym pana!

— Sprawa to prosta, a jednak na swój sposób pouczająca — zauważył Holmes podczas naszej powrotnej podróży do miasta. — Od samego początku zasadzała się na pince-nez. Gdyby nie szczęśliwy traf, że śmiertelnie ugodzony nożem mężczyzna zerwał je zabójczyni,

nie jestem pewien, czy kiedykolwiek doszlibyśmy prawdy. Wnioskując z siły szkieleł, doszedłem do oczywistego przekonania, że pozbawiona ich właścicielka musiała być bezradna. Kiedy pan twierdził stanowczo, że ta kobieta przeszła po wąskim pasie trawy bez postawienia fałszywego kroku, zauważyłem — jak pan może pamiętać — że był to wyczyn godny uwagi. A w głębi ducha uznałem to za wyczyn niemożliwy, wyjąwszy nieprawdopodobny przypadek, że miała przy sobie drugą parę szkieleł. Byłem więc zmuszony poważnie rozważyć hipotezę, że kobieta pozostała w domu. Podobieństwo obu korytarzy pozwalało wysnuć oczywisty wniosek, że mogła bardzo łatwo popełnić błąd, a w takim wypadku było jasne, że weszła do pokoju profesora. Stałem się więc bardzo czujny wobec wszystkiego, co mogło potwierdzić takie przypuszczenie, i skrupulatnie zbadałem pokój pod kątem znalezienia czegoś, co mogłoby posłużyć za kryjówkę. Wydawało się, że dywan jest na całej powierzchni przytwierdzony do podłogi gwoździami, a więc wykluczyłem pomysł drzwi zapadowych. Mogła istnieć z powodzeniem jakaś wolna przestrzeń za półkami w szafie. Jak pan wie, takie skrytki często spotyka się w starych bibliotekach. Zauważyłem, że książki piętrzą się we wszystkich innych miejscach w pokoju, ale przed tą szafą jest pusto. A więc to ona mogła stanowić wejście do kryjówki. Nie dostrzegłem żadnych śladów, które by to potwierdzały, ale ciemnobrązowy kolor dywanu doskonale nadawał się do przeprowadzenia dowodu. Wypaliłem więc mnóstwo tych doskonałych papierosów, strząsając popiół na całej przestrzeni przed podejrzaną biblioteczką. Była to sztuczka prosta, ale niezwykle skuteczna. Następnie zszedłem na dół i w twojej, Watsonie, obecności, choć niezupełnie wiedziałeś, do czego zmierzam, upewniłem się, że apetyt profesora Corama wzrósł — tak jak należałoby się spodziewać w wypadku, gdyby musiał żywić drugą osobę. Weszliśmy więc ponownie na górę do jego pokoju, a wówczas, po zrzuceniu pudełka z papierosami, miałem doskonałą sposobność obejrzenia podłogi i dzięki śladom pozostawionym na popiele mogłem stwierdzić, że podczas naszej nieobecności uwięziona kobieta wyszła ze swego schronienia. No cóż, Hopkins, jesteśmy na Charing Cross, gratuluję panu rozwiązania zagadki. Zmierza pan niewątpliwie do swojej centrali. My zaś, Watsonie, chyba udamy się razem do rosyjskiej ambasady.

WŁAMANIE DO REZYDENCJI ABBEY GRANGE (THE ADVENTURE OF THE ABBEY GRANGE)

W dojmująco mroźny poranek zimą 1897 roku wyrwało mnie ze snu szarpanie za ramię. To był Holmes. Świeca, którą trzymał w ręce, oświetlała jego ożywioną, pochylającą się nade mną twarz, dzięki czemu od razu zrozumiałem, że coś jest nie w porządku.

— Chodź, Watsonie, no, dalej! — krzyknął. — Szykuje się rozgrywka. Ani słowa! Wskakuj w ubranie i w drogę!

Dziesięć minut później siedzieliśmy obaj w dorożce toczącej się z turkotem po cichych ulicach w kierunku Dworca Charing Cross. Zaczęły się pojawiać pierwsze nieśmiałe oznaki zimowego brzasku i w jego świetle dostrzegaliśmy przemykające od czasu do czasu obok nas sylwetki robotników z porannej zmiany, zamglone i niewyraźne w opalizujących oparach londyńskiej mgły. Holmes owinął się szczelnie połami ciężkiego płaszcza, a ja z przyjemnością uczyniłem to samo, gdyż powietrze było niezwykle ostre i obaj byliśmy na czczo. Dopiero kiedy po wypiciu na dworcu filiżanki gorącej herbaty zajęliśmy miejsca w pociągu zmierzającym do hrabstwa Kent i odtajaliśmy na tyle, że mój przyjaciel był w stanie mówić, a ja słuchać, Holmes wyciągnął z kieszeni list i odczytał go na głos.

*Abbey Grange, Marsham, hrabstwo Kent,
Godz. 3.30 rano*

Drogi Panie Holmes!

Byłbym bardzo rad, gdyby Pan zechciał niezwłocznie pomóc w sprawie, która się zapowiada niezwykle interesująco. Może być świetną okazją do zastosowania Pańskich metod. Dopilnuję, aby poza uwolnieniem damy wszystko pozostało niezmienione, tak jak to zastałem w momencie przybycia, ale błagam Pana, proszę nie tracić ani chwili, gdyż kłopotliwe jest dłuższe przetrzymywanie tu sir Eustachego.

*Z poważaniem
Stanley Hopkins*

— Hopkins wzywał mnie siedem razy i zawsze były to wezwania całkowicie uzasadnione — powiedział Holmes. — Wydaje mi się, że wszystkie te sprawy trafiły do twojego zbioru. Muszę ci przyznać, Watsonie, że wykazujesz niezłe wyczucie w dokonywaniu wyboru opisywanych spraw, naprawiając tym w dużym stopniu pewną charakterystyczną dla twoich opowieści słabość, która mnie bardzo martwi. Chodzi mi mianowicie o ów zgubny nawyk hołdowania przede wszystkim fabule ze szkodą dla naukowego eksperymentu, uniemożliwiający przedstawienie czytelnikowi pouczającego, a nawet klasycznego przeglądu metod śledczych. Prześlizgujesz się nad tym, co w mojej pracy jest najsubtelniejsze i najbardziej wyrafinowane, a dokładnie analizujesz sensacyjne szczegóły, które mogą wywoływać emocje, ale nie są dla czytelnika pouczające.

— Czemu więc nie piszesz sam? — zapytałem nieco rozgoryczony.

— Zabiorę się do tego, mój drogi Watsonie, na pewno. Na razie, jak wiesz, jestem bardzo zajęty, ale zamierzam moje ostatnie lata poświęcić na zredagowanie podręcznika, który będzie kwintesencją całej sztuki śledczej, zawartą w jednym tomie. Wydaje się, że ten przypadek dotyczy morderstwa.

— A zatem uważasz, że sir Eustachy nie żyje?

— Prawdopodobnie tak. Pismo Hopkinsa zdradza poważne wzburzenie, a on nie jest człowiekiem łatwo ulegającym emocjom. Tak, domyślam się, że użyto tam przemocy, a ciało

czeka na nasze oględziny. Zwykle samobójstwo nie skłoniłoby inspektora do wzywania mnie. Jeśli chodzi o uwolnienie damy, to można sądzić, że w chwili tragedii pozostawała zamknięta w swoim pokoju. Obracamy się w kręgu wyższych sfer, Watsonie — szeleszczący papier, monogram E.B., herb, ozdobny adres. Sądzę, że mój przyjaciel Hopkins okaże się godny swej reputacji i że czeka nas poranek pełen wrażeń. Zbrodnię popełniono tej nocy przed godziną dwunastą.

— W jaki sposób do tego doszedłeś?

— Dzięki przejrzeniu rozkładu jazdy pociągów i dokonaniu kalkulacji czasu. Najpierw musiała zostać wezwana miejscowa policja, która następnie zawiadomiła Scotland Yard, a stamtąd musiał dotrzeć na miejsce zbrodni Hopkins, by z kolei posłać po mnie. Wszystko to składa się na pracowitą noc. No, ale jesteśmy na Dworcu Chislehurst i wkrótce ostatecznie rozwiejemy nasze wątpliwości.

Przejechawszy kilka mil wąskimi wiejskimi drogami, dotarliśmy pod bramę parku, którą na nasz widok otworzył stary portier, z piętnem jakiejś wielkiej katastrofy na wychudłej twarzy. Aleja między rzędami starych wiązów prowadziła przez wspaniały park i skończyła się przed niskim rozległym domem z kolumnadą w stylu palladiańskim od frontu. Część środkowa, pokryta bluszczem, pochodziła niewątpliwie z zamierzonych czasów, choć okazałe okna świadczyły o zmianach wprowadzanych tam w czasach późniejszych, a jedno ze skrzydeł domu wyglądało na całkowicie nowe. W otwartych drzwiach natknęliśmy się na młodzieńczą postać inspektora Stanleya Hopkinsa, na którego obliczu malowały się ożywienie i czujność.

— Bardzo się cieszę, że pan przyjechał, panie Holmes. A także pan, doktorze Watson! Ale w istocie, gdybym mógł cofnąć czas, nie trudziłbym panów, ponieważ kiedy pani odzyskała przytomność, przedstawiła tak jasną relację z przebiegu wydarzeń, że nie pozostało nam tu wiele do zrobienia. Pamięta pan tę szajkę włamywaczy z Lewisham?

— Tych trzech Randallów?

— Właśnie, ojciec z dwoma synami. To ich robota. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Dwa tygodnie temu zrobili skok w Sydenham, gdzie ich zauważono i sporządzono rysopisy. Jest wprawdzie zuchwalstwem decydować się na kolejne włamanie tak szybko i w tej samej okolicy, ale mogli to być tylko oni. Tym razem sprawa pachnie stryczkiem.

— A więc sir Eustachy nie żyje?

— Tak. Został uderzony w głowę swoim własnym pogrzebaczem.

— Sir Eustachy Brackenstall, jak poinformował mnie dorożkarz.

— Rzeczywiście... jeden z najbogatszych ludzi w hrabstwie Kent. Lady Brackenstall jest w saloniku. Nieszczęsna kobieta. To było dla niej najstraszliwsze przeżycie. Kiedy ją ujrzałem po raz pierwszy, wyglądała na ledwie żywą. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan do niej pójdzie i wysłucha jej relacji o tym, co się stało. Później obejrzymy razem jadalnię.

Lady Brackenstall była osobą niezwykłą. Rzadko można ujrzeć równie wdzięczną postać, tak pełną kobiecości powierzchowność i tak piękną twarz. Była niebieskooką blondynką o złocistych włosach i nieskazitelnej cerze, harmonizującej z tym całym kolorytem, choć ostatnie przeżycia nadały jej twarzy wyraz udręki i znużenia. Cierpiała zarówno psychicznie, jak fizycznie, ponieważ nad jednym jej okiem wyrósł szkaradny ciemnogrnatowy guz, który służąca, wysoka posepna kobieta, pracowicie obmywała wodą i octem. Jej pani leżała wyczerpana, wsparta o poduszkę, ale bystre, uważne spojrzenie, kiedy weszliśmy do saloniku, i czujny wyraz pięknego oblicza wskazywały, że ani jej zdolność rozumowania, ani odwaga nie doznały uszczerbku wskutek tego straszliwego przeżycia. Była opatulona luźnym srebrno — błękitnym szlafrokiem, a obok niej, przerzucona przez oparcie kanapy, leżała czarna, wyszywana cekinami wieczorowa suknia.

— Opowiedziałam już panu o wszystkim, co się wydarzyło, panie Hopkins — rzekła zmęczonym głosem. — Czy mógłby pan to powtórzyć w moim imieniu? No cóż, jeśli pan uważa, że to konieczne, przedstawię tym dżentelmenom przebieg zdarzeń. Czy oni już byli w jadalni?

— Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli najpierw wysłuchają pani.

— Byłabym rada, gdyby pan się tym wszystkim zajął. Przeraza mnie myśl, że on wciąż tam jeszcze leży — wzdrygnęła się i na chwilę ukryła twarz w dłoniach. Kiedy to zrobiła, rękaw szlafroka zsunął się jej z przedramienia, a Holmes wydał okrzyk.

— Och, pani ma jeszcze inne obrażenia! Co to takiego?

Na jej krągłej ręce widniały dwie czerwone plamy. Kobieta pośpiesznie je zakryła.

— Nic takiego. To nie ma żadnego związku z tą dzisiejszą potworną sprawą. Zechciejcie panowie usiąść. Opowiem o wszystkim, co mi jest wiadome.

Jestem żoną sir Eustachego Brackenstalla. Wysłałam za niego blisko rok temu. Chyba nie ma potrzeby, abym ukrywała, że nasze małżeństwo nie należało do szczęśliwych. Obawiam się, że wszyscy nasi sąsiedzi powiedzieliby panom o tym, nawet gdybym próbowała temu zaprzeczać. Prawdopodobnie wina leżała częściowo po mojej stronie. Zostałam wychowana w swobodniejszej, mniej konwencjonalnej atmosferze południowej Australii i życie w Anglii z tymi wszystkimi towarzyskimi nakazami i pedanterią jest obce mojej naturze. Jednakże główna przyczyna to znany wszystkim fakt, że sir Eustachy był nałogowym pijakiem. Obcowanie z takim człowiekiem przez godzinę nie należy do przyjemności. Czy mogą sobie panowie wyobrazić, co dla wrażliwej i pełnej życia kobiety oznacza stały związek z pijakiem — przebywanie z nim dzień i noc? Bluźnierstwem, zbrodnią i łajdactwem jest utrzymywanie, że podobne małżeństwo ma moc obowiązującą! Twierdzą, że wasze nieludzkie prawa sprowadzą na ten kraj przekleństwo... niebiosy nie zniosą dłużej takiej nikczemności! — Podniosła głowę, na jej policzki wystąpił rumieniec, rozblęśły oczy pod fatalną plamą na czole. Silna, uspokajająca dłoń ponurej służącej ułożyła jej głowę z powrotem na poduszkach i ten wybuch dzikiego gniewu przerodził się w gwałtowne łkanie. Jednak po chwili podjęła swoją relację: — Opowiem teraz o ostatniej nocy. Być może panowie wiedzą, że w tym domu cała służba nocuje w nowym skrzydle. W części środkowej są nasze pokoje i kuchnia, położona nad małżeńską sypialnią. Służąca Teresa śpi nad moim pokojem. Poza nią i nami dwojgiem nie ma nikogo, a do tych, którzy zamieszkują odległe skrzydło, nie mógłby dotrzeć żaden hałas. Rabusie musieli o tym doskonale „wiedzieć”, — gdyż — w przeciwnym wypadku nie zachowywaliby się tak swobodnie. Sir Eustachy udał się na spoczynek o godzinie wpół do jedenastej. Moja służąca czuwała w swoim pokoju na górze, bo mogłam jeszcze potrzebować jej usług. Zatopiona w książce siedziałam w saloniku aż do jedenastej. Następnie zrobiłam obchód, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ponieważ, jak już to wyjaśniłam, sir Eustachemu nie we wszystkim można było zaufać. Zajrzałam do kuchni, do schowka z zastawą stołową, do salonu i wreszcie weszłam do jadalni. Kiedy zbliżyłam się do okna, które było zasłonięte grubą kotarą, poczułam nagle na twarzy podmuch, co mi uświadomiło, że jest ono otwarte. Rozsunęłam gwałtownie kotarę i znalazłam się twarzą w twarz z barczystym starszym mężczyzną, który właśnie wszedł tędy do pokoju. Było to wysokie okno francuskie, a właściwie drzwi prowadzące do ogrodu. W ręce trzymałam świecę zabraną z sypialni i w jej świetle ujrzałam za plecami mężczyzny jeszcze dwóch innych. Zrobiłam krok do tyłu, ale ten człowiek w jednej chwili znalazł się przy mnie. Schwycił najpierw moją rękę w przegubie, a potem zacisnął mi palce na gardle. Otworzyłam usta, by krzyknąć, ale napastnik uderzył mnie brutalnie w głowę i runęłam na podłogę. Musiałam być przez kilka minut nieprzytomna, ponieważ kiedy się ocknęłam, stwierdziłam, że bandyci zerwali sznur od dzwonka i przywiązali mnie ciasno do dębowego krzesła stojącego u szczytu stołu w jadalni. Byłam tak silnie skrępowana, że nie mogłam się ruszyć, a wciśnięta w usta chusteczka uniemożliwiała mi wydanie jakiegokolwiek głosu. W tej właśnie chwili do pokoju wszedł mój nieszczęsny

mąż. Najprawdopodobniej usłyszał podejrzane hałasy, ponieważ przyszedł przygotowany na scenę, jaką zastał. Miał na sobie koszulę i spodnie, a w rękę trzymał swoją ulubioną pałkę z tarninowego drewna. Rzucił się w kierunku jednego z włamywaczy, jednak inny — ten starszy — schylił się, podniósł z rusztu pogrzebacz i zadał straszliwy cios w głowę przebiegającemu obok niego memu mężowi, który runął na ziemię, nie wydając jęku i milknąc raz na zawsze. Ponownie zemdlałam, ale znów chyba tylko na krótką chwilę. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że rabusie wyjęli z kredensu srebra i otworzyli znaną tam butelkę wina. Każdy trzymał w ręce kieliszek. Mówiłam już chyba panom, że jeden z nich był starszy i miał brodę, a pozostali byli młokosami bez zarostu. Mógł to być ojciec z dwoma synami. Rozmawiali ze sobą szeptem. Potem podeszli do mnie, by się upewnić, czy nadal jestem należycie związana. W końcu zniknęli, zamykając za sobą okno. Dopiero po kwadransie zdołałam oswobodzić usta i wówczas moje krzyki sprowadziły na pomoc służącą. Niebawem zaalarmowano resztę służby i posłaliśmy po miejscową policję, która natychmiast porozumiała się z Londynem. To jest wszystko, co mogę szanownym panom opowiedzieć, i ufam, że nie będzie potrzeby, abym znów musiała relacjonować tę bolesną historię.

— Czy ma pan jakieś pytania? — Hopkins zwrócił się do Holmesa.

— Nie będę już więcej nadużywał cierpliwości i czasu lady Brackenstall — rzekł Holmes.

— Zanim się udamy do jadalni, chciałbym tylko usłyszeć zeznanie pani — mówiąc to, popatrzył na służącą.

— Widziałam tych mężczyzn, zanim jeszcze weszli do domu — powiedziała. — Kiedy siedziałam przy oknie mojej sypialni, ujrzałam z daleka w świetle księżyca trzech ludzi stojących obok stróżówki przy bramie, ale wtedy nie zwróciłam na nich większej uwagi. Było to ponad godzinę przed tym, jak usłyszałam krzyk mojej pani. Kiedy zbiegłam na dół, znalazłam ją, biedne dziecko, tak jak to opisała, a pana leżącego na podłodze; wszędzie dokoła było pełno jego krwi i mózgowia. To przecież mogło przyprawić ją o szaleństwo; była skrępowana, ubranie miała spryskane krwią męża, ale jej — jeszcze jako pannie Mary Fraser z Adelaide — nigdy nie brakowało odwagi, a jako lady Brackenstall z Abbey Grange nie zmieniła się pod tym względem. Pytali ją panowie już wystarczająco długo, teraz więc powinna udać się do swego pokoju ze starą Teresą, aby zaznać odpoczynku, który się jej tak bardzo należy.

Ponura kobieta z matczyną czułością otoczyła ramieniem swą panią i wyprowadziła ją z pokoju.

— Była przy niej przez całe jej życie — powiedział Hopkins. — Karmiła w niemowlęctwie, pojechała razem z nią do Anglii, kiedy przed osiemnastoma miesiącami po raz pierwszy opuściły Australię. Nazywa się Teresa Wright i jest służącą, jakich się już w dzisiejszych czasach nie spotyka. Tędy proszę, panie Holmes!

Z twarzy Holmesa zniknął wyraz zaciekawienia; wiedziałem, że dla niego wraz z tajemnicą uleciał z tej sprawy cały jej urok. Pozostało już tylko aresztować sprawców, ale czy Holmes miałby sobie kalać ręce tak pospolitymi łotrami? Wyrafinowany i uczony lekarz, który spostrzeża, że został wezwany do przypadku odry, odczułby podobną irytację, jaką wyczytałem w spojrzeniu mego przyjaciela. Jednak scena, jaką przedstawiała jadalnia rezydencji Abbey Grange, była na tyle niezwykła, że podsyciła nieco jego słabnące zainteresowanie sprawą.

Było to pomieszczenie bardzo obszerne i wysokie, z rzeźbionym dębowym sufitem, dębowymi boazeriami i wspaniałą kolekcją jelenich poroży oraz zbiorem starej broni umieszczonymi na ścianach. Naprzeciw wejścia znajdowało się znane nam z relacji wysokie francuskie okno. Przez trzy mniejsze okna na prawej ścianie wpadały do jadalni promienie chłodnego zimowego słońca. Na lewo były okazały, głęboki kominek zwieńczony solidnym dębowym gzymsem. Przed paleniskiem stało ciężkie dębowe krzesło z poręczami i z poprzeczkami łączącymi nogi. W jego drewnianą konstrukcję wpleciony był purpurowy

sznur, z obu stron solidnie przymocowany do poprzeczek na dole. Kiedy uwalniano lady Brackenstall, nie naruszono węzłów, którymi sznur był przymocowany do krzesła. Szczegóły te przyciągnęły naszą uwagę dopiero później, ponieważ teraz byliśmy pochłonięci przerażającym obiektem rozciągniętym na dywaniku z tygryziej skóry naprzeciw kominka.

Było to ciało wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny w wieku lat około czterdziestu. Leżał na plecach, z twarzą zwróconą ku górze, a wśród ciemnego zarostu białe wyszczerzone zęby. Obie ręce z zaciśniętymi w pięści dłońmi były odrzucone ponad głowę, a w poprzek nich leżała ciężka tarninowa laska. Jego smagłe, przystojne, jastrzębie oblicze zniekształcał spazm mściwej nienawiści, który nadał tej martwej twarzy przerażający, szatański wyraz. Kiedy wszczęto alarm, był on niewątpliwie w łóżku, gdyż miał na sobie wykwintną, haftowaną nocną koszulę, a ze spodni wystawały mu nagie stopy. Głowa leżącego była zmasakrowana, a cały wygląd pokoju świadczył o dzikim okrucieństwie, z jakim zadano cios, który go powalił. Obok nieboszczyka leżał ciężki pogrzebacz, wygięty wskutek siły uderzenia. Holmes zbadał zarówno to narzędzie, jak ów trudny do opisanie ludzki wrak, którym stał się ugodzony nim lord.

— Ten stary Randall musi być bardzo silnym mężczyzną — zauważył detektyw.

— Tak — przyznał Hopkins. — Jegomość ma u nas niezłą kartotekę. To kawał brutala.

— Nie powinien pan mieć trudności z pojmaniem go.

— Najmniejszych. Od pewnego czasu śledzimy jego poczynania. Chodziły słuchy, że wyjechał do Ameryki. Teraz, kiedy wiemy, że cała szajka jest tutaj, nie wyobrażam sobie, żeby ci bandyci zdołali uciec. Powiadomiliśmy już wszystkie porty morskie, a jeszcze przed wieczorem zostanie ogłoszona nagroda za pomoc w ujęciu przestępców. Dręczy mnie jednak pytanie, jak mogli dopuścić się takiego szaleństwa, wiedząc, że ta kobieta opíše ich wygląd i że na tej podstawie niechybnie ich rozpoznamy.

— Otóż to. Należałoby oczekiwać, że uciszą również lady Brackenstall.

— Może nie zdawali sobie sprawy — podsunąłem myśl — że odzyskała przytomność.

— To dosyć prawdopodobne. Nie zabili jej, uznając, że jest nieprzytomna. A co z tym nieszczęśnikiem, Hopkins? Chyba słyszałem o nim jakieś dziwne historie.

— Na trzeźwo był człowiekiem pełnym zyczliwości, ale istnym szatanem, kiedy się upił, albo raczej kiedy był na wpół pijany, ponieważ z rzadka tylko pił na umór. Wydawało się wówczas, że wstępuje w niego diabeł; był zdolny do wszystkiego. O ile wiem, to mimo całego swego bogactwa i tytułu raz czy dwa omal nie miał z nami do czynienia. Był pewien skandal z oblaniem psa naftą i podpaleniem go — co gorsza, chodziło o psa jaśnie pani — i tylko z trudem udało się to zatuszować. Innym razem rzucił karafką w służącą Teresę Wright, i z tym też mieliśmy kłopot. Ogólnie rzecz biorąc — i mówiąc między nami — bez niego ten dom będzie pogodniejszy. Czemu się pan teraz przygląda?

Holmes, na kolanach, z wielką uwagą badał supły na czerwonym sznurze, którym skrępowano panią domu. Następnie poddał skrupulatnym oględzinom jego koniec, urwany i postrzępiony wskutek szarpnięcia.

— Dzwonek w kuchni musiał głośno zadzwonić, kiedy pociągnięto za sznur — stwierdził Holmes.

— Nikt go nie mógł usłyszeć. Kuchnia znajduje się na tyłach domu.

— Ale skąd włamywacz wiedział, że nikt tego nie usłyszy? Dlaczego nie bał się postąpić tak lekkomyślnie?

— Ma pan zupełną rację, panie Holmes. Sam sobie wielokrotnie zadawałem to pytanie. Nie ma żadnych wątpliwości, że ów typ znał rozkład tego domu oraz panujące w nim zwyczaje. Musiał doskonale wiedzieć, że cała służba będzie już w łóżkach o tej stosunkowo wczesnej porze oraz że nikt nie usłyszy dzwonka z kuchni. A zatem musi pozostawać w ścisłym sojuszu z kimś ze służby. To oczywiste. Ale nikomu z ośmiu osób personelu nie można niczego zarzucić.

— Skoro wszyscy są w porządku — rzekł Holmes — to należałoby podejrzewać osobę, w którą chlebodawca cisnął karafką. A przecież oznaczałoby to, że Teresa Wright dopuściła się zdrady również wobec swej pani, której zdaje się bez reszty oddana. Tak, tak... to zapewne nie wchodzi w rachubę. Kiedy już będzie pan miał Randalla, chyba bez trudności uda się panu przymknąć jego współników. Opowiadanie pani Brackenstall znajduje z pewnością potwierdzenie, jeśli go w ogóle wymaga, we wszystkich szczegółach, jakie tu mamy przed sobą. — Podeszedł do okna i otworzył je. — Nie widać pod nim żadnych śladów, ale grunt jest tu twardy jak skała i trudno byłoby się ich spodziewać. Sądzę, że te świece na gzymsie kominka były wówczas zapalone.

— Tak, to dzięki nim oraz światłu świecy, z którą przyszła tu pani, rabusie mogli się poruszać po pokoju.

— Co zabrali?

— No, niezbyt wiele. Tylko połowę z tuzina sztuk srebrnej zastawy stołowej z kredensu. Zdaniem lady Brackenstall byli tak zaniepokojeni śmiercią sir Eustachego, że nie splądrowali domu, jak czynią to zazwyczaj.

— To z pewnością prawda. Ale jak wiem, wypili trochę wina.

— Aby uspokoić nerwy.

— W samej rzeczy. Domyślam się, że tych trzech kieliszków na kredensie nikt nie ruszał?

— Oczywiście. Również butelka stoi tak, jak ją pozostawili włamywacze.

— Przyjrzyjmy się temu. Ale, ale! Cóż to takiego? Trzy kieliszki stały blisko siebie, wszystkie ze śladami wina, a w jednym z nich widać było trochę osadu. Tuż obok stała butelka, wypełniona w dwóch trzecich, a przy niej leżał długi, silnie zabarwiony korek. Wygląd korka i kurz na butelce świadczyły, że mordercy nie raczyli się jakimś poślednim rocznikiem.

W zachowaniu Holmesa zaszła zmiana. Stracił swój apatyczny wyraz twarzy i znów ujrzalem żywy błysk zainteresowania w jego bystrych, głęboko osadzonych oczach. Podniósł korek i zbadał go skrupulatnie.

— W jaki sposób go wyciągnęli?

Hopkins wskazał na wpół wysuniętą szufladę. Wewnątrz leżała bielizna stołowa i duży korkociąg.

— Czy lady Brackenstall mówiła coś o korkociągu?

— Nie. Jak pan pamięta, w chwili otwierania butelki była nieprzytomna.

— No tak. Jeśli chodzi o ścisłość, to użyty został nie ten korkociąg. Butelkę otwarto korkociągiem kieszonkowym, prawdopodobnie połączonym z nożem i nie dłuższym niż półtora cala. Jeśli się pan przyjrzy wierzchowi korka, to zauważy pan, że zanim go wyciągnięto, korkociąg był wkręcany trzykrotnie. Korek nie został przewiercony na wylot. Gdyby użyto tego długiego korkociągu, wówczas można by było otworzyć butelkę jednym szarpnięciem. Po schwytaniu przestępcy przekona się pan, że ma on przy sobie jeden z tych wieloczynnościowych noży.

— Znakomicie! — rzekł Hopkins.

— Ale muszę przyznać, że zastanawiają mnie te kieliszki. Czy lady Brackenstall rzeczywiście widziała trzech pijących mężczyzn?

— Tak, była tego pewna.

— No to mamy koniec sprawy. Cóż więcej można by powiedzieć? A jednak musi pan przyznać, Hopkins, że te trzy kieliszki są doprawdy godne uwagi. Uważa pan, że nie? No cóż, zostawmy to. Być może to jest tak, że posiadanie szczególnej wiedzy i specjalnych zdolności, jak na przykład w moim przypadku, zachęca człowieka do poszukiwania skomplikowanych rozwiązań, podczas gdy te prostsze leżą w zasięgu jego ręki. Oczywiście, z tymi kieliszkami to musi być czysty przypadek. A więc do widzenia, Hopkins. Nie sądzą, abym się jeszcze panu mógł na co przydać, i myślę, że sprawa jest całkowicie jasna. Niech mi pan da znać,

kiedy Randall zostanie aresztowany i dojdzie do ujawnienia nowych szczegółów. Tuszę, że wkrótce będę mógł panu powinszować pomyślnego finału. Chodź, Watsonie, coś mi się widzi, że w domu znajdziemy zajęcie, które nam da większą satysfakcję.

Podczas podróży powrotnej z twarzy Holmesa mogłem wyczytać, że był wielce zaintrygowany jakąś poczynioną wcześniej obserwacją. Od czasu do czasu, z pewnym wysiłkiem, odsuwał od siebie to wrażenie i rozmawiał tak, jakby sprawa była jasna, ale po chwili wątpliwości ponownie go osaczały, więc ściągał brwi, a jego nieobecny wzrok zdradzał, że znów powrócił myślami do wspaniałej jadalni w rezydencji Abbey Grange, gdzie ostatniej nocy rozegrała się tragedia. Wreszcie pod wpływem nagłego impulsu, kiedy pociąg już wytaczał się z podmiejskiej stacji, Holmes wyskoczył na peron i pociągnął mnie za sobą.

— Wybacz, drogi przyjacielu — powiedział, kiedy patrzyliśmy na znikający za zakrętem pociąg. — Przepraszam, że czynię cię ofiarą czegoś, co może wyglądać na zwykły kaprys, ale na Boga, Watsonie, ja po prostu nie mogę zostawić tej sprawy w takim stanie. Cały mój instykt detektywa gwałtownie się temu sprzeciwia. To błąd — błąd pod każdym względem — Bóg mi świadkiem. A przecież relacja tej kobiety była absolutnie bez zarzutu, jej potwierdzenie przez służącą wystarczające, wszystkie szczegóły zgadzają się doskonale. Co mogę temu przeciwstawić? Jedynie trzy kieliszki. Ale jeśli bym niczego z góry nie zakładał, gdybym zbadał wszystko z taką starannością, jakiej bym dochował, gdybyśmy podeszli do tej sprawy *de novo*, nie mając w głowie gotowej historii, to czy wówczas nie znalazłbym czegoś bardziej konkretnego, co mógłbym rozważyć? Posiedźmy na tej ławeczce, Watsonie, do czasu nadejścia pociągu do Chislehurst, a ja przedstawię ci materiał dowodowy, ale błagam cię, abys na wstępie wykluczył, że i pani, i jej służąca, mówiły wyłącznie prawdę. Niech osobisty urok tej damy nie przesłania ci zdolności rozumowania.

Z pewnością są w tej historii szczegóły, które, jeśli spojrzymy na nie bez emocji, budzą wątpliwości. Przed dwoma tygodniami tych trzech opryszków wielce się obłowiło w Sydenham. W gazetach zamieszczono o tym relację wraz z rysopisami sprawców i wszystko to mogło w sposób naturalny podsunąć pomysł każdemu, kto zamierzał wymyślić historię, w której rolę sprawców mieliby odegrać jacyś wyimaginowani rabusie. Jeśli chodzi o ścisłość, to włamywacze, którym się udał skok, mają raczej wielką ochotę cieszyć się w ciszy i spokoju swą zdobyczą, niż przystępować natychmiast do kolejnego niebezpiecznego przedsięwzięcia. Nie leży w zwyczaju złodziei działać o tak wczesnej porze; nie leży w ich zwyczaju zadawać cios kobiecie, aby zapobiec jej krzykom, łatwo sobie bowiem wyobrazić, że właśnie w ten sposób można je niezawodnie wywołać; nie leży w ich zwyczaju popełniać zabójstwa, jeśli znajdują się w liczebnej przewadze, pozwalającej im obezwładnić jednego mężczyznę; nie leży też w ich zwyczaju poprzestawać na ograniczonej grabieży, gdy w zasięgu ręki znajduje się znacznie więcej dobra; i wreszcie określiłbym jako rzecz dla takich ludzi niezwykle pozostawienie tylko do połowy opróżnionej butelki wina. Jakie wrażenie robią na tobie wszystkie te niezwykłości, Watsonie?

— Razem wzięte są rzeczywiście uderzające, ale każda z osobna nie jest czymś nadzwyczajnym. W moim odczuciu najdziwniejsze ze wszystkiego jest to, że ta kobieta została przywiązana do krzesła.

— A mnie to tak nie dziwi, Watsonie, oczywiste jest bowiem, że byli zmuszeni ją skrepować w ten sposób, aby jej tym uniemożliwić wszczęcie alarmu natychmiast po ich ucieczce. W każdym jednak razie chyba wykazałem, że w relacji lady Brackenstall istnieje jakiś pierwiastek nieprawdopodobieństwa. I jako ukoronowanie tych wątpliwości dochodzi kwestia kieliszków.

— Na czym ona polega?

— Czy możesz przywołać w wyobraźni ich widok?

— Tak, widzę je dokładnie.

— Powiedziano nam, że piło z nich trzech mężczyzn. Czy wydaje ci się to prawdopodobne?

— Dlaczego nie? Ślady wina są w trzech kieliszkach.

— Tak, ale osad znajdował się tylko w jednym. Musiałeś ten fakt zauważyć. Co to według ciebie znaczy?

— Że osad pojawił się w kieliszku napełnianym jako ostatni.

— W żadnym wypadku. Butelka była pełna i jest nie do pomyślenia, aby dwa pierwsze kieliszki były od osadu wolne, a trzeci zawierał go w dużej ilości. Są dwa, i tylko dwa, wyjaśnienia tego zjawiska. Pierwsze — że po napełnieniu dwóch kieliszków butelka została gwałtownie wstrząśnięta, tak że w trzecim kieliszku znalazł się osad. To nie wydaje się prawdopodobne. Nie, nie, jestem tego zupełnie pewien.

— Co zatem przypuszczasz?

— Że użyte zostały tylko dwa kieliszki, z których resztki wina przelano do trzeciego w celu wywołania wrażenia, że było tu trzech ludzi. Wtedy cały osad trafiłby do kieliszka trzeciego, prawda? No cóż, jestem o tym przekonany. Gdyby zaś moje wytłumaczenie tego błahego zjawiska było trafne, to w jednej chwili sprawa ta z pospolitej stałaby się nadzwyczaj interesująca, ponieważ mogłaby oznaczać tylko jedno — że lady Brackenstall i jej służąca celowo nas okłamały, że nie można uwierzyć w ani jedno słowo z ich zeznań, że miały jakiś poważny powód, aby ukryć prawdę o zbrodni i że tę sprawę musimy poprowadzić własnymi siłami, bez jakiegokolwiek pomocy z ich strony. Takie właśnie zadanie stoi teraz przed nami, Watsonie. Ale oto mamy pociąg do Chislehurst.

Domownicy rezydencji Abbey Grange byli wielce zaskoczeni naszym powrotem. Sherlock Holmes, stwierdziwszy, że Stanley Hopkins wyjechał, aby złożyć sprawozdanie w centrali, objął w posiadanie jadalnię, zamknął ją od środka i na dwie godziny pochłonęły go te pedantyczne, żmudne dociekania tworzące solidny fundament, z którego wyrastają wspaniałe budowle jego dedukcji. Usadowiony w kącie — jak ciekawy student, który obserwuje doświadczenie w wykonaniu swego profesora — śledziłem uważnie kolejne postępy tego niezwykłego śledztwa. Skrupulatnemu badaniu i stosownej analizie poddane zostały po kolei okno, kotary, dywan, krzesło, sznur. Ciało nieszczęsnego baroneta już nie było, ale cała reszta pozostała w takim stanie, jak to widzieliśmy rano. Następnie, ku memu zdziwieniu, Holmes wdrapał się na masywny gzyms kominka. Wysoko nad jego głową zwisało kilka cali czerwonego sznurka, który nadal był połączony z drucianym przewodem. Przez długi czas Holmes przyglądał mu się z uniesioną do góry głową, po czym wspiał się jeszcze wyżej, opierając kolano o wiszący na ścianie drewniany kinkiet. Dzięki temu jego rękę dzieliło od urwanego sznurka kilka cali, jednak uwagę Holmesa zdawał się przyciągać raczej sam kinkiet niż ów sznurek. W końcu zeskoczył na podłogę z okrzykiem zadowolenia.

— W porządku, Watsonie — powiedział. — Rozwiążemy tę sprawę... jedną z najniezwyklejszych w naszej kolekcji. Mój Boże, jakież ja byłem tępy i jak bliski popełnienia błędu swego życia! Teraz, z wyjątkiem kilku brakujących ogniw, nie dostrzegam już niemal żadnych luk w tym łańcuchu wydarzeń.

— Masz już swych sprawców?

— Sprawcę, Watsonie, sprawcę. Tylko jednego, ale nadzwyczaj groźnego. O sile niedźwiedzia... widziałeś pogrzbacz wygięty wskutek uderzenia; sześć stóp i trzy cale wzrostu, ruchliwy jak wiewiórka; zręczny w palcach; wreszcie niezwykle bystry, gdyż cała ta sprytna historia to jego wymysł. Tak, Watsonie, to dzieło nietuzinkowego człowieka. A jednak ten sznur od dzwonka podsunął nam trop, który nie pozostawia żadnych wątpliwości.

— Jaki trop?

— No więc, Watsonie, gdybyś to ty szarpnął ten sznur i go zerwał, to w którym punkcie by puścił, jak sądzisz? Z pewnością w miejscu połączenia z drucianym przewodem. Dlaczego więc zerwał się kilka cali poniżej?

— Dlatego że jest tam przetarty?

— Właśnie. Koniec, który możemy zbadać, jest przetarty. Ten człowiek był na tyle sprytny, że upozorował to za pomocą noża. Ale druga część urwanego sznura przetarta nie jest. Stąd nie możesz tego dostrzec; gdybyś jednak wszedł na gzyms, zobaczyłbyś, że sznur jest równo ucięty bez najmniejszego śladu wystrzępienia. Możesz sobie odtworzyć przebieg wydarzeń. Zabójcy potrzebny był sznur. Nie zerwał go gwałtownie w obawie, że dźwięk dzwonka spowoduje alarm. Cóż więc uczynił? Wskoczył na gzyms i nie mogąc go dosięgnąć, oparł się kolanem o kinkiet — zauważysz ślad na jego zakurzonej powierzchni — i dobył noża, aby przeciąć sznur. Mnie zabrakło do tego miejsca co najmniej trzech cali, z czego wnioskuję, że jest on co najmniej o tyle wyższy ode mnie. Spójrz na ten ślad na dębowym krześle. Co to takiego? — Krew.

— Bez wątpienia krew. Już tylko to odbiera wiarygodność relacji lady Brackenstall. Jeśli ona siedziała tam w chwili, gdy popełniano zbrodnię, to w jaki sposób powstał ten ślad? Nie, nie, ona znalazła się na tym krześle p o śmierci męża. Pójdę o zakład, że analogiczny ślad widnieje na tamtej czarnej sukni. Nie doszliśmy jeszcze do naszego Waterloo, Watsonie, ale mamy nasze Marengo, ponieważ do zwycięstwa dochodzimy po porażce. Chciałbym teraz zamienić kilka słów z nianią Teresą. Jeśli pragniemy uzyskać potrzebne informacje, musimy być teraz nieufni.

Ta surowa australijska niania była osobą nader interesującą: małowówna, podejrzliwa, szorstka, tak że musiało upłynąć trochę czasu, zanim uprzejmy sposób bycia Holmesa oraz niekłamane uznanie dla wszystkiego, co miała do powiedzenia, sprawiły, że przekonała się do nas. Nie próbowała ukrywać uczucia nienawiści, jakie żywiła wobec swego nieżyjącego chlebobdawcy.

— Tak, proszę pana, to prawda, że cisnął we mnie karafką. Słyszałam, jak nazwał moją panią, i powiedziałam mu, że nie odważyłby się tak do niej mówić w obecności jej brata. I właśnie w tym momencie rzucił we mnie karafką. Mógłby to robić nawet codziennie, byleby tylko zostawił tę moją wążkę ptaszynę w spokoju. Zawsze traktował ją brutalnie, ale ona była zbyt dumna, aby się skarżyć. Nigdy mi nawet nie zdoła opowiedzieć, co z nią wyprawiał! Nie mówiła mi też o tych śladach na ramieniu, które pan widział dziś rano, ale wiem bardzo dobrze, że one pochodzą od ukłuc szpilką do kapelusza. Przebiegły szatan — niech mi niebo wybaczy, że tak o nim mówię teraz, kiedy już nie żyje, ale jeśli szatan kiedykolwiek stąpił po tej ziemi, to przybrał właśnie jego postać. Był słodki jak miód, gdy go poznałyśmy zaledwie przed osiemnastoma miesiącami, choć dla nas to jakby osiemnaście lat. Stało się to zaraz po jej przyjeździe do Londynu. Tak, to była jej pierwsza podróż; nigdy przedtem nie opuszczała kraju. Zawojował ją swym tytułem i majątkiem, i fałszywymi londyńskimi manierami. Jeśli popełniła błąd, zapłaciła za to jak żadna inna kobieta. W którym to miesiącu go poznałyśmy? W każdym razie było to zaraz po naszym przyjeździe. Przyjechaliśmy w czerwcu, a to się stało w lipcu. Pobrali się w styczniu zeszłego roku. Tak, ona zeszła do saloniku i jestem pewna, że zechce z panami porozmawiać, ale nie można jej zbyt dęczyć pytaniami, ponieważ nie ma cierpienia, które zostałoby jej oszczędzone. Lady Brackenstall spoczywała na tej samej kanapie, ale była w znacznie lepszym nastroju niż poprzednio. Służąca weszła razem z nami i ponownie przystąpiła do traktowania okładami sińca na czole swej pani.

— Mam nadzieję — powiedziała lady Brackenstall — że nie przybył pan tu po to, aby ponownie poddać mnie przesłuchaniu?

— Nie — odrzekł Holmes swym najuprzejmiejszym tonem. — Nie sprawię pani żadnego zbędnego kłopotu, pragnę jedynie wszystko to uporządkować, gdyż wiem, że jest pani kobietą

niezmiernie zmęczoną. Jeśli potraktuje mnie pani jak przyjaciela i zaufa mi, przekona się pani, że zasługuję na to zaufanie.

— Co zatem mam uczynić?

— Powiedzieć prawdę.

— Ależ panie Holmes!

— Nie, nie, lady Brackenstall, to nie ma sensu. Być może wie pani coś o tym, że zyskałem sobie dobrą reputację w moim fachu, ale jestem gotów w całości postawić ją w zakładzie o to, że pani relacja jest zupełnie fałszywa.

Pani domu wraz ze służącą wlepiły przerażony wzrok w Holmesa, a ich twarze pobladły.

— Co za zuchwałość! Chce pan przez to powiedzieć, że moja pani skłamała?

Holmes podniósł się z krzesła.

— Czy nie ma mi pani nic do powiedzenia?

— Powiedziałam już wszystko.

— Proszę to jeszcze raz przemyśleć, lady Brackenstall. Czy szczerowość nie opłaciłaby się bardziej?

Przez chwilę na jej pięknej twarzy malowało się wahanie. Następnie jakaś nowa męcząca myśl uczyniła z jej oblicza maskę bez wyrazu.

— Opowiedziałam panu wszystko, co mi jest wiadome.

Holmes sięgnął po kapelusz i wrzucił ramionami.

— Przykro mi — rzekł i bez dalszych zbędnych słów opuścił pokój i dom.

W parku był staw i do niego skierował swe kroki mój przyjaciel. Woda była zamrznięta i pozostawiono tylko niewielki przerębiel dla wygody samotnego łabędzia. Holmes przez chwilę wpatrywał się w ptaka, a następnie ruszył w stronę stróżówki przy parkowej bramie. Tam nabazgrał krótki liścik do Stanleya Hopkinsa i zostawił go stróżowi.

— Może to być celne trafienie, ale może się też okazać pudłem, mamy jednak obowiązek zrobić coś dla naszego przyjaciela Hopkinsa, choćby tylko po to, żeby usprawiedliwić tę naszą powtórna wizytę — rzekł Holmes. — Jednak nie myślę wtajemniczać go we wszystko. Uważam, że teraz powinniśmy się udać do biura spedycyjnego linii Adelaide–Southampton, które, jeśli dobrze pamiętam, znajduje się w końcu Pali Mall. Jest jeszcze druga linia parowców łącząca południową Australię z Anglią, my jednak zajmiemy się najpierw tą o większym zasięgu.

Wizytówka Holmesa posłana do dyrektora zrobiła odpowiednie wrażenie i nie musieliśmy długo czekać na udzielenie nam wszystkich interesujących nas informacji. W czerwcu 1895 roku tylko jeden statek ich linii dotarł do portu macierzystego. Była to „Rock of Gibraltar” — ich największa i najlepsza jednostka. Rzut oka na listę pasażerów pozwolił stwierdzić, że podróżowała nią panna Fraser z Adelaide wraz ze służącą. Statek jest teraz w drodze do Australii, gdzieś na południe od Kanału Sueskiego. Kadra oficerska swym składem nie różni się od tej z roku 1895, z jednym wyjątkiem. Pierwszy oficer, Jack Crocker, został mianowany kapitanem i ma objąć dowództwo nowego statku tej linii, „Bass Rock”, wypływającego za dwa dni z Southampton. Mieszka on w Sydhenham, ale ma przyjść tego ranka do biura po odbiór instrukcji, więc moglibyśmy na niego poczekać.

Otóż nie, pan Holmes bynajmniej nie pragnie tego spotkania, ale byłby rad dowiedzieć się czegoś o przeszłości zawodowej i charakterze kapitana.

Jego przeszłość jest świetna. Nie może się z nim równać żaden oficer floty. Natomiast jeśli chodzi o charakter, to z obowiązków służbowych wywiązuje się rzetelnie, jednak poza pokładem swego statku jest osobnikiem nieokiełznanym, porywczym, ulegającym emocjom, ale lojalnym, uczciwym i o dobrym sercu. Do tego sprowadzał się sens informacji, które Holmes wyniósł z biura spółki obsługującej linię Adelaide–Southampton. Stamtąd pojechaliśmy do Scotland Yardu, ale zamiast wejść do środka, Holmes został w dorożce, ze

ściągniętymi brwiami, zatopiony w myślach. W końcu udaliśmy się okreśną drogą do urzędu telegraficznego w Charing Cross, skąd Holmes wysłał jakąś wiadomość, po czym wreszcie skierowaliśmy się ku Baker Street.

— Nie, nie mogłem tego zrobić — powiedział Holmes, kiedy weszliśmy do naszego pokoju. — Z chwilą sporządzenia nakazu aresztowania nic by go już nie uratowało. Mam wrażenie, że raz lub dwa w mojej karierze tak się zdarzyło, że ujawniając przestępce, uczyniłem więcej szkody niż sam zbrodniarz. Teraz już nauczyłem się przeczności i wolę raczej pogłować z angielskim prawem niż z własnym sumieniem. Zanim zaczniemy działać, dowiedzmy się czegoś więcej.

Przed wieczorem odwiedził nas inspektor Stanley Hopkins. Śledztwo nie układało mu się najlepiej.

— Wierzę, że pan jest czarownikiem, panie Holmes. Czasem naprawdę myślę, że ma pan jakieś nadludzkie zdolności. Skąd u licha mógł pan wiedzieć, że skradzione srebra leżą na dnie stawu?

— Nie wiedziałem.

— Ale doradził mi pan, żebym to sprawdził.

— I znalazł je pan?

— Tak.

— Bardzo się cieszę, że panu pomogłem.

— Ale pan mi wcale nie pomógł. Pan tylko całą sprawę skomplikował. Cóż to są za włamywacze, którzy kradną srebra, by je następnie wyrzucić do najbliższego stawu?

— To raczej dziwaczne zachowanie. Ja po prostu poszedłem tropem myśli, że jeśli srebra skradły osoby, które ich nie potrzebowały i które zrobiły to tylko dla kamuflażu, co właśnie miało miejsce, to było oczywiste, że chciałyby się ich jak najszybciej pozbyć.

— Ale skąd panu coś takiego przyszło do głowy?

— No cóż, pomyślałem sobie, że to jest możliwe. Kiedy wyszli przez to okno z jadalni, zobaczyli tuż przed sobą staw z zachęcającym niewielkim przereębem pośrodku. Czy można by sobie wymyślić lepszą kryjówkę?

— Ach, kryjówkę... to już brzmi lepiej! — krzyknął Stanley Hopkins. — No tak. Teraz to wszystko rozumiem! Była wczesna pora, na drogach jeszcze dużo ludzi, więc obawiali się, że ktoś ich z tym łupem zauważy, i zatopili go w stawie, zamierzając po niego wrócić, kiedy minie zagrożenie. Znakomicie, panie Holmes... to jest lepsze niż pański pomysł z kamuflażem.

— Właśnie, właśnie. Pańska teoria jest godna podziwu. Nie mam wątpliwości, że moje pomysły były całkiem szalone, ale musi pan przyznać, że to one doprowadziły do znalezienia sreber.

— Tak, sir, oczywiście. To wszystko pańska zasługa. Ale sprawy przybrały fatalny obrót.

— Cóż takiego się stało?

— Otóż, panie Holmes, Randalla i jego szajkę dzisiejszego ranka aresztowano w Nowym Jorku.

— Do licha, Hopkins! To niewątpliwie przemawia przeciw pańskiej teorii, że oni ostatniej nocy popełnili morderstwo w hrabstwie Kent.

— To straszne, panie Holmes, potworne. Z tego przecież wynika, że poza Randallami działają tu inne trzysobowe bandy, że jest to sprawka jakiejś nowej szajki, o której policja jeszcze nie słyszała.

— Właśnie, właśnie. To absolutnie możliwe. Cóż to, pan nas opuszcza?

— Tak, panie Holmes; nie spocznę, dopóki nie dotrę do sedna tej sprawy. Domyślam się, że nie ma pan dla mnie żadnej wskazówki?

— Już panu jednej udzieliłem.

— Jakiej?

— Tej o kamuflażu.

— Ale dlaczego, panie Holmes, dlaczego?!

— I to jest rzeczywiście pytanie. Ale poddaję panu ten pomysł pod rozwagę. Mógłby pan może uznać, że coś w tym jest. Nie zostanie pan na obiedzie? No to do widzenia i proszę nas informować o swoich postępach.

Już po obiedzie i uprzątnięciu stołu Holmes ponownie nawiązał do sprawy. Zapalił fajkę i wystawił swe odziane w pantofle stopy na przyjazne działanie płonącego na kominku ognia. Nagle spojrzął na zegarek.

— Wydarzy się coś ciekawego, Watsonie.

— Kiedy?

— Teraz. W ciągu kilku najbliższych minut. Obawiam się, że kiepsko oceniłeś to, jak potraktowałem przed chwilą Stanleya Hopkinsa?

— Ufam, że miałeś ku temu powody.

— Bardzo rozsądna odpowiedź, Watsonie. Musisz na to spojrzeć w sposób następujący: to, co ja wiem, jest nieoficjalne, a on musi się trzymać wersji oficjalnej. Ja mam prawo do posiadania prywatnej opinii, jemu tego nie wolno. On musi wszystko wyjawiać, gdyż w przeciwnym wypadku sprzeniewierzy się swej służbie. Nie stawiałbym go w tak drażliwej sytuacji, gdyby sprawa nie budziła wątpliwości. Zatrzymuję swoje informacje do chwili, aż sam będę miał całkowite rozeznanie w tej historii.

— Ale kiedy to może nastąpić?

— Ta chwila nadeszła. Będziesz teraz świadkiem końcowej sceny tego niezwykle małego dramatu.

Na schodach rozległy się kroki, a po chwili w naszych drzwiach stanął tak wspaniały okaz męskości, jaki nigdy jeszcze nie przekroczył ich progu. Był to bardzo wysoki młody mężczyzna o złocistych wąsach i niebieskich oczach, o skórze pokrytej tropikalną opalenizną, a jego sprężysty krok wskazywał, że ta potężna postać jest w równym stopniu ruchliwa, co silna. Zamknął za sobą drzwi i stanął przed nami z zaciśniętymi rękami, głęboko oddychając i próbując opanować targające nim uczucia.

— Proszę usiąść, kapitanie Crocker. Otrzymał pan mój telegram?

Nasz gość zagłębił się w fotelu i spoglądał na nas pytającym wzrokiem.

— Odebrałem pański telegram i przybyłem o wyznaczonej godzinie. Słyszałem, że był pan w biurze spółki. Przed panem nie da się uciec. Niech więc usłyszę najgorsze. Co ma pan zamiar ze mną zrobić? Aresztować? Mówże, człowieku! Nie może pan tak sobie siedzieć i bawić się ze mną jak kot z myszą!

— Podaj panu cygare — rzekł Holmes. — Niech pan zaciśnie na nim zęby, kapitanie Crocker, i postara się utrzymać nerwy na wodzy. Na pewno nie siedziałbym tu z panem, paląc cygara, gdybym pana uważał za pospolitego przestępcę. Proszę być ze mną szczerym, a może zdziałamy coś dobrego. Jeśli jednak będzie pan zwodził, zmiążdżę pana.

— Czego pan ode mnie oczekuje?

— Przekazania prawdziwej relacji ze wszystkiego, co się wydarzyło w Abbey Grange zeszłej nocy... prawdziwej relacji, niech pan to ma na uwadze, bez żadnych dodatków czy przemilczeń. Wiem już tyle, że jeśli pan choć na cal zboczy z prostej drogi, zagwizdżę z okna na policję i sprawa ta zamknie się dla mnie raz na zawsze.

Marynarz milczał przez chwilę. Następnie grzmotnął się w udo swą ogorzałą dłońią.

— Zaryzykuję! — krzyknął. — Wierzę, że pańskie słowo jest coś warte, słowo białego człowieka, więc opowiem panu całą historię. Ale na wstępie mała uwaga. Jeśli chodzi o mnie, to niczego nie żałuję ani niczego się nie boję, zrobiłbym to po raz drugi i byłbym z tego dumny. Niech diabli porwą tego potwora... I choćby się odradzał jak feniks z popiołów, to odbierałbym mu każde kolejne życie! Ale jest kobieta, Mary, Mary Fraser — nigdy nie użyję jej przekłętą obecnego nazwiska. Kiedy pomyślę, że miałbym jej przysporzyć kłopotów, ja,

który za jeden jej uśmiech gotów bym oddać życie, czuję, jak moja dusza zamienia się w watę. A jednak, a jednak czy nie zrobiłem tego, co należy? Opowiem wam panowie moją historię, a potem was zapytam, tak między mężczyznami, czy nie zrobiłem tego, co należy.

Muszę się nieco cofnąć w czasie. Pan zdaje się wiedzieć wszystko, a zatem wie pan chyba również o tym, że poznałem ją jako pasażerkę statku „Rock of Gibraltar”, na którym byłem pierwszym oficerem. Od chwili, kiedy ją ujrzałem, wszystkie kobiety świata przestały dla mnie istnieć. Z każdym dniem podróży kochałem ją coraz bardziej i niejednokrotnie podczas nocnej wachty klękałem w ciemności na pokładzie, by całować deski, po których stąpały jej ukochane stopy. Z jej strony nie było żadnego zaangażowania. Traktowała mnie z naturalnością, z jaką kobieta odnosi się do mężczyzny. Nie mam żadnych pretensji. Miłość była tylko po mojej stronie, po jej zaś — jedynie sympatia i przyjaźń. Po naszym rozstaniu ona wciąż była kobietą wolną, ja jednak nigdy już nie będę wolnym mężczyzną.

Kiedy następnym razem wróciłem z rejsu, dowiedziałem się o jej małżeństwie. Ba! Dlaczego nie miałyby poślubić kogoś, kto się jej spodobał? Tytuł i pieniądze — któż zasługiwał na to bardziej niż ona? Jest stworzona do wszystkiego co piękne i wykwintne. Nie zmartwiło mnie to małżeństwo. Nie byłem aż tak egoistycznym draniem. Po prostu uradowało mnie, że na swej drodze znalazła szczęście i nie marnowała życia dla marynarza bez grosza przy duszy. Tak właśnie kochałem Mary Fraser.

Nie myślałem, że ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę, ale po ostatnim rejsie awansowałem, a ponieważ nowy statek nie został jeszcze zwodowany, musiałem z moją załogą poczekać kilka miesięcy w Sydenham. Pewnego dnia za miastem na wiejskiej ścieżce spotkałem Teresę Wright, starą służącą Mary. Kobieta opowiedziała mi o niej, o nim, o wszystkim. Wierście mi, panowie, że omal nie oszalałem. Ten pijany łotr ośmielił się podnieść rękę na tę, której butów nie był godzien lizać! Spotkałem się ponownie z Teresą, a potem z samą Mary, również dwukrotnie. To miało być nasze ostatnie spotkanie, ale któregoś dnia otrzymałem zawiadomienie, że w ciągu tygodnia ruszam w rejs, i postanowiłem jeszcze raz przed wyjazdem ją zobaczyć. Teresa była zawsze moją przyjaciółką, ponieważ kochała Mary, a nienawidziła tego łotra niemal tak samo jak ja. Od niej dowiedziałem się o rozkładzie dnia w rezydencji Abbey Grange. Mary miała zwyczaj siadywać z książką w swym małym saloniku na dole. Podkrađłem się tam ostatniej nocy i poskrobałem w szybę. Nie otworzyła od razu, ale wiedziałem, że w głębi serca mnie kocha i nie zostawi na pastwę mroźnej nocy. Szepnęła, żebym przeszedł naokoło domu do wielkiego okna od frontu, które znalazłem otwarte, tak że mogłem wejść do jadalni. Ponownie usłyszałem z jej własnych ust rzeczy, które sprawiły, że krew we mnie zawrzała, i ponownie przekląłem potwora maltretującego kobietę, którą kochałem. A zatem, panowie, stałem z nią w zagłębieniu okna, w zupełnie niewinnej sytuacji, niech Bóg mi będzie świadkiem, kiedy do pokoju niczym szalenciec wtargnął on, nazwał ją najnikczemniejszym mianem, jakiego mężczyzna może użyć w stosunku do kobiety, i zdzielił ją w twarz laską, którą miał w ręku. Skoczyłem w kierunku pogrzebacza i wywiązała się między nami prawdziwa walka. Proszę popatrzeć na moje ramię, na które spadł pierwszy cios. Kiedy mu oddałem, pogrzebacz wszedł w niego jak w zgniłą dynię. Myślicie, że tego żałuję? Nie! To była sprawa życia i śmierci — mojej lub jego, a nawet dużo więcej — jego lub jej, jakże więc mógłbym ją zostawić na pastwę tego szaleńca! Tak właśnie doszło do zabójstwa. Czy popełniłem błąd? Co wobec tego uczyniłby każdy z panów, będąc w mojej sytuacji?

Mary krzyknęła po uderzeniu i to spowodowało na dół Teresę. Na kredensie stała butelka wina, więc ją otworzyłem i wlałem go trochę do jej ust, ponieważ wskutek wstrząsu była na wpół żywa. Potem sam wypilem łyk. Teresa nie straciła zimnej krwi. Cała intryga była jej pomysłem w nie mniejszym stopniu niż moim. Musieliśmy stworzyć wrażenie, że wszystko jest dziełem rabusiów. Podczas gdy Teresa uczyła swoją panią wymyślonej przez nas wersji, ja wspiałem się na gzyms kominka i odciąłem sznur od dzwonka. Następnie przywiązałem

Mary do krzesła i wystrzępiłem jeden koniec linki, by wyglądała tak, jakby ją gwałtownie zerwano, w przeciwnym bowiem razie policja zachodziłaby w głowę, w jaki sposób włamywacz mógł się tam wdrapać, by odciąć sznur. Potem zebrałem kilka srebrnych naczyń, aby uprawdopodobnić fakt napadu rabunkowego, i opuściłem rezydencję, polecając Mary i Teresie, by wszczęły alarm w kwadrans po moim wyjściu. Wrzuciłem srebra do stawu i ruszyłem w kierunku Sydenham, czując, że po raz pierwszy w życiu wykonałem naprawdę dobrą robotę. I taka jest prawda, cała prawda, panie Holmes, nawet jeśli zapłacę za to gardłem.

Holmes przez pewien czas palił w milczeniu. Następnie przeszedł przez pokój i uściśnął dłoń naszego gościa.

— Ja również jestem tego zdania — rzekł. — Wiem, że prawdziwe jest tu każde słowo, ponieważ nie powiedział pan niemal niczego, o czym nie wiedziałbym już wcześniej. Nikt oprócz akrobata lub marynarza nie zdołałby osiągnąć z kinkietu do tego sznura i nikt z wyjątkiem marynarza nie wykonałby tych węzłów, za pomocą których sznur został przymocowany do krzesła. Tylko raz nasza dama zetknęła się z marynarzami, mianowicie podczas swej ostatniej podróży, a ten wybrany musiał być kimś z jej sfery, ponieważ tak niezłomnie usiłowała go osłaniać, zdradzając tym samym, że go kocha. Widzi pan teraz, jak łatwo mi było pana wysledzić, gdy już raz wkroczyłem na właściwy trop.

— Sądziłem, że policja nigdy nie przejrzy naszego podstępu.

— I nie zrobiła tego ani też w moim najgłębszym przekonaniu nigdy nie zrobi. Niech pan teraz posłucha, kapitanie Crocker, to sprawa bardzo poważna. Aczkolwiek jestem gotów przyznać, że został pan w niebывалym stopniu sprowokowany do tego czynu, to nie mam pewności, czy nie będzie pan musiał przekonać sądu, że działał pan w obronie własnego życia. W każdym razie decyzja należy do brytyjskiej ławy przysięgłych. Ja w każdym razie czuję do pana tak dużą sympatię, że jeśli pan zechce się ulotnić w ciągu dwudziestu czterech godzin, to przyrzekam, że nikt panu w tym nie przeszkodzi.

— A potem wszystko zostanie ujawnione?

— Z pewnością tak.

Marynarz poczerwieniał z gniewu.

— Jak coś takiego może proponować mężczyzna mężczyźnie? Znam prawo na tyle, by rozumieć, że Mary zostałaby uznana za współwinną. Czy pan sądzi, że czmychnę stąd chyłkiem, zostawiając ją samą z tymi kłopotami? Nie, proszę pana, niech mnie spotka najgorsze, ale na miłość boską, panie Holmes, proszę znaleźć jakiś sposób, żeby biedną Mary utrzymać z dala od sądów.

Holmes po raz drugi wyciągnął dłoń do marynarza.

— Ja tylko poddałem pana próbie, i w obu wypadkach okazał się pan uczciwy. No cóż, biorę na siebie wielką odpowiedzialność, ale przecież podsunąłem Hopkinsowi pewną radę, a jeśli on nie będzie umiał z niej skorzystać, to ja już nic więcej zrobić nie mogę. Niech pan teraz uważa, kapitanie Crocker, dokonamy tego, zachowując przyjęte formy prawne. Pan jest podsądnym. Ty, Watsonie, będziesz brytyjską ławą przysięgłych. Nie wyobrażam sobie znakomitszego kandydata do odegrania tej roli. Sędzią jestem ja. A więc, wielce szanowni panowie przysięgli, poznaliście materiał dowodowy. Czy w waszej ocenie oskarżony jest winny czy niewinny?

— Niewinny, milordzie — odpowiedziałem.

— *Vox populi, vox Dei*. Jest pan uniewinniony, kapitanie Crocker. Jeżeli tylko policja nie znajdzie jakiejś innej ofiary, to z mojej strony nic panu nie grozi. Wracaj pan do tej damy po upływie roku i niech wasza wspólna przyszłość wykaże, że dzisiejszego wieczoru wydaliśmy sprawiedliwy wyrok.

PLANY ŁODZI PODWODNEJ BRUCE'A—PARTINGTONA (THE ADVENTURE OF THE BRUCE—PARTINGTON PLANS)

W trzecim tygodniu listopada 1895 roku na Londyn spłynęła gęsta żółta mgła. Wątpię, czy między poniedziałkiem a czwartkiem można było z okien naszego mieszkania przy Baker Street dostrzec zarysy domów po przeciwległej stronie ulicy. Pierwszy dzień tego tygodnia Holmes spędził na sporządzaniu odsyłaczy w opasłej księdze swych zapisków. Drugiego i trzeciego dnia oddawał się wytrwale najnowszemu upodobaniu, którym była muzyka średniowiecza. Kiedy jednak czwartego dnia, wstając od śniadania, ujrzelśmy, że tłusty, ciężki, brunatny kłęb wciąż przesuwa się za oknami i gęstnieje w postaci oleistych kropeł na szybach, monotonia naszej egzystencji stała się już nie do zniesienia dla żywej i niespokojnej natury mego przyjaciela. Przechadzał się niecierpliwie po salonie, rozgorączkowany wskutek tłumionej energii, obgryzając paznokcie, bębniąc palcami o meble i sarkając na swą bezczynność.

— W gazetach nic godnego uwagi, Watsonie? — zapytał.

Wiedziałem, że „nic godnego uwagi” oznacza dla Holmesa brak interesujących wieści w kronice kryminalnej. Prasa informowała o jakiejś rewolucji, o możliwości wybuchu wojny i o zbliżającej się zmianie rządu; te sprawy jednak nie leżały w kręgu zainteresowań mego towarzysza. Nie znajdowałem żadnej wzmianki o jakiejś zbrodni wykraczającej poza popolitość i banał. Holmes jęknął i znów począł niestrudzenie krążyć po pokoju.

— Londyński przestępca jest niewątpliwie nudnym jegomościem — rzekł gderliwie niczym sportowiec, któremu brakuje okazji do rywalizacji. — Wyjrzyj przez okno, Watsonie. Popatrz, jak wylaniające się postacie ledwie mającąż, by następnie na powrót pograć się w tumanie mgły. W takim dniu złodziej lub morderca mógłby buszować po Londynie jak tygrys w dżungli, ujawniając się dopiero w chwili ataku, i to tylko przed własną ofiarą.

— Piszę tu o wielu złodziejaskach — powiedziałem. Holmes parsknął pogardliwie.

— Ta wspaniała i jednocześnie ponura sceneria została stworzona dla czegoś bardziej godnego uwagi — rzekł. — Wielkie to szczęście dla naszej społeczności, że nie jestem przestępcą.

— To prawda! — przyznałem skwapliwie.

— Gdybym na przykład był Brooksem lub Woodhouse'em czy którymkolwiek spośród pięćdziesięciu ludzi mających uzasadniony powód, by pozbawić mnie życia, to czy długo udawałoby mi się umykać przed Sherlockiem Holmesem? Jakieś wezwanie, jakiś fikcyjny nakaz stawienictwa i sprawa byłaby załatwiona. To dobrze, że takie mgły nie występują w krajach latynoskich, gdzie zabójstwo jest zjawiskiem niemal powszednim. Na Jowisza! Oto wreszcie mamy coś, co może przerwie śmiertelną monotonię naszego bytowania!

Weszła służąca z telegramem w ręce. Holmes rozerwał go i wybuchnął śmiechem.

— Proszę, proszę. No i co? — zawołał. — Mój brat Mycroft zamierza nas odwiedzić.

— A co w tym niezwykłego?

— Co w tym niezwykłego? To przecież tak, jakby się spotkało tramwaj na wiejskiej ścieżce. Mycroft porusza się po swoich szynach. Jego trasa biegnie po okręgu od mieszkania przy Pali Mali poprzez Klub Diogenesa do Whitehall. U mnie był jeden jedyny raz. Jakież to wstrząs mógł sprawić, że się wykoleił?

— Czy tego nie wyjaśnia?

Holmes wręczył mi telegram od brata: **MUSZĘ SIĘ Z TOBĄ SPOTKAĆ W SPRAWIE CADOGANA WESTA. PRZYJEŹDŹAM NATYCHMIAST — MYCROFT.**

— Cadogan West? Słyszałem to nazwisko.

— Mnie z niczym się ono nie kojarzy. Ale że też Mycroft zdecydował się na dziwaczny wyjazd! Równie dobrze planeta mogłaby opuścić swą orbitę. A tak przy okazji — czy wiesz, kim jest Mycroft?

Kojarzyłem sobie niejasno jego osobę ze sprawą „Greckiego tłumacza”.

— Mówiłeś mi, że pełnił jakąś skromną funkcję przy brytyjskim rządzie. Holmes zachichotał.

— W tamtym czasie nie znałem cię jeszcze zbyt dobrze. A kiedy się rozmawia o sprawach wagi państwowej, należy zachować dyskrecję. Masz w pewnym sensie rację, mówiąc, że pozostaje w służbie brytyjskiego rządu. Miałbyś również rację, gdybyś powiedział, że od czasu do czasu brat mój jest brytyjskim rządem.

— Co też ty mówisz, drogi Holmesie!

— Wiedziałem, że to cię zaskoczy. Mycroft odbiera roczne wynagrodzenie w wysokości czterystu pięćdziesięciu funtów, niezmiennie piastuje podrzędne stanowisko, nie ma jakichś ambicji, nie doczeka się żadnych zaszczytów czy tytułów, a jednak pozostaje w skali kraju człowiekiem niezastąpionym.

— Ale dlaczego?

— No cóż, jego pozycja jest wyjątkowa. Sam ją sobie wypracował. Czegoś takiego nie było nigdy przedtem ani też nie powtórzy się w przyszłości. Mój brat posiada w najwyższym stopniu metodyczny i uporządkowany umysł o znakomitej zdolności do selekcji faktów, przewyższając pod tym względem wszystkich współczesnych sobie ludzi. Te same wspaniałe talenty, którymi ja posługuję się w tropieniu zbrodni, on spożytkowuje w owej szczególnej dziedzinie. Do niego kierowane są sprawozdania wszystkich departamentów, on zaś spełnia rolę centrali, biura rozrachunkowego, które dokonuje bilansu. Zwykli ludzie specjalizują się w różnych dziedzinach, a jego specjalizacją jest wszechwiedza. Załóżmy, że jakiemuś ministrowi potrzebne są informacje na temat, który łączy w sobie zagadnienia związane z marynarką wojenną, Indiami, Kanadą i problemem bimetalizmu. Mógłby ich poszukiwać po kolei w różnych departamentach, ale tylko Mycroft potrafi je połączyć, określając jednocześnie współzależności występujące między tymi elementami. Początkowo traktowano go jako pożytecznego pomocnika, dziś stał się człowiekiem instytucją. We wspaniałym mózgu mego brata wszystko jest zaszufladkowane i dostępne na zawołanie. Jego opinia wielokrotnie wpływa na kształt polityki państwa. Ta praca jest treścią jego życia. Pochłania go bez reszty, a jedynym odprężeniem dla niego są ćwiczenia umysłowe, którym się oddaje, kiedy go odwiedzam, by zasięgnąć rady w związku z jakimś moim problemem. Ale dziś bóstwo zstępuje na ziemię. Cóż to, u licha, może oznaczać? Kim jest Cadogan West i jaki ma związek z Mycroftem?

— Mam! — krzyknąłem i rzuciłem się ku rozrzuconym na sofie gazetom. — Tak, tak, z całą pewnością! Cadogan West to ów młody człowiek, którego zwłoki znaleziono w kolei podziemnej we wtorek rano.

Holmes nastawił ucha, a jego ręka niosąca fajkę do ust znieruchomiała w połowie drogi.

— To musi być coś poważnego, Watsonie. Jeżeli ta śmierć wytrąca mego brata z jego ustalonego trybu życia, to znaczy, że wydarzenie ma wyjątkowy charakter. Co, na Boga, może on mieć z tym wspólnego? O ile dobrze pamiętam, przypadek wydaje się dość banalny. Młodzieniec najwyraźniej wypadł z pociągu i się zabił. Nie został okradziony i nie było żadnego powodu, aby podejrzewać, że ktoś mógł użyć wobec niego przemocy. Czyż nie tak?

— Wszczęto śledztwo — rzekłem — i wyszło na jaw wiele nowych faktów. Przyjrawszy się temu bliżej, muszę jednak stwierdzić, że jest to z pewnością niezwykła sprawa.

— Sądząc z reakcji mego brata, jest to sprawa w najwyższym stopniu niezwykła — Holmes skulił się w swoim fotelu. — Przyjrzyjmy się więc faktom, Watsonie.

— Mężczyzna ów nazywał się Arthur Cadogan West. Miał dwadzieścia osiem lat, był kawalerem i pracował jako urzędnik w Zbrojowni Królewskiej Akademii Wojskowej w Woolwich.

— Posada rządowa. I oto mamy ogniwo łączące go z moim bratem Mycroftem!

— Woolwich opuścił w poniedziałek wieczorem. Ostatnią osobą, która go widziała, jest jego narzeczona, panna Violet Westbury, którą nagle pozostawił około siódmej trzydzieści wieczorem i zniknął we mgle. Między tymi dwojgiem nie doszło do żadnej sprzeczki i kobieta nie potrafi podać żadnego powodu takiego zachowania. Następną informacją o panu Weście związana już była ze znalezieniem jego zwłok przez torowego o nazwisku Mason tuż za stacją Aldgate londyńskiej kolei podziemnej.

— Kiedy to nastąpiło?

— Ciało znaleziono we wtorek o szóstej rano. Leżało dość daleko od szyn po lewej stronie toru, jeśli się jedzie w kierunku wschodnim, niedaleko od stacji, przy wylocie tunelu. Głowa zmarłego była fatalnie pogruchotana, najprawdopodobniej mężczyzna wypadł z pociągu. Tylko w ten sposób ciało mogło się znaleźć na torach. Gdyby je bowiem ktoś próbował tu przenieść z jednej z pobliskich ulic, musiałby przejść przez barierki, przy których zawsze stoi kontroler biletów. To wydaje się całkowicie pewne.

— Doskonale. Sprawa jest całkiem jasna. Mężczyzna — żywy lub martwy — albo wypadł, albo został wypchnięty z pociągu. Jak dotąd, nie budzi to moich wątpliwości. Mów dalej.

— Pociągi jadące po torach, przy których znaleziono ciało, zacierają z zachodu na wschód; część z nich to składy wyłącznie miejskie, inne jadą z Willesden i bardziej odległych stacji. Można przyjąć bez ryzyka, że ten młodzieniec jechał w tym właśnie kierunku w późnych godzinach wieczornych, niemożliwością jest jednak ustalenie, na której stacji wsiadł do pociągu.

— Mógłby nam to, oczywiście, powiedzieć jego bilet.

— W kieszeniach nie miał żadnego biletu.

— Żadnego biletu! Ależ mój drogi Watsonie, rzecz to zaiste niezwykła. Wiem z własnego doświadczenia, że nie ma możliwości wejścia na peron kolei podziemnej bez okazania biletu. A więc przypuszczalnie młodzieniec miał go przy sobie. Czyżby mu go jednak wyjęto z kieszeni w celu ukrycia nazwy stacji, na której wsiadł do pociągu? Możliwe. To jednak ciekawe. Jeśli się nie mylę — nie stwierdzono żadnych oznak rabunku?

— Najwyraźniej nie. Oto spis przedmiotów, które miał przy sobie. Sakiewka, a w niej dwa funty piętnaście szylingów. Książeczka czekowa oddziału Capital and Counties Bank w Woolwich. Dzięki temu ustalono jego tożsamość. Dwa bilety na pierwszy balkon do teatru w Woolwich na ten właśnie wieczór. Poza tym mały pakiet dokumentów technicznych. Holmes wydał okrzyk zadowolenia.

— No więc jesteśmy w domu, Watsonie! Brytyjski rząd, Zbrojownia Akademii Wojskowej w Woolwich, mój brat Mycroft... i koło się zamyka. Ale jeśli mnie słuch nie myli, mój braciszek właśnie nadchodzi, by przemówić we własnym imieniu.

Po chwili służący wprowadził do pokoju wysokiego i korpulentnego Mycrofta Holmesa. Jego zwalista sylwetka sugerowała prostacką gnuśność, jednak ów niezgrabny tułów zwieńczała głowa o władczym czole, z której czujnie spoglądały szare głęboko osadzone oczy, a w wykroju ust i subtelnym wyrazie twarzy kryła się taka stanowczość, że natychmiast zapominało się o jego otyłym korpusie, pamiętając jedynie o sile umysłu tego człowieka.

Tuż za nim wkroczył nasz stary przyjaciel Lestrade ze Scotland Yardu — szczupły i z wyrazem surowości na twarzy. Ich poważne miny świadczyły, że sprowadza ich do nas jakaś niebywała sprawa. Detektyw bez słowa uściśnął dłonie przybyłych. Mycroft Holmes wyswobodził się z płaszcza i opadł na fotel.

— To nadzwyczaj irytujące śledztwo, Sherlocku — powiedział. — Straszliwie nie lubię zmieniać swoich przyzwyczajzeń, ale zwierzchnictwo nie przyjmuje żadnych sprzeciwów. Z

powodu skomplikowanej sytuacji w Syjamie moja nieobecność w biurze jest wysoce niewskazana, mamy jednak prawdziwy kryzys. Nigdy jeszcze nie widziałem premiera tak zaniepokojonego. A w Ministerstwie Marynarki Wojennej wrze jak w przewróconym ulu. Czy zaznajomiłeś się ze sprawą?

— Tak, zrobiliśmy to. Cóż to były za techniczne dokumenty?

— W tym właśnie sęk! Na szczęście nie zostało to ujawnione. W przeciwnym wypadku prasa by oszalała. Dokumenty, które ten nieszczęśnik miał w kieszeni, były planami łodzi podwodnej Bruce'a-Partingtona.

Mycroft Holmes mówił z namaszczeniem wskazującym na powagę sytuacji. Obaj z Sherlockiem siedzieliśmy, czekając na ciąg dalszy.

— Z pewnością o tym słyszałeś. Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą.

— Coś tam słyszałem.

— Znaczenia tego projektu nie da się przecenić. To jedna z najbardziej zazdrośnie strzeżonych tajemnic państwowych. Możesz mi wierzyć, że w strefie działania łodzi Bruce'a-Partingtona prowadzenie przez przeciwników operacji wojennych na morzu staje się niemożliwe. Przed dwoma laty przemycono w budżecie ogromną sumę, która została wydana na uzyskanie wyłączności na ten wynalazek. Podjęto wszelkie wysiłki dla zachowania tajemnicy. Plany o niezwykłym stopniu skomplikowania i zawierające około trzydziestu oddzielnych patentów, z których każdy ma istotne znaczenie dla działania całości, trzymane są w specjalnie do tego celu zbudowanym sejfie, w tajnym biurze przylegającym do Zbrojowni i zabezpieczonym antywłamaniowymi drzwiami. Planów tych nie wolno było pod żadnym pozorem wynosić na zewnątrz. Nawet główny konstruktor marynarki wojennej, chcąc je przejrzeć, musiał osobiście przyjeżdżać do Woolwich. A jednak znaleźliśmy je w kieszeni martwego urzędnika niewysokiej rangi w samym sercu Londynu. Z oficjalnego punktu widzenia fakt wręcz przerażający.

— Ale je przecież odzyskaliście?

— Nie, Sherlocku, niestety! W tym właśnie rzecz. Nie mamy ich. Z Woolwich zabrano dziesięć dokumentów. W kieszeniach Cadogana Westa było ich siedem. Trzy najważniejsze zniknęły, zostały skradzione. Sherlocku, musisz teraz wszystko zostawić. Zapomnij o swych codziennych błahych zagadkach. Masz do rozwiązania problem wielkiej wagi, problem o skali międzynarodowej. Dlaczego Cadogan West zabrał dokumenty, gdzie są te brakujące, w jaki sposób West zginął, dlaczego właśnie tam znaleziono jego zwłoki, czy jest możliwe naprawienie tego zła? Znajdź odpowiedzi na te pytania, a dobrze przysłużysz się swojemu krajowi.

— Czemu sam się tym nie zajmiesz, Mycroftie? Poradziłbyś sobie nie gorzej ode mnie.

— Możliwe, Sherlocku. Ale miałbym kłopoty ze zdobywaniem informacji. Dostarcz mi je, a ja, nie ruszając się z fotela, odwzajemnię ci się wyborną fachową opinią. Ale biegać tu i tam, przesłuchiwać strażników kolejowych, czołgać się po ziemi z lupą przy oku — to nie należy do mojego *metier*. Nie, to ty jesteś człowiekiem, który potrafi załatwiać takie sprawy. Gdyby sprawiło ci przyjemność odnalezienie swego nazwiska na najbliższej liście odznaczeń...

Mój przyjaciel uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową.

— Ja podejmuję grę wyłącznie dla samej gry — rzekł. — Jednak ta sprawa zawiera niewątpliwie pewne ciekawe aspekty i z wielką przyjemnością przyjrę się jej dokładnie. Proszę o więcej faktów.

— Bardziej istotne wypunktowałem na tej kartce, dodając kilka adresów, które możesz uznać za przydatne. Obecnym dysponentem tych dokumentów jest słynny ekspert rządowy, sir James Walter — same jego odznaczenia i tytuły wypełniają dwa wiersze w encyklopedii.

W służbie państwowej dorobił się siwizny, jest dżentelmenem, pierwszym gościem najświetniejszych salonów, a przede wszystkim człowiekiem, w którego patriotyzm nikt nie

wątpi. Jest jednym z dwóch ludzi posiadających klucze do sejfu. Mogę dodać, że kiedy sir James opuszczał biuro w poniedziałek około godziny trzeciej po południu, zabierając ze sobą klucz do sejfu, dokumenty z całą pewnością były na swoim miejscu. Przez cały ten wieczór, kiedy się to wszystko wydarzyło, przebywał on w Londynie w domu admirała Sinclaira przy Barclay Square.

— Czy zostało to sprawdzone?

— Tak. Brat sir Jamesa, pułkownik Valentine Walter, potwierdził jego wyjazd z Woolwich, a admirał Sinclair jego przyjazd do Londynu. Tak więc sir Jamesa nie należy bezpośrednio łączyć z tą sprawą.

— Kim jest drugi dysponent klucza?

— To kierownik biura, kreślarz, pan Sidney Johnson. Ma czterdzieści lat, żonaty, ojciec pięciorga dzieci. Jest spokojnym człowiekiem o ponurym usposobieniu, jednak jako urzędnik państwowy cieszy się znakomitą opinią. Nie jest lubiany przez kolegów, ale wyróżnia się pracowitością. Według jego własnych zeznań, potwierdzonych jedynie przez żonę, po pracy w biurze przez cały poniedziałkowy wieczór przebywał w domu, a klucz ani na chwilę nie został zdjęty z łańcuszka od zegarka, na którym zawsze wisi.

— Opowiedz nam o Cadoganie Weście.

— W służbie państwowej pozostawał od dziesięciu lat i pracę swą wykonywał sumiennie. Miał opinię człowieka zapalczywego i gwałtownego, ale zarazem prostolinijnego i uczciwego. Nie znajdujemy niczego, co by go obciążało. Pod względem hierarchii zajmował w biurze drugą pozycję po Sidneyu Johnsonie. Zakres jego obowiązków zmuszał go do codziennej bezpośredniej styczności z planami łodzi podwodnej. Nikt więcej nie brał ich do ręki.

— Kto zamknął sejf tamtego wieczoru?

— Pan Sidney Johnson.

— No cóż, jest więc absolutnie jasne, kto zabrał dokumenty. Ostatecznie zostały znalezione przy podwładnym Johnsona, Cadoganie Weście. Wygląda to na argument rozstrzygający, czyż nie?

— Tak, Sherlocku. A jednak wiele pozostaje tu do wyjaśnienia. Po pierwsze: dlaczego je zabrał?

— Domyślam się, że były cenne?

— Mógł za nie bez trudu dostać kilka tysięcy funtów.

— A jak sądzisz, czy poza chęcią zysku mógł mieć jakiś inny sensowny powód zabrania tych dokumentów do Londynu?

— Nie.

— A zatem musimy to przyjąć jako naszą hipotezę roboczą. Dokumenty zabrał młody West. Ale mógł tego dokonać tylko za pomocą dorobionego klucza...

— Kilku dorobionych kluczy. Musiał otworzyć drzwi do budynku i do pokoju.

— Miał więc kilka kluczy. Zabrał dokumenty do Londynu, aby sprzedać tajemnicę, zamierzając bez wątpienia umieścić same plany z powrotem w sejfie nazajutrz rano, zanim zostanie odkryty ich brak. I gdy był w Londynie, w trakcie tej zdradzieckiej wyprawy, dosięgła go śmierć.

— Jak to się stało?

— Przyjmijmy, że został zabity i wyrzucony z przedziału, kiedy wracał do Woolwich.

— Aldgate, gdzie znaleziono ciało, leży dość daleko za stacją London Bridge, która znajdowałaby się na jego trasie.

— Można sobie wyobrazić wiele okoliczności, w jakich przejechałby London Bridge. W wagonie mógł być na przykład ktoś, z kim rozpoczął ożywioną rozmowę, która doprowadziła do gwałtownej sprzeczki i w konsekwencji do jego śmierci. Być może próbował uciec,

wypadł na tory, gdzie stracił życie. Ten drugi zamknął drzwi. Panowała gęsta mgła i nikt niczego nie zauważył.

— Przy obecnym stanie naszej wiedzy trudno o lepsze wytłumaczenie; weź jednak pod uwagę, Sherlocku, jak wielu spraw jeszcze nawet nie dotknęliśmy. Przyjmijmy hipotetycznie, że młody Cadogan West rzeczywiście był zdecydowany przewieźć te dokumenty do Londynu. Wyznaczyłby oczywiście spotkanie z agentem obcego wywiadu i zarezerwowałby na to wolny wieczór. A on kupił dwa bilety do teatru, towarzyszył swej narzeczonej przez pół drogi, a następnie zniknął.

— Podstęp — powiedział Lestrade, który przysłuchiwał się naszej rozmowie z pewnym zniecierpliwieniem.

— Wielce osobliwy. Jest to zastrzeżenie numer jeden. Zastrzeżenie numer dwa: przyjmijmy, że West dociera do Londynu i spotyka się z obcym agentem. Musi odnieść dokumenty z powrotem, zanim zostanie odkryte ich zniknięcie. Zabrał ich dziesięć. W jego kieszeni było tylko siedem. Co się stało z pozostałymi trzema? Z pewnością nie zostawił ich z własnej i nieprzymuszonej woli. I dalej — ile mu zapłacono? Należałoby się spodziewać, że w jego kieszeni znajdziemy pokazną sumę pieniędzy.

— Mnie wydaje się to całkowicie jasne — rzekł Lestrade.

— Nie mam żadnych wątpliwości co do przebiegu zdarzeń. West zabrał plany, żeby je sprzedać. Spotkał się z agentem. Nie mogli się dogadać co do ceny. Wyruszył więc w drogę powrotną, ale agent podążył za nim. W pociągu szpieg zamordował go, odebrał najważniejsze dokumenty i wyrzucił ciało z wagonu. To by wszystko tłumaczyło, prawda?

— Dlaczego nie miał biletu?

— Bilet by zdradzał, jaka stacja znajduje się najbliżej domu agenta. A więc zabójca wyjął go z kieszeni zabitego.

— Doskonale, Lestrade, znakomicie — powiedział Holmes.

— Pańska teoria ma ręce i nogi. Ale jeśli to prawda, sprawa jest zakończona. Z jednej strony, zdrajca nie żyje, z drugiej — plany łodzi podwodnej Bruce'a-Partingtona prawdopodobnie znajdują się już na kontynencie. Co mamy teraz robić?

— Działać, Sherlocku, działać! — zawołał Mycroft, zrywając się na nogi. — Moja intuicja sprzeciwia się takiej interpretacji. Użyj swoich talentów! Pojedź na miejsce zbrodni! Spotkaj się z ludźmi, którzy mają z tym coś wspólnego! Porusz każdy kamień. W całej swej karierze nie miałeś tak wspaniałej okazji do przysłużenia się ojczyźnie.

— No dobrze już, dobrze — rzekł Holmes, wzruszając ramionami. — Chodźmy, Watsonie! A czy pan, Lestrade, byłby łaskaw nam towarzyszyć przez godzinę lub dwie? Nasze śledztwo, Mycroftcie, rozpoczniemy od wizyty na stacji Aldgate. Sprawozdanie przedstawię ci przed wieczorem, ale z góry przestrzegam przed zbyt dużymi oczekiwaniami.

Godzinę później Holmes, Lestrade i ja staliśmy na torach kolejki podziemnej w miejscu, w którym wynurza się ona z tunelu tuż przed stacją Aldgate. Uprzejmy, rumiany, starszy dżentelmen, z którym rozmawialiśmy, reprezentował spółkę kolejową.

— To właśnie tu leżały zwłoki tego młodego człowieka — wyjaśnił, wskazując miejsce odległe o jakieś — trzy stopy od szyn. — Nie mogły one spaść z góry, ponieważ, jak panowie widzą, są to wszystko ślepe ściany. A zatem mogły tylko wypaść z pociągu, a ów pociąg, możemy to określić w przybliżeniu, musiał tędy przejeżdżać około Północy w poniedziałek.

— Czy wagony zostały zbadane pod kątem ewentualnych śladów stoczonej walki?

— Nie było żadnych takich śladów, nie znaleziono też żadnego biletu.

— Nie odnotowano też otwartych drzwi?

— Nie.

— Dziś rano pojawił się nowy dowód — powiedział Lestrade. — Pewien pasażer zwykłej miejskiej kolejki, który mijał Aldgate około godziny jedenastej czterdzieści w poniedziałek,

twierdzi, że na krótko przed dotarciem pociągu do stacji usłyszał głuchy odgłos, jak gdyby coś ciężkiego grzmotnęło o torowisko. Jednak gęsta mgła nie pozwalała niczego dostrzec. Wtedy nie powiadomił o tym nikogo. Ale co się dzieje z panem Holmesem?

Mój przyjaciel z wyrazem wielkiego napięcia na twarzy wpatrywał się w szyny kolejowe w miejscu, gdzie, zataczając łuk, wyłaniały się z tunelu. Aldgate to stacja węzłowa z wieloma zwrotnicami. I to właśnie w te zwrotnice Holmes wbijał swe żywe, badawcze spojrzenie, a jednocześnie na jego czujnej twarzy dostrzegłem tak dobrze mi znane zaciśnięcie ust, drżenie nozdrzy i ściągnięcie krzaczastych brwi.

— Zwrotnice — mruknął — zwrotnice...

— Co pan ma na myśli?

— Domyślam się, że londyńska kolej nie ma zbyt wielu zwrotnic?

— Nie, jest ich niewiele.

— No i zakręt. Zwrotnica i zakręt. Na Jowisza! Gdyby to było tylko to...

— Co takiego, panie Holmes? Czy ma pan jakiś trop?

— Pewną myśl... wskazówkę, nic więcej. Sprawa jednak nabiera rumieńców. Jest wyjątkowa, absolutnie wyjątkowa, ale jakże by miało być inaczej? Nie dostrzegam na torach żadnych śladów krwi.

— Nie było ich prawie wcale.

— Ale domyślam się, że rana musiała być poważna.

— Kość została zmiądzona, ale obrażenia zewnętrzne były niewielkie.

— Należałoby się jednak spodziewać jakiegoś krwawienia. Czy byłoby możliwe, abym obejrzał pociąg wiozący pasażera, który słyszał głuchy odgłos upadku we mgle?

— Obawiam się, że nie, panie Holmes. Pociąg ten został już rozłączony, a poszczególne wagony porozdzielane do innych składów.

— Mogę pana zapewnić, panie Holmes — rzekł Lestrade — że każdy z wagonów został starannie zbadany. Sam tego dopilnowałem.

Jedną z niewątpliwych słabych stron mego przyjaciela było okazywanie zniecierpliwienia wobec osób, które przewyższał lotnością inteligencji.

— Bardzo prawdopodobne — stwierdził, odwracając się.

— Ale tak się składa, że bynajmniej nie ten pociąg pragnąłem obejrzeć. Watsonie, zrobiliśmy tu wszystko, co do nas należało. Nie ma już potrzeby dalszego fatygowania pana Lestrade'a. Uważam, że z naszym śledztwem musimy się teraz przenieść do Woolwich.

Na stacji London Bridge Holmes wysłał do swego brata telegram, który wcześniej dał mi do wglądu. Brzmiał on następująco:

WIDZĘ PEWNĄ ISKIERKĘ NADZIEI, KTÓRA MOŻE JEDNAK ZGASNAĆ. NA RAZIE PROSZĘ CIĘ, PRZYŚLIJ PRZEZ KOGOŚ NA BAKER STREET PEŁNĄ LISTĘ WSZYSTKICH AGENTÓW OBCYCH WYWIADÓW, O KTÓRYCH WIADOMO, ŻE PRZEBYWAJĄ TERAZ W ANGLII, WRAZ Z DOKŁADNYMI ADRESAMI. SHERLOCK.

— To nam powinno pomóc, Watsonie — zauważył Holmes, kiedy zajęliśmy miejsca w pociągu do Woolwich. — Mamy wobec mego brata Mycrofta dług wdzięczności za to, że wciągnął nas w sprawę, która zapowiada się na absolutnie niezwykłą.

Na jego ożywionej twarzy wciąż jeszcze gościł ów wyraz wielkiego nerwowego napięcia, który mi mówił, że jakaś ważna okoliczność pchnęła jego rozumowanie na obiecujące tory. Jeśli się zestawi widok wyżła z obwisłymi uszami i opadłym ogonem, wałęsającego się wokół psiej budy, z obrazem tego samego zwierzęcia, gdy z pałającymi ślepiami i napiętymi mięśniami pędzi świeżym tropem — otrzyma się wyobrażenie o zmianie, jaka zaszła w Holmesie tego ranka. Był zupełnie innym człowiekiem w porównaniu z pozbawionym sił,

gnuśnym osobnikiem w szlafroku w mysim kolorze, który zaledwie kilka godzin wcześniej snuł się niespokojnie po uwiezionym we mgle pokoju.

— Tu jest materiał, pole do działania — powiedział. — Wykazałem prawdziwą tępotę, skoro nie rozumiałem, jakie mi to daje szansę.

— Dla mnie to wszystko jest nadal niejasne.

— Finał pozostaje niewiadomą również dla mnie, ale trzymam się pewnej myśli, która może zaprowadzić nas daleko. Ten człowiek zmarł gdzie indziej, a jego ciało było na dachu wagonu.

— Na dachu?!

— Ciekawe, prawda? Ale rozważmy fakty. Czy przypadkiem jest, że zwłoki znaleziono w tym właśnie miejscu, gdzie pociąg podskakuje i kołysze się na zwrotnicy? Można by się spodziewać, że gdyby na dachu leżał jakiś przedmiot, to spadłby właśnie w tym miejscu. Zwrotnica nie miałaby żadnego znaczenia dla obiektów znajdujących się wewnątrz pociągu. Albo ciało spadło z dachu, albo doszło do osobliwego zbiegu okoliczności. Teraz jednak zastanówmy się nad tą krwią. Oczywiście nie byłoby jej śladów na torowisku, gdyby ciało wykrwawiło się gdzie indziej. Już każdy fakt oddzielnie daje wiele do myślenia, połączone nabierają jeszcze większego znaczenia.

— No i ten bilet! — krzyknąłem.

— Właśnie. Nie potrafiliśmy sobie wytłumaczyć braku biletu. A to by ten fakt wyjaśniało. Wszystko do siebie pasuje.

— Jednak przy założeniu, że tak właśnie było, wciąż jeszcze jesteśmy równie daleko od wyjaśnienia tajemnicy śmierci Westa. A tak naprawdę sprawa nie staje się bynajmniej prostsza, lecz jeszcze bardziej zagadkowa.

— Zapewne — rzekł w zamyśleniu Holmes. — Zapewne. Zapadł w milczącą zadumę, która trwała aż do chwili, kiedy wlokący się pociąg stanął na stacji Woolwich. Tam przywołał dorózkę i wyjął z kieszeni kartkę Mycrofta.

— Mamy do złożenia kilka popołudniowych wizyt — rzekł. — Sądzę, że jako pierwszy na naszą uwagę zasługuje sir James Walter.

Dom słynnego dygnitarza był piękną willą z zielonym trawnikiem rozciągającym się do samego brzegu Tamizy. Kiedy tam dotarliśmy, mgła już się podnosiła i przebijały przez nią wątle promienie słońca. Na nasz dzwonek pojawił się kamerdyner.

— Sir James?! Ależ proszę pana — powiedział pełen smutku. — Sir James umarł dziś rano.

— Wielkie nieba! — krzyknął osłupiały Holmes. — Na co zmarł?

— Może pan zechce wejść i porozmawiać z jego bratem, Pułkownikiem Valentine'em?

— Tak, powinniśmy to uczynić.

Zostaliśmy wprowadzeni do słabo oświetlonego salonu. Po chwili pojawił się bardzo wysoki, przystojny pięćdziesięcioletni mężczyzna z jasną brodą — młodszy brat zmarłego naukowca. Jego nieprzytomny wzrok, plamy na policzkach, rozwichrzone włosy świadczyły o nagłym nieszczęściu, jakie spadło na ten dom. Mówienie o tym sprawiało mu wyraźną trudność.

— To potworny skandal — powiedział. — Mój brat, sir James, był niezwykle wyczulony na punkcie swego honoru i nie potrafił tego znieść. Pękło mu serce. Zawsze się szczyił sprawnością działania swego departamentu, był to więc dla niego prawdziwy cios.

— Mielśmy nadzieję, że będzie mógł nam udzielić pewnych wskazówek, które byłyby pomocne w wyjaśnieniu tej sprawy.

— Zapewniam pana, że było to dla niego tajemnicą w nie mniejszym stopniu niż dla nas wszystkich. Całą swą wiedzę na ten temat przekazał już policji. Oczywiście, nie miał żadnych wątpliwości co do winy Cadogana Westa. Jednak cała reszta była dlań zupełnie niezrozumiała.

— Pan nie może rzucić nowego światła na tę sprawę?

— Nie wiem nic poza tym, co przeczytałem i usłyszałem. Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale pan rozumie, panie Holmes, że przeżywamy w tej chwili wielki wstrząs, i muszę pana prosić o rychłe zakończenie tej rozmowy.

— To doprawdy nieoczekiwany obrót spraw — rzekł mój przyjaciel, gdy ponownie znaleźliśmy się w dorożce. — Jestem ciekaw, czy była to śmierć naturalna, czy też ten nieszczęśnik sam targnął się na swoje życie! Jeśli w grę wchodzi ta druga możliwość, mogło to oznaczać jakieś wyrzuty sumienia spowodowane zaniedbaniem obowiązków. Tę kwestię odłożymy na później. Teraz musimy się zająć Cadoganem Western.

Matka zamordowanego mieszkała w niewielkim, lecz schludnym domku na obrzeżach miasta. Zrozpaczona po stracie syna, sparaliżowana bólem starsza pani nie była w stanie służyć nam jakąkolwiek pomocą, ale towarzyszyła jej bladolica młoda kobieta, która przedstawiła się jako panna Violet Westbury, naręczona Westa. Była ostatnią osobą, która go widziała tamtego fatalnego wieczoru.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć, panie Holmes — powiedziała. — Od czasu tej tragedii nie zmrużyłam oka, dzień i noc myślę o tym, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi. Arthur był najuczciwszym, najbardziej szlachetnym człowiekiem na świecie, oddanym swojej ojczyźnie bez reszty. Prędzej dałby sobie uciąć rękę, niżby sprzedał tajemnicę państwową powierzoną jego pieczy. Dla każdego, kto go znał, jest to rzecz absurda, niemożliwa i niedorzeczna.

— Ale fakty, panno Westbury?

— Tak, tak, przyznaję, że nie potrafię ich wytłumaczyć.

— Czy odczuwał brak pieniędzy?

— Nie. Jego potrzeby były skromne, a pensja wystarczająca. Zaoszczędził kilkaset funtów i mieliśmy się pobrać w Nowy Rok.

— Nie zauważyła pani u niego oznak jakiegoś umysłowego wzburzenia? Panno Westbury, proszę o absolutną szczerłość wobec nas.

Bystre oko mego przyjaciela dostrzegło pewną zmianę w jej zachowaniu. Pokryła się rumieńcem i zawahała.

— Tak — powiedziała wreszcie. — Miałam wrażenie, że czymś się martwi.

— Od dawna?

— Mniej więcej od tygodnia. Pograżał się w myślach i wydawał się zatroskany. Kiedyś skłoniłam go do rozmowy na ten temat. Przyznał, że jest pewien powód, ale wiąże się on z jego sprawami służbowymi. „To zbyt poważne, aby o tym mówić, nawet z tobą” — powiedział. Niczego więcej nie zdołałam się dowiedzieć. Holmes sposepniał.

— Proszę mówić dalej, panno Westbury. Nawet gdyby się pani wydawało, że to może świadczyć przeciw niemu. Nie potrafimy przewidzieć, do czego nas to zaprowadzi.

— Ja doprawdy nie mam nic więcej do powiedzenia. Raz lub dwa odniosłam wrażenie, że chciał mi się zwierzyć. Pewnego wieczoru mówił coś o tym, jak ważną tajemnicę powierzono jego pieczy, i chyba wspominał, że szpiedzy z pewnością słono by zapłacili, aby ją posiadać.

Twarz mego przyjaciela sposepniała jeszcze bardziej.

— Czy coś jeszcze?

— Powiedział, że jesteśmy w tych sprawach bardzo niefrasobliwi i że zdrajca nie miałby trudności ze zdobyciem tych planów.

— Czy uwagi te poczynił niedawno?

— Tak, całkiem niedawno.

— Teraz proszę powiedzieć o ostatnim wieczorze.

— Mieliśmy iść do teatru. Mgła była tak gęsta, że dorożka nie wchodziła w grę. Poszliśmy pieszo i nasza droga wypadła w pobliżu jego biura. Nagle Cadogan ruszył pędem przed siebie i zniknął we mgle.

— Bez słowa?

— Krzyknął coś tylko. Czekałam na niego, ale już się nie pojawił. Wróciłam pieszo do domu. Nazajutrz rano po otwarciu biura rozpoczęto śledztwo. Około dwunastej usłyszeliśmy tę straszną wiadomość. Ach, panie Holmes, jeśli pan tylko zdoła ocalić jego honor! Honor tak wiele dla niego znaczył.

Holmes ze smutkiem pokręcił głową.

— Chodźmy, Watsonie — rzekł. — Rozwiązań musimy szukać gdzie indziej. Naszym następnym przystankiem będzie biuro, z którego zabrano dokumenty.

— Już wcześniej przed tym młodzieńcem rysowały się niewesołe perspektywy, ale nasze dociekania uczyniły je jeszcze bardziej ponurymi — zauważył, gdy dorożka ruszyła ociężale. — Ten jego rychły ślub dostarcza motywu do popełnienia przestępstwa. Niewątpliwie potrzebował pieniędzy. Myśl o sprzedaży planów musiała zaprzętać mu głowę, ponieważ mówił o tym narzeczonej. Nieomal uczynił z dziewczyny swą współniczkę w popełnieniu zdrady, mówiąc jej o swoich zamiarach. Wszystko to wygląda bardzo źle.

— Ale przecież jego szlachetny charakter ma tu jakieś znaczenie? I czy nie jest zastanawiające, że tak nagle zostawił dziewczynę na ulicy i pognął do biura, żeby popełnić przestępstwo?

— No właśnie! Istnieją z pewnością kontrargumenty. Ale musiałyby one obalić mocno obciążający go materiał dowodowy.

Pan Sidney Johnson, kierownik biura, przyjął nas z respektem, jaki zawsze wywołuje wizytówka mego przyjaciela. Był to szczupły, mrukliwy mężczyzna w średnim wieku. Jego zapadłe policzki i drżące ręce świadczyły, w jak wielkim nerwowym napięciu musiał pozostawać w ostatnim czasie.

— Co za nieszczęście, panie Holmes, jakie wielkie nieszczęście! Słyszał pan już o śmierci szefa?

— Właśnie wracamy z jego domu.

— Tutaj panuje okropny chaos. Szef nie żyje, Cadogan West nie żyje, dokumenty skradzione. A przecież jeszcze poniedziałek wieczorem, kiedy zamykaliśmy drzwi, byliśmy biurem równie sprawnym, jak wszystkie pozostałe służby rządowe. Mój Boże, aż strach o tym pomyśleć! Że też to właśnie West mógł zrobić coś takiego!

— Jest pan zatem przekonany o jego winie?

— Nie widzę innej możliwości. A przecież ufałem mu jak sobie samemu.

— O której godzinie w poniedziałek zostało zamknięte biuro?

— O piątej.

— Czy to pan je zamykał?

— Zawsze wychodzę jako ostatni.

— Gdzie znajdowały się plany?

— W sejfie. Włożyłem je tam osobiście.

— Czy budynku nikt nie pilnuje?

— Jest stróż, ale do jego obowiązków należy doglądanie również innych departamentów. Jest to stary żołnierz, człowiek godny najgłębszego zaufania. Niczego wówczas nie zauważył. Oczywiście panowała bardzo gęsta mgła.

— Przypuśćmy, że Cadogan West chciał się dostać do budynku po godzinach pracy. Potrzebowałby trzech kluczy, aby dotrzeć do dokumentów, prawda?

— Tak: klucza do drzwi zewnętrznych, klucza do biura i klucza do sejfu.

— Klucze znajdowały się w posiadaniu tylko sir Jamesa Waltera i pana?

— Ja nie miałem kluczy do drzwi, a jedynie do sejfu.

— Czy sir James nigdy nie odstępował od swoich zwyczajów?

— Nie, myślę, że nigdy. Wiem, że te trzy klucze trzymał na jednym kółku. Nieraz to widziałem.

— I te wszystkie klucze na kółku zabierał ze sobą do Londynu?

— Tak mówił.

— A pan ze swoim kluczem nigdy się nie rozstawał?

— Nigdy.

— A więc West, jeśli to on jest przestępcą, musiał mieć duplikaty. Tymczasem nie znaleziono przy nim ani jednego klucza. I inna sprawa: Gdyby ktoś z waszego biura zapragnął sprzedać plany, to czy nie byłoby dla niego prościej skopiować sobie dokumenty, aniżeli zabierać ich oryginały, tak jak w końcu uczyniono?

— Prawidłowe skopiowanie planów wymagałoby poważnej wiedzy technicznej.

— Ale domyślam się, że wszyscy panowie, sir James, pan oraz West, posiadaliście tę wiedzę?

— To niewątpliwie prawda, ale upraszam pana o poniechanie próby wciągnięcia mnie w tę sprawę, panie Holmes. Jaki sens mają spekulacje tego rodzaju, kiedy oryginalne plany zostały znalezione przy ciele Westa?

— No cóż, to z pewnością byłoby dziwne, gdyby West podejmował ryzyko wynoszenia oryginalnych dokumentów, skoro bez problemu mógł zabrać ich kopie, które równie skutecznie posłużyłyby jego celom.

— To niewątpliwie dziwne, ale tak właśnie zrobił.

— Każdy krok w tym śledztwie odkrywa coś niewytłumaczalnego. Tak więc trzy dokumenty pozostają wciąż zaginione. Czy mam rozumieć, że są one kluczowe dla całości?

— Tak, to prawda.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że posiadacz tych trzech dokumentów, choć pozbawiony pozostałych siedmiu, mógłby zbudować łódź podwodną według projektu Bruce'a-Partingtona?

— Tej właśnie treści meldunek złożyłem w Ministerstwie Marynarki Wojennej. Dziś jednak przejrzałem rysunki ponownie i już nie jestem tak tego pewien. Na dokumentach, które odzyskaliśmy, rozrysowane są podwójne zawory z automatycznymi samonastawnymi szczelinami. Jeśli tamci nie opracują ich sobie sami, nie zdołają zbudować łodzi. Oczywiście mogliby po jakimś czasie pokonać tę przeszkodę.

— Jednak te trzy zaginione dokumenty są najważniejsze?

— Z pewnością tak.

— Chciałbym teraz, jeśli pan pozwoli, przespacerować się wokół budynku. Chyba już nie mam więcej pytań.

Holmes zbadał zamek w sejfie, drzwi pomieszczenia, wreszcie żelazne żaluzje okna. Kiedy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, na trawniku, jego zainteresowanie otoczeniem wybitnie wzrosło. Za oknem rósł krzak wawrzynu, którego kilka gałązek było wygiętych lub obłamanych. Przyjrzał się im starannie przez lupę; to samo uczynił z jakimiś zamazanymi, niewyraźnymi śladami na ziemi pod krzakiem. W końcu poprosił kierownika działu o zasunięcie żaluzji i zwrócił moją uwagę na to, że się nie domykają i że osoba z zewnątrz miałaby możliwość zaobserwowania, co się dzieje w pokoju.

— Trzydniowe opóźnienie doprowadziło do zatarcia śladów. Ale nie wiem, czyby nam w czymś pomogły. Cóż, Watsonie, nie sądzę, abyśmy w Woolwich mogli jeszcze coś znaleźć. Niewielki zebraliśmy tu plon. Sprawdźmy, czy w Londynie powiedzie się nam lepiej.

Jednak przed opuszczeniem stacji w Woolwich do naszego żniwa dorzuciliśmy jeszcze jeden snop. Tutejszy kasjer stwierdził z przekonaniem, że w poniedziałek wieczorem zwrócił uwagę na znanego mu dobrze z widzenia Cadogana Westa, który odjechał do Londynu pociągiem o ósmej piętnaście do stacji London Bridge. West był sam i wykupił bilet trzeciej klasy. Kasjera uderzyło wówczas nerwowe i niespokojne zachowanie młodego człowieka.

Był tak roztrzęsiony, że miał trudności z zabraniem reszty, i urzędnik musiał mu w tym pomóc. Sprawdzenie w rozkładzie jazdy wykazało, że pociąg o ósmej piętnaście był

pierwszym, jaki odjeżdżał po opuszczeniu przez Westa narzeczonej, co miało miejsce o godzinie siódmej trzydzieści.

— Odtwórzmy więc bieg zdarzeń — powiedział Holmes po półgodzinnym milczeniu. — Nie jestem pewien, czy we wszystkich naszych dotychczasowych śledztwach mieliśmy trudniejszą sprawę do rozwikłania. Każdy kolejny krok na tej drodze odsłania nową rafę. Niemniej jednak z pewnością posunęliśmy się znacznie do przodu. Wyniki naszego śledztwa w Woolwich świadczą przeciw młodemu Cadoganowi Westowi. Jednak ślady pod oknem pozwalają na przyjęcie cokolwiek korzystniejszej dla niego hipotezy. Załóżmy na przykład, że nawiązał z nim kontakt jakiś agent obcego wywiadu. Mogło mieć to taki przebieg, że West został w jakiś sposób zobowiązany do milczenia, ale myśl o tym nie opuszczała go ani na chwilę, o czym świadczyły jego uwagi poczynione przy narzeczonej. Doskonale. Teraz możemy przyjąć, że kiedy West szedł z młodą damą do teatru, nagle we mgle mignął mu ten właśnie agent podążający w kierunku biura. Młodzieniec był człowiekiem impulsywnym, szybko podejmującym decyzje. Obowiązek stawiał na pierwszym miejscu. Podążył za agentem, dotarł do okna, był świadkiem kradzieży dokumentów, i podjął pościg za złodziejem. W ten sposób utracamy zastrzeżenie, że nikt nie zabierałby oryginałów, mogąc wykonać ich kopie. Na razie wszystko do siebie pasuje.

— I co dalej?

— Dalej zaczynamy mieć kłopoty. Można by sobie wyobrazić, że pierwsze, co w takich okolicznościach powinien uczynić młody Cadogan West, to pojmać łotra i wszcząć alarm. Dlaczego tego nie zrobił? Czyżby złodziejem dokumentów okazał się jakiś wysokiej rangi zwierzchnik? To by tłumaczyło zachowanie Westa. Albo może rabuś umknął mu we mgle, więc West natychmiast wyruszył do Londynu, aby go wyprzedzić i zaskoczyć w jego własnym mieszkaniu, zakładając, że znał adres? Ten impuls musiał być niezwykle silny, jeśli zostawił swoją dziewczynę na ulicy we mgle i nie podjął już żadnej próby porozumienia się z nią. W tym miejscu trop się zaciera, a wszystkie hipotezy mają się nijak do leżącego na dachu kolejki ciała Westa z siedmioma dokumentami w kieszeni. Mój instynkt powinien mi teraz podpowiedzieć, jak dojść do celu z przeciwnej strony. Jeśli Mycroft dostarczył nam listę adresów, może zdołamy wyłowić z niej poszukiwanego przez nas człowieka i ruszyć dwoma tropami zamiast jednym.

Przy Baker Street rzeczywiście czekała na nas notatka. Poślaniec rządowy dostarczył ją z największym pośpiechem. Holmes rzucił na nią okiem i przesunął w moją stronę.

Jest wiele drobnych plotek, ale niewielu, którzy by potrafili podjąć się tak poważnej sprawy. Godnych uwagi jest tylko trzech ludzi — Adolph Meyer, Great George Street 13, Westminster; Louis La Rothicre, Campden Mansions, Notting Hill, i Hugo Oberstein, Caulfield Gardens 13, Kensington. Wiadomo, że ten ostatni był w mieście w poniedziałek, a teraz podobno je opuścił. Cieszę się, że dostrzegasz jakąś nadzieję. Gabinet czeka z największym niepokojem na Twój ostateczny meldunek. Z najwyższych kręgów wojskowych przybyli natarczywi wysłannicy. Gdybyś to uznał za potrzebne, otrzymasz wsparcie ze strony całej potęgi państwa.

Mycroft

— Obawiam się — rzekł z uśmiechem Holmes — że ani cała konnica, ani piechota królowej na nic się tu nie zdadzą. — Rozpostarł wielką mapę Londynu i ochoczo się nad nią pochylił. — No, no — powiedział w końcu z okrzykiem zadowolenia. — Nareszcie sprawy przybierają nieco korzystniejszy dla nas obrót. Doprawdy, Watsonie, mocno wierzę, że jednak uda nam się uporać z tą sprawą.

Klepnął mnie w ramię z nagłym wybuchem wesołości.

— Zamierzam teraz wyjść. To tylko małe rozpoznanie. Nie zabierałbym się do niczego poważnego bez mojego zaufanego towarzysza i biografa u boku. Pozostań więc w domu, a wszystko wskazuje na to, że ujrzysz mnie ponownie za godzinę lub dwie. Jeśli czas będzie ci się dłużył, weź papier kancelaryjny i pióro i zacznij pisać opowiadanie o tym, jak uratowaliśmy nasz kraj.

Czułem, że udziela mi się coś z jego wesołego nastroju. Dobrze wiedziałem, iż nigdy by się nie wyzbył tak charakterystycznej dla niego surowości w zachowaniu, gdyby nie pojawił się jakiś istotny powód do radosnego uniesienia. Pełen niecierpliwości czekałem przez cały listopadowy wieczór na jego powrót. Wreszcie, tuż po dziewiątej, przybył posłaniec z liścikiem:

*Właśnie jem obiad w restauracji Goldiniego przy Gloucester Road w Kensington. Przyjedź tu, proszę, niezwłocznie, czekam na Ciebie. Weź ze sobą łom, ślepą latarkę, dłuto i rewolwer.
S.H.*

Było to niezwykle interesujące wyposażenie jak na szanowanego obywatela, który miał się z tym przemykać przez mroczne, spowite mgłą ulice. Upakowałem to wszystko dyskretnie w połach mego płaszcza i udałem się prosto pod wskazany adres. Tam, w jaskrawo oświetlonej włoskiej restauracji, przy okrągłym stoliku blisko drzwi siedział mój przyjaciel.

— Jesteś już po obiedzie? Wypij więc ze mną kawę i *curaçao*. Spróbuj też jednego z cygar właściciela. Są mniej trujące, niż można by się było spodziewać. Masz narzędzia?

— W płaszczu.

— Znakomicie. Pozwól, że opiszę ci z grubsza, czego dziś dokonałem, i powiem wstępnie o tym, co mamy do zrobienia. Musisz więc, Watsonie, przyjąć do wiadomości, że ciało młodego Westa rzeczywiście zostało umieszczone na dachu wagonu. To było jasne od chwili, kiedy ustaliłem, że zwłoki spadły z dachu, a nie wypadły z wagonu.

— Czy nie mogły zostać zrzucone z pomostu?

— Nie sądzę, aby to było możliwe. Jeśli się przyjrzyz dachowi wagonu, zauważysz, że jest on lekko zaokrąglony i że nie ma tam żadnych barierek. A zatem możemy na pewno powiedzieć, że ciało Cadogana Westa zostało tam umieszczone.

— Jak tego dokonano?

— No właśnie to było pytanie, na które musieliśmy znaleźć odpowiedź. Istnieje tylko jeden możliwy sposób. Wiesz dobrze, że w zachodnim Londynie kolej podziemna w niektórych punktach wyjeżdża z tunelu. Pamiętałem niejasno, że podróżując nią, od czasu do czasu widywałem tuż nad głową okna domów. Wyobraź sobie teraz, że pociąg zatrzymuje się pod jednym z takich okien — czy byłoby możliwe umieszczenie zwłok na dachu?

— Wydaje się to wysoce nieprawdopodobne.

— Musimy się oprzeć na starym pewniku, że jeżeli inne ewentualności zawiodły, to prawdą może być tylko to, co nam pozostało, choćby było zupełnie nieprawdopodobne. Kiedy stwierdziłem, że najgroźniejszy agent obcego wywiadu, który właśnie wyjechał z Londynu, mieszkał w domu graniczącym z koleją podziemną, byłem tak uszczęśliwiony, że moja nagła wesołość nieco cię wtedy zdziwiła.

— Ach, więc to o to chodziło?

— No właśnie. Moim celem stał się pan Hugo Oberstein, zamieszkały przy Caulfield Gardens trzymaście. Działania swoje rozpocząłem od stacji Gloucester Road, gdzie nadzwyczaj uczynny urzędnik przespacerował się ze mną wzdłuż torów, co pozwoliło mi przekonać się nie tylko o tym, że na torowiska wychodzą okna tylnych klatek schodowych przy Caulfield Gardens, ale również o tym, że ponieważ znajduje się tam jedno z największych skrzyżowań tras głównych pociągów, to składy kolei podziemnej często w tym właśnie miejscu mają kilkuminutowe przestoje.

— Wspaniale, Holmesie! A więc miałeś rację!

— Jak dotąd tak, Watsonie. Posuwamy się, ale cel jest jeszcze odległy. No więc obejrawszy tyły domu Caulfield Gardens trzynaście, sprawdziłem go również od frontu i upewniłem się, że ptaszek rzeczywiście wyfrunął. W tym okazałym domu, na ile zdążyłem się zorientować, pokoje na piętrze są nieumeblowane. Oberstein mieszkał tam z jedynym służącym, którego prawdopodobnie darzył absolutnym zaufaniem. Musimy pamiętać, że Oberstein wyjechał na kontynent, aby sprzedać swój łup, a nie w zamiarze ucieczki; nie miał bowiem żadnego powodu, aby się obawiać aresztowania, myśl zaś o tym, że jacyś amatorzy zechcą przeszukać jego mieszkanie, nie przyszła mu nawet do głowy. A właśnie dokładnie to zamierzamy zrobić.

— Czy nie moglibyśmy zdobyć nakazu?

— Chyba nie na podstawie materiału dowodowego.

— Co mamy nadzieję przez to osiągnąć?

— Trudno powiedzieć, ale poszukamy jakiejś korespondencji.

— Nie podoba mi się to, Holmesie.

— Mój drogi, ty będziesz obserwował ulicę. Część nielegalną przedsięwzięcia wezmę na siebie. Nie czas na ceregiele. Pomyśl o notatce Mycrofta, o Ministerstwie Marynarki Wojennej, o całym rządzie, o wysoko postawionej osobie, która oczekuje wiadomości. Naszym obowiązkiem jest tam pójść.

— Masz rację, Holmesie, to nasz obowiązek. Powstał sprężyste i uściśnął mi rękę.

— Wiedziałem, że w końcu się zgodzisz — rzekł, a ja w tej chwili dostrzegłem w jego oku coś, co było tak bliskie uczuciu wzruszenia, jak jeszcze nie zdarzyło się nigdy w całej historii naszej znajomości. Natychmiast jednak stał się ponownie władczy i rzeczowy. — To jest blisko pół mili stąd, ale nie musimy się spieszyć. Pójdziemy pieszo — powiedział. — Błagam, nie pogub narzędzi. Aresztowanie ciebie jako podejrzanego typu skomplikowałoby sytuację w najwyższym stopniu.

Ulicę Caulfield Gardens stanowił jeden z tych rzędów domów o płaskich fasadach, zdobnych w kolumny i portyki, tak charakterystycznych dla budowli środkowego okresu epoki wiktoriańskiej w zachodniej części Londynu. W sąsiedztwie najwyraźniej odbywał się bal dla dzieci, ponieważ w wieczornej ciszy dobiegał stamtąd wesoły gwar młodych głosików. Mgła utrzymywała się nadal, osłaniając nas swym przyjaznym całunem. Holmes zapalił ślepą latarkę i oświetlił nią solidne drzwi.

— To poważne wyzwanie — stwierdził. — Są z pewnością zaryglowane i zamknięte na klucz. Może lepiej nam się powiedzie z drzwiami do suterenu. Tam na dole jest świetne łukowate sklepienie, które może nas osłonić, gdyby pojawił się jakiś gorliwy policjant. Pomóż mi, Watsonie, a ja ci się odwdzięczę tym samym.

Po chwili obaj znaleźliśmy się przed wejściem do piwnicy. Ledwie dotarliśmy do zaciemnionego miejsca, a z mgły nad nami dobiegł odgłos kroków policjanta. Kiedy ich cichy rytm zamarł w oddali, Holmes przystąpił do pracy. Widziałem, jak się pochyła, naprężyła, aż drzwi rozwarły się z ostrym trzaskiem. Wskoczyliśmy do ciemnego przejścia. Holmes podążył w górę krętymi, niepokrytymi dywanem schodami. Wątki blask jego latarki oświetlił niskie okno.

— Jesteśmy na miejscu, Watsonie... To musi być to okno. — Otworzył je. W tej chwili dał się słyszeć cichy, zgrzytliwy odgłos; narastał stopniowo i przeszedł w huk, kiedy w ciemności przemknął obok nas pociąg. Holmes omiół parapet okna światłem latarki. Był pokryty grubą warstwą sadzy z przejeżdżających parowozów, ale w niektórych miejscach czarna powierzchnia parapetu była rozmazana i starta. — Widzisz teraz, gdzie położyli ciało. Ale, ale, Watsonie! Cóż to takiego? Nie ma wątpliwości, że to jest ślad krwi — wskazał na okienną ramę. — Plama jest również na kamiennych schodach. Dowody są w komplecie. Poczekajmy jeszcze na pociąg.

Nie musieliśmy czekać długo. Już następny, który wyjechał z hukiem z tunelu podobnie jak poprzedni, na odkrytej przestrzeni zwolnił i po chwili z piskiem hamulców zatrzymał się tuż pod nami. Dachy wagonów znalazły się w odległości niespełna czterech stóp od gzymsu okna. Holmes zamknął je ostrożnie.

— Na razie wszystko wskazuje na słusność naszych działań — powiedział. — Co o tym sądzisz, Watsonie?

— Po prostu majstersztyk. Wspiąłeś się na szczyt swoich możliwości!

— Nie mogę się z tobą zgodzić. Od chwili kiedy odgadłem, że zwłoki znajdowały się na dachu, co z pewnością nie było zbyt trudne, cała reszta nasunęła się już sama. Gdyby tu nie chodziło o interesy wielkiej wagi, to sprawa aż do tego punktu byłaby banalna. Ale kłopoty są dopiero przed nami. Może jednak znajdziemy tu coś, co nam pomoże.

Poszliśmy w górę kuchennymi schodami i weszliśmy do ciągnących się amfiladą pokoi na pierwszym piętrze. Jednym z nich była ascetycznie umeblowana jadalnia, niezawierająca niczego interesującego. Dalej znajdowała się równie nieciekawa sypialnia. Ostatni pokój wyglądał bardziej obiecująco, więc mój towarzysz przystąpił do systematycznego badania. Pełno tu było porozrzucanych książek, gazet, a pomieszczenie niewątpliwie służyło jako gabinet. Szybko i metodycznie Holmes przerzucał zawartość kolejnych szuflad i szaf, ale jego surowej twarzy nie rozjaśnił błysk triumfu. Po upływie godziny nie posunął się ani odrobine dalej, niż znajdował się na początku rewizji.

— Ten szczwany lis zatarł ślady — rzekł w końcu. — Nie zostawił niczego, co by go obciążało. Zniszczył lub usunął stąd całą swoją korespondencję. Naszą ostatnią szansą jest to.

Chodziło o stojącą na biurku małą blaszaną kasetkę na pieniądze. Holmes podważył jej wieko za pomocą łomu. Wewnątrz znajdowało się kilka zwiniętych dokumentów pokrytych cyframi i obliczeniami bez jakiegokolwiek objaśnienia, czego dotyczyły. Powtarzające się określenia „ciśnienie wody” i „ciśnienie na cal kwadratowy” wskazywały na jakiś związek z łodzią podwodną. Holmes odrzucił je niecierpliwie na bok. Wewnątrz pozostała już tylko koperta z jakimiś gazetowymi wycinkami. Detektyw wytrząsnął je na stół i natychmiast dostrzegłem, że jego oblicze rozbłysło nadzieją.

— Co to takiego? Watsonie, popatrz?! Cała seria ogłoszeń prasowych zamieszczonych w rubryce porad osobistych w dzienniku „Daily Telegraph” w prawym górnym rogu strony. To za ich pomocą przekazywano zdrajcy wiadomości. Żadnych dat, ale ich treść jest jednoznaczna:

LICZYŁEM NA SZYBSZY KONTAKT. WARUNKI DO UZGODNIENIA. O SZCZEGÓLACH NAPISZ NA ADRES Z WIZYTÓWKI. PIERROT. To musiała być pierwsza wiadomość.

Teraz następna: ZBYT SKOMPLIKOWANE DO OPISANIA. MUSZĘ MIEĆ PEŁNE SPRAWOZDANIE. ZAPŁATA CZEKA PO DOSTARCZENIU TOWARU. PIERROT.

Dalej mamy: SYTUACJA NAGLI. WYCOFAM OFERTĘ, JEŚLI UMOWA NIE ZOSTANIE DOPEŁNIONA. UMÓWMY SIĘ LISTOWNIE. POTWIERDZIMY OGŁOSZENIEM. PIERROT.

I na koniec: PONIEDZIAŁEK WIECZÓR, PO DZIEWIĄTEJ. DWA STUKNIĘCIA. TYLKO MY. NIE BĄDŹ TAK PODEJRZLIWY. PŁATNOŚĆ W GOTÓWCE PO DOSTARCZENIU TOWARU. PIERROT.

Skompletował wszystkie wycinki, Watsonie! Gdybyśmy tylko mogli dotrzeć do odbiorcy tych wiadomości! — Holmes usiadł i zatonał w myślach, bębniąc palcami po stole. Wreszcie zerwał się na równe nogi. — No, może to w końcu nie będzie aż tak trudne. Nie mamy tu już nic do roboty, mój drogi. Sądzę, że moglibyśmy się przejechać do redakcji „Daily Telegraph”, wieńcząc w ten sposób nasz pracowity dzień.

Nazajutrz po śniadaniu zgodnie z umową odwiedzili nas Mycroft Holmes i Lestrade, którym Sherlock Holmes opowiedział o naszych działaniach poprzedniego dnia. Policjant pokręcił głową, kiedy usłyszał o włamaniu.

— W naszej firmie takich rzeczy nie możemy robić, panie Holmes — powiedział. — Nic dziwnego, że osiąga pan wyniki przekraczające nasze możliwości. Ale pewnego dnia posunie się pan za daleko i wraz ze swoim przyjacielem popadnie w tarapaty.

— Dla Anglii, naszej ojczyzny, i dla piękna... prawda, Watsonie? Męczennicy na ołtarzu kraju rodzinnego. Ale co ty o tym myślisz, Mycroftcie?

— Znakomicie, Sherlocku! Wspaniale! Tylko co ci dało to włamanie?

Holmes podniósł egzemplarz „Daily Telegraph”, który leżał na stole.

— Widziałeś dzisiejsze ogłoszenie Pierrota?

— Co! Jeszcze jedno?

— Tak. Oto ono: **DZIŚ WIECZOREM. TA SAMA GODZINA I MIEJSCE. DWA STUKNIĘCIA. SPRAWA NAJWYŻSZEJ WAGI. DOTYCZY TWEGO BEZPIECZEŃSTWA. PIERROT.**

— Na Boga! — krzyknął Lestrade. — Jeżeli odpowie, będziemy go mieli!

— W tym właśnie celu zamieściłem tę wiadomość. Sądzę, że gdyby obaj panowie zechcieli łaskawie udać się z nami około ósmej na Caulfield Gardens, to moglibyśmy się nieco zbliżyć do rozwiązania sprawy.

Jedną z najbardziej zadziwiających cech charakteru Holmesa była jego zdolność do wyłączania się z prowadzonego przez siebie śledztwa i przerzucania myśli ku problemom lżejszej natury za każdym razem, gdy dochodził do przekonania, że nie zdoła już niczego więcej dla dobra sprawy. Pamiętam, jak na cały ten niezapomniany dzień zagłębił się w pracy nad swoją monografią na temat polifonicznych motetów Lassusa. Ja wszakże nie posiadałem jego talentu do odrywania się od rzeczywistości, więc dzień ów dłużył mi się w nieskończoność. Ogromne międzynarodowe znaczenie tej sprawy, napięcie panujące w najwyższych kręgach władzy, osobisty udział we włamaniu — wszystko to razem miało wpływ na stan moich nerwów. Doznałem więc ulgi, kiedy wreszcie po lekkim obiedzie wyruszyliśmy na naszą wyprawę. Zgodnie z umową Lestrade i Mycroft czekali na nas przed stacją Gloucester Road. Piwniczne drzwi domu Obersteina pozostawały otwarte od wczorajszego wieczoru, więc musiałem tamtędy wejść i otworzyć drzwi od frontu, ponieważ Mycroft Holmes zdecydowanie i pełen oburzenia odmówił wspinania się na ogrodzenie oddzielające dojsście do suterenu. Nie było jeszcze dziewiątej, kiedy usadowieni w gabinecie, czekaliśmy cierpliwie na naszego człowieka.

Minęła godzina i jeszcze jedna. A gdy wybiła jedenasta, miarowe uderzenia wielkiego zegara na kościelnej wieży zabrzmiały jak requiem dla naszych nadziei. Lestrade i Mycroft tkwili w fotelach, co dwie minuty spoglądając na zegarki. Holmes siedział milczący i spokojny, z przymkniętymi powiekami, ale wszystkie jego zmysły pozostawały w stanie najwyższej gotowości. Gwałtownie uniósł głowę.

— Nadchodzi — powiedział.

Obok drzwi wejściowych przeszedł ktoś ukradkiem. Po chwili wrócił. Usłyszeliśmy szuranie, a następnie dwa głośne uderzenia kołatki. Holmes wstał, dając znak, abyśmy siedzieli cicho. W holu było ciemno, bo lampa gazowa stanowiła jedynie niewielki punkcik światła. Mój przyjaciel otworzył drzwi wejściowe i gdy prześliznęła się przez nie jakaś postać, zamknął je i zaryglował. Usłyszeliśmy, jak mówi: „Tędy, proszę”, i w chwilę później na progu stanął nasz człowiek. Holmes podązał tuż za nim i kiedy mężczyzna rzucił się do tyłu z okrzykiem zaskoczenia i trwogi, detektyw chwycił go za kołnierz i wciągnął z powrotem do pokoju. Zanim nasz więzień odzyskał równowagę, drzwi zostały zamknięte, a Holmes oparł się o nie plecami. Przybysz potoczył dokoła wściekłym wzrokiem, zachwiał się

na nogach i runął bez zmysłów na podłogę. Przy upadku spadł mu z głowy kapelusz o szerokim rondzie, zsunął się też zakrywający jego twarz fular i ujrzeliśmy długą jasną brodę oraz łagodne, przystojne oblicze pułkownika Valentine'a Waltera.

Holmes zagwizdał ze zdumienia.

— Tym razem możesz mnie w swoim opowiadaniu nazwać osłem, Watsonie — powiedział. — Nie tego ptaszka spodziewałem się tutaj ujrzeć.

— Kto to taki? — zapytał energicznie Mycroft.

— Młodszy brat świętej pamięci sir Jamesa Waltera, szefa Departamentu Łodzi Podwodnych. Tak, tak, widzę, że gra dobiega końca. On odzyskuje przytomność. Myślę, że powinniście panowie pozwolić, abym to ja z nim porozmawiał.

Przenieśliśmy naszego więźnia na sofę. Otworzył oczy, usiadł, rozejrzał się dokoła z przerażeniem i przeciągnął ręką po czole jak ktoś, kto nie wierzy własnym zmysłom.

— Co to ma znaczyć? — zapytał. — Przyszedłem tu do pana Obersteina.

— Wszystko jest już jasne, pułkowniku Walter — odparł Holmes. — Przechodzi moje pojęcie, że angielski dżentelmen mógł postąpić w ten sposób. Wiemy jednak o całej korespondencji i stosunkach łączących pana z Obersteinem. Znamy też okoliczności związane ze śmiercią młodego Cadogana Westa. Pozwoli pan sobie doradzić, aby dla zdobycia choć odrobiny naszej przychylności okazał pan skrucę i złożył zeznania, ponieważ jest jeszcze kilka szczegółów, które pragnęlibyśmy usłyszeć z pańskich ust.

Mężczyzna jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Czekaliśmy. On jednak milczał.

— Zapewniam pana — rzekł Holmes — że wszystko to, co najważniejsze, jest już nam wiadome. Wiemy, że był pan w tarapatkach finansowych; że wykonał pan odcisk kluczy przechowywanych przez pańskiego brata; że nawiązał korespondencję z Obersteinem, który odpowiadał na pana listy za pośrednictwem działu ogłoszeń „Daily Telegraph”. Wiemy też, że poszedł pan do biura tego mglistego poniedziałkowego wieczoru, ale dostrzegł pana, a następnie śledził Cadogan West, który prawdopodobnie już wcześniej miał jakiś powód, aby pana podejrzewać. Widział moment kradzieży, ale nie mógł wszcząć alarmu, gdyż istniała możliwość, że zabiera pan te dokumenty dla swego brata w Londynie. Porzuciwszy wszystkie swoje prywatne sprawy, jako uczciwy obywatel, którym niewątpliwie był, podążył za panem krok w krok w gęstej mgłę, aż dotarł pan do tego właśnie domu. Wówczas West wkroczył do akcji i właśnie wtedy, pułkowniku Walter, do zdrady dorzucił pan jeszcze bardziej przerażającą zbrodnię — morderstwo.

— Nie zrobiłem tego! Nie zrobiłem! Przysięgam przed Bogiem, że nie zabiłem! — krzyczał nasz nieszczęsny więzień.

— Proszę nam więc powiedzieć, co się wydarzyło, zanim umieścił pan zwłoki Cadogana Westa na dachu wagonu.

— Powiem, przysięgam panu, że powiem. Wszystko poza tym rzeczywiście zrobiłem. Przyznaję. Było właśnie tak, jak pan powiedział. Miałem do spłacenia dług na giełdzie papierów wartościowych, rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy. Oberstein zaproponował mi pięć tysięcy funtów. To miało mnie uratować od ruiny. Jednak co do morderstwa to jestem równie niewinny jak pan.

— Co się zatem wydarzyło?

— Podejrzewał mnie już wcześniej i poszedł za mną, tak jak pan powiedział. Nie wiedziałem o tym aż do chwili, gdy dotarłem do drzwi. Mgła była tak gęsta, że nie widziało się nic na trzy jardy. Dwukrotnie zastukałem i do drzwi podszedł Oberstein. Wtedy West zaatakował nas gwałtownie i zażądał, żebyśmy mu wyjaśnili, co mamy zamiar zrobić z dokumentami. Oberstein trzymał w ręku krótką pałkę obciążoną ołowiem. Nosił ją zawsze przy sobie. Kiedy West wtargnął za nami do domu, Oberstein uderzył go w głowę. Cios okazał się fatalny. Młodzieniec zmarł w ciągu pięciu minut. Leżał w holu, a my nie mieliśmy pojęcia, co z tym zrobić. Wówczas Oberstein wpadł na ten pomysł z pociągami

zatrzymującymi się pod jego tylnym oknem. Najpierw jednak przejrzał uważnie dokumenty, które mu przyniosłem. Stwierdził, że najważniejsze są trzy spośród nich i że te musi zatrzymać. „Nie może pan tego zrobić — odparłem. — W Woolwich wybuchłby potworny raban, gdyby te materiały nie wróciły na miejsce”. „Muszę je zatrzymać — powiedział na to — ponieważ mają tak techniczny charakter, że ich skopiowanie nie będzie w tym czasie możliwe”. „W takim razie muszą tam wrócić razem z pozostałymi dzisiejszego wieczoru” — obstawałem przy swoim. Oberstein pomyślał przez chwilę i krzyknął, że znalazł rozwiązanie. „Trzy dokumenty zatrzymam — powiedział — a pozostałe włożymy do kieszeni tego młodego człowieka. Kiedy go znajdą, cała sprawa zostanie z pewnością przypisana jemu”. Nie widziałem innego wyjścia, więc postąpiliśmy zgodnie z jego sugestią. Na zatrzymanie się jakiegoś pociągu czekaliśmy przy oknie pół godziny. W tej gęstej mgłę nikt nie mógł niczego zauważyć, więc bez kłopotów umieściliśmy ciało Westa na dachu pociągu. I to był koniec sprawy, jeśli chodzi o mój w niej udział.

— A pański brat?

— Nie powiedział nic, choć kiedyś mnie złapał z jego kluczami w rękę i myślę, że mnie podejrzewał. Czytałem to w jego oczach. Jak pan wie, nic by mu już nie przywróciło dobrego imienia.

W pokoju zapadła cisza. Przerwał ją Mycroft Holmes.

— Czy nie mógłby pan chociaż częściowo przyczynić się do naprawy sytuacji? To by przyniosło ulgę pańskiemu sumieniu, a może i wpłynęło na zmniejszenie kary.

— Co mogę zrobić?

— Gdzie jest Oberstein z dokumentami?

— Nie wiem.

— Nie podał panu żadnego adresu?

— Powiedział, że ewentualnie można korespondencję do niego kierować na adres „Hotel du Louvre” w Paryżu.

— A zatem wciąż jeszcze może pan coś naprawić — rzekł Sherlock Holmes.

— Zrobię wszystko co w mojej mocy. Nie jestem zobowiązany do szczególnej życzliwości wobec tego człowieka. Doprowadził mnie do ruiny i upadku.

— Oto papier i pióro. Proszę usiąść za biurkiem i napisać to, co podyktuję. Dobrze. Teraz treść listu: *Szanowny Panie! Zauważył Pan już niewątpliwie, że w dostarczonych Panu materiałach brakuje bardzo istotnego szczegółu. Jestem w posiadaniu rysunku na kalce, który wypełni tę lukę. Jego zdobycie wiązało się jednak z nieprzewidzianymi kłopotami, więc muszę Pana prosić o dodatkowe pięćset funtów. Nie skorzystam z pośrednictwa poczty, a wypłatę przyjmę wyłącznie w złocie lub w gotówce. Pojechałbym sam do pana, ale mój wyjazd z kraju w tej chwili wywołałby komentarze. Będę więc Pana oczekiwał w sobotę w południe w palarni hotelu „Charing Cross”. Proszę pamiętać o formie płatności. To poskutkuje. Byłbym wielce zaskoczony, gdyby nasz człowiek nie pojawił się w Londynie.*

I poskutkowało! Jest faktem historycznym — ale z kręgu tej tajnej historii kraju, o ileż głębszej i bardziej interesującej niż powszechnie dostępne kroniki — że gnany pragnieniem doprowadzenia do końca przedsięwzięcia swego życia, Oberstein dał się na szczęście zwabić w pułapkę i został na piętnaście lat odosobniony w brytyjskim więzieniu. W jego podróznym kufierku znaleziono bezcenne plany łodzi podwodnej Bruce’a-Partingtona; miał zamiar wystawić je na licytację, a zainteresowane były nimi wszystkie ośrodki marynarki wojennej w całej Europie.

Pułkownik Walter zmarł w więzieniu pod koniec drugiego roku zasądzonej mu kary. Holmes zaś, pokrzepiony sukcesem, powrócił do swej monografii o polifonicznych motetach Lassusa, którą specjaliści uznali za ostatnie słowo w tym przedmiocie. Dzieło mego przyjaciela już się ukazało w druku i jest rozprowadzane wyłącznie w prywatnym obiegu.

Kilka tygodni później dowiedziałem się przypadkiem, że Holmes spędził dzień w Windsorze, skąd wrócił z niezwykle piękną szmaragdową szpilką do krawata. Kiedy go spytałem, czy ją kupił, odparł, że jest to prezent będący dowodem wdzięczności ze strony pewnej damy, w której interesie udało mu się kiedyś szczęśliwie wypełnić niewielkie poruczenie. Nie powiedział nic więcej; ale coś mi mówi, że zdołałbym odgadnąć dostojne imię tej damy, i nie mam najmniejszej wątpliwości, że szmaragdowa szpilka będzie już zawsze przypominała memu przyjacielowi sprawę planów łodzi podwodnej Bruce'a-Partingtona.

SHERLOCK HOLMES NA ŁOŻU ŚMIERCI (THE ADVENTURE OF THE DYING DETECTIVE)

Pani Hudson, gospodyni Sherlocka Holmesa, była kobietą pobłażliwą. Chodziło nie tylko o to, że jej mieszkanie na pierwszym piętrze o każdej porze odwiedzały tłumy dziwacznych i często niepożądanych postaci, ale że jej słynny lokator przejawiał w swoim trybie życia eks — centryczność i niesubordynację, co jej cierpliwość wystawiało na bolesną próbę. Jego niewiarygodne bałaga — niarstwo, granie na skrzypcach w dziwnych godzinach, powtarzające się od czasu do czasu ćwiczenia strzeleckie z rewolwerem w mieszkaniu, osobliwe i często cuchnące naukowe eksperymenty oraz atmosfera przemocy i zagrożenia, która go otaczała, czyniły zeń najgorszego lokatora w Londynie. Z drugiej jednak strony za wynajem płacił jej po królewsku. Nie mam wątpliwości, że za pieniądze, które wydał na czynsz przez lata naszego wspólnego zamieszkiwania, mógłby nabyć cały dom.

Właścicielka odczuwała przed nim nieodparty lęk i nigdy nie ośmielała się wtrącać w jego sprawy, niezależnie od tego, jak skandaliczne wrażenie mogłyby sprawiać poczynania Holmesa. Uwielbiała go przy tym, ponieważ w stosunku do kobiet okazywał niezwykłą delikatność i uprzejmość. Nie przepadał za tą płcią ani jej nie ufał, ale nawet jako przeciwnik w obcowaniu z nią był zawsze rycerski. A zatem wiedząc, jak prawdziwie była doń przywiązana, z wielkim przejęciem słuchałem opowieści, z którą przyszła do mnie w drugim roku mojego małżeństwa, opowieści o tym, do jakiego stanu doprowadził się mój nieszczęsny przyjaciel.

— On umiera, doktorze Watson — powiedziała. — Od trzech dni coraz z nim gorzej i wątpię, czy przeżyje dzisiejszy dzień. Nie pozwala mi sprowadzić lekarza. Kiedy rano ujrzałam jego kościstą twarz i wielkie błyszczące oczy, którymi się we mnie wpatrywał, nie mogłam już dłużej tego znieść. „Z pańskim pozwoleniem czy bez, panie Holmes, idę w tej chwili po doktora”, oznajmiłam mu. „Niechże to więc będzie doktor Watson”, odparł. Na pańskim miejscu nie zwlekałabym z tą wizytą ani godziny, sir, bo może go już pan nie zastać żywego.

Byłem wstrząśnięty, ponieważ nic nie wiedziałem o jego chorobie. Nie muszę więc mówić, że natychmiast rzuciłem się po płaszcz i kapelusz. Kiedy byliśmy w drodze, zapytałem o szczegóły.

— Niewiele mogę panu powiedzieć, sir. Pracował nad jakąś sprawą w Rotherhithe, w zaułku blisko rzeki, i stamtąd przywłókł tę chorobę. Położył się do łóżka w środę po południu i nie wstał z niego od tego czasu. Przez te trzy dni nic nie jadł ani nie pił.

— Czemu, na miłość boską, nie wezwała pani lekarza?

— Nie zgodziłby się na to. Wie pan, jaki jest despotyczny. Nie śmiałam mu się sprzeciwić. On już na tym świecie długo nie zabawi, sam pan to stwierdzi na pierwszy rzut oka.

Holmes rzeczywiście przedstawiał opłakany widok. W przytłumionym świetle mglistego listopadowego dnia pokój chorego był miejscem przygnębiającym, ale to z powodu tej wychudzonej, mizernej twarzy patrzącej na mnie z łóżka poczułem chłód w sercu. Jego oczy jarzyły się gorączką, na policzkach wykwitły ceglaste wypieki, wargi pokrywała ciemna skorupa; nieustannie zaciskał spoczywające na kołdrze szczupłe dłonie, głos miał chrapliwy i urywany. Kiedy wszedłem do pokoju, leżał pogrążony w apatii, ale na mój widok w jego spojrzeniu pojawił się błysk radości.

— No cóż, Watsonie, zdaje się, że przyszły na mnie ciężkie terminy — wyrzekł cicho, choć z domieszką dawnej beztroski w głosie.

— Mój drogi przyjacielu! — zawołałem, zbliżając się do niego.

— Cofnij się! Cofnij się natychmiast! — powiedział ostrym nakazującym tonem, jakiego używał tylko w sytuacjach krytycznych. — Jeśli się do mnie zbliżysz, Watsonie, rozkażę usunąć cię z domu.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ takie jest moje życzenie. Czy to nie wystarczy?

Tak, pani Hudson miała rację. Był bardziej despotyczny niż kiedykolwiek. Jego wyczerpanie budziło jednak współczucie.

— Chciałem ci tylko pomóc — wyjaśniłem.

— No właśnie! Najlepiej mi pomożesz, jak będziesz słuchał moich poleceń.

— Z pewnością, Holmesie.

Nagle zniknęła gdzieś jego szorstkość.

— Czy nie jesteś na mnie zły? — zapytał, z trudem łapiąc powietrze.

Biedaczysko! Jakże mógłbym się na niego gniewać, widząc, że leży przede mną w takim stanie?

— To dla twego dobra — wychrypiał. — Dla mojego dobra?

— Wiem, co we mnie siedzi. Jest to choroba kulisów z Sumatry. Holendrzy znają ją lepiej od nas, choć dotychczas ją bagatelizowali. Jedno wszakże wiadomo na pewno. Jest nieuchronnie śmiertelna i potwornie zaraźliwa.

Mówił teraz z gorączkową energią, a jego długie ręce zaciskały się i poruszały w geście, którym oddalał mnie od siebie.

— Zaraźliwa przez dotknięcie, Watsonie — właśnie przez dotknięcie. Nie podchodź blisko, a wszystko będzie dobrze.

— Na miłość boską, Holmesie! Przypuszczasz, że to ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Nie miałoby nawet w wypadku człowieka obcego. Czy sądzisz, że cokolwiek powstrzymałoby mnie przed spełnieniem mego obowiązku wobec starego przyjaciela?

Ponownie posunąłem się do przodu, ale musiałem się cofnąć, bo rzucił na mnie wzrok pełen szaleńczego gniewu.

— Jeśli tam pozostaniesz, będę z tobą rozmawiał, jeśli nie, musisz opuścić ten pokój.

Odczuwam tak głęboki szacunek dla mego genialnego przyjaciela, że zawsze przychyliam się do jego życzeń, nawet wówczas, kiedy ich nie rozumiem. Teraz jednak górę wzięł mój instynkt zawodowy. Niech sobie będzie dyktatorem gdzie indziej, ja nim będę przynajmniej w pokoju chorego.

— Holmesie — powiedziałem — nie jesteś teraz sobą. Człowiek chory jest jak dziecko, i tak też cię potraktuję. Czy tego chcesz, czy nie, zbadam cię, poznam objawy choroby i będę cię leczył.

Rzucił mi jadowite spojrzenie.

— Jeżeli mam się zgodzić na lekarza wbrew własnej woli, to pozwól mi przynajmniej na takiego, do którego mam zaufanie — powiedział.

— A zatem mnie nim nie obdarzasz?

— Wierzę w twoją przyjaźń. Ale fakty są faktami, Watsonie, a w końcu jesteś zaledwie lekarzem ogólnym z bardzo ograniczonym doświadczeniem i miernymi kwalifikacjami. To bolesne, że muszę ci mówić takie rzeczy, ale nie pozostawiłem ci wyboru.

Poczułem się boleśnie zraniony.

— Takie zachowanie jest ciębie niegodne, Holmesie. To z całą jasnością pokazuje mi stan twoich nerwów. Ale jeśli nie masz do mnie zaufania, to nie będę ci się narzucał. Pozwól mi sprowadzić sir Jaspera Meeka lub Penrose'a Fishera albo jakiegoś innego lekarza spośród najlepszych fachowców w Londynie. Ale na kogoś musisz się zgodzić i na tym koniec. Jeśli sądzisz, że zamierzam tak tu stać i patrzeć, jak umierasz, nie pomagając ci osobiście ani nie sprowadzając pomocy z zewnątrz, to mnie jeszcze nie znasz.

— Masz dobre intencje, Watsonie — powiedział chory, wydając z siebie ni to szloch, ni to jęk. — Czy mam ci wykazać twoją niewiedzę? Powiedz mi, proszę, co wiesz o gorączce z Tapanuli? Co wiesz o czarnej zarazie z Formozy?

— Nigdy nie słyszałem o żadnej z nich.

— Na Wschodzie mają wiele chorób, są też problemy z ich dziwnymi odmianami, Watsonie — po każdym zdaniu robił przerwę dla zebrania gasnących sił. — Ostatnio zdobyłem dużą wiedzę na ten temat podczas pewnych śledztw zawierających aspekty medyczno — kryminalne. To właśnie wtedy nabawiłem się tej choroby. Ty jesteś tu bezradny.

— To możliwe. Dowiedziałem się jednak przypadkiem, że największy żyjący autorytet w dziedzinie chorób tropikalnych, doktor Ainstree, przebywa właśnie w Londynie. Wszelkie protesty nie mają sensu, Holmesie.

Natychmiast wychodzę, żeby go tu sprowadzić — odwróciłem się i energicznie ruszyłem ku drzwiom.

Nigdy nie doznałem podobnego wstrząsu! W jednej chwili umierający z tygrysią sprężystością skoczył do drzwi i zatrzymał mnie. Usłyszałem ostry szczęk przekręcanego klucza. Następnie pokuśtykał z powrotem do łóżka, wyczerpany i dyszący po tym gwałtownym wybuchu energii.

— Nie odbierzesz mi klucza siłą, Watsonie. Mam cię, mój przyjacielu. Jesteś tu i pozostaniesz tak długo, jak zdecyduję sam. Ale powiem ci coś na pocieszenie — wszystko to mówił, ciężko oddychając i straszliwie walcząc o każdy haust powietrza. — Wiem doskonale, że leży ci na sercu jedynie moje dobro. Postawisz na swoim, ale pozwól mi zebrać siły. Jeszcze nie teraz, Watsonie, nie teraz. Mamy godzinę czwartą. Będziesz mógł wyjść o szóstej.

— To jest obłąd, Holmesie.

— Tylko dwie godziny, Watsonie. Przyrzekam ci, że wyjdiesz o szóstej. Czy jesteś gotów poczekać?

— Wydaje się, że nie mam wyboru.

— Absolutnie żadnego, Watsonie. Dziękuję, nie trzeba mi poprawiać pościeli. Proszę, nie zbliżaj się do mnie. Jest jeszcze jeden warunek, którego powinienes dotrzymać. Będziesz szukał pomocy nie u człowieka, o którym wspomniałeś, ale u wybranego przeze mnie.

— Ależ oczywiście.

— Są to pierwsze rozsądne słowa, jakie wypowiedziałeś, od kiedy wszedłeś do tego pokoju, Watsonie. Znajdziesz tu sobie jakieś książki. Ja jestem trochę wyczerpany. Ciekawe, co też odczuwa bateria, kiedy tłoczy elektryczność do złego przewodnika prądu? O szóstej, Watsonie, wrócimy do naszej rozmowy.

Ale wrócić do niej mieliśmy o wiele wcześniej, i to w okolicznościach, które wstrząsnęły mną chyba w nie mniejszym stopniu niż ten jego skok do drzwi. Przez kilka minut stałem, wpatrując się w milczącą postać na łóżku. Twarz Holmesa była niemal zakryta przez pościel, sprawiał wrażenie śpiącego. Następnie, ponieważ nie byłem w stanie usiąść i czytać, zacząłem bez celu krążyć po pokoju, przyglądając się portretom słynnych zbrodniarzy, którymi były ozdobione wszystkie ściany. W pewnej chwili przystanąłem przed kominkiem. Na jego gzymsie pełno było fajek, kapciuchów, strzykawek, scyzoryków, rewolwerowych nabożów i innych rupieci. Pośrodku leżało czarno-białe pudełeczko z kości słoniowej z zasuwany wieczkiem. Było to zgrabne cacko, więc wyciągnąłem rękę, aby mu się przyjrzeć bliżej, kiedy...

Przeraźliwy ryk, który z siebie wydał Holmes, słychać było chyba na ulicy. Na ten potworny wrzask przeszły mnie ciarki i włos zjeżył mi się na głowie. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem jego ściągniętą konwulsjami twarz i oszalałe oczy. Stałem jak sparaliżowany, trzymając puzderko w ręce.

— Odlóż to! Odlóż to natychmiast, Watsonie! W tej chwili, słyszysz? — i jego głowa opadła z powrotem na poduszkę. Wydał głębokie westchnienie ulgi, kiedy odłożyłem puzderko na gzyms kominka. — Nie cierpię, gdy ktoś dotyka moich rzeczy, Watsonie. Wiesz, że tego nie znoszę. Denerwujesz mnie w najwyższym stopniu. Jesteś lekarzem — a potrafisz zapędzić pacjenta do domu wariatów. Usiądź, człowieku, i pozwól mi odpocząć!

Zachowanie Holmesa zaszokowało mnie. Gwałtowność i pozbawione przyczyny podniecenie, a w ślad za tym obcesowość słów, dawały mi obraz tego, co działo się w jego głowie. Ze wszystkich ludzkich nieszczęść te dotykające szlachetnego umysłu są najbardziej godne pożałowania. Siedziałem w milczeniu, aż minął wyznaczony czas. Wydawało się, że pilnował zegara równie uważnie jak ja, ponieważ tuż przed szóstą zaczął mówić z takim samym gorączkowym ożywieniem jak poprzednio.

— Słuchaj, Watsonie — powiedział — czy masz jakieś drobne w kieszeni?

— Tak.

— Jakiś srebrny bilon?

— Całkiem sporo.

— Ile półkoronówek?

— Pięć.

— Ach, to za mało! Za mało! Co za pech. Ale trudno. Włóż wszystkie półkoronówki do kieszonki na zegarek, a resztę bilonu do lewej kieszeni spodni. Tak. Dzięki temu z łatwością zachowasz równowagę.

To było majaczenie chorego umysłu. Wzruszył ramionami i znowu wydobył z siebie coś na pograniczu szlochu i kaszlu.

— Teraz zapal lampę, Watsonie, ale bardzo uważaj, aby ani przez chwilę gaz nie zapłonął silniej niż w połowie swej mocy. Dziękuję, tak jest znakomicie. Nie, nie musisz zaciągać żaluzji. A teraz bądź uprzejmy rozłożyć trochę listów i dokumentów na tym stoliku, tak aby były w zasięgu mojej ręki. Dziękuję. Teraz podejdź do kominka i spójrz na ten bałagan nad nim. Doskonale, Watsonie! Są tam szczypczyki do cukru. Zechciej uprzejmie za ich pomocą unieść to właśnie puzderko z kości słoniowej. Umieść je pośród tych papierów. O, właśnie tak! Teraz pójdziesz na Lower Burke Street numer trzysta i sprowadzisz pana Culvertona Smitha.

Prawdę mówiąc, moje pragnienie, by sprowadzić lekarza, nieco osłabło, ponieważ było oczywiste, że nieszczęsny Holmes majaczy, i pozostawienie go samego wydawało mi się niebezpieczne. Ale on domagał się teraz zasięgnięcia porady lekarskiej tak samo gwałtownie, jak przedtem się temu opierał.

— Nigdy nie słyszałem tego nazwiska — powiedziałem.

— To możliwe, mój dobry Watsonie. Może się zdziwisz na wieść, że jedyny na świecie człowiek, który zna się na tej chorobie, nie jest lekarzem, ale plantatorem. Pan Culverton Smith mieszka na Sumatrze, gdzie jest dobrze znany, a teraz bawi w Londynie. Wybuch tej choroby na jego plantacji w odludnym miejscu zmusił go do zajęcia się badaniami we własnym zakresie. Praca ta stała się jego pasją z pewnymi daleko sięgającymi konsekwencjami. Jest on człowiekiem bardzo systematycznym, więc nie chciałem cię wypuścić przed szóstą, ponieważ wiedziałem, że nie zastałbyś go w gabinecie. Gdyby udało ci się go nakłonić, aby przyszedł tutaj i pozwolił nam wykorzystać swą wyjątkową wiedzę o tej chorobie, której badanie od lat jest jego ulubionym zajęciem, to nie mam wątpliwości, że mógłby mi pomóc.

Uwagi Holmesa przekazuję tu w formie ciągłej i nie podejmę się opisać przerw powodowanych łapczywym chwytniem powietrza ani kurczowego zaciskania rąk, świadczącego o napadach bólu, jaki dręczył mego przyjaciela. W ciągu godzin, które z nim spędziłem, jego wygląd jeszcze się pogorszył. Gorączkowe plamy nabrały wyrazistości, jeszcze silniej błyszczały i coraz bardziej zapadały mu się oczy, a zimny pot lśnił na czole.

Wciąż jednak zachowywał beztronską wyniosłość w sposobie wyrażania się. Nawet w obliczu śmierci pozostawał dżentelmenem.

— Opiszesz mi dokładnie stan, w jakim mnie zostawiłeś — powiedział. — Przekażesz zapamiętany obraz — obraz człowieka umierającego, konającego w malignie. Nie mam zaiste pojęcia, dlaczego cały ocean nie zmienił się w jedną, litą masę ostryg, tak płodne wydają się te stworzenia. Och, ja bredzę. Dziwne, jak umysł potrafi się sam kontrolować! O czym to ja mówię, Watsonie?

— O wskazówkach dla pana Culvertona Smitha.

— Ach tak, rzeczywiście. Od tego zależy moje życie. Błagaj go, mój drogi. Nie jestem z nim w najlepszych stosunkach. Jego siostrzeniec, Watsonie... Powziąłem podejrzenie, że popełniono przestępstwo, i dałem mu to do zrozumienia. Ten chłopak umarł straszną śmiercią. Smith żywi do mnie urazę. Musisz go urobić. Proś go, błagaj, sprowadź tu wszelkimi możliwymi sposobami. On, i tylko on, może mnie uratować!

— Przywiozę go dorożką, nawet gdybym go musiał zanieść do niej na rękach.

— Niczego takiego nie zrobisz. Przekonasz go, żeby przyszedł, a następnie wrócisz tu wcześniej. Wymyśl jakąś wymówkę i nie przychodź razem z nim. Nie zapomnij o tym, Watsonie. Nie zawieź mnie. Nigdy się na tobie nie zawiodłem. Przecież stworzenia te muszą mieć jakichś naturalnych wrogów, którzy ograniczą ich rozprzestrzenianie się. My, Watsonie, odegraliśmy już swą rolę. Miałbyż świat zostać zalany przez ostrygi? Nie, nie; to przerażające. Zachowaj to wszystko w swojej pamięci.

Opuszczałem go, mając w oczach obraz człowieka o wspaniałym umyśle, gaworzącego jak głupiutkie dziecko. Wręczył mi klucz, więc zabrałem go ze sobą, ciesząc się w myślach, że uniemożliwi mu to zamknięcie się od wewnątrz. Na korytarzu czekała roztrzęsiona i płacząca pani Hudson. Kiedy wychodziłem z mieszkania, słyszałem jeszcze, jak Holmes wysokim, piskliwym głosem zawodzi jak szaleniec. Kiedy stałem na dole, przywołując gwizdem dorożkę, z mgły wyłonił się jakiś człowiek.

— Jak się miewa pan Holmes, sir? — zapytał.

Był to stary znajomy, inspektor Morton ze Scotland Yardu, ubrany w cywilne tweedy.

— Jest bardzo chory — odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie w wielce osobliwy sposób. Gdyby przypuszczenie to nie było zbyt szalone, pomyślałbym, że w blasku światła padającego z okienka nad drzwiami dostrzegłem w jego twarzy błysk rozbawienia.

— Doszła mnie taka pogłoska — powiedział. Nadjechała dorożka, opuściłem więc policjanta. Lower Burkę Street okazała się szeregiem eleganckich domów usytuowanych gdzieś na pograniczu Notting Hill i Kensington. Dom, przed którym zatrzymał się dorożkarz, otaczała aura drobnomieszczańskiej, przesadnej powagi, emanująca ze staroświeckich żelaznych poręczy, ciężkich, wieloskrzydłowych drzwi i lśniących mosiężnych okuć. Wszystkiego zaś doglądał dostojnie wyglądający kamerdyner, który pojawił się w obramowaniu różowego blasku od przyćmionego światła lampy elektrycznej za jego plecami.

— Tak, pan Culverton Smith jest w domu. Doktor Watson. Bardzo dobrze, sir, przekażę pańską wizytówkę.

Moje skromne nazwisko i tytuł nie wywarły na panu Culvertonie Smisie większego wrażenia. Przez uchylone drzwi słyszałem wysoki, rozdrażniony, przenikliwy głos.

— Cóż to za człowiek? Czego chce? Mój Boże, Staples, ileż razy ci powtarzałem, żeby mi nie przeszkadzać podczas moich badań!

Dobiegł mnie cichy potok słów usprawiedliwiającego się kamerdynera.

— Nic z tego! Nie mogę sobie pozwolić na takie przerwy w pracy. Nie ma mnie w domu. Powiedz mu to. Jeśli rzeczywiście ma do mnie jakiś interes, niech przyjdzie rano.

Znów dał się słyszeć cichy szmer głosu kamerdynera.

— Dobrze, dobrze, przekaz mu tę wiadomość. Może przyjść rano albo pozostać pod drzwiami. Nie mogę teraz odrywać się od pracy.

Pomyślałem o Holmesie rzucającym się na łożu bolesti, liczącym być może minuty, jakie go dzielą od nadejścia pomocy. Nie było czasu na żadne ceremonie. Jego życie zależało od szybkości mojego działania. Zanim skruszony lokaj zdążył otworzyć usta, by mi przekazać wiadomość, odsunąłem go na bok i znalazłem się w pokoju.

Z szeszlona przy kominku z przenikliwym wrzaskiem uniósł się jakiś mężczyzna. Ujrzałem szeroką żółtą twarz, prostacką i o tłustej cerze, z podwójnym podbródkiem i parą ponurych, złych, zimnych szarych oczu, piorunujących mnie spod krzaczastych płowych brwi. Na wysokiej łysej głowie spoczywała mała aksamitna mycka, kokieteryjnie zsunięta na jedną stronę różowej krzywizny. Jego czaszka była ogromna, ale kiedy przesunąłem wzrok w dół, ku swemu zdumieniu stwierdziłem, że jest to człowiek drobny i kruchy, a jego ramiona i plecy są zniekształcone, jak u kogoś, kto w dzieciństwie cierpiał na krzywicę.

— Cóż to takiego? — krzyknął wysokim, piskliwym głosem. — Co ma oznaczać to najście? Czy nie przekazano panu, że przyjmę pana jutro rano?

— Bardzo mi przykro — odparłem — ale ta sprawa nie może czekać do jutra rana. Pan Sherlock Holmes...

Dźwięk nazwiska mojego przyjaciela podziałał na człowieka w sposób niezwykły. Z jego twarzy natychmiast znikł wyraz zagniewania. Był teraz napięty i czujny.

— Przychodzi pan od Holmesa? — zapytał.

— Właśnie od niego wyszedłem.

— A co się z nim dzieje? Jak się miewa?

— Jest beznadziejnie chory i właśnie dlatego do pana przyszedłem.

Mężczyzna wskazał mi krzesło, a sam odwrócił się, by sobie przysunąć swoje. Kiedy to robił, uchwyciłem przez chwilę jego odbicie w lustrze wiszącym nad kominkiem. Gotów bym przysiąc, że na jego twarzy pojawił się złośliwy i wstrętny uśmiech. Wytłumaczyłem sobie jednak, że musiał to być tylko jakiś chwilowy nerwowy skurcz, ponieważ w moment później odwrócił się do mnie na powrót z wyrazem prawdziwego zatroskania na twarzy.

— Słucham tego z przykrością — powiedział. — Pana Holmesa poznałem jedynie przy okazji załatwiania pewnych interesów, ale podziwiam jego talent i charakter. Jest on w takim samym stopniu znawcą zbrodni, jak ja chorób. Dla niego zbir, dla mnie — mikrob. To są ich cele więzienne — ciągnął, wskazując na szereg butelek i słoików ustawionych na brzegu stołu. — Pośród tych żelatynowych kultur odsiadują swoje wyroki najokrutniejsi w świecie zbrodniarze.

— To właśnie z racji pańskiej specyficznej wiedzy chce pana u siebie widzieć pan Holmes. Ma o panu jak najlepszą opinię i uważa, że jest pan jedynym człowiekiem w Londynie, który może mu pomóc.

Człowieczek drgnął, a jego frywolna mycka zsunęła się na podłogę.

— Dlaczego? — zapytał. — Dlaczego pan Holmes miałby uważać, że ja mógłbym zaradzić jego kłopotom?

— Dzięki pańskiej znajomości chorób Wschodu.

— A dlaczego on sądzi, że choroba, którą się zaraził, jest pochodzenia wschodniego?

— Ponieważ prowadząc jedno ze swych zawodowych śledztw, pracował w dokach wśród chińskich marynarzy.

Pan Culverton uśmiechnął się figlarnie i podniósł z podłogi swą myckę.

— Ach, to tak się stało? — rzekł. — Mam nadzieję, że sprawa nie wygląda tak groźnie, jak pan przypuszcza. Od jak dawna jest chory?

— Od około trzech dni.

— Czy majaczy?

— Od czasu do czasu.

— Ha! To brzmi poważnie. Byłoby nieludzkie pozostawać głuchym na takie wezwanie. Bardzo niechętnie przerywam swą pracę, doktorze Watson, ten jednak przypadek jest z pewnością wyjątkowy. Już z panem wychodzę.

Przypomniałem sobie o zaleceniu Holmesa.

— Mam jeszcze inne spotkanie — powiedziałem.

— Doskonale. Pojadę tam sam. Mam zanotowany adres pana Holmesa. Może pan być pewny, że będę najdalej za pół godziny.

Do sypialni Holmesa wchodziłem z zamierającym sercem. Podczas mojej nieobecności mogły się bowiem ziścić najgorsze przewidywania. Odczułem jednak niewysłowioną ulgę, widząc, że w czasie tej przerwy Holmesowi bardzo się poprawiło. Jego wygląd był nadal upiorny, ale zniknęły wszelkie objawy maligny i choć wciąż mówił słabym głosem, to jednak nawet bardziej niż zazwyczaj dosadnie i jasno.

— No więc jak, Watsonie, widziałeś się z nim?

— Tak, zmierza tu.

— Wspaniale, Watsonie! Wspaniale! Jesteś najlepszym z posłańców.

— Chciał iść tu razem ze mną.

— To byłoby fatalne, Watsonie! To byłoby po prostu nie do przyjęcia. Czy zapytał, co mi dolega?

— Powiedziałem mu o Chińczykach we wschodnim Londynie.

— Doskonale! No więc, Watsonie, jako przyjaciel zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Teraz możesz zniknąć ze sceny.

— Muszę wysłuchać jego opinii, Holmesie.

— Oczywiście, że musisz. Mam jednak powody przypuszczać, że jego opinia będzie o wiele bardziej szczerą i wartościową, jeśli będzie przekonany, że jesteśmy sam na sam. Za wezłowiek mojego łóżka jest trochę wolnej przestrzeni, Watsonie.

— Ależ mój drogi Holmesie!

— Obawiam się, Watsonie, że nie ma innego wyboru. To miejsce nie nadaje się na kryjówkę, i bardzo dobrze, bo jest mniej prawdopodobne, że wzbudzi jakieś podejrzenia. Ale myślę, że zdołasz się tam pomieścić — usiadł nagle na łóżku z wyraźną determinacją na wynędzniałej twarzy. — Słysząc już dorożkę, Watsonie. Szybko, człowieku, jeśli mnie kochasz! I żebyś nawet nie drgnął, cokolwiek się zdarzy — cokolwiek się zdarzy, rozumiesz? Ani słowa! Ani poruszenia! Nastawiaj tylko pilnie uszu. — W jednej chwili ten nagły przypływ energii ustąpił, a jego władczy, zdecydowany sposób mówienia przeistoczył się w ochryple niewyraźne mamrotanie na poły mającego człowieka.

Z kryjówki, w którą zostałem pospiesznie wtłoczony, dosłyszałem stapanie po schodach, a następnie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi sypialni. Później, ku memu zdziwieniu, nastąpiła długa chwila ciszy, w której słyszeć było jedynie ciężki, nieregularny oddech chorego. Wyobraziłem sobie, że nasz gość stoi przy łóżku i przygląda się cierpiącemu. Wreszcie ta dziwna cisza została przerwana.

— Holmes! Holmes! — krzyknął nagłym tonem, jak ktoś, kto budzi śpiącego. — Słyszysz mnie, Holmes? — Dał się słyszeć szelest, jakby chorego potrząsano za ramię.

— Czy to pan, panie Smith? — wyszeptał Holmes. — Nie miałem wielkiej nadziei na to, że pan przyjdzie.

Tamten się roześmiał.

— Tak też to sobie wyobrażałem — powiedział. — A jednak, jak widzisz, jestem tutaj. Dobrem za zło, Holmes — dobrem za zło!

— To bardzo ładnie z pana strony — bardzo szlachetnie. Wysoko sobie cenię pańską wiedzę.

Nasz gość zachichotał.

— Ach, tak. Jest pan, na szczęście, jedynym takim człowiekiem w Londynie. Czy pan wie, o co chodzi w pańskim przypadku?

— O to samo — powiedział Holmes.

— Aha! Rozpoznaje pan objawy?

— Aż za dobrze.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby to było to samo. Jeśli tak, to kiepskie są pańskie widoki. Biedny Victor, silny, krzepki młody chłopak, a zmarł czwartego dnia. Było to z pewnością, jak sam pan orzekł, bardzo zaskakujące, że zaraził się on jakąś niezwykle azjatycką chorobą w samym sercu Londynu — i to chorobą, którą ja interesowałem się w sposób szczególny. Dziwny zbieg okoliczności, panie Holmes! Wykazał się pan tu wielką bystrością, ale żeby zaraz sugerować jakieś związki przyczynowo — skutkowe, to już raczej jest gest nieprzyjazny.

— Wiedziałem, że to pańskie dzieło.

— Ach, wiedział pan? No dobrze, w każdym razie nie potrafił pan niczego udowodnić. Ale za kogo pan się właściwie ma, że najpierw rozpowszechnia o mnie podobne wiadomości, a potem, kiedy popadł pan w tarapaty, żebrze o moją pomoc? Jaką tu prowadzisz grę... co?

Usłyszałem chrapliwy, ciężki oddech chorego.

— Proszę o wodę! — zawołał, z trudem łapiąc oddech.

— Twój koniec jest już diabło bliski, mój przyjacielu, ale nie chcę, żebyś odszedł, dopóki z tobą nie pogadam. I tylko dlatego podaję ci wodę. No, nie rozlewaj! W porządku. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Holmes zajęczał.

— Proszę zrobić, co jest w pańskiej mocy. Zapomnijmy o urazach — wyszeptał. — Wyrzucę z pamięci te słowa, przysięgam. Proszę mnie tylko wyleczyć, a ja o wszystkim zapomnę.

— O czym?

— No, o śmierci Victora Savage'a. Przecież pan właśnie przyznał się do jej spowodowania. Zapomnę o tym.

— Możesz sobie o tym pamiętać albo zapomnieć, jak sobie chcesz. Jakoś cię nie widzę jako świadka w sądzie, raczej zupełnie gdzie indziej, i to jako nieboszczyka, mój poczciwy Holmesie. Nie ma dla mnie znaczenia, że wiesz, w jaki sposób umarł mój siostrzeniec. Nie o nim teraz mówimy, ale o tobie.

— Tak, tak.

— Ten jegomość, który po mnie przyszedł, zapomniałem jego nazwiska, powiedział, że zaraziłeś się od marynarzy w dokach wschodniego Londynu.

— Nic innego mi nie przychodzi do głowy.

— Pysznisz się inteligencją, prawda, Holmes? Uważasz się za sprytnego, co? Ale tym razem trafiłeś na sprytniejszego od siebie. Wyteż swój umysł, Holmes. Czy nie możesz sobie wyobrazić innego sposobu, w jaki mogłeś się tego nabawić?

— Nie potrafię myśleć. Mój umysł nie działa. Na miłość boską, pomóż mi!

— Tak, pomogę ci. Pomogę ci zrozumieć, w jakim punkcie się znajdujesz i jak do niego dotarłeś. Chciałbym, żebyś się o tym dowiedział przed śmiercią.

— Daj mi coś na uśmierzenie bólu.

— Ach, więc to boli? Tak, kulisi zazwyczaj pod koniec skowycieli z bólu. Wyobrażam sobie, że się czujesz jak ściśnięty imadłem.

— O właśnie, jak imadłem.

— Ale przecież słyszysz, co do ciebie mówię. No więc uważaj! Pamiętasz jakieś niezwykle wydarzenie tuż przed wystąpieniem pierwszych oznak choroby?

— Nie, nie; niczego nie pamiętam.

— Pomyśl jeszcze.

— Jestem zbyt chory, żeby myśleć.

— No dobrze, pomogę ci. Czy przyszło coś do ciebie pocztą?

— Poczta?

— Na przykład jakieś puzderko?

— Tracę zmysły! Umieram!

— Posłuchaj, Holmes! — usłyszałem odgłos, jakby tamten potrząsał umierającym, i z najwyższym trudem zachowywałem spokój w mojej kryjówce. — Musisz mnie wysłuchać. Powinieneś mnie wysłuchać. Czy pamiętasz puzderko — puzderko z kości słoniowej? Przyszło w środe. Otworzyłeś je, pamiętasz?

— Tak, tak, otworzyłem je. Wewnątrz była ostra sprężyna. Jakiś żart.

— To nie był żart, jak się zaraz przekonasz na własnej skórze. Ty głupcze, dostałeś to, czego sam chciałeś. Kto cię prosił, żeby mi wchodzić w drogę? Gdybyś mnie zostawił w spokoju, nie stałaby ci się krzywda.

— Pamiętam — wydyszał Holmes. — Sprężyna! Zraniłem się nią. Puzderko... to na stoliku.

— To samiutkie, na Boga! I może spokojnie opuścić ten pokój w mojej kieszeni. Tym sposobem znika ostatni ślad po jakimkolwiek dowodzie. Teraz jednak znasz już prawdę, Holmes, i możesz umierać ze świadomością, że to ja cię zabiłem. Wiedziałeś zbyt dużo o tragicznym końcu Victora Savage'a, więc umożliwiłem ci, żeby to samo stało się również twoim udziałem. Jesteś już prawie u kresu, Holmes. Posiedzę tu i popatrzę, jak umierasz. Głos Holmesa zanikł do niemal niedosłyszalnego szeptu.

— Co takiego? — zapytał Smith. — Podkręcić płomień w lampie? No tak, nadciągają ciemności, prawda? Proszę bardzo, będę cię lepiej widział. — Przeszedł przez pokój, który nagle stanął w jaskrawym świetle. — Czy mógłbym ci jeszcze wyświadczyć jakąś przysługę, mój przyjacielu?

— Tak, podaj mi papierosa i zapalki.

Omali nie krzyknąłem z radości i zdumienia. Mój przyjaciel mówił swoim naturalnym głosem — może nieco osłabionym, ale tym głosem, który znałem. Nastąpiła długa chwila ciszy i zrozumiałem, że Culverton Smith osłupiał i w milczeniu obserwuje Holmesa.

— Co to ma wszystko znaczyć?! — usłyszałem wreszcie jego oschły, zgrzytliwy głos.

— Okazuje się, że to najlepszy sposób na udane odegranie roli — powiedział Holmes. — Ręczę panu słowem, że od trzech dni nie tknąłem jedzenia ani picia, aż do chwili, kiedy zechciał mi pan uprzejmie podać szklankę wody. Ale najbardziej dokuczliwie odczułem brak tytoniu. Aha, dziękuję za papierosa — rozległ się trzask pocieranej zapalki. — Od razu mi ulżyło. Ale, ale! Czyż nie zmierza tu któryś z moich przyjaciół?

Usłyszałem odgłos kroków na zewnątrz, otworzyły się drzwi i w progu stanął inspektor Morton.

— Wszystko w porządku inspektorze, a ten człowiek należy do pana — oznajmił Holmes.

Policjant wygłosił zwyczajowe ostrzeżenia.

— Aresztuję pana pod zarzutem popełnienia morderstwa na niejakim Victorze Savage'u — zakończył.

— Mógłby pan też dodać usiłowanie popełnienia morderstwa na niejakim Sherlocku Holmesie — dorzucił mój przyjaciel z chichotem. — Aby oszczędzić kłopotu choremu, pan Culverton Smith sam dał panu nasz umówiony sygnał, inspektorze, i zechciał uprzejmie podkręcić lampę gazową. Aha, przy okazji, pański więzień ma w prawej kieszeni swego płaszcza małe puzderko, które warto by stamtąd wyjąć. Dziękuję. Na pana miejscu obchodziłbym się z nim delikatnie. Proszę je położyć tutaj. Może się okazać potrzebne podczas procesu.

Nagle nastąpiło gwałtowne poruszenie, słychać było jakąś szamotaninę, a w ślad za tym szcęknięło żelazo i rozległ się krzyk bólu.

— Zrobi pan sobie tylko krzywdę — rzekł inspektor. — Proszę stać spokojnie, dobrze? — dobiegł mnie trzask zamykanych kajdanek.

— Piękna pułapka! — wrzasnął Smith cienkim, opryskliwym głosem. — To ciebie, Holmes, zaprowadzi ona na ławę oskarżonych!! Poprosił mnie, żebym tu przyszedł, bo jest umierający. Było mi go żal, więc przyjechałem. Teraz będzie na pewno udawał, że powiedziałem coś, co może uznać za potwierdzenie jego chorobliwych podejrzeń. Możesz kłamać do woli, Holmes. Moje słowa są tyleż warte co pańskie.

— Wielkie nieba! — krzyknął Holmes. — Kompletnie o nim zapomniałem. Mój drogi Watsonie, jestem ci winien stokrotne przeprosiny. Że też mogło mi to wypaść z głowy! Nie muszę cię przedstawiać panu Culvertonowi Smithowi, ponieważ panowie, jak sądzę, poznali się nieco wcześniej tego wieczoru. Trzyma pan na dole dorożkę, Morton? Ubiore się tylko i podążę za wami, bo może będę potrzebny na posterunku.

— Nigdy bardziej mi tego nie brakowało — powiedział Holmes, pokrępiając się szklanką klaretu i kilkoma biskwitami w trakcie swojej toalety. — Ponieważ jednak, jak wiesz, nie mam stałych nawyków, to takie próby znoszę lepiej niż większość ludzi. Było sprawą najwyższej wagi, aby pani Hudson naprawdę uwierzyła w moją chorobę, ponieważ swoje odczucia musiała przekazać tobie, a ty z kolei jemu. Nie chowasz do mnie urazy, Watsonie? Masz chyba świadomość, że wśród twoich rozlicznych talentów brakuje ci jednak zdolności udawania i że gdybym cię we wszystko wtajemniczył, nigdy nie zdołałbyś przekonać Smitha, że powinien niezwłocznie przybyć do mnie, co było kluczowym punktem całego planu. Znając jego mściwą naturę, byłem absolutnie pewien, że przyjdzie, żeby przyjrzeć się swemu dziełu.

— Ale twój wygląd, Holmesie... twoja upiorna twarz?

— Trzydniowy bezwzględny post nie dodaje nikomu urody. A co do reszty, to wszystko można załatwić za pomocą tamponu. Wazelina na czoło, belladonna do oczu, róż na kości policzkowe i strupy z pszczelego wosku wokół ust mogą dać bardzo zadowalający efekt. Czasem myślę, aby symulację uczynić tematem monografii, którą chciałbym kiedyś napisać. Napomknięcie od czasu do czasu o półkoronówkach, ostrygach i innych nonsensownych rzeczach sprawia przekonujące wrażenie majaczenia.

— Dlaczego jednak nie pozwalasz mi się zbliżyć do siebie, jeśli nie było niebezpieczeństwa zarażenia?

— A cóż to za pytanie, mój drogi Watsonie? Nie przypuszczasz chyba, że nie cenię twoich medycznych talentów? Czy mógłbym sobie wyobrazić, że twój bystry osąd zaakceptuje fakt, iż umierający człowiek nie ma przyspieszonego pulsu ani gorączki? Z odległości czterech jardów mogłem cię oszukiwać. Gdyby mi się to nie udało, któż by zwabił pana Smitha w mój potrzask? Nie, Watsonie, nie tknąłem tego puzderka. Jeśli spojrzysz na nie z boku, to zobaczysz, że przy otwarciu wyskakuje zeń, niczym język żmii, ostra sprężyna. Przypuszczam, że za pomocą podobnego urządzenia został uśmiercony ów nieszczęsny Savage, który stanął temu potworowi na drodze do przejęcia spadku. Moja korespondencja jest wszakże, jak ci wiadomo, bardzo urozmaicona, i staram się mieć na baczności przed paczkami, które do mnie docierają. Było jednak oczywiste, że udając, iż jego plan się powiódł, mogłem przez zaskoczenie zmusić go do przyznania się. Swoją chorobę symulowałem ze starannością prawdziwego artysty. Watsonie, musisz mi pomóc w założeniu płaszcza. Dziękuję. Kiedy już skończymy sprawy na posterunku policji, to myślę, że nie od rzeczy będzie wpaść do Simpsona na coś pożywnego.

TAJEMNICZA ŚMIERĆ PRZY MOŚCIE THOR (THE PROBLEM OF THOR BRIDGE)

Gdzieś w podziemiach banku Cox & Co. przy Charing Cross spoczywa wysłużona w licznych podróżach i poobijana blaszana kasetka na dokumenty z wymalowanym na wieku moim nazwiskiem: JOHN H. WATSON, DR MED., BYŁA ARMIA IND. Wypełniają ją niemal bez reszty zapiski dotyczące śledztw prowadzonych przez Sherlocka Holmesa, sporządzone dla przedstawienia osobliwych problemów, z jakimi w różnych okresach swej pracy musiał się borykać mój przyjaciel. Niektóre z tych śledztw, i to wcale nie najmniej interesujące, zakończyły się całkowitym fiaskiem, więc jako takie niezbyt nadają się do zrelacjonowania. Zagadka bez rozwiązania może zainteresować badacza, ale z pewnością zirytuje przypadkowego czytelnika. Wśród tych niezakończonych opowieści jest sprawa pana Jamesa Phillimore'a, który zawrócił do swego domu po parasol i przepadł bez wieści. Nie mniej zadziwiająca jest historia kutra „Alicja”: pewnego wiosennego poranka wpłynął w niewielki kłęb mgły, by się zeń już nigdy nie wynurzyć — słuch zaginął zarówno o załodze, jak o samym statku. Trzeci wart odnotowania przypadek dotyczy Izydora Persana, znanego dziennikarza i pojedykowicza — znaleziono go kompletnie oszalałego, wpatzonego w pudełko po zapalkach zawierające dziwnego robaka, nieznanego jakoby nauce. Oprócz tych niepojętych zdarzeń są też sprawy, które dotyczą prywatnych tajemnic rodzinnych, ale już nawet sama myśl o możliwości ujawnienia ich w jakiegokolwiek postaci w druku wywołałaby konsternację wielu wysoko postawionych osób. Nie muszę mówić, że takie nadużycie zaufania jest nie do pomyślenia i że teraz, gdy mój przyjaciel może na to poświęcić swój czas i energię, notatki te zostaną odszukane i zniszczone. Pozostaje całkiem pokaźna liczba spraw mniej lub bardziej ciekawych, które opisałbym już wcześniej w formie opowiadań, gdybym się nie lękał zanudzić czytelników, a to mogłoby w jakiś sposób wpłynąć na reputację człowieka będącego przedmiotem mojej największej czci. W niektóre sprawy byłem zaangażowany osobiście i mogę o nich mówić z pozycji naocznego świadka, podczas gdy w innych przypadkach albo byłem nieobecny, albo odegrałem rolę tak nikłą, że narrację dałoby się poprowadzić tylko w trzeciej osobie. Poniższe opowiadanie zaczerpnąłem z własnych przeżyć.

Był burzliwy październikowy poranek, a ja, ubierając się, patrzyłem, jak wiatr zrywa resztki liści z samotnego płątana, który zdobi najbliższe otoczenie naszego domu. Zszedłem na śniadanie pewien, że znajdę mego towarzysza przygnębionym, ponieważ, jak wszyscy wielcy artyści, łatwo ulegał wpływowi otoczenia. Tymczasem przeciwnie, stwierdziłem, że Holmes, który skończył już prawie posiłek, jest nad wyraz ożywiony i radosny, wykazując oznaki cokolwiek złowróźbnej wesołości, charakterystycznej dla jego dobrego nastroju.

— Masz jakąś nową sprawę — zauważyłem.

— Zdolność dedukcji jest z pewnością zaraźliwa, Watsonie — odparł. — Umożliwiła ci ona zgłębienie mojej tajemnicy. Tak, mam sprawę. Po miesiącach blahostek i zastoju nasza machina znowu rusza.

— Czy mógłbym zostać wtajemniczony?

— Niewiele jest do wtajemniczania, ale możemy to omówić, gdy już spożyjesz te dwa jajka na twardo, którymi zaszczyliła nas nasza nowa kucharka. Ich stan może nie pozostawać bez związku z egzemplarzem „Family Herald”, który wczoraj dostrzegłem na stoliku w holu. Nawet tak blaha czynność jak gotowanie jajek wymaga skupienia, pełnego świadomości upływającego czasu i nie dającego się pogodzić z lekturą miłosnego romansu w tym znakomitym periodyku.

Po kwadransie stół był już uprzątnięty, a my siedzieliśmy naprzeciw siebie.

— Słyszałeś o Neilu Gibsonie, Królu Złota? — zapytał Holmes.

— Masz na myśli tego amerykańskiego senatora?

— No tak, kiedyś był senatorem z któregoś z zachodnich stanów, ale bardziej znany jest jako właściciel największych kopalni złota na świecie.

— Tak, wiem, o kogo chodzi. Przez pewien czas na pewno mieszkał w Anglii. Jego nazwisko jest bardzo znane.

— Właśnie; przed kilku laty nabył dużą posiadłość w hrabstwie Hampshire. Być może słyszałeś już o tragicznym losie, jaki spotkał jego żonę?

— Oczywiście, teraz sobie przypominam. Dlatego jego nazwisko stało się głośnie. Ale nie znam szczegółów.

Machnięciem ręki Holmes wskazał na jakieś papiery leżące na krześle.

— Nie miałem pojęcia, że ta sprawa trafi do mnie, gdyż przejrzałbym wcześniej wycinki prasowe — powiedział. — Faktem jest, że ten problem, choć absolutnie sensacyjny, nie wydaje się trudny. Ciekawa osobowość oskarżonej nie może być przeciwumą dla oczywistości dowodów. Taką opinię sformułowali przysięgli koronera, a także śledczy policyjni. Mówi się teraz o tym jako o „procesie w Winchesterze”. Obawiam się, że jest to niewdzięczne zadanie. Mogę odkryć fakty, Watsonie, ale nie mogę ich zmienić. Jeśli nie wyjdą na światło dzienne jakieś zupełnie nowe i zaskakujące zdarzenia, to nie widzę dla mojego klienta żadnej nadziei.

— Twojego klienta?

— Ach, zapomniałem ci o tym powiedzieć. Zaczynam popadać w twój stary nawyk opowiadania historii od końca. Przeczytaj najpierw to.

List, który mi wręczył, napisany był pewną, władczą ręką i brzmiał następująco:

*Hotel Claridge
3 października*

Szanowny Panie Holmes!

Nie mogę spokojnie patrzeć, jak najwspanialsza pod słońcem kobieta idzie na śmierć, i nie podjąć wszelkich możliwych prób jej ratowania. Nie jestem w stanie tego wszystkiego wytłumaczyć, nawet nie potrafię się do tego zabrać, wiem jednak ponad wszelką wątpliwość, że panna Dunbar jest niewinna. Zna Pan fakty — któż ich zresztą nie zna? Sprawa stała się przedmiotem plotek w całym kraju. I ani jeden głos nie podniósł się w jej obronie! Ta przeklęta niesprawiedliwość doprowadza mnie do szaleństwa. Jest to kobieta, która nie skrzywdziłaby nawet muchy. Przyjdę więc do Pana jutro o jedenastej rano — może zdoła Pan w tych ciemnościach dostrzec jakiś promyk światła. Może to ja sam trzymam w ręku klucz do rozwiązania zagadki, choć o tym nie wiem. W każdym razie cała moja wiedza, majątek i prestiż będą całkowicie do Pańskiej dyspozycji, jeśli tylko zdoła ją Pan uratować. Niech Pan w tę sprawę zaangażuje bez reszty swój talent.

*Z głębokim poważaniem
J. Neil Gibson*

— Oto i masz — mówił Holmes, wystukując popiół ze swej pierwszej w tym dniu fajki i napełniając ją z wolna ponownie. — Tego właśnie dzentelmena oczekuję. Co do samej historii, to masz za mało czasu, żeby zapoznać się z dokumentami, więc przedstawię ci ją w pigułce, abyś wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Ten finansowy potentat jest, jak się domyślam, człowiekiem o bardzo gwałtownym i nieugiętym charakterze. O jego żonie, ofierze tragedii, nie wiem nic poza tym, iż nie była już pierwszej młodości, a to fakt o tyle

niefortunny, że wychowaniem ich dwojga dzieci zajmowała się młoda, bardzo atrakcyjna guwernantka. Bohaterami dramatu jest tych troje ludzi, sceną zaś — wspaniały stary dwór stojący pośrodku historycznej angielskiej posiadłości. A teraz sama tragedia. Zwłoki kobiety — w popołudniowej sukni, z szalem spowijającym jej ramiona i z głową przestrzeloną kulą z pistoletu — znaleziono późną nocą na terenie majątku, mniej więcej o milę od domu. Nie było przy niej żadnej broni. Nie natrafiono na miejscu na jakikolwiek trop. Żadnej broni w jej pobliżu, Watsonie... zwróć na to uwagę! Zbrodnia została popełniona, jak się wydaje, późnym wieczorem, ciało znalazł gajowy około godziny jedenastej i wówczas obejrzała je policja oraz lekarz, a następnie zostało przeniesione do domu. Czy mówię zbyt skrótowo, czy też jest to dla ciebie jasne?

— Jest bardzo jasne. Tylko dlaczego podejrzenie padło na guwernantkę?

— No cóż, po pierwsze istnieje bezpośredni dowód. Na dnie jej szafy na ubrania znaleziono pistolet bez jednego naboju, o kalibrze odpowiadającym tamtemu — oczy Holmesa znieruchomiały i powtórzył, wymawiając dobitnie każde słowo: — Na dnie jej szafy na ubrania. — Następnie pograżył się w milczeniu, a ja pojąłem, że w tym momencie jego umysł zaczął intensywnie pracować i że nierozsądnie byłoby mu przerywać.

Nagle drgnął i ponownie się ożywił.

— Tak, Watsonie, pistolet został znaleziony. To się dopiero nazywa dowód obciążający, prawda? Tak też pomyślały obie ławy przysięgłych. Poza tym nieboszczka miała przy sobie bilecik z prośbą o spotkanie w tym właśnie miejscu, podpisany przez guwernantkę. I co ty na to? Motyw tu mamy. Senator Gibson to nie byle kto. A któż w wypadku śmierci jego żony bardziej by się nadawał do zajęcia jej miejsca niż młoda dama, która niewątpliwie już wcześniej doświadczyła natarczywych zalotów ze strony swego chlebobdawcy? Miłość, majątek, władza — zdobycie tego wszystkiego uzależnione od życia jednej kobiety w średnim wieku. Odrażające, Watsonie, głęboko odrażające!

— W rzeczy samej, Holmesie.

— Nie miała też żadnego alibi. Wręcz przeciwnie, musiała przyznać, że była w pobliżu mostu Thor, czyli miejsca tragedii, i to w tym samym mniej więcej czasie, kiedy popełniono zbrodnię. Nie mogła zaprzeczyć, ponieważ widział ją tam przechodzący wieśniak.

— To rzeczywiście wygląda na dowód rozstrzygający.

— A jednak, Watsonie... a jednak! Ten most — pojedyncze szerokie kamienne przesłó z balustradą po obu stronach — umożliwia przejazd przez najwyższe miejsce długiego, głębokiego, porośniętego sitowiem rozlewiska. Nazywa się ono staw Thor. Przy wjeździe na most znajdują martwą kobietę. Takie są zasadnicze fakty. Ale oto, jeśli mnie słuch nie myli, jest już nasz klient, znacznie przed czasem.

Billy otworzył drzwi, ale nazwisko człowieka, którego zaanonsował, zaskoczyło nas. Nie znaliśmy pana Marlowa Batesa. Był on nerwowym, szczupłym, niepokaźnym człowieczkiem o wystraszonej minie i niepewnym sposobie bycia — osobnikiem, który według mojej zawodowej oceny znajdował się na krawędzi całkowitego załamania psychicznego.

— Wygląda pan na podenerwowanego, panie Bates — powiedział Holmes. — Proszę usiąść. Obawiam się, że nie mogę panu poświęcić zbyt wiele czasu, ponieważ jestem umówiony na godzinę jedenastą.

— Wiem o tym — wyrzekł z trudem nasz gość. Wyrzucał z siebie krótkie zdania, jak ktoś, komu brakuje tchu. — Pan Gibson zaraz tu będzie. To mój chlebobdawca. Pracuję u niego jako zarządca majątku, panie Holmes, a on jest łotrem, piekielnym łotrem.

— Mocno powiedziane, panie Bates.

— Muszę się streszczać, panie Holmes, ponieważ mam mało czasu. Za nic na świecie nie chciałbym, żeby mnie tu zastał. O tym dzisiejszym spotkaniu Gibsona dowiedziałem się od jego sekretarza, pana Fergusona.

— A pan jest jego zarządcą?

— Złożyłem już wymówienie. Za kilka tygodni otrząsnę się z tej przeklętej niewoli. Bezwzględny człowiek, panie Holmes, bezwzględny dla wszystkich, którzy go otaczają. Ta jego oficjalna dobroczynność jest tylko osłoną dla własnych niegodziwości. Ale główną ofiarą Gibsona była jego żona. Był wobec niej brutalny — tak, sir, brutalny! Nie wiem, w jaki sposób doszło do jej śmierci, ale jestem pewien, że przez niego jej życie było jednym pasmem cierpienia. Pochodziła z tropików, była rodowitą Brazylijką. To pan oczywiście wie?

— Nie, jakoś mi umknęło.

— Miała naturę tak gorącą jak klimat, w którym się urodziła. Dziecko słońca i namiętności. Kochała go, jak tylko potrafi kochać taka kobieta; kiedy jednak jej fizyczne powaby przygasły — a słyszałem, że były niezwykle — nic już go nie powstrzymywało. Lubiliśmy ją wszyscy i współczuli jej, a jego nienawidziliśmy za to, jak ją traktował. On jednak jest obłudny i przebiegły. To wszystko, co miałem panu do powiedzenia. Niech pan się nie da zwieść pozorom. Teraz muszę już iść. Nie, nie, proszę mnie nie zatrzymywać. Jego tylko patrzeć.

Spojrząwszy z przerażeniem na zegar, nasz dziwny gość dosłownie rzucił się ku drzwiom i zniknął.

— No, no! — rzekł Holmes po chwili milczenia — jak się zdaje, pan Gibson ma sympatyczną, lojalną służbę. Jednak to ostrzeżenie coś nam dało, a teraz możemy już tylko poczekać, aż on sam pojawi się tu osobiście.

Punktualnie o jedenastej usłyszeliśmy ciężkie stąpanie po schodach i słynny milioner został wprowadzony do pokoju. Ujrawszy go, zrozumiałem nie tylko lęki jego zarządcy, ale także złorzeczenia, jakimi był obsypywany przez wielu swych konkurentów w branży handlowej. Gdybym był rzeźbiarzem i pragnął stworzyć wzorzec człowieka interesu, któremu się powiodło, człowieka o żelaznych nerwach i sumieniu twardym jak kamień, to na modela wybrałbym pana Neila Gibsona. Z jego wysokiej, ponurej, wyniosłej postaci emanowały zachłanność i drapieżność. Można by go z grubsza określić jako strywalizowanego Abrahama Lincolna. Jego twarz była jak wy — rzeźbiona w granicie, stwardniała, posepna, bezlitosna, zryta głębokimi zmarszczkami niczym bliznami po wielu przejściach. Zimne szare oczy patrzące przenikliwie spod nastroszonych brwi zlustrowały nas uważnie. Skłonił się niedbale, kiedy Holmes wymienił moje nazwisko, a następnie władczym gestem przysunął krzesło do mojego przyjaciela i usiadł, niemal się z nim stykając swymi kościstymi kolanami.

— Na wstępie chcę panu powiedzieć — zaczął — że pieniądze w tej sprawie nie mają żadnego znaczenia. Może je pan palić, jeśli światło ich płomienia ułatwi panu dojście do prawdy. Ta kobieta jest niewinna i ma być za taką uznana; na tym właśnie polega pańskie zadanie. Proszę wymienić swoją cenę.

— Moja stawka jest ściśle określona — powiedział chłodno Holmes. — Nigdy jej nie zmieniam, czasem jedynie w ogóle rezygnuję z honorarium.

— No, jeśli pieniądze nie mają dla pana znaczenia, proszę pomyśleć o swojej reputacji. Jeżeli się panu w tej sprawie powiedzie, to wszystkie gazety w Ameryce i w Anglii nadadzą temu rozgłos.

— Dziękuję, panie Gibson, nie sądzę jednak, abym potrzebował rozgłosu. Może to pana zdziwi, ale wolę pracować anonimowo, a to, co mnie interesuje, to sama zagadka. Nie traćmy więc czasu i przejdźmy do faktów.

— Myślę, że wszystkie najważniejsze zna pan z relacji prasowych. Nie wiem, czy mogę jeszcze coś tu dodać. Jeżeli jednak pan życzy sobie, abym coś bliżej wyjaśnił, to oddaję się do pańskiej dyspozycji.

— No cóż, mnie interesuje tylko jedno.

— Co to takiego?

— Jakie były rzeczywiste stosunki między panem i panną Dunbar?

Król Złota drgnął gwałtownie i lekko uniósł się z krzesła, szybko jednak wróciła mu zimna krew.

— Przypuszczam, że zadawanie podobnych pytań mieści się w granicach pańskich uprawnień, panie Holmes.

— Ustalmy, że tak właśnie jest — odparł Holmes.

— A zatem mogę pana zapewnić, że zawsze i wyłącznie były to tylko takie stosunki, jakie powinny być między chlebodawcą a zatrudnioną przez niego młodą damą. Nigdy z nią nie rozmawiałem na osobności ani jej nie widywałem w innych sytuacjach niż tylko w towarzystwie moich dzieci.

Holmes podniósł się z krzesła.

— Jestem człowiekiem raczej zajęтым, panie Gibson — powiedział — i nie mam ani ochoty, ani czasu, żeby się wdawać w bezcelowe rozmowy. Życzę panu miłego ranka.

Nasz gość wstał również, jego ogromna, niezgrabna sylwetka wyrosła nad Holmesem. Pod sterzącymi brwiami pojawił się błysk złości, a ziemiste policzki zabarwił rumieniec.

— Co pan, u diabła, chce przez to powiedzieć, panie Holmes? Oddała pan moją sprawę?

— No cóż, panie Gibson, przynajmniej oddałam pana. Sądzę, że wyraziłem to jasno.

— Wystarczająco jasno, ale co się za tym kryje? Podbijanie ceny czy obawa przed podjęciem się tego zadania? Mam prawo do otrzymania jasnej odpowiedzi.

— Tak, chyba pan je ma — powiedział Holmes. — A więc jej panu udzielię. Ta sprawa jest już na wstępie dostatecznie zawikłana i nie trzeba jej dodatkowo komplikować fałszywymi informacjami.

— Co oznacza, że kłamię, tak?

— Cóż, próbowałem wyrazić to w sposób możliwie delikatny, ale jeśli pan upiera się przy tym określeniu, nie mam nic przeciwko temu.

Zerwałem się na równe nogi, gdyż twarz milionera nabrała diabolicznego wyrazu, on zaś wznosił w górę swą wielką, gruzłową pięść, Holmes uśmiechnął się flegmatycznie i sięgnął po fajkę.

— Proszę nie hałasować, panie Gibson. Stwierdzam, że po śniadaniu nawet najłżejsza sprzeczka może być szkodliwa dla zdrowia. Moim zdaniem bardzo panu posłuży spacer po porannym powietrzu oraz chwila refleksji.

Król Złota z wysiłkiem powściągnął złość. Mogłem tylko podziwiać go za nadzwyczajne panowanie nad emocjami, kiedy od stanu wielkiego wzburzenia przeszedł momentalnie do chłodnej i pogardliwej obojętności.

— Dobrze, to jest pański wybór. Sądzę, że pan wie, jak prowadzić swoje interesy. Nie mogę pana zmusić do zajęcia się tą sprawą wbrew jego woli. Pańskie dzisiejsze postępowanie nie wyjdzie panu na dobre, panie Holmes, bo łamałem już mocniejszych od pana. Nikomu, kto mi stanął na drodze, nie wyszło to na zdrowie.

— Wielu już tak mówiło, a przecież stoję tu przed panem — powiedział z uśmiechem Holmes. — A więc do widzenia, panie Gibson. Musi pan się jeszcze wiele nauczyć.

Nasz gość wyszedł hałaśliwie, Holmes zaś palił cygaro w niezmałconej ciszy, z wlepionym w sufit zamyślnym spojrzeniem.

— Masz jakieś spostrzeżenia, Watsonie? — zapytał wreszcie.

— Cóż, Holmesie, muszę przyznać, że biorąc pod uwagę, iż jest to człowiek, który z pewnością zmiata ze swej drogi każdą przeszkodę, i pamiętając, że przeszkodą mogła być dlań żona i że ją źle traktował, jak wyraźnie nam to powiedział ów Bates, to wydaje mi się, że...

— No właśnie, mnie również.

— Ale jakie były jego stosunki z guwernantką i w jaki sposób to odkryłeś?

— Blef, Watsonie, zwyczajny blef! Kiedy emocjonalny ton jego listu zestawilem z jego wyglądem oraz pełnym rezerwy sposobem bycia, stało się dla mnie zupełnie oczywiste, że kryje się w tym jakieś głębsze uczucie, którego obiektem była raczej kobieta oskarżona niż ofiara zbrodni. Jeśli pragniemy dotrzeć do prawdy, musimy wniknąć w rzeczywiste powiązania między tym trojgiem ludzi. Byłeś świadkiem frontalnego ataku, jaki na niego przypuściłem, i jaki spokojnie przyjął. Mój blef miał go przekonać, że mam absolutną pewność, podczas gdy w rzeczywistości żywiłem tylko daleko idące podejrzenie.

— A może on wróci?

— Wróci z pewnością. On musi wrócić. Nie może tego tak zostawić. Ha! Czy to nie dzwonek? Tak, to jego krok. No, panie Gibson, mówiłem właśnie do doktora Watsona, że się pan cokolwiek spóźnia.

Król Złota wrócił znacznie spokojniejszy, niż był w chwili, gdy nas opuszczał. Zraniona duma wciąż jeszcze wyczierała z jego urażonego spojrzenia, ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że musi okazać uległość, jeżeli chce osiągnąć zamierzony cel.

— Przemyślałem to, panie Holmes, i wydaje mi się, że zbyt nerwowo zareagowałem na pańskie uwagi. Jest pan usprawiedliwiony, dociekając prawdy, jakkolwiek by ona była, i tym bardziej pana za to cenię. Mogę jednak zapewnić, że stosunki między panną Dunbar i mną nie mają w tej sprawie istotnego znaczenia.

— Czy zgodzi się pan, że ja o tym zdecyduję?

— Tak, chyba rzeczywiście tak. Pan jest jak chirurg, który przed postawieniem diagnozy pragnie poznać wszystkie objawy.

— W rzeczy samej. Trafił pan w sedno. I to tylko pacjent może mieć jakiś cel w okłamywaniu swego chirurga i ukrywaniu faktów dotyczących jego przypadku.

— Ale przyzna pan jednak, panie Holmes, że większość mężczyzn nieco by się spłoszyła, słysząc tak bezceremonialne pytanie o ich stosunki z kobietą, zwłaszcza w przypadku, gdy w grę wchodzi rzeczywiście poważne uczucie. Myślę, że większość mężczyzn gdzieś w zakamarkach duszy zachowuje jakiś niewielki obszar, na który niechętnie wpuszcza intruzów. A pan nagle tam wtargnął. Ale jest pan usprawiedliwiony, ponieważ chodzi o ratowanie tej kobiety. Tak więc granice zostały zniesione, obszar stoi otworem, może go pan badać do woli. Co panu jest potrzebne?

— Prawda.

Król Złota milczał przez chwilę jak ktoś, kto porządkuje swoje myśli. Jego posępna, zorana głębokimi zmarszczkami twarz stała się jeszcze bardziej przygnębiona i ponura.

— Chcę to panu przekazać w oszczędnych słowach, panie Holmes — rzekł wreszcie. — Niektóre sprawy są tyleż bolesne co trudne do wyrażenia, więc nie będę się posuwał dalej, niż to jest potrzebne. Żonę swą poznałem w czasach, kiedy prowadziłem poszukiwania złota w Brazylii — niezwykle piękną Marię Pinto, córkę urzędnika państwowego w Manaus. Byłem wówczas młody i płomienny w uczuciach, ale nawet teraz, kiedy spoglądam wstecz chłodniejszym i bardziej krytycznym okiem, muszę przyznać, że była to dziewczyna o wyjątkowej i wspaniałej urodzie. Miała też bogatą naturę — ognistą, namiętą, gwałtowną, jakże różną od temperamentu kobiet amerykańskich. Ale żeby nie przedłużać opowiadania — pokochałem ją i poślubiłem. I dopiero kiedy romans wygasł — a trwał przez lata — zrozumiałem, że w rzeczywistości nie łączyło nas absolutnie nic. Moja miłość spłowiła. Gdyby to samo dotknęło żonę, wszystko stałoby się łatwiejsze. Ale pan wie, jak zadziwiająco są kobiety! W żaden sposób nie potrafiłem jej do siebie zniechęcić. I jeśli byłem wobec niej szorstki albo nawet, jak niektórzy utrzymywali, brutalny, powodowała to moja świadomość, że gdybym tylko zdołał zabić w niej tę miłość albo wzbudzić w niej nienawiść do mnie, to taka sytuacja stałaby się korzystniejsza dla nas obojga. Ona wszakże była w swoich uczuciach niezmienna. W tych angielskich lasach kochała mnie równie mocno co nad brzegami

Amazonki przed dwunastu laty. Bez względu na moje postępowanie była mi niezmiennie oddana.

Później pojawiła się panna Grace Dunbar. Odpowiedziała na ogłoszenie i została guwernantką dwojga naszych dzieci. Widział pan może jej zdjęcie w gazetach. Wszyscy przyznawali, że i ona jest bardzo piękną kobietą. Nie zamierzam udawać świętszego niż moi sąsiedzi i przyznaję, że nie potrafiłem żyć pod jednym dachem z taką kobietą i codziennie się z nią stykać, nie darząc jej żarliwym uczuciem. Czy pan mnie za to wini, panie Holmes?

— Nie winię pana za to uczucie. Rzecz jednak w tym, że ta młoda dama była w pewnym sensie pod pana opieką, i na tym polega pańska wina, jeśli tak to już pan ujął.

— Zapewne — powiedział milioner, aczkolwiek zarzut ten przywołał na chwilę dawny błysk gniewu w jego spojrzeniu. — Nie udaję, że jestem lepszy niż w rzeczywistości. Chyba przez całe życie byłem człowiekiem, który nie bał się sięgnąć po to, czego zapragnął, a nigdy nie pragnąłem niczego bardziej niż zdobycia tej kobiety i jej miłości. Powiedziałem jej to.

— Ach, więc pan jej to powiedział?

Kiedy był czymś poruszony, Holmes potrafił wyglądać doprawdy groźnie.

— Powiedziałem, że poślubiłbym ją, gdybym był w innej sytuacji, ale nie ma takiej możliwości. Powiedziałem też, że pieniądze nie mają tu żadnego znaczenia i że uczyniłbym wszystko co możliwe dla zapewnienia jej szczęścia.

— To doprawdy wielce wspaniałomyślne — powiedział Holmes z szyderczym uśmiechem.

— Niech pan zrozumie, panie Holmes. Przyszedłem tutaj, by rozmawiać o faktach, a nie o mojej moralności. Nie proszę o pańską ocenę.

— Jedyne ze względu na tę młodą niewiastę zainteresowałem się pańską sprawą — powiedział surowo Holmes. — Nie wiem, czy to, o co się ją oskarża, cokolwiek by to było, jest w istocie gorsze od tego, do czego się pan sam przyznał — że próbował pan zrujnować życie bezbronnej dziewczyny, która przebywała pod pańskim dachem. Niektórzy spośród was, bogaczy, muszą się nauczyć, że nie u wszystkich mogą sobie kupić przebaczenie za spowodowane upokorzenia.

Ku mojemu zaskoczeniu Król Złota przyjął tę wymówkę z całym spokojem.

— Tak właśnie teraz o tym myślę. Dziękuję Bogu za to, że nie zrealizowałem planów zgodnie z moimi intencjami. Nie zgodziła się na nic w tym rodzaju i zapragnęła natychmiast opuścić dom.

— Czemu tego nie zrobiła?

— Przede wszystkim dlatego, że ma na utrzymaniu jeszcze inne osoby i gdyby zrezygnowała z jedyne go źródła dochodów, byłyby pozostawione własnemu losowi. Kiedy przysiągłem, że nie będę już jej więcej nagabywał, zgodziła się zostać. Był jednak jeszcze inny powód. Zdawała sobie sprawę z tego, że ma na mnie ogromny, wprost niewyobrażalny wpływ. Zapragnęła wykorzystać to w szlachetnych celach.

— W jaki sposób?

— Wiedziała coś niecoś o moich interesach. Są one poważne, panie Holmes, poważniejsze, niż może to sobie wyobrazić przeciętny człowiek. Mogę innych wzbogacić albo zrujnować — ale zazwyczaj kończy się tym drugim. Dotyczy to zaś nie tylko pojedynczych ludzi, ale także całych społeczności, miast, a nawet narodów. Prowadzenie interesów to twarda gra i słabi muszą odpaść. Grałem zawsze o najwyższą stawkę. Sam nigdy nie rozpaczałem i nie wzruszało mnie, gdy rozpaczali inni. Ona jednak postrzegala to inaczej. I chyba miała rację. Nie kryła się z poglądem, że majątek pojedynczego człowieka przewyższający jego potrzeby nie powinien wyrastać na nieszczęściu tysięcy ludzi, których pozbawiono środków do życia. Tak właśnie to widziała i chyba potrafiłaby dopilnować, aby pieniądze zostały zużytkowane na jakiś bardziej trwały cel. Zauważyła, że przysłuchuję się

temu, co mówi, i zaczęła wierzyć, że wpływając na moją działalność, zrobi światu przysługę. Tak więc została w moim domu — i wydarzenia potoczyły się w takim, a nie innym kierunku.

— Czy może pan nam to nieco naświetlić?

Król Złota przerwał na dłuższą chwilę, podpierając dłońmi głowę, zatopiony w myślach.

— Wszystko przemawia zdecydowanie przeciw niej. Nie mogę temu zaprzeczyć. Kobiety mają swoje życie wewnętrzne i potrafią dokonywać rzeczy niepojętych dla mężczyzny. Zrazu czułem się tak wytracony z równowagi i zaskoczony, że byłem gotów pomyśleć, iż jakieś niezwykle okoliczności skłoniły ją do popełnienia czynu pozostającego w oczywistej sprzeczności z jej naturą. Jedno wytłumaczenie przyszło mi do głowy, panie Holmes. Przedstawię je teraz panu bez względu na jego prawdopodobieństwo. Nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że moja żona była chorobliwie zazdrosna. Zazdrość o sprawy duchowe może być równie szalona jak zazdrość o sferę fizyczną, i choć Maria nie miała żadnych podstaw — a sądzę, że zdawała sobie z tego sprawę — do tej ostatniej, to była świadoma, że ta dziewczyna z Anglii uzyskała taki wpływ na mój umysł i moje czyny, jakiego ona nie miała nigdy. Był to wpływ pozytywny, co jednak nie łagodziło sytuacji. Ona oszalała z nienawiści, a południowy temperament zawsze burzył jej krew. Być może zaplanowała zamordowanie panny Dunbar, a może tylko chciała zagrozić jej pistoletem, by ją zmusić do wyjazdu. Wtedy mogła się wywiązać szamotanina, broń wypaliła, kula trafiła moją żonę.

— Pomyślałem już o tym wcześniej — powiedział Holmes.

— To jest rzeczywiście jedyna alternatywa dla morderstwa z premedytacją.

— Tylko że panna Dunbar zdecydowanie temu zaprzecza.

— Dobrze, dobrze, to przecież jeszcze nie koniec, prawda? Można zrozumieć, że kobieta znalazłszy się w tak strasznej sytuacji popędziłaby do domu, wskutek oszołomienia wciąż trzymając pistolet w ręce. Mogłaby go nawet rzucić między ubrania, nie bardzo wiedząc, co robi, a kiedy go tam znaleziono — próbowałaby się jakoś ratować, absolutnie wszystkiemu zaprzeczając, gdyż jakiegokolwiek wyjaśnienia byłyby niemożliwe. Co przemawia przeciw takiemu przypuszczeniu?

— Sama panna Dunbar.

— No tak, możliwe. Holmes spojrzał na zegarek.

— Z pewnością jeszcze tego ranka otrzymamy odpowiednie zezwolenia i do Winchesteru pojedziemy wieczornym pociągiem. Niewykluczone, że po rozmowie z młodą damą będę miał więcej punktów zaczepienia w tej sprawie, choć nie przyrzekam, że moje wnioski będą zgodne z pańskimi oczekiwaniami.

Ponieważ załatwianie przepustki opóźniało się, zamiast do Winchesteru, pojechaliśmy do Thor Place, posiadłości pana Neila Gibsona w hrabstwie Hampshire. On sam nam nie towarzyszył, ale dostaliśmy adres sierżanta Coventry'ego z miejscowej policji, który od początku zajmował się tą sprawą. Był to wysoki, szczupły, trupio bladej mężczyzna, zachowujący się w sposób konspiracyjny i tajemniczy, co nasuwało myśl, że jego wiedza i podejrzenia są znacznie bardziej rozległe, niż ma odwagę powiedzieć. Przejawiał też manierę nagłego znizania głosu do szeptu, jak gdyby zamierzał wyjawic coś wielkiej wagi, choć informacja okazywała się zazwyczaj zupełnie błaża. Wyjąwszy te dziwactwa, był on skromnym, uczciwym jegomościem, któremu duma nie przeszkadzała przyznać, że sprawa przekracza jego możliwości i że z radością przyjmie każdą pomoc.

— W każdym razie wolę mieć tutaj pana niż kogoś ze Scotland Yardu, panie Holmes — powiedział. — Kiedy do sprawy zaprasza się Yard, to miejscowa policja nie ma co liczyć na zaszczyty w razie powodzenia, podczas gdy w wypadku porażki wina spada właśnie na nią. Pan zaś, jak słyszałem, postępuje uczciwie.

— Nie ma potrzeby, aby ujawniano mój udział w tej sprawie — powiedział Holmes ku nieukrywanej uldze naszego melancholijnego znajomego. — Jeśli uda mi się ją wyjaśnić, proszę o niewymienianie mojego nazwiska.

— To bardzo ładnie z pana strony. A co do pańskiego przyjaciela, doktora Watsona, to wiem, że można mu zaufać. Teraz zaś, panie Holmes, ponieważ zbliżamy się do miejsca zbrodni, miałbym jedno pytanie. Ośmielam się je zadać wyłącznie panu. — Rozejrzał się dokoła, jak gdyby nie miał odwagi wypowiedzieć tych słów. — Czy pan uważa, że może zostać wytoczona sprawa przeciw samemu panu Neilowi Gibsonowi?

— Biorę pod uwagę taką możliwość.

— Pan jeszcze nie widział panny Dunbar. To kobieta subtelna i cudowna pod każdym względem. On faktycznie mógł chcieć pozbyć się żony. A ci Amerykanie łatwiej sięgają po pistolety niż my w Anglii. To był, proszę pana, jego pistolet.

— Czy ustalono to jednoznacznie?

— Tak, sir. To jeden z kompletu składającego się z dwóch pistoletów.

— A gdzie jest ten drugi?

— Ach, ten dżentelmen ma u siebie masę broni różnego rodzaju. Nie dopasowaliśmy dokładnie żadnego konkretnego pistoletu, ale kasetka mieści dwie sztuki.

— Gdyby ten był z kompletu, to z pewnością dopasowalibyście drugi.

— Cała kolekcja jego broni jest dostępna i może pan ją obejrzeć, kiedy zechce.

— Może później. Myślę, że teraz pójdziemy obejrzeć miejsce, gdzie rozegrała się tragedia.

Rozmowa ta odbyła się w małym frontowym pokoiku w skromnym domku sierżanta Coventry'ego, służącym jednocześnie jako posterunek policji. Po prawie półmilowym spacerze przez smagane wiatrem wrzosowiska, całe złote i brązowe od więdnących paproci, stanęliśmy przed boczną bramą wjazdową na teren posiadłości Thor Place. Ścieżka prowadziła przez prywatny rezerwat bażantów, a następnie z polany ujrzelśmy stojący na szczycie wzgórza rozległy, na wpół drewniany dom, połączenie stylu Tudorów z georgiańskim. Przed nami rozciągał się podłużny, porośnięty sitowiem staw z przewężeniem w środku, przez które przerzucono kamienny most służący za główny przejazd dla powozów. Po jego obu stronach staw tworzył jakby dwa małe jeziora. Nasz przewodnik zatrzymał się przy wejździe na most i wskazał na ziemię.

— Tu leżało ciało pani Gibson. Miejsce zaznaczyłem kamieniem.

— Jak rozumiem, znalazł się pan tutaj, zanim zwłoki zostały zabrane?

— Tak, posłano po mnie natychmiast.

— Kto to uczynił?

— Sam pan Gibson. Gdy wszczęto alarm i pan Gibson wybiegł z innymi z domu, nalegał, aby niczego nie ruszać aż do przyjazdu policji.

— To było rozsądne. Z relacji prasowej wynika, że strzał został oddany z bliskiej odległości.

— Tak, sir, z bardzo bliskiej.

— W okolice prawej skroni?

— Tuż obok niej, sir.

— Jak było ułożone ciało?

— Na plecach, sir. Żadnych śladów walki. Żadnej broni. Krótki liścik od panny Dunbar tkwił w lewej ręce ofiary.

— Tkwił w jej ręce, powiada pan?

— Tak, proszę pana, ledwo udało się rozewrzeć jej palce.

— To jest ogromnie ważne, ponieważ wyklucza możliwość, że ktoś umieścił tam liścik po jej śmierci, żeby nas skierować na fałszywy trop. Mój Boże! Ta notatka, jeśli dobrze pamiętam, była całkiem krótka. *Będę przy moście Thor o godzinie dziewiątej.* — *G. Dunbar.* Czy nie tak?

— Tak, sir.

— Jak to wytłumaczyła panna Dunbar?

— Czeka z zeznaniami do procesu przed sądem przysięgłych. Teraz nie powie nic.

— To z pewnością bardzo interesujące. A sprawa listu jest wielce niejasna, prawda?

— Ależ, sir — rzekł przewodnik — ośmielę się zauważyć, że wygląda to na jedyny jasny punkt w całej tej sprawie.

Holmes pokręcił głową.

— Jeśli list jest prawdziwy i rzeczywiście panna Dunbar go napisała, to został odebrany z pewnością jakiś czas wcześniej, powiedzmy o godzinę lub dwie. Dlaczego więc ta dama wciąż ścisła go w lewej ręce? Dlaczego wzięła go ze sobą? Nie miała potrzeby powoływać się na niego podczas spotkania. Czy nie wydaje się to zastanawiające?

— W pana ujęciu brzmi to rzeczywiście dziwnie.

— Chyba na chwilę przysiadę, żeby to przemyśleć. Holmes usadowił się na balustradzie mostu i rzucał na wszystkie strony dociekliwe spojrzenia swych bystrych szarych oczu. Nagle zerwał się z miejsca i podbiegł do przeciwległej balustrady, wyciągnął z kieszeni lupę i zaczął badać powierzchnię kamiennej bariery.

— To dziwne — rzekł.

— Tak, sir, zauważyliśmy ten odprysk na krawędzi balustrady. Uznałem, że jest dziełem jakiegoś przechodnia.

Cała balustrada była szara, ale w tym jednym miejscu bielila się na przestrzeni nie większej od półpensówki. Przy bliższych oględzinach można było stwierdzić, że została uszkodzona jakby wskutek silnego uderzenia.

— Trzeba było użyć sporej siły, żeby tego dokonać — powiedział Holmes w zamyśleniu. Uderzył kilkakrotnie w krawędź bariery swą laską, nie zostawiając śladu. — Tak, to było mocne uderzenie. I do tego w dziwnym miejscu, niech pan bowiem zauważy, że odprysk widnieje na d o l n e j krawędzi balustrady.

— Ale wszystko to jest w odległości piętnastu stóp od ciała.

— Tak, piętnaście stóp od ciała. Może nie ma to żadnego związku ze sprawą, ale fakt ten warto odnotować. Nie sądzę, abyśmy mogli się tutaj dowiedzieć jeszcze czegoś więcej. Powiada pan, że nie znaleziono jakichkolwiek odcisków stóp?

— Grunt jest twardy jak żelazo, sir, nie było żadnych śladów.

— Chodźmy więc. Najpierw pójdziemy do domu, żeby obejrzeć tę broń, o której pan mówi. A następnie trzeba nam się udać do Winchesteru, bo jeśli mamy posunąć sprawę do przodu, musimy się spotkać z panną Dunbar.

Neil Gibson nie wrócił jeszcze z miasta, ale w domu ujrzeliśmy neurotycznego pana Batesa, który nas odwiedził tego ranka. Ze złowrogą satysfakcją pokazał nam bogaty zbiór broni różnych rodzajów i kształtów, jaki jego pracodawca zgromadził w ciągu swego burzliwego życia.

— Pan Gibson ma wielu wrogów, co nie powinno dziwić nikogo, kto zna metody jego działania — powiedział Bates.

— On sypia z naładowanym pistoletem; trzyma go w szufladzie nocnego stolika. Jest człowiekiem niezwykle gwałtownym, sir, są okresy, kiedy wszyscy się go boimy. Z pewnością tę nieszczęsną kobietę, która odeszła, także musiał nierządkiem przyprawiać o przerażenie.

— Czy był pan kiedykolwiek świadkiem użycia wobec niej przemocy?

— Nie, tego nie mogę powiedzieć. Ale słyszałem słowa bolesne — słowa zimne, raniące, wzgardliwe, wypowiedane nawet w obecności służby.

— Milioner nie jest ideałem w swoim prywatnym życiu — zauważył Holmes, kiedy podążaliśmy do stacji kolejowej. — No więc, Watsonie, natknęliśmy się na niemało faktów, niektóre z nich są całkiem nowe, a mimo to wydaje mi się, że do konkluzji jeszcze daleko.

Wprawdzie pan Bates żywi oczywistą niechęć do swego chlebodawcy, ale jednak z jego słów wynika, że kiedy wszczęto alarm, pan Gibson przebywał niewątpliwie w bibliotece. O ósmej trzydzieści było już po kolacji i aż do tej chwili wszystko przebiegało normalnie. To prawda, że alarm podniesiono nieco później, ale tragedia z pewnością wydarzyła się mniej więcej w czasie określonym w liście. Nic nie świadczy o tym, by pan Gibson wychodził z domu po powrocie z miasta, co miało miejsce o piątej. Z drugiej strony panna Dunbar, jak rozumiem, potwierdza fakt umówienia się z panią Gibson na spotkanie przy moście. Poza tym nie powiedziała nic więcej, ponieważ adwokat doradził jej, by wstrzymała się z wyjaśnieniami. Musimy zadać tej młodej damie kilka zasadniczych pytań i nie zaznam spokoju, dopóki się z nią nie zobaczę. Przyznaję, że sprawa ta wydawałaby mi się dla niej beznadziejna, gdyby nie jedna rzecz.

— A cóż to takiego, Holmesie?

— Znalezienie pistoletu w jej szafie na ubrania.

— Na Boga, Holmesie! — wykrzyknąłem. — Myślałem, że właśnie to jest faktem najbardziej obciążającym.

— Bynajmniej, Watsonie. Wydało mi się to dziwne już przy pierwszym powierzchownym czytaniu listu, a teraz, kiedy się już ze sprawą zapoznałem bliżej, dostrzegam w tym jedyny promyk nadziei dla panny Dunbar. W zdarzeniach powinniśmy dopatrywać się logiki. Tam, gdzie jej brakuje, należy wietrzyć podstęp.

— Z trudnością nadążam za twoim rozumowaniem.

— No więc, Watsonie, wyobraźmy sobie przez chwilę, że się wcielasz w postać kobiety, która w zimny, przemyślany sposób zamierza pozbyć się rywalki. Zaplanowałaś to sobie. Napisałaś list. Ofiara przyszła. Masz broń. Popelniasz zbrodnię, fachowo i perfekcyjnie. Czy po dokonaniu tak perfidnego przestępstwa zniszczysz teraz swoją reputację zbrodniarza doskonałego i zamiast cisnąć broń w pobliskie trzciny, w których zniknęłaby na zawsze, zanieśiesz ją do domu i tam schowasz we własnej szafie na ubrania, w pierwszym miejscu, które zostanie przeszukane? Nie, Watsonie, nawet ty, który bynajmniej nie jesteś mistrzem intrygi, nie postępowałbyś aż tak bezsensownie.

— W ferworze chwili...

— Nie, nie, Watsonie, absolutnie to wykluczam. Jeśli zbrodnię zaplanowano na zimno, z premedytacją, to w takim samym stopniu dotyczy to sposobu jej dokonania. Mam zatem nadzieję, że jest to poważne nieporozumienie.

— Ale tak wiele jeszcze trzeba wyjaśnić.

— A zatem do dzieła. Kiedy już zmienimy punkt widzenia, to właśnie ów najbardziej obciążający dowód stanie się tropem wiodącym ku prawdzie. Na przykład ten pistolet. Panna Dunbar zaprzecza, jakoby cokolwiek o nim wiedziała. Według naszej nowej teorii jej twierdzenie uznajemy za prawdę. A zatem ktoś umieścił broń w jej szafie. Kto? Ktoś, kto pragnął, żeby została oskarżona. A może rzeczywisty zbrodniarz? Jak widzisz, od razu obieramy najbardziej obiecujący kierunek śledztwa.

Byliśmy zmuszeni spędzić noc w Winchesterze, ponieważ formalności nie zostały jeszcze dopełnione, ale następnego ranka — w towarzystwie pana Joyce'a Cummingsa, dobrze zapowiadającego się adwokata, któremu została powierzona obrona panny Dunbar — pozwolono nam odwiedzić młodą damę w jej celi. Mając w pamięci wszystko, co usłyszałem wcześniej, spodziewałem się wprawdzie ujrzeć piękną kobietę, ale nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie wywarła uroda panny Dunbar. Trudno było się dziwić, że nawet władczy milioner znajdował w niej coś, co było silniejsze od niego, co pozwalało jej nad nim zapanować i kierować jego działaniami. Patrząc na jej energiczną, czystą, a przy tym subtelną twarz, wyczuwało się również, że gdyby nawet panna Dunbar była zdolna do popelnienia gwałtownego czynu, to dzięki wewnętrznej szlachetności charakteru musiałaby kierować się

intencją osiągnięcia jakiegoś zbawionego celu. Była wysoką brunetką o godnej podziwu figurze i imponującej powierzchowności, a jej ciemne oczy miały ujmujący, bezradny wyraz zaszczutego stworzenia, które znalazło się w pułapce i nie widzi żadnego sposobu wydostania się z matni. Teraz zaś, gdy zdała sobie sprawę z obecności i chęci pomocy mego sławnego przyjaciela, jej pobladłe policzki zabarwił lekki rumieniec, a w spojrzeniu, które na nas skierowała, zabłysnął promyk nadziei.

— Pan Gibson być może powiedział już panom o tym, co zaszło między nami? — zapytała cichym, niepewnym głosem.

— Tak — odparł Holmes. — Nie ma potrzeby, by sprawiała pani sobie ból, podejmując ten wątek. Teraz, po ujrzeniu pani, jestem gotów uwierzyć w to, co pan Gibson mówił o wpływie, jaki pani na niego wywierała, i o niewinnym charakterze łączących państwa stosunków. Dlaczego jednak prawdziwe okoliczności tej tragedii nie zostały przedstawione sądowi?

— Wydawało mi się nieprawdopodobne, aby to oskarżenie zdołało się utrzymać. Sądziłam, że jeśli trochę poczekamy, to cała rzecz wyjaśni się sama, bez konieczności wchodzenia w bolesne szczegóły prywatnego życia tej rodziny. Zrozumiałam jednak, że do wyjaśnienia jest daleko, a cała sprawa wygląda coraz gorzej.

— Droga młoda damo — rzekł z powagą Holmes. — Błagam, żeby się pani wyzbyła takich złudzeń. Obecny tu pan Cummings może potwierdzić, że w tej chwili wszystko przemawia przeciwko nam i że musimy uczynić co tylko w naszej mocy, aby doprowadzić do oczyszczenia pani z zarzutów. Byłoby wobec pani okrutnym oszustwem udawanie, że nie grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Proszę mi służyć wszelką możliwą pomocą, a dojdziemy prawdy.

— Nie zataję niczego.

— Proszę nam więc powiedzieć, jak naprawdę wyglądały stosunki między panią a panią Gibson.

— Ona mnie nienawidziła, panie Holmes. Nienawidziła z całą żarliwością swej gorącej natury. Była kobietą, która nie robiła niczego połowicznie, a ogrom jej miłości do męża równał się sile nienawiści, jaką darzyła mnie. Jest prawdopodobne, że nie była w stanie pojąć istoty tego, co nas oboje łączyło. Nie chciałabym być wobec niej niesprawiedliwa, ale ona cieleśnie kochała tak żywiłowo, że trudno by jej było zrozumieć umysłową, a nawet duchową więź, która mnie połączyła z jej mężem, czy też sobie wyobrazić, że w ich domu zatrzymywało mnie tylko pragnienie, aby energię pana Gibsona skierować ku pozytywnym celom. Teraz wiem, że to był błąd. Nic nie mogło usprawiedliwiać mojej dalszej obecności w tym domu, na który sprowadziłam nieszczęście, choć nie ma wątpliwości, że to nieszczęście trwałoby również po moim odejściu.

— A teraz, panno Dunbar — rzekł Holmes — proszę nam dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

— Mogę panu przekazać prawdę w takim stopniu, w jakim ją sama znam, panie Holmes, ale w mojej sytuacji nie mogę niczego udowodnić, a są pewne kwestie — i to kwestie najbardziej istotne — których nie potrafię wytłumaczyć ani nawet sobie wyobrazić jakiegokolwiek ich wyjaśnienia.

— Jeśli pani dostarczy faktów, być może ktoś inny dostarczy wyjaśnienia.

— Jeśli więc chodzi o moją obecność na moście Thor tamtego wieczoru, to rano znalazłam bilecik od pani Gibson. Leżał na stole w pokoju lekcyjnym i mogła go tam pozostawić tylko ona sama. Błagała mnie o spotkanie po kolacji, ponieważ miała mi coś ważnego do powiedzenia; prosiła więc, abym zostawiła odpowiedź na zegarze słonecznym w ogrodzie, gdyż nie chciała, aby ktokolwiek poznał nasz sekret. Nie widziałam powodu do takiej tajemniczości, ale skoro sobie tego życzyła, zgodziłam się na spotkanie. Poprosiła mnie o zniszczenie jej bileciku, więc od razu spaliłam go w kominku w tym samym pokoju. Bardzo

lękała się swego męża, który traktował ją szorstko, co mu często wyrzucałam, i mogłam się tylko domyślać, że postępowała w ten sposób, aby naszą rozmowę utrzymać przed nim w tajemnicy.

— A jednak pani bilecik z odpowiedzią trzymała do końca w kurczowo zaciśniętej ręce.

— Tak, byłam zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, że miała go wówczas przy sobie.

— No i co nastąpiło dalej?

— Poszłam tam zgodnie z danym przyrzeczeniem. Kiedy dotarłam do mostu, ona już na mnie czekała. Nigdy sobie nie uświadamiałam, jak bardzo ta nieszczęsna istota mnie nienawidziła. Zachowywała się jak szalona — i w istocie była szalona, szalona w sposób wyrafinowany, wykazując charakterystyczną dla ludzi obłąkanych zdolność do ukrywania swego stanu. Przecież codziennie spotykała się ze mną i rozmawiała obojętnie, jednocześnie nienawidząc mnie z całej duszy! Nie powtórzę tego, co powiedziała. Wyrzuciła z siebie całą nieokiełznaną wściekłość w palących i przerażających słowach. Nie zareagowałam na to w żaden sposób — nie potrafiłam. Wyglądała strasznie. Zatkaną uszy rękami i uciekłam stamtąd. A ona wciąż stała u wylotu mostu, miotając na mnie przekleństwa.

— Tam, gdzie ją potem znaleziono?

— O kilka jardów od tego miejsca.

— I mimo że jej śmierć nastąpiła wkrótce po pani odejściu, nie usłyszała pani żadnego wystrzału?

— Nie, niczego nie słyszałam. Doprawdy, panie Holmes, byłam tak zdenerwowana i przerażona tym jej strasliwym wybuchem, że popędziłam do domu, aby się skryć w zaciszu mego pokoju, i nic nie zwróciłoby wtedy mojej uwagi.

— Powiada pani, że powróciła do swego pokoju. Czy wychodziła pani z niego później wieczorem?

— Tak, kiedy dom został zaalarmowany wiadomością o śmierci tej biednej kobiety, wybiegłam razem z innymi.

— Czy widziała pani pana Gibsona?

— Tak, bezpośrednio po tym, jak wrócił z mostu. Posłał po lekarza i policję.

— Czy wydawał się pani bardzo wzburzony?

— Pan Gibson jest silnym, niezwykle powściągliwym mężczyzną. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek uzewnętrzniał swoje uczucia. Ja jednak, która znam go dobrze, dostrzegłam, że był głęboko poruszony.

— Przejdźmy teraz do kwestii najwyższej wagi. Pistolet znaleziono w pani pokoju. Czy kiedykolwiek wcześniej widziała pani tę broń?

— Nigdy, przysięgam.

— Kiedy pistolet został znaleziony?

— Następnego ranka, podczas rewizji przeprowadzonej przez policję.

— Pośród ubrań?

— Tak, na dnie szafy na ubrania, pod moimi strojami.

— Czy potrafi pani ocenić, jak długo pistolet mógł tam leżeć?

— Nie było go tam jeszcze poprzedniego ranka.

— Skąd pani to wie?

— Ponieważ robiłam w szafie porządek.

— A więc sprawa jest jasna. Ktoś wszedł do pokoju i umieścił tam pistolet, aby obarczyć panią winą.

— Tak musiało być.

— Ale kiedy?

— Mogło to nastąpić tylko w czasie posiłków albo też w godzinach, kiedy przebywałam w pokoju lekcyjnym z dziećmi.

— Tam, gdzie znalazła pani bilecik?

— Tak. Byłam tam przez cały ranek.

— Dziękuję, panno Dunbar. Czy wie pani o czymś jeszcze, co mogłoby mi pomóc w śledztwie?

— Nic mi nie przychodzi na myśl.

— Na balustradzie mostu jest ślad od gwałtownego uderzenia — świeży odprysk dokładnie naprzeciwko ciała. Jak pani sądzi, czym można by to wytłumaczyć?

— To jest z pewnością zwykły zbieg okoliczności.

— Dziwne, panno Dunbar, bardzo dziwne. Ktoś to zrobił właśnie w czasie tragedii i w tym właśnie miejscu?

— Ale kto to mógł być i czym uderzył w balustradę? Do tego potrzeba wielkiej siły.

Holmes nie odpowiedział. Na jego bladej, myślącej twarzy pojawił się nagle ów pełen napięcia, nieobecny wyraz, który już nauczyłem się odczytywać jako szczytowy przejaw jego geniuszu. Przełom, jaki się dokonywał w jego umyśle, był tak oczywisty, że nikt z nas nie odważył się przemówić; siedzieliśmy więc, adwokat, aresztantka i ja, obserwując go w pełnej skupienia ciszy. Nagle Holmes zerwał się z krzesła, drżąc z nerwowego podniecenia i gwałtownej potrzeby działania.

— Idziemy, Watsonie, idziemy! — krzyknął.

— O co chodzi, panie Holmes?

— Proszę się nie martwić, moja droga pani. Skontaktuję się z panem, panie Cummings. Z pomocą boską przekażę panu sprawę, o której będzie głośno w całej Anglii. Jutro skontaktuję się z panią, panno Dunbar, a tymczasem proszę przyjąć zapewnienie o mojej głębokiej nadziei na to, że chmury wkrótce się rozwieją, by przepuścić światło prawdy.

Z Winchesteru do Thor Place nie jest daleko, jednak wskutek nurtującej mnie niecierpliwości podróż dłużyła mi się w nieskończoność. Holmes też najwyraźniej nie mógł doczekać się jej końca, a ponieważ nerwowy niepokój nie pozwalał mu usiedzieć spokojnie, to albo przebierał długimi, wrażliwymi palcami po wyściełanym siedzeniu, albo wstawał i chodził po wagonie. Jednak kiedy zbliżaliśmy się do celu, usiadł nagle naprzeciwko mnie — zajmowaliśmy sami przedział pierwszej klasy — i położywszy dłonie na moich kolanach, spojrzał mi prosto w oczy tym szczególnie figlarnym wzrokiem wskazującym na to, że jest w żartobliwym nastroju.

— Watsonie — powiedział — o ile pamiętam, to na te nasze wyprawy wyruszasz czasem uzbrojony.

Robiłem tak dla jego dobra, ponieważ nie dbał specjalnie o własne bezpieczeństwo w chwilach, kiedy jego umysł pochłonięty był jakimś problemem, i nieraz mój rewolwer wybawiał nas z opalów. Przypomniałem mu o tym.

— Tak, tak, jestem trochę beztroski w takich sprawach. No więc czy masz przy sobie rewolwer?

Wyjąłem z kieszeni spodni krótką, poręczną, ale bardzo użyteczną broń. Holmes otworzył komorę, wysypał naboje i przyjrzał się uważnie rewolwerowi.

— Jest ciężki, całkiem ciężki — stwierdził.

— Tak, to niezły kawałek metalu. Zastanawiał się chwilę.

— Wiesz co, Watsonie — powiedział. — Przypuszczam, że twój rewolwer okaże się bardzo istotny w tej sprawie.

— Ależ mój drogi Holmesie, ty żartujesz.

— Nie, Watsonie, mówię zupełnie poważnie. Przeprowadzimy pewne doświadczenie. Jeśli się uda, wszystko stanie się jasne. A zależy to od tego, jak będzie się sprawował twój mały rewolwer. Jeden nabój wyjmujemy, a resztę umiścimy z powrotem i zabezpieczymy broń. Dobrze!

Jest teraz całkiem ciężki, a to ułatwi nam rekonstrukcję wydarzeń.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, co Holmes zamyśla, a on sam nie oświecił mnie w najmniejszym stopniu; siedział pogrążony w myślach do chwili, gdy pociąg zatrzymał się na małej stacyjce w hrabstwie Hampshire. Zdobyliśmy jakąś rozklekotaną dwukółkę i po kwadransie znaleźliśmy się już w domu naszego zaufanego sierżanta.

— Trafił pan na trop, panie Holmes? Co pan wymyślił?

— Wszystko zależy od tego oto rewolweru doktora Watsona — powiedział mój przyjaciel.

— Czy mógłby pan teraz, inspektorze, znaleźć mi kilka jardów sznurka?

Z wiejskiego sklepu dostarczono nam kłębek mocnego szpagatu.

— Myślę, że to wszystko, czego nam potrzeba — powiedział Holmes. — Możemy więc wyruszyć w ostatni, mam nadzieję, etap naszej podróży.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, przeistaczając wrzosowiska hrabstwa Hampshire w cudowną jesienną panoramę barw. Sierżant, rzucając wiele krytycznych i nieufnych spojrzeń, które świadczyły o jego głębokich wątpliwościach co do stanu psychiki Holmesa, podążał chwiejnym krokiem obok nas. Kiedy zbliżaliśmy się do miejsca tragedii, zauważyłem, że mój przyjaciel — choć wykazywał swoje zwykłe opanowanie — jest głęboko poruszony.

— Tak — rzekł w odpowiedzi na moją uwagę — widywałeś już, jak chybiałem celu, Watsonie. Mam wycucie w takich sprawach, a jednak czasem mnie ono zawodzi. Kiedy pierwszy raz przemknęła mi przez głowę ta myśl, w celi w Winchesterze, uznałem to za rzecz pewną, ale jedna z wad czynnego umysłu polega na tym, że ciągle się nasuwają wyjaśnienia alternatywne, które mogą zwieść na manowce. A jednak... a jednak... no cóż, Watsonie, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przeprowadzić tę próbę.

Po drodze Holmes mocno przywiązał sznurek do rękojeści rewolweru. Wreszcie dotarliśmy na miejsce zbrodni. Niezwykle starannie, słuchając wskazówek policjanta, zaznaczył miejsce, gdzie leżała martwa pani Gibson. Następnie zaczął buszować wśród wrzosów i paproci, aż znalazł kamień sporych rozmiarów. Przymocował go do drugiego końca sznurka, który przewiesił przez balustradę mostu, tak że kamień zawisnął nad powierzchnią wody. Następnie stanął na fatalnym miejscu, w pewnej odległości od końca mostu, trzymając w ręce mój rewolwer, połączony napiętym sznurkiem z ciężkim kamieniem po drugiej stronie balustrady.

— A teraz do dzieła! — krzyknął.

Wypowiadając te słowa, podniósł rewolwer do głowy i rozluźnił dłoń. W tej samej chwili broń została wyrwana mu z ręki wskutek siły ciężkiego kamienia, po czym uderzyła z ostrym szcękem o krawędź balustrady i wpadła do wody. Ledwie to nastąpiło, Holmes już klęczał przed kamienną barierą, a jego radosny okrzyk oznaczał, że znalazł tam to, czego oczekiwał.

— Czy można sobie wyobrazić bardziej precyzyjną demonstrację? — krzyknął. — Spójrz, Watsonie, twój rewolwer rozwiązał problem! — mówiąc to, wskazał na drugi odprysk na dolnej krawędzi balustrady.

— Przenocujemy w zajeździe. — Wstał z kolan i zwrócił się do zmieszanego sierżanta: — Pan oczywiście zdobędzie bosak i z łatwością wyciągnie rewolwer mojego przyjaciela. A obok znajdzie pan pistolet, sznurek i ciężarek — przedmioty, za pomocą których ta mściwa kobieta próbowała ukryć swój zbrodniczy postępek i winą za morderstwo obarczyć niewinną ofiarę. Może pan powiadomić pana Gibsona, że zobaczę się z nim rano, gdy zostaną już podjęte kroki w kierunku oczyszczenia panny Dunbar z zarzutów.

Kiedy późnym wieczorem, paląc fajki, siedzieliśmy w wiejskim zajeździe, Holmes przedstawił mi w skrócie przebieg wydarzeń.

— Obawiam się, Watsonie — powiedział — że włączając do swych kronik sprawę tajemniczej śmierci na moście Thor, nie poprawisz mojej reputacji, jaką mogłem dotychczas zyskać. Mój umysł tym razem działał leniwie i ułomnie w tej mieszaninie fantazji i rzeczywistości, na której opiera się moja sztuka. Przyznaję, że odprysk na kamiennej

balustradzie był wystarczającym tropem wskazującym na prawdziwe rozwiązanie, i obwiniam się, że nie wpadłem na to wcześniej.

Muszę też przyznać, że umysł tej nieszczęsnej kobiety działał w sposób niezwykle przebiegły i wyrafinowany, tak że rozwikłanie jej intrygi nie było sprawą prostą. Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek natknęli się w naszych przygodach na bardziej niezwykły przykład, do czego może doprowadzić opacznie pojmowana miłość. A czy panna Dunbar była jej rywalką w sensie fizycznym, czy tylko duchowym, nie miało dla niej znaczenia. Niewątpliwie obarczała tę uczciwą kobietę winą za złe traktowanie i brutalne słowa męża, który próbował w ten sposób odtrącać jej zbyt ostentacyjne uczucie. W pierwszym odruchu postanowiła odebrać sobie życie. Później zdecydowała, że uczyni to w taki sposób, aby swej ofierze zgotować los znacznie gorszy niż nagła śmierć.

Możemy dokładnie prześledzić kolejne posunięcia, które świadczą o jej niezwykle wyrafinowanej intrydze. Liścik od panny Dunbar zdobyła w sposób bardzo przemyślny, tak by można było wnosić, że to właśnie tamta wybrała miejsce zbrodni. W trosce, aby tego nie przeoczono, nieco przesadziła, trzymając do końca bilecik w ręce. Już tylko to powinno było wcześniej wzbudzić moje podejrzenia.

Następnie wzięła jeden z pistoletów męża — a widziałeś, że w jego domu był cały arsenał — i zatrzymała do własnego użytku. Drugi, podobny, ukryła tego ranka w szafie panny Dunbar, po wystrzeleniu zeń jednego naboju, co mogła łatwo zrobić w lesie bez zwracania niczyjej uwagi. Później poszła na most, gdzie obmyśliła niezwykle sprytny plan pozbycia się broni. Po nadejściu panny Dunbar pani Gibson ostatnie chwile swego życia poświęciła na to, by dać upust całej nienawiści do rywalki, a kiedy ta już jej nie słyszała, zrealizowała swój straszliwy plan. Wszystkie ogniwa są już teraz na właściwym miejscu, łańcuch skompletowany. Gazety mogą dociekać, dlaczego staw nie został przeszukany od razu; nietrudno jest jednak być mądrym po fakcie, a zresztą obszar porośniętego sitowiem rozlewiska nie jest łatwy do spenetrowania, zwłaszcza jeżeli dokładnie nie wiadomo, czego i gdzie ma się szukać. Tak więc, Watsonie, przyszliśmy z pomocą nie tylko niezwyklej kobiecie, ale również jednemu z możliwych tego świata. Jeśli tych dwoje kiedykolwiek połączy swe siły, co nie wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, to świat finansów może się przekonać, że pan Gibson nauczył się czegoś w tej Szkole Smutku, w której pobieramy lekcje naszego doczesnego żywota.

WAMPIR Z HRABSTWA SUSSEX (THE ADVENTURE OF THE SUSSEX VAMPIRE)

Holmes przeczytał uważnie pismo, które doń nadeszło z ostatnią pocztą. Następnie, z kostycznym chichotem, będącym w jego wypadku największym ustępstwem na rzecz śmiechu, cisnął je w moim kierunku.

— Są przecież jakieś granice w myleniu współczesności ze średniowieczem, realizmu z nieokiełznaną fantazją — powiedział. — Co o tym sądzisz, Watsonie?

Przeczytałem więc, co następuje:

*Old Jewry 46
19 listopada*

Dotyczy informacji o wampirach

Szanowny Panie,

Nasz klient pan Robert Ferguson z handlującej herbatą firmy „Ferguson i Muirhead” z Mincing Lane zwrócił się do nas z prośbą o najświeższe informacje na temat wampirów. Ponieważ firma nasza specjalizuje się wyłącznie w wycenach urządzeń mechanicznych i temat ten bynajmniej nie mieści się w granicach naszej działalności, poradziliśmy panu Fergusonowi, aby zwrócił się ze swoją prośbą do Pana. Wciąż pamiętamy o pańskim sukcesie w sprawie Matildy Briggs.

*Pozostajemy z wyrazami szacunku
Morrison, Morrison i Dodd
za pośrednictwem E.J.C.*

— „Matilda Briggs” nie jest nazwiskiem młodej kobiety, Watsonie — powiedział Holmes z nostalgią w głosie. — To statek, który wszyscy kojarzymy z wielkim szcurem z Sumatry, z historią, na której zrozumienie świat nie jest jeszcze przygotowany. Ale cóż my wiemy o wampirach? Czy zajmowanie się nimi nie wykracza poza zakres również i naszej działalności? Wprawdzie wszystko jest lepsze od zastoju w interesie, ale rzeczywiście wygląda na to, że wkraczamy w świat którejs z baśni braci Grimm. Sięgnij za siebie, Watsonie, i sprawdź, co ma nam do powiedzenia litera „W”.

Odchyliłem się do tyłu i zdjąłem z półki opasły tom, o którym wspomniał. Utrzymując go na kolanie, Holmes przesunął wzrokiem powoli i z uwielbieniem po kronice swoich dawnych spraw, przeplatanych różnymi informacjami z życia.

— Wojaż „Glorii Scott” — czytał. — To był kiepski interes. Coś sobie przypominam, że opisałeś tę sprawę, Watsonie, choć nie mogłem ci pogratulować końcowego efektu. Wiktor Lynch, fałszerz. Wściekła jaszczurka, czyli jadowita heloderma. Sprawa godna uwagi! Wiktoria, cyrkowa piękność. Wenderbilt i kasiarz. Węże. Wigor, cud w kuźni. Patrzcie, patrzcie! Stary poczciwy rejestr. Nie do ogarnięcia. Posłuchaj, Watsonie. Wampiryzm na Węgrzech. O, i znowu. Wampiry w Transylwanii. — Z ożywieniem przewracał kartki, ale po szybkim, uważnym przeczytaniu parsknął śmiechem i rozczarowany rzucił księgę na stół.

— Głupstwa, Watsonie, głupstwa! Cóż nas obchodzą spacerujące trupy, które można utrzymać w grobach tylko za pomocą wbijania kołków w ich serca? Czyste wariactwo.

— Ale wampirami bywają chyba nie tylko ludzie zmarli? — powiedziałem. — Ich zwyczaj może sobie przyswoić osoba żyjąca. Czytałem na przykład o ludziach starych wysysających krew młodych w celu odzyskania młodości.

— Masz rację, Watsonie. Wspomina się tu o tej legendzie w jednym z odnośników. Ale czy musimy zaprzętać sobie głowę podobnymi rzeczami? Nasza firma trzyma się twardo

ziemi i tak musi pozostać. Miejsca na świecie jest dla nas w sam raz. Po co nam więc jakieś upiory? Sądzę, że pana Roberta Fergusona nie możemy potraktować zbyt poważnie. Ale może z tego pisma — bo chyba pochodzi od niego — dowiemy się nieco więcej o jego troskach.

Holmes wziął ze stołu drugi list, na który wcześniej, zaabsorbowany poprzednim, nie zwrócił uwagi. Zaczął go czytać z uśmiechem rozbawienia na twarzy, który stopniowo zanikał, ustępując miejsca głębokiemu zainteresowaniu i koncentracji. Kiedy skończył, siedział przez chwilę pogrążony w myślach, a list kołysał się w jego palcach. Wreszcie drgnął i otrząsnął się z zadumy.

— Dom Cheesemana w Lamberley. Gdzie leży Lamberley, Watsonie?

— W hrabstwie Sussex, na południe od Horsham.

— To niezbyt daleko, prawda? A Dom Cheesemana?

— Znam tę wieś, Holmesie. Jest w niej wiele starych domów określanych nazwiskami tych, którzy je wzniesli przed wiekami. Masz tam domy Odleya, Harveya, Carritona — ludzi już dawno zapomnianych, choć ich nazwiska żyją w nazwach tych domów.

— Tak, oczywiście — powiedział chłodno Holmes. Było to jedną z osobliwości jego dumnej, zamkniętej natury, że choć bardzo szybko rejestrował w mózgu każdą nową informację, to rzadko doceniał informatora. — I przypuszczam, że kiedy zakończymy tę sprawę, o Domu Cheesemana w Lamberley będziemy wiedzieli znacznie więcej niż w chwili obecnej. Ten list, tak jak się spodziewałem, jest od pana Roberta Fergusona. A przy okazji — on twierdzi, że jest twoim znajomym.

— Moim znajomym!

Podał mi list przez stół. Zaczynał się od adresu, o którym właśnie rozmawialiśmy.

Drogi Panie Holmes!

Zostałem Panu zarekomendowany przez prawników, ale sprawa jest zaiste tak delikatnej natury, że przychodzi mi ją omawiać z najwyższą trudnością. Dotyczy ona mego przyjaciela, w którego imieniu działałam.

Dżentelmen ten przed pięciu laty poślubił pewną damę z Peru, córkę tamtejszego kupca, z którym prowadził interesy związane z importem nawozów azotowych. Była to kobieta bardzo piękna, ale jej cudzoziemskie pochodzenie oraz obca religia stały się przyczyną wielu nieporozumień między małżonkami i zachodzi obawa, że po pewnym czasie jego miłość do niej może ostygnąć, i powźmie on podejrzenie, że ich związek jest błędem. Mąż przeczuwa istnienie w jej duszy takich zakamarków, których nigdy nie zdoła zgłębić ani zrozumieć. Jest to tym boleśniesz, że chodzi o najbardziej kochającą żonę, jaką sobie można wyobrazić, i według wszelkich oznak — absolutnie mu oddaną.

A teraz co do kwestii, którą wyjaśnię bliżej, kiedy się spotkamy. Celem tego listu jest bowiem jedynie ogólne przedstawienie sytuacji i upewnienie się, czy wyrazi Pan zgodę na przyjęcie sprawy. Dama ta zaczęła okazywać pewne osobliwe cechy, zupełnie obce jej dotychczasowemu, pełnemu słodyczy i delikatnemu usposobieniu. Wspomniany dżentelmen ma syna z pierwszego małżeństwa. Jest to chłopiec piętnastoletni — młodzian uroczy i wrażliwy, lecz fatalnie uszkodzony wskutek wypadku, jakiemu uległ w dzieciństwie. Dwukrotnie owa dama została przyłapana na tym, że bez najmniejszego powodu napadała na biednego chłopaka. Raz nawet uderzyła go kijem, zostawiając wielką pręgę na ramieniu chłopca.

To wszakże było jeszcze niczym w porównaniu z traktowaniem własnego dziecka, niespełna rocznego kochanego chłopczyka. Pewnego razu, mniej więcej przed miesiącem, niania pozostawiła dziecko na kilka minut bez opieki. Głośny płacz niemowlęcia, jakby krzyk bólu, przywołał opiekunkę z powrotem. Kiedy wpadła do pokoju, ujrzała, jak jej chlebobawczyni schyla się nad dzieckiem i najwyraźniej kąsa je w szyję, z której wyciekał strumyk krwi.

Niania była tak przerażona, że chciała zawołać jej męża, ale pani błagała ją, by tego nie robiła, i w końcu dała jej pięć funtów za milczenie, nie tłumacząc się ze swego postępowania. W ten sposób sprawa na razie przycichła.

Incydent ów odcisnął się wszakże w umyśle opiekunki straszliwym piętnem, zaczęła więc od tego czasu uważniej obserwować swoją panią i otaczać staranniejszą opieką niemowlę, które darzyła tkliwą miłością. Wydawało się jej jednak, że matka dziecka z kolei równie pilnie obserwuje ją samą, że wypatruje chwili, kiedy niania jest zmuszona zostawić chłopca samego, i tylko czeka, aby go dopaść. Tak jak dzień i noc piastunka chroniła dziecko, tak dzień i noc matka zdawała się czaić niczym wilk na jagnię. Musi się to wydawać niewiarygodne, a jednak upraszam, aby potraktował to Pan poważnie, ponieważ może od tego zależeć życie dziecka i zdrowie psychiczne tego mężczyzny.

Nadszedł jednak straszliwy dzień, kiedy niania nie mogła dłużej ukrywać faktów przed ojcem dziecka. Jej system nerwowy nie wytrzymał; nie potrafiła już dłużej znosić podobnego napięcia i wyznała mu wszystko. Jemu zaś wydało się to równie fantastycznym wymysłem, jak teraz wydaje się Panu. Wiedział, że ta niewiasta jest kochającą żoną i, wyjąwszy napaści na pasierba, kochającą matką. Czemuż by więc miała krzywdzić swoje własne, ukochane dziecko? Powiedział niani, że musiało się jej coś przyśnić, że to obłądne podejrzenia i że rzucanie podobnych oszczerstw na jej panią nie będzie tolerowane. Podczas tej rozmowy usłyszeli nagle przeraźliwy krzyk. Opiekunka i jej pan rzucili się w kierunku pokoju dziecinnego. Wyobrażam sobie, panie Holmes, co poczuł ten człowiek, kiedy ujrzał swą żonę podnoszącą się z kłęczek przy łóżeczku maleństwa, a na odsłoniętej szyjce dziecka i prześcieradle dostrzegł krew. Z okrzykiem przerażenia odwrócił ku światłu twarz żony i zobaczył, że jej usta umazane są szkarłatną posoką. Było ponad wszelką wątpliwość jasne, że ta kobieta piła krew swego nieszczęsnego dziecka.

Tak zatem przedstawiają się fakty. Ona teraz przebywa w swoim pokoju zamknięta na klucz, a jej mąż jest na wpół oszalały. Ani on, ani ja niewiele wiemy o wampiryzmie, znamy tylko samą jego nazwę. Sądziłbym, że to jakaś niesamowita bajka o potworach z obcych krajów. A jednak w samym sercu angielskiego hrabstwa Sussex... no cóż, wszystko to mógłbym z panem omówić jutro rano. Czy Pan, człowiek ogromnego talentu, zechce mnie przyjąć? Czy zechce Pan udzielić pomocy temu oszalałemu z rozpaczny dżentelmanowi? Jeśli tak, to proszę łaskawie zatelegrafować do Fergusona w Domu Cheesemana w Lamberley, a ja się zjawię w pańskim mieszkaniu jutro o godzinie dziesiątej.

Z poważaniem

Robert Ferguson

PS Zdaje mi się, że pański przyjaciel Watson grał w rugby w drużynie Blackheath, w czasie kiedy ja występowałem na pozycji napastnika w Richmond. To jest jedyna osobista rekomendacja, jaką mogę Panu w tej chwili przedłożyć.

— Oczywiście, że go sobie przypominam — powiedziałem, odkładając list. — Wielki Bob Ferguson, najlepszy napastnik, jakiego Richmond kiedykolwiek miał. Zawsze był równym chłopem. To do niego podobne, że tak się przejął sprawą swego przyjaciela.

Holmes spojrzał na mnie w zamyśleniu i pokręcił głową.

— Nigdy nie poznam cię do końca, Watsonie — powiedział. — Kryją się w tobie niezbadane możliwości. Zatelegrafuj jak dobry kompan: „Z przyjemnością zbadamy Twoją sprawę”.

— T w o j ą sprawę?!

— Nie możemy dopuścić do tego, ażeby pomyślał, że nasza firma to schronienie dla umysłowo upośledzonych. Oczywiście, że to j e g o sprawa. Wyślij telegram i zapomnijmy o tym aż do rana.

Nazajutrz, dokładnie o dziesiątej rano, Ferguson wkroczył do naszego pokoju. Pamiętałem go jako wysokiego, otoczonego pancerzem mięśni mężczyznę o gibkich kończynach i biegającego z doskonałym przyspieszeniem, które pozwalało mu omijać obrońców drużyny przeciwnej. Z pewnością nie ma w życiu nic boleśniejszego niż spotkanie zmienionego nie do poznania wybitnego sportowca, którego się znało w okresie jego świetności. Wspaniała sylwetka przygarbiła się, płowe włosy przerzedziły, a ramiona obwisły. Obawiam się, że mój widok wzbudził w nim analogiczne odczucia.

— Czołem, Watsonie — zawołał, a jego głos wciąż był tubalny i serdeczny. — Nie bardzo przypominasz człowieka, którego przerzuciłem kiedyś przez liny na widownię w Old Deer Park. Spodziewam się, że i ja nie jestem już ten sam. Ale to szczególnie ostatnie dwa dni sprawiły, że się postarzałem. Z pańskiego telegramu, panie Holmes, wnioskuje, że nie ma sensu, abym udawał czyjegoś wysłannika.

— Łatwiej jest działać wprost.

— Oczywiście. Ale może pan sobie wyobrazić, jak trudno jest mówić źle o kobiecie, którą ma się obowiązek chronić i wspierać. Cóż mam począć? Jakże miałbym z taką historią iść na policję? Ale przecież dzieciom należy zapewnić bezpieczeństwo. Czy to jest obłąd, panie Holmes? Czy to się jakoś wiąże z dziedzicznością? Czy w swojej praktyce spotkał się pan z podobnym przypadkiem? Niech mi pan coś, na miłość boską, doradzi, ponieważ jestem zupełnie bezsilny.

— To zupełnie naturalne, panie Ferguson. Proszę teraz spocząć, wziąć się w garść i udzielić mi kilku jasnych odpowiedzi. Zapewniam pana, że daleko mi jeszcze do poczucia bezsilności, i ufam, że znajdziemy jakieś rozwiązanie. Po pierwsze proszę mi powiedzieć, jakie poczynił pan kroki. Czy pańska żona wciąż przebywa w pobliżu dzieci?

— Rozegrała się straszliwa scena. Ona jest bardzo uczuciową kobietą, panie Holmes. Jeśli kiedykolwiek jakaś niewiasta kochała mężczyznę z całej swej duszy i serca, to właśnie ona mnie. Była do głębi zraniona faktem odkrycia przeze mnie tej przerażającej i niewiarygodnej tajemnicy. Nie wypowiedziała nawet jednego słowa. Nie udzieliła żadnej odpowiedzi na moje wyrzuty, spojrzała tylko na mnie z jakimś dzikim, rozpaczliwym wyrazem oczu, a następnie popędziła do swego pokoju i zamknęła się tam. Ona ma pokojówkę, która u niej służyła jeszcze przed naszym ślubem. Dolores jest raczej przyjaciółką niż służącą.

— A zatem dziecku nic bezpośrednio nie zagraża?

— Pani Mason, niania, przysięgła, że nie odstąpi od niego ani w dzień, ani w nocy. Mogę jej ufać. Bardziej niepokoję się o mojego biednego Jacka, ponieważ, jak napisałem w liście, był przez nią dwukrotnie pobity.

— Ale go nie zraniła?

— Nie, ale bestialsko się z nim obeszła. Jest to tym potworniejsze, że pobiła bezradnego, nieszkodliwego kalekę — posępne rysy Fergusona złagodniały, gdy mówił o synu. — Zdawałoby się, że nieszczęście tego chłopczyny powinno budzić u ludzi współczucie. Upadek z konia w dzieciństwie i zwichnięcie kręgosłupa, panie Holmes! Ale pozostało w nim to, co jest mi najdroższe, jego kochające serce.

Holmes wziął do ręki wczorajszy list i przeczytał go ponownie.

— Kto jeszcze mieszka w pańskim domu, panie Ferguson?

— Dwóch służących, którzy są u nas od niedawna. Jeden stajenny, Michael — ten też śpi w domu. Moja żona, ja, mój syn Jack i pani Mason. To już wszyscy.

— Wnioskuje, że w chwili ślubu nie znał pan zbyt dobrze swej żony?

— Znaliśmy się zaledwie od kilku tygodni.

— A jak długo pracowała u niej Dolores?

— Kilka lat.

— A zatem Dolores lepiej niż pan zna charakter pańskiej żony?

— Można by tak powiedzieć. Holmes coś sobie zanotował.

— Mam wrażenie — powiedział — że bardziej się mogę przydać w Lamberley niż tutaj. Niewątpliwie jest to sprawa z rodzaju tych, które należy zbadać osobiście. Jeśli pańska żona pozostaje w swoim pokoju, nasza obecność ani jej nie zrytuje, ani nie sprawi kłopotu. Oczywiście zatrzymamy się w zajeździe.

Ferguson wykonał gest ulgi.

— Na to właśnie liczyłem, panie Holmes. Gdyby to panu odpowiadało, to z Dworca Wiktorii odchodzi bardzo dogodny pociąg o godzinie drugiej.

— Doskonale, to nam właśnie odpowiada. Wykorzystamy chwilowy zastój w interesach. Wszystkie moje siły pozostają do pańskiej dyspozycji. Watson, rzecz jasna, jedzie z nami. Zanim jednak wyruszymy, pragnę się upewnić co do dwóch punktów. Jak rozumiałem, ta nieszczęśliwa dama miała zaatakować oboje dzieci, swoje własne oraz pańskiego syna?

— Zgadza się.

— Ale te ataki przybierają różne formy, prawda? Pańskiego syna pobiła.

— Raz zdzieliła go kijem, a raz bestialsko pobiła gołymi rękami.

— Czy w żaden sposób tego nie wytłumaczyła?

— W żaden, poza tym że go nienawidzi. Powtarzała to raz za razem.

— No tak, to się zdarza u macoch. Rzec by można — pośmiertna zazdrość. Czy małżonka jest zazdrosna z natury?

— Tak, jest bardzo zazdrosna — zazdrosna całą mocą swej ognistej, gorącej miłości.

— Ale ten chłopiec ma, zdaje się, piętnaście lat i jest prawdopodobnie bardzo rozwinięty umysłowo, jako że ma ograniczone możliwości rozwoju fizycznego. Czy on nie wyjaśnił panu w jakiś sposób przyczyn tych napaści?

— Nie, oświadczył, że stało się to bez żadnego powodu.

— Czy kiedykolwiek wcześniej tych dwoje było dobrymi przyjaciółmi?

— Nie, między nimi nie było nigdy żadnej sympatii.

— Powiada pan jednak, że chłopiec jest uczuciowy?

— Nie ma na świecie drugiego tak oddanego syna. Moje życie jest jego życiem. Pochłania go bez reszty wszystko, co mówię czy robię.

Holmes ponownie poczynił notatki. Na pewien czas pograżył się w myślach.

— Niewątpliwie przed zawarciem drugiego małżeństwa pozostawał pan z chłopcem w wielkiej komitywie. Byliście sobie bardzo bliscy, prawda?

— Rzeczywiście tak było.

— A z natury uczuciowy chłopiec na pewno czcił pamięć swej matki?

— Tak, z największym oddaniem.

— Wydaje się, że jest to młodzieniec w najwyższym stopniu interesujący. Istnieje jeszcze inny aspekt owych aktów przemocy. Czy te dziwne ataki na niemowlę i na pańskiego syna miały miejsce w tym samym czasie?

— W pierwszym przypadku tak. Opanowało ją jak gdyby szaleństwo i wyładowała wściekłość na obydwu. Za drugim razem poszkodowany został jedynie Jack. Pani Mason nie skarżyła się w związku z małżeństwem.

— To z pewnością komplikuje sprawę.

— Niezupełnie pojmuję, panie Holmes.

— Wcale mnie to nie dziwi. Człowiek tworzy sobie jakąś teorię i czeka, czy nie podważą jej kolejne wydarzenia. Zły to nawyk, panie Ferguson, ale ludzka natura jest słaba. Obawiam się, że pański stary przyjaciel przesadził co do skuteczności moich naukowych metod. W tej wszakże chwili mogę jednak powiedzieć, że pana problem nie wydaje mi się nie do rozwiązania i że może pan nas oczekiwać na Dworcu Wiktorii o godzinie drugiej.

Był ponury, mglisty listopadowy wieczór. Pozostawiwszy nasze bagaże w Chequers, w pobliżu Lamberley, pojechaliśmy charakterystyczną dla hrabstwa Sussex gliniastą, krętą

drogą, która w końcu doprowadziła nas do odosobnionego wiejskiego domostwa Fergusona. Był to duży, rozległy budynek, bardzo wiekowy w środkowej swej części, a wyraźnie nowy po bokach, ze strzelającymi w niebo kominami z epoki Tudorów i omszałym spadzistym dachem krytym kamienną dachówką z miejscowego surowca. Krawędzie stopni schodów wiodących do drzwi były mocno pościerane. Na starych płytkach podłogi ganku widniał rebus przedstawiający człowieka i ser, co było aluzją do nazwiska pierwotnego budowniczego domu, Cheesemana*. Wewnątrz rzucały się w oczy ciężkie dębowe belkowania sufitu i nierówne podłogi, które wypaczały się w wyraźne krzywizny. Cały ten rozsypujący się dom przenikała atmosfera starości i upadku.

Ferguson wprowadził nas do środkowego, bardzo dużego pokoju. Tu, w ogromnym staroświeckim kominku z żelazną osłoną, na której widniała data 1670, z trzaskiem wspaniale płonęły polana. Rozejrzawszy się, stwierdziłem, że pokój osobiście łączył w sobie elementy różnych epok i różnych miejsc. Wyłożone do połowy boazerią ściany mogły z powodzeniem pochodzić jeszcze z siedemnastego wieku, czasów owego pierwszego właściciela tego kawałka ziemi. Jednak szlaczek nad boazerią został namalowany właściwie dobranymi współczesnymi farbami, powyżej zaś, tam gdzie był już sam żółty tynk, wisiała piękna kolekcja południowoamerykańskich narzędzi i broni, które zostały tu niewątpliwie sprowadzone przez przebywającą teraz na piętrze peruwiańską damę. Holmes wstał z nagłym zaciekawieniem wynikającym z żywości jego umysłu i obejrzał kolekcję z pewnym niepokojem. Powrócił na swoje miejsce głęboko zamyślony.

— Patrzcie! — krzyknął nagle. — Cóż to takiego?

Z kosza w rogu pokoju wygramolił się spaniel. Z trudnością podszedł z wolna do swego pana. Poruszał niemrawo tylnymi łapami, a jego ogon włókł się po ziemi. Zwierzę polizało rękę Fergusona.

— O co chodzi, panie Holmes?

— Ten pies. Co się z nim dzieje?

— To właśnie zadziwia weterynarza, który stwierdził rodzaj paraliżu. Podejrzewa zapalenie rdzenia kręgowego. Ale to jest przejściowe. Wkrótce będzie się czuł normalnie, prawda, Carlo?

Spuszczony ogon zwierzęcia drgnął w potwierdzającej odpowiedzi. Smutne oczy psa spoglądały na nas na przemian. Wiedział, że rozmawiamy na jego temat.

— Czy to się stało nagle?

— W ciągu jednej nocy.

— Jak dawno?

— Jakieś cztery miesiące temu.

— Bardzo to dziwne i wiele mówiące.

— Czego się pan w tym dopatruje, panie Holmes?

— Potwierdzenia tego, o c z y m pomyślałem już wcześniej.

— Na miłość boską, o czym pan myśli, panie Holmes? Dla pana to jest może tylko jakaś szarada, dla mnie jednak to kwestia życia i śmierci! Moja żona potencjalną morderczynią — moje dziecko w nieustannym niebezpieczeństwie. Niechże pan ze mną nie bawi się w kotka i myszkę, panie Holmes! To jest zbyt poważna sprawa.

Wielki rugbista drżał na całym ciele. Holmes położył mu na ramieniu dłoń w uspokajającym geście.

— Obawiam się, panie Ferguson, że jej rozwiązanie będzie dla pana bolesne, niezależnie od tego, jaki przybierze kierunek. Chciałbym pana oszczędzać, na ile to możliwe. W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej, żywię jednak nadzieję, że przed opuszczeniem tego domu będę miał dla pana już coś konkretnego.

* Ang. *cheese* — ser; *man* — człowiek.

— Daj Boże, żeby tak się stało! Panowie wybaczą, że pójde teraz do pokoju żony. Sprawdzę, czy nie zaszła jakaś zmiana w jej stanie.

Nie było go przez kilka minut. W tym czasie Holmes jeszcze raz obejrzał osobliwości rozwieszane na ścianie. Kiedy nasz gospodarz wrócił, malujące się na jego twarzy przygnębienie świadczyło niezbicie, że żadna poprawa nie nastąpiła. Przyproceedził ze sobą wysoką, szczupłą dziewczynę o śniadej twarzy.

— Podwieczorek jest przygotowany, Dolores — powiedział. — Dopilnuj, żeby zostało spełnione każde życzenie pani.

— Ona bardzo chora! — krzyknęła dziewczyna, spoglądając z niechęcią na swego pana. — Ona nie prosić o jedzenie. Ona bardzo chora. Ona potrzebować doktora. Ja bać się zostac sama z nią bez doktora!

Ferguson spojrzal na mnie pytajaco.

— Byłbym bardzo rad, gdym się mógł na coś przydac.

— Czy twoja pani zechce przyjac doktora Watsona?

— Prowadzę go. Ja proszę nie odejsc. Ona potrzebować doktora.

— Pójde więc tam natychmiast.

Podążyłem w ślad za drzącą z emocji dziewczyną schodami w góre, a następnie wzdłuż staroświeckiego korytarza. Na samym jego końcu znajdowały się ciężkie, ujęte w żelazną ramę drzwi. Kiedy na nie patrzyłem, pomyślałem sobie, że Ferguson miałby poważne trudności, gdyby próbował dostać się do niej siłą. Dziewczyna wyjęła z kieszeni klucz i ciężkie dębowe skrzydła skrzypnęły na starych zawiasach. Wszedłem, a służąca wśliznęła się za mną, zamykając za sobą drzwi.

W łóżku leżała kobieta niewątpliwie trawiona wysoką gorączką. Była wprawdzie na wpół przytomna, ale kiedy wszedłem, otworzyła przerażone piękne oczy i wlepiła je we mnie z lękiem. Widząc obcą osobę, najwyraźniej odprężyła się i z westchnieniem opadła na poduszki. Podeszedłem do łóżka, przemawiając do niej łagodnie. Leżała spokojnie, więc zmierzylem jej puls i temperaturę. Ich wskaźniki były wysokie, odniosłem jednak wrażenie, że jej stan wynikał raczej z podniecenia nerwowego niż z powodu jakiejś choroby.

— Ona tak lezeć jeden dzień, dwa dzień. Ja boję, że ona umrzeć — powiedziała dziewczyna.

Kobieta zwróciła ku mnie swą ładną twarz.

— Gdzie jest mój mąż?

— Jest na dole i pragnąłby się z panią zobaczyc.

— Nie chcę go widziec. Nie chcę go widziec — krzyknęła i wydawało się, że majaczy. — Szatan! Diabeł! Ach, cóż mam poczac z tym szatanem?

— Czy mogę jakoś pani pomoc?

— Nie. Tu nikt nie może pomoc. Z tym już koniec. Już za późno. Cokolwiek bym zrobiła, już jest za późno.

Musiła mieć halucynacje. Nie mogłem sobie wyobrazić pocziwego Fergusona w charakterze szatana czy diabła.

— Madame — powiedziałem — mąż kocha panią całą duszą. Jest głęboko zasmucony tym, co się dzieje.

Ponownie zwróciła na mnie te swoje pałające oczy.

— On mnie kocha. Tak. A czyż ja nie kocham jego? Czy ja nie kocham go do tego stopnia, że gotowa bym raczej poświęcić siebie samą, niż złamac mu serce? Tak go właśnie kocham. A on mógł pomyśleć, że ja... mógł o mnie coś takiego powiedziec...

— Przepelnia go smutek, ale nie jest w stanie pani zrozumieć.

— Tak, nie potrafi zrozumieć. Ale powinien ufac.

— Nie zechce go pani przyjac? — zasugerowałem jej.

— Nie, nie. Nie mogę zapomnieć tych straszliwych słów ani wyrazu jego twarzy. Nie chcę go widzieć. Niech pan już idzie. Nie może mi pan w niczym pomóc. Tylko jedno proszę mu powiedzieć: chcę odzyskać dziecko. Mam prawo do mojego dziecka! — odwróciła twarz do ściany i nie odezwała się już ani słowem.

Powróciłem do pokoju na dole, gdzie Ferguson i Holmes wciąż siedzieli przy kominku. Ferguson słuchał mojego sprawozdania z ponurą miną.

— Jakże mogę posłać do niej dziecko? — powiedział.

— Skąd mam wiedzieć, czy ona nie ulegnie jakiemuś dziwnemu impulsowi? Jak mogę zapomnieć tę chwilę, kiedy uniosła się znad łóżeczka z krwią na ustach? — zadrżał na wspomnienie tej sceny. — Dziecko jest bezpieczne przy pani Mason i tam musi pozostać.

Bystra pokojówka, jedyny nowoczesny akcent, jaki dostrzegliśmy w tym domu, przyniosła podwieczorek. Kiedy go podawała, otworzyły się drzwi i w progu stanął młody człowiek. Kilkunastoletni chłopiec o zadziwiającej urodzie. Miał bladą cerę, jasne włosy i żywe niebieskie oczy. Te oczy nagle rozgorzały płomieniem uczucia i radości, gdy spoczęły na ojcu. Podbiegł do niego, zarzucił mu ramiona na szyję z oddaniem kochającej dziewczyny.

— Ach, tatusiu! — zawołał. — Nie wiedziałem, że już przyjechałeś! Przyszedłbym od razu, żeby się z tobą przywitać. Och, jak się cieszę, że cię widzę!

Ferguson delikatnie wyzwoił się z jego objęć, zdradzając pewne zakłopotanie.

— Mój drogi chłopcze — powiedział, poklepując go czule po płowej głowie. — Wróciłem wcześniej, ponieważ moi przyjaciele, pan Holmes i doktor Watson, dali się namówić na przyjazd i spędzenie z nami reszty wieczoru.

— Czy pan Holmes to ten detektyw?

— Tak.

Młodzieniec obrzucił nas przenikliwym i, jak mi się wydało, nieprzyjaznym spojrzeniem.

— A gdzie jest pańskie drugie dziecko, panie Ferguson? — zapytał Holmes. — Czy moglibyśmy zawrzeć znajomość z niemowlęciem?

— Poproś panią Mason, żeby je tu przyniosła — powiedział Ferguson.

Chłopiec wyszedł, dziwnie powłócząc nogami, co moje chirurgiczne oko rozpoznało jako skutek urazu kręgosłupa. Wrócił niebawem, a za nim podążała wysoka, ponura kobieta, niosąc na rękach śliczne dziecko o ciemnych oczach i złocistych włosach — wspaniałe połączenie cech anglosaskich z latynoskimi. Nie było wątpliwości, że Ferguson był doń przywiązany, ponieważ wziął niemowlę na ręce i pieścił jak najczulej.

— Czy to możliwe, żeby ktoś miał sumienie skrzywdzić moje maleństwo? — mruknął, spoglądając na niewielką, zaognioną, czerwoną fałdkę na krtani tego cherubina.

W tej właśnie chwili przypadkiem spojrzałem na Holmesa i w jego twarzy dostrzegłem niezwykłą koncentrację. Oblicze mego przyjaciela przypominało rzeźbę w starej kości słoniowej, a wzrok, którym przez mgnienie objął ojca i syna, utkwiał teraz, wyraźnie zaciekawiony, gdzieś wyżej, w jakimś punkcie po przeciwległej stronie pokoju. Podążając za jego spojrzeniem, mogłem się tylko domyślać, że patrzy przez okno na melancholijny, ociekający wodą ogród. Wprawdzie żaluzja była na wpół opuszczona i zasłaniała widok, niemniej jednak było pewne, że właśnie okno przyciąga uwagę Holmesa. Następnie uśmiechnął się i przeniósł wzrok na niemowlę. W milczeniu przyglądał się pulchnej szyjce, na której widniało małe zgrubienie. Wreszcie uściśnął jedną z pokrytych dołeczkami piąstek, które fruwały mu przed nosem.

— Żegnaj, mały człowieczku! Niezwykle rozpoczynasz swe życie. Nianiu, chciałbym z panią zamienić kilka słów na osobności.

Wziął ją na stronę i przez kilka minut rozmawiał z powagą. Dobięły mnie tylko ostatnie jego słowa:

— Mam nadzieję, że pani obawy zostaną wkrótce rozproszone.

I niania, wyglądająca na kobietę zgorzkniałą i milczącą, oddaliła się z dzieckiem na rękę.

— Jak pan ocenia panią Mason? — zapytał Holmes Fergusona.

— Z pozoru niezbyt ujmująca, ale to złote serce i jest oddana dziecku.

— Czy lubisz ją, Jack? — Holmes zwrócił się nagle do chłopca, sprawiając, że jego ruchliwa i wyrazista twarz spochmurniała. W odpowiedzi młodzian pokręcił przecząco głową.

— Jacky ma swoje wyraźne sympatie i antypatie — powiedział Ferguson, otaczając chłopca ramieniem. — Na szczęście ja należę do jego sympatii.

Chłopak rozpromienił się z zadowolenia i przylgnął do piersi ojca. Ferguson delikatnie odsunął go od siebie.

— Uciekaj teraz, mój mały Jacky — rzekł i kochającym wzrokiem obserwował syna, dopóki ten nie zniknął za drzwiami. — I co, panie Holmes? — podjął po odejściu chłopca. — Mam doprawdy wrażenie, że tylko traci pan przeze mnie czas, cóż bowiem może pan zrobić poza wyrażeniem mi współczucia? Z pańskiego punktu widzenia musi to być nadzwyczaj delikatna i złożona sprawa.

— Z pewnością jest delikatna — rzekł mój przyjaciel z uśmiechem rozbawienia — ale dotychczas nie uderzyła mnie jej złożoność. Była to kwestia intelektualnego dociekania, ale kiedy ta pierwotna umysłowa spekulacja zaczyna się stopniowo sprawdzać dzięki niemałej liczbie niezależnych zdarzeń, wówczas subiektywne staje się obiektywnym i możemy sobie z pełnym zaufaniem powiedzieć, że dotarliśmy do celu. Ja zaś w istocie dotarłem doń, zanim jeszcze opuściliśmy Baker Street, reszta zaś polegała po prostu na obserwacji i potwierdzeniu przypuszczeń.

Ferguson przyłożył wielką dłoń do swego pooranego zmarszczkami czoła.

— Na miłość boską, Holmes — powiedział chrapliwie — jeśli pan zna prawdę w tej sprawie, to proszę nie utrzymywać mnie w niepewności! Jaka jest moja sytuacja? Co powinienem zrobić? Nie dbam o to, w jaki sposób odkrył pan fakty, jeśli rzeczywiście pan je zna.

— Jestem z pewnością winien wyjaśnienie i otrzyma je pan. Proszę mi jednak pozwolić poprowadzić tę sprawę na swój sposób. Watsonie, czy stan pani Ferguson pozwala na to, aby mogła nas przyjąć?

— Jest chora, ale zupełnie przytomna.

— Doskonale. Sprawę tę możemy wyjaśnić tylko w jej obecności. Zaprowadź nas do niej.

— Ona mnie nie zechce widzieć! — krzyknął Ferguson.

— Na pewno zechce — powiedział Holmes. Nabazgrał kilka linijek na kartce papieru. — Przynajmniej ty masz tam wstęp, Watsonie. Mógłbyś łaskawie przekazać pani ten liścik?

Wszedłem znów na górę i wręczyłem bilecik Dolores, która ostrożnie uchyliła drzwi. Chwilę później usłyszałem okrzyk, w którym radość zdawała się mieszać z zaskoczeniem. Dolores wyjrzała z pokoju.

— Ona chce ich zobaczyć. Chce słuchać — powiedziała.

Na mój znak Ferguson i Holmes weszli na górę. Kiedy wkroczyliśmy do pokoju, nasz gospodarz postąpił w kierunku żony, która uniosła się na łóżku, ale zaraz go powstrzymała gestem wyciągniętej ręki, a wtedy osunął się na fotel. Holmes usiadł obok niego, skłoniwszy się uprzednio damie, a jej szeroko otwarte oczy patrzyły na niego w zdumieniu.

— Myślę, że Dolores może odejść — powiedział Holmes. — Ależ proszę bardzo, madame, jeśli pani woli, żeby została, nie mam nic przeciwko temu. Panie Ferguson, jestem bardzo zapracowanym człowiekiem, obarczonym wieloma zleceniami, muszę więc działać szybko i stawiać sprawy bez niedomówień. Najszybciej przeprowadzona operacja chirurgiczna jest najmniej bolesna. Na początek za pozwoleniem powiem coś, co uspokoi pana. Ma pan dobrą, kochającą żonę, która została bardzo źle potraktowana.

Ferguson wyprostował się z okrzykiem radości.

— Niech pan to udowodni, a zostanę na wieki pańskim dłużnikiem!

— Uczynię to, ale jednocześnie muszę pana głęboko zranić z innej strony.

— Jest mi to obojętne, jeśli tylko oczyści pan moją żonę z zarzutów. Nic na świecie nie może się z tym równać!

— Proszę więc pozwolić, że przedstawię panu wnioski, do jakich doszedłem jeszcze na Baker Street, i drogę mego rozumowania. Myśl o wampirze uznałem za absurdalną. Nic takiego nie zdarza się w Anglii. A przecież pańskie obserwacje były prawdziwe. Widział pan, jak żona podnosi się znad dzieciennego łóżeczka, mając krew na ustach.

— Widziałem.

— Czy nie przyszło panu do głowy, że krwawiąca ranka mogła być wysysana w jakimś innym celu niż zaspokojenie wampirzego głodu? Czyż w historii Anglii nie było królowej, która ssła taką ranę, aby wyciągnąć z niej truciznę?

— Truciznę?!

— Zatrute strzały z Ameryki Południowej! Instynktownie przeczuwałem istnienie tej rozwieszanej na ścianie broni, zanim ją jeszcze ujrzałem. Mogła być zastosowana inna trucizna, mnie jednak ta nasunęła się na myśl. Kiedy zobaczyłem mały pusty kołczan wiszący obok niewielkiego łuku na ptaki, miałem już pewność, że tego właśnie się spodziewałem. Dla dziecka ukłucie jedną z tych strzał zanurzonych w kurarze czy jakimś innym diabelskim narkotyku oznaczało śmierć, gdyby jad nie został wyspany. No i ten pies! Czy ktoś, mając zamiar użyć podobnej trucizny, nie pragnąłby się uprzednio upewnić, że nie straciła swej mocy? Nie wiedziałem o psie, ale ostatecznie zorientowałem się, że to on został do tego wykorzystany. Wszystko pasowało do mojej rekonstrukcji wydarzeń. Czy teraz pan rozumie? Pańska żona obawiała się takiego zbrodniczego zamachu. Stała się jego świadkiem i uratowała dziecku życie, a przecież wzdragała się przed wyznaniem panu prawdy, wiedząc, jak bardzo kocha pan tego chłopca, i w obawie, że pańskie serce może tego nie wytrzymać.

— Jacky!

— Obserwowałem go, gdy przed chwilą tulił pan niemowlę. Jego twarz wyraźnie odbijała się w okiennej szybie z tłem utworzonym przez opuszczoną żaluzję. Ujrzałem w tym obliczu tak pełną okrucieństwa nienawiść, jaką rzadko widuje się w ludzkiej twarzy.

— Mój Jacky!

— Musi pan jakoś z tym się uporać, panie Ferguson. Jest to tym bardziej bolesne, że w swym postępowaniu chłopiec kierował się wynaturzoną miłością, obsesyjnie przesadną miłością do pana i prawdopodobnie do zmarłej matki. Jego dusza przeżarta jest nienawiścią do tego wspaniałego dziecka, którego kwitnące zdrowie i uroda stanowią kontrast z jego własną słabością.

— Boże miłosierny! To niewiarygodne!

— Czy powiedziałem prawdę, madame?

Kobieta łkała z twarzą wciśniętą w poduszki. Teraz odwróciła się ku mężowi.

— Jak mogłam ci o tym powiedzieć, Bob? Wiedziałam, że byłby to dla ciebie okrutny cios. Wołałam poczekać, żebyś się mógł o tym dowiedzieć od kogoś innego. Ucieszyło mnie więc, kiedy ten dżentelmen, który zdaje się posiadać czarnoksiężskie zdolności, napisał na kartce, że wie o wszystkim.

— A paniczowi Jacky'emu zaordynowałbym rok pobytu nad morzem — powiedział Holmes, podnosząc się z krzesła. — Jest jeszcze tylko jedna niejasność, madame. Potrafimy doskonale zrozumieć pani agresję w stosunku do Jacky'ego. Są przecież granice matczynej ciepłoty. Ale jak mogła się pani odważyć na pozostawienie dziecka bez opieki przez ostatnie dwa dni?

— Wtajemniczyłam we wszystko panią Mason.

— Tak właśnie przypuszczałem.

Ferguson z wyciągniętymi ku żonie rękami stał przy łóżku, tłumiąc łkanie.

— Wydaje mi się, że na nas czas, Watsonie — powiedział szeptem Holmes. — Jeśli podejmiesz wierną Dolores pod jedno ramię, ja to samo uczynię z drugim. A teraz — dodał, zamknąwszy za nami drzwi sypialni pani Ferguson — możemy ich chyba zostawić, aby resztę załatwili między sobą.

Mam u siebie jeszcze tylko jedną notatkę związaną z tą sprawą. Holmes wystosował ostateczną odpowiedź na pismo, od którego zaczyna się niniejsze opowiadanie. Brzmi ona tak:

*Baker Street
21 listopada*

dotyczy wampirów

Szanowny Panie!

W związku z Pańskim listem z 19 listopada pozwalam sobie oświadczyć, że rozpatrzyłem prośbę o informację o wampirach skierowaną przez pańskiego klienta, pana Roberta Fergusona z handlującej herbatą firmy „Ferguson i Muirhead” przy Mincing Lane, oraz że sprawa ta została doprowadzona do zadowalającego rozstrzygnięcia. Wdzięczny za pańską rekomendację,

*z głębokim poważaniem
Sherlock Holmes*